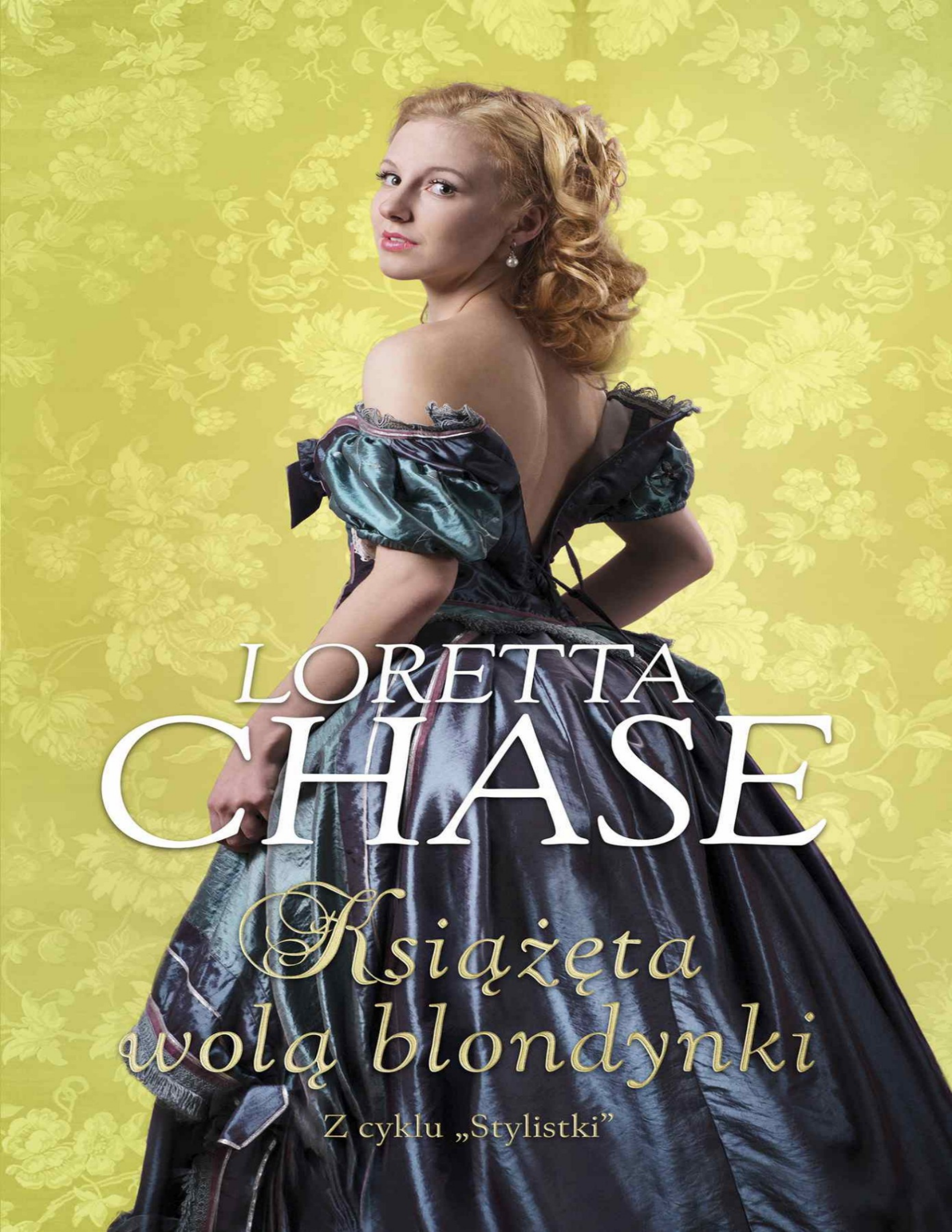

LORETTA
CHASE

Książęta wolą blondynki

Z cyklu „Stylistki”

Książęta wolą blondynki

LORETTA
CHASE

Książęta wolą blondynki

przełożyła
Ewelina Kowalczyk-Kurzaj

bis
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Dukes Prefer Blondes*

Projekt okładki: Dorothea Bylica

Copyright © 2016 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2018

ISBN 978-83-7551-568-8

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Epilog

Prolog

Muzo, wysławiaj męża wielce przebiegłego,
wszechstronnego w geniuszu.
Homer, *Odyseja*
Eton College, jesień 1817 roku

Oliver Radford był nieznośny.

Wystarczyły zaledwie dwa dni od jego przyjazdu, by wszyscy uczniowie doświadczyli tego na własnej skórze. Niewiele więcej czasu zabrało im obdarowanie nowego przezwiskiem Kruk, choć motywy tego wyboru pozostawały niejasne. Może przyczyną były czarne jak noc włosy Olivera i świdrujące szare oczy? Może głęboki, mroczny głos, pasujący raczej do dorosłego mężczyzny niż dziesięcioletniego chłopca? Może zainspirował ich nos, spiczasty i kojarzący się z dziobem drapieżnego ptaka?

Zwykle zresztą trzymał ten nos w książce i jeden z jego kuzynów stwierdził któregoś dnia, że młody Radford przypomina mu kruka dziobiącego padlinę. Kuzyn ów nie wiedział zapewne, że kruki są niebywale inteligentnymi ptakami. Oliver był zaś niebywale inteligentnym chłopcem. Między innymi dlatego znacznie wyżej cenił towarzystwo książek niż kolegów ze szkoły – a zwłaszcza swych niewiarygodnie głupich kuzynów.

W tej chwili opierał się niedbale o ogrodzenie, z dala od pozostałych graczy, kłócących się o stronę boiska w pierwszej połowie meczu. Wiedział, że raczej go nie wybiorą, i nie chciał grać, utkwił więc nos w *Odysei* Homera.

Książkę przesłonił cień i na pierwszej stronie greckiego tekstu spoczęła tłusta dłoń z brudnymi paznokciami. Oliver nie podniósł głowy. Był, podobnie jak jego ojciec, doskonałym obserwatorem. Rozpoznał tę dłoń. Widywał ją już kilka razy.

– Ach, tu go mamy, moi panowie – oznajmił kuzyn Bernard. – Zgniłe jabłuszko ze skażonej ciężką robotą gałęzi rodziny. Otóż i nasz Kruk.

Oliver przyzwyczaił się już, że kuzyni wciąż próbują uwłaczać jego ojcu. Jako że najstarszy syn dziedziczył zarówno tytuły, jak i bogactwa, reszta rodzeństwa musiała znaleźć sobie majętne żony albo zajęcie w stosownych dla dżentelmenów zawodach, to jest zrobić karierę wojskową, duchowną lub w ostateczności zająć się prawem. George Radford, syn młodszego syna księcia, został znakomitym prawnikiem. Szczęśliwie wżenił się także w dość bogatą rodzinę.

Oliver zauważył, że inni Radfordowie byli tępi i ociężali, a ich żony – tłuste i rozkapryszone. Fakt, że chłopiec dostrzegał takie rzeczy, przysparzał mu jedynie wrogów.

On sam nigdy nie próbował łagodzić sporów.

– Nie dziwi mnie, iż znajdujesz prawo tak trudnym – oświadczył. – Po pierwsze, wymaga ono doskonałej znajomości łaciny, a ty nie radzisz sobie nawet z angielskim, a po drugie…

Bernard szturchnął go lekko.

– Jakbym ja był tobą, tobym trzymał języka za zębami, Kruku. Chyba, że chcesz se go odgryźć.

– Język – poprawił go Oliver. – Biernik, a nie dopełniacz. A prawidłowa forma zaimka brzmi „sobie”, a nie „se”.

Bernard szturchnął go trochę mocniej.

– Najlepiej za dużo z nim nie gadać – wyjaśnił otaczającym go kolegom i kuzynom. – Nie zna umiaru. Ma matkę z gminu, biedaczyna. Ale u nas się o tym nie gada.

Krewni George’a Radforda ogromnie się wzburzyli, gdy ten, skończywszy pięćdziesiąt lat, ożenił się z rozwódką. Oliver jednak nie dbał o ich zdanie. Ojciec przygotował go na okrutne zachowania uczniów Eton i plotki, które będą rozsiewali jego wstrętni kuzyni.

– Zaprzeczasz sam sobie – prychnął Oliver. – Znowu.

– Wcale że nie, gówniarzu.

– Stwierdziłeś, że o tym się nie gada, właśnie o tym gadając.

– Masz coś przeciwko, Kruku?

– Ależ skąd. – Oliver wzruszył ramionami. – Mojej matce udało się przynajmniej nie zmiażdżyć mi mózgu, gdy wydawała mnie na świat. Widzę, że w twoim przypadku nie poszło tak gładko.

Bernard chwycił go za sweter i rzucił na trawę. Książka wypadła Krukowi z rąk. Czuł, jak serce bije mu nieprzytomnie, a w trzewiach narasta panika. Stłamsił ją z całej mocy, udając, że to nie przytrafia się jemu, lecz komuś zupełnie obcemu, komu może się przyglądać z boku, nic nie czując.

Panika zniknęła, świat wrócił do równowagi i Oliver był w stanie zebrać myśli.

Podniósł się na łokciach.

– Przykro mi – powiedział.

– Powinno ci być cholernie przykro – warknął Bernard. – I mam nadzieję, że ta lekcja…

– Powinienem był to przełożyć jako: „gdyż chciał się wywiązać”, a nie: „gdyż pragnął przetrwać”.

Bernard popatrzył na niego tępo. Jak zwykle.

– Odyseusz – wyjaśnił cierpliwie Oliver. Wstał, podniósł książkę i otrzepał ją z ziemi. – Nadaremno walczył za tych, którzy bezmyślnie go zniszczyli. Głupcy niszczą wszystko, czego nie potrafią zrozumieć.

Twarz Bernarda oblała się szkarłatem.

– Głupcy? Nauczę cię ja rozumu, bezczelny gnojku!

Skoczył na Olivera, obalił go na ziemię i zaczął okładać pięściami.

Bójka zakończyła się podbitymi oczami młodego Radforda i krwią cieknącą do wieczora z rozbitego nosa.

Nie był to pierwszy raz. Nie był także ostatni.

Oliver najwyraźniej nie uczył się na błędach.

* * *

Królewskie Ogrody Vauxhall, czerwiec 1822 roku

Oliver był zmieszany, co nie zdarzało się często.

Nie miał doświadczenia w kontaktach z dziewczynami. Matka się nie liczyła. Przyrodnie siostry same były już matkami.

Siostra hrabiego Longmore’a, lady Clara, oznajmiła mu właśnie, że ma lat osiem i jedenaście dwunastych.

Choć w domu roiło się od nianiek pilnujących młodych Fairfaksów, Clarze zwykle pozwalano włóczyć się za chłopcami. Bracia traktowali ją

jak maskotkę. Przede wszystkim dlatego, że była pierwszą dziewczynką w domu, nie mówiąc już o tym, że szalał za nią młody książę Clevedon, pozostający pod opieką lorda Warforda.

Jednak zaplanowane na ten dzień rozrywki nie były przeznaczone dla panienek. Clevedon już się oddalał, przywołując gestem Longmore'a, który zwrócił się do siostry:

– Nie wsiądziesz do łódki.

Kopnęła go w kostkę, ale Longmore tylko się roześmiał. Wargi Clary zaczęły drżeć. Ku własnemu zdumieniu Oliver odezwał się nagle:

– Czy widziałaś już heptaplasiesoptron, lady Claro?

Dostrzegł zdumiony wzrok Longmore'a, lecz skupił się na błękitnym, czystym spojrzeniu jego siostry.

– Cóż to takiego?

– To coś w rodzaju sali z kalejdoskopami. Jest w niej wiele szkieł powiększających, labirynt, fontanna, palmy i różnokolorowe lampy. O, tam – rzekł, wskazując na Rotundę. – Zechciałabyś mi towarzyszyć?

Longmore ulotnił się niepostrzeżenie.

– Chcę na łódkę. – Lady Clara wydęła usteczka.

– Ja przeciwnie – wyznał Oliver.

Rozejrzała się, lecz dostrzegła jedynie plecy oddalającego się biegiem brata. Spojrzała na Olivera podejrzliwie.

– Lord Longmore nie chce narażać twego zdrowia i życia. Mogłabyś się rozchorować albo utonąć.

– Mowy nie ma. Nigdy nie choruję.

– Longmore okropnie buja łódkami. – Oliver się uśmiechnął. – Sam bym na pewno skończył z mdłościami.

– Mówisz do rymu – wytknęła lady Clara.

– Mam wiele talentów – odparł. – Pokazać ci heptaplasiesoptron? Założę się, o co tylko chcesz, że nie dasz rady wymówić tej nazwy. Jesteś przecież dziewczynką, a dziewczynki nie są szczególnie bystre.

W błękitnych oczach zalśnił płomień.

– Oczywiście, że wymówię!

– Słucham zatem.

Zacisnęła powieki i ściągnęła wargi w skupieniu. Miała tak komiczną minę, że Oliver z trudem powstrzymywał serdeczny śmiech.

Clevedon i Longmore przyjechali do Eton rok po Oliverze. Ku jego zdumieniu postanowili się z nim zaprzyjaźnić. Nie różniło się to wiele od ich postępowania wobec lady Clary. Nazywali go Profesorem Krukiem, co niebawem skrócili do samego Profesora.

Gdy lord Longmore wystosował do niego oficjalne zaproszenie na rodzinną wycieczkę do Vauxhall, ojciec Olivera uznał, że nie wypada odmówić. Oliver obawiał się, że umrze z nudów, jednak pobyt w Vauxhall okazał się pod wieloma względami pasjonujący. Pływali łódkami, oglądali tancerzy ulicznych i akrobatów, tresowane małpy i psy, rozmaite iluzje, iluminacje i sztuczne ognie.

Nie miał wcześniej zamiaru zostać niańką niedorosłej panienki, jednak lady Clara była równie zdumiewająca jak inne cuda Vauxhall. Nie była wcale tak głupia, jak można się było spodziewać, biorąc pod uwagę, że była dziewczynką, w dodatku spokrewnioną z Longmore’em. Szanowny hrabia nie grzeszył bystrością.

Zanim doszli do Rotundy, płynnie wymawiała słowo heptaplasiesoptron. Wyrażała także szczere zainteresowanie sztuczkami optycznymi i skomplikowanymi urządzeniami ze zwierciadeł. Zwiedziwszy gruntownie wystawę w Sali Kolumnowej, udali się do Podwodnej Groty. Gdy lady Clara uzyskała odpowiedzi na wszystkie pytania, łaskawie pozwoliła się poprowadzić do Pustelni. Tam właśnie do uszu Olivera dobiegł znany, odrażający głos:

– To wszystko, na co cię stać, patałachu? Przecież ona nie ma jeszcze cycków!

Czerwona mgła przesłoniła Oliverowi wzrok.

– Zostań – powiedział do lady Clary.

Zaszarżował na kuzyna Bernarda i wymierzył rozpaczliwy cios w wielki brzuch. Tłuszcz najwyraźniej jednak izolował lepiej, niż można się było spodziewać, gdyż Bernard tylko stęknął i natychmiast zaatakował.

Oliver nie spodziewał się tak szybkiej reakcji, nie zdążył się uchylić i potężny cios niemal zwalił go z nóg. Bernard rzucił się na niego całym ciężarem, obalając go na podłogę.

Oliver słyszał krzyki lady Clary jak przez mgłę. W uszach mu dzwoniło i nie mógł złapać tchu.

Bernard się roześmiał.

Młody Radford usiłował go strząsnąć, wtem lady Clara rzuciła się na Bernarda, kopiąc go i młócąc drobnymi piąstkami. Widok był tak zabawny, że Oliver na chwilę zapomniał, że ma problemy z oddychaniem.

Bernard podniósł rękę, by ochronić się przed gradem ciosów. Oliver nie był pewny, co się potem stało, ale wywnioskował, że lady Clara wpadła z impetem wprost na łokieć jego kuzyna, gdyż znienacka padła do tyłu, zasłaniając dłonią usta.

Bernard poderwał się na nogi.

– To nie moja wina! – ryknął. – Nic nie zrobiłem!

I zwiał.

Oliver dostrzegł krew na jej dłoni. Rozejrzał się i stwierdził, że Bernard zniknął. Jak zwykle zaatakował go, gdy w pobliżu nie było żadnych dorosłych.

– Sukinsyn – warknął. – Tchórz. Mógł się chociaż przekonać, czy nic ci się nie stało. Jak się czujesz?

Dotknęła zęba kciukiem.

– Mam wszystkie zęby? – zapytała, wyszczerzając się. Nie zobaczył czerwonych śladów. Widocznie na jej dłoni była krew Bernarda.

Zęby miała niewiarygodnie równe i białe. Z wyjątkiem lewej górnej dwójki.

– Dwójka była wcześniej wyszczerbiona? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Niestety, teraz jest.

Wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że to utknie w jego łokciu już na zawsze! – parsknęła i dodała szeptem: – Sukinsynowi. – A potem zachichotała.

Być może Oliver zakochał się w niej już wtedy.

Być może później.

Od tego dnia nie spotkał lady Clary Fairfax.

Do czasu.

Rozdział 1

U wylotu Whitehall Street znajduje się plac Charing Cross, a tuż za nim otwiera się przestronny Trafalgar Square, gdzie niebawem powstanie monumentalny pomnik zwany Kolumną Nelsona. U szczytu placu stanie Narodowa Galeria Sztuki.
Calvin Colton, *Cztery lata w Wielkiej Brytanii*

Covent Garden, Londyn
środa, 19 sierpnia 1835 roku

– Przestań! – krzyknęła dziewczyna. – Puść mnie!

Lady Clara Fairfax, wyskakując w biegu z kabrioletu, nie dosłyszała, co powiedział chłopak. Dotarł do niej jedynie jego rubaszny śmiech i ujrzała, jak chwycił Bridget Coppy za ramię i zaczął odciągać ją od budynku, do którego zmierzała. W kamienicy mieściło się Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

Zacisnęła dłoń na szpicrucie, zebrała fałdy sukni i pobiegła ku nim. Nie zwalniając kroku, smagnęła rękę chłopaka szpicrutą. Zaklął szpetnie.

Wystarczył rzut oka, by rozpoznać w nim wyjątkowo podłego ulicznika. Miał rude włosy i twarz usianą piegami. Wystroił się w tani, pretensjonalny płaszcz, jakimi szczyciła się okoliczna łobuzerka.

– Zostaw ją natychmiast albo znów ci przyłożę – warknęła lady Clara. – Znikaj stąd. Nie masz tu nic do roboty. Zejdź mi z oczu, zanim wezwę policję.

Chłopak zmierzył ją bezczelnym wzrokiem, choć efekt został nieco zrujnowany przez fakt, że musiał przy tym zadrzeć głowę. Clara nie należała do drobnych kobietek, on zaś był mizernego wzrostu. Spojrzał na szpicrutę i śliczny kabriolet, z którego wysiadała pokojówka, panna Davis, uzbrojona w parasolkę.

Z odrażającym uśmiechem rzekł:

– Lepiej rąb mocniej, jeśli chcesz, żebym w ogóle coś poczuł.

Nie czekał jednak na kolejne ciosy. Nasadził kapelusz na bakier i odszedł, pogwizdując.

Lady Clara spojrzała na Bridget.

– Wszystko w porządku?

– Tak, proszę pani. Dziękuję pani bardzo. – Dziewczyna rozmasowała rękę. – Nie wiem, doprawdy, co sobie myślał, przychodząc tutaj. Wie, że łobuzy jego pokroju nie są tu mile widziane.

Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet opiekowało się dziewczętami, które na przekór wszelkim przeciwnościom losu chciały wyrosnąć na szanowane kobiety.

Zazwyczaj panny chcące uczyć się zawodu starały się o miejsce praktykantki. Jednak londyńskie krawcowe mogły dosłownie przebierać w pomocnicach, a podopieczne Stowarzyszenia były z reguły odrzucane w pierwszej kolejności. W większości było już dla nich za późno na rozpoczynanie zwykłej drogi. Kobiety upadłe. Po przejściach. Ze skazą. Stowarzyszenie odławiało je z rynsztoków, jeśli tylko szczerze pragnęły zmiany, i robiło wszystko, co w ludzkiej mocy, by przyuczyć je do zawodu. Przy odrobinie dobrej woli i dzięki ciężkiej pracy większość dziewcząt uczyła się szyć prędko i drobnym ściegiem. Wtedy znajdowano im zatrudnienie. Niektóre odkrywały w sobie rzadszy talent, na przykład do haftu na muślinie czy jedwabiu. Być może parę z nich zostanie w przyszłości sławnymi krawcowymi lub nawet stylistkami.

Bridget miała piętnaście lat. Mimo starań nie zdołała się utrzymać ze sprzedaży kwiatów i stanęła u drzwi Stowarzyszenia, gdy uznała, że nie przeżyje kolejnej napaści i kradzieży, których dopuszczał się jej uliczny „opiekun”. Nie potrafiła czytać ani pisać, odznaczała się za to wielkim hartem ducha, pracowitością i wreszcie ogromnym talentem hafciarskim. Jej dzieła zawsze wyróżniały się na wystawach butików.

Podobnie jak jej uroda na ulicy.

– Powiem ci, co sobie myślał – parsknęła Clara. – Niezbyt wiele, w istocie. Widział tylko, jaka jesteś śliczna, i miał w głowie jedynie to, co mają w głowach mężczyźni na widok ślicznych dziewcząt.

Lady Clara Fairfax wiedziała, co mówi. Dzień wcześniej skończyła dwadzieścia dwa lata i uznawano ją za najpiękniejszą pannę w Londynie, jeśli nie w całej Anglii.

* * *

Mała Pracownia, Warford House
poniedziałek, 31 sierpnia 1835 roku

Clara nie wybiegła z krzykiem z pokoju. Dama nie biega, krzycząc, jeśli jej życie nie jest zagrożone.

A to były po prostu kolejne oświadczyny.

Sezon się skończył. Ostatni bal w Almacku odbył się pod koniec lipca i większość znajomych wyjechała na wieś. Rodzina Warfordów tkwiła w Londynie, gdyż lord Warford nigdy nie opuszczał miasta, dopóki parlament nie zakończył debat.

Zostali także wszyscy zalotnicy Clary. Najwyraźniej zawiązali spisek albo założyli się w zadymionej, mrocznej otchłani swego klubu, gdyż oświadczali się regularnie w ścisłym tygodniowym rytmie. Clara traciła już cierpliwość.

Tego dnia przypadała kolej lorda Herringstone'a. Oświadczył, że ją kocha. Wszyscy jej to mówili, z różnym natężeniem emocji. Będąc jednak nad wyraz inteligentną dziewczyną, która przeczytała aż za wiele, wiedziała doskonale, że każdy z nich chce po prostu posiąść na własność najładniejszą pannę w Londynie.

Po matce odziedziczyła klasyczną urodę: jasne włosy, błękitne oczy, cerę o odcieniu słodkiej śmietanki lśniącą perłowo na delikatnych rysach. Świat zgadzał się, że uroda lady Fairfax była ucieleśnieniem ideału. Podobnie jak jej figura, przypominająca doskonałe w każdym calu rzeźby greckich bogiń.

Jedyna skaza – lekko wyszczerbiony ząb – sprawiała, że była bardziej ludzka, a dzięki temu zdawała się jeszcze bardziej idealna.

W związku z tym każdy chciał ją mieć.

Jak rasowego konia. Albo najnowszy model powozu.

Uroda otaczała ją szczelnym, wysokim murem. Mężczyźni nie byli w stanie dojrzeć niczego poza nią, ponad nią, oprócz niej. Nie byli w stanie zrozumieć, że Clara posiada także inne zalety.

A to dlatego, że mężczyźni tylko patrzyli na kobiety. Nie mieli w zwyczaju ich słuchać. A zwłaszcza tych ładnych. Uprzejmi zadawali sobie trud udawania, że słuchają. Gorzej wychowani całkowicie je

ignorowali. Wszak nie jest tajemnicą, że kobiety w zasadzie nie posiadają mózgów.

Clara zastanawiała się czasami, co zdaniem mężczyzn kobiety miałyby mieć zatem w czaszkach w miejscu mózgu. Czymże miałyby dokonywać tych żałosnych prób myślenia…

– …gdybyś wyświadczyła mi ten niewysłowiony honor i została moją żoną.

Wróciła do rzeczywistości i odmówiła z wyszukaną grzecznością i wdziękiem, gdyż była jednak prawdziwą damą. Poza tym naprawdę lubiła lorda Herringstone'a, który pisał na jej cześć całkiem zgrabne i dowcipne ody. Potrafił być zabawny i nieźle tańczył. Był nawet umiarkowanie inteligentny.

Jak nieprzebrane rzesze innych dżentelmenów.

Lubiła ich. No, przynajmniej większość z nich.

Jednak nie mieli oni pojęcia, kim jest Clara, i nawet nie starali się dowiedzieć.

Być może było to naiwne, ale oczekiwała czegoś więcej.

Lord Herringstone zrobił zbolałą minę. Clara uznała, że nic mu nie będzie. Znajdzie inną śliczną pannę, na którą będzie mógł do woli patrzeć i nie będzie musiał jej słuchać. Pannę, która nie będzie miała idealistycznych oczekiwań. Pobiorą się i będą się jakoś razem toczyć, jak wszyscy inni.

A Clara za parę lat zrezygnuje z marzeń i powie „tak".

– Albo zostanę zdziwaczałą starą panną i ucieknę do Egiptu – mruknęła.

– Słucham?

Clara podniosła głowę. Pokojówka, panna Davis, tkwiła przy wejściu do pracowni. Drzwi zawsze były szeroko otwarte, a po korytarzach kręcili się wiecznie zabiegani lokaje. Choć żaden z zalotników Clary nie odważyłby się powiedzieć jej złego słowa, a tym bardziej skrzywdzić, panna Davis zawsze była gotowa do ataku. Ludzie powiadali, że przypomina ona wściekłego buldoga, lecz Clara wiedziała, że wygląd to nie wszystko. Panna Davis została zatrudniona, gdy tylko Clara wyrosła z dziecięcych guwernantek, i chroniła ją przed złamaniami, zwichnięciami i utonięciem. Jej głównym zadaniem było jednak dbanie o to, by Clara nie stała się zwariowaną chłopczycą.

– Gdzie mama?

Lady Warford zwykle mijała się w drzwiach pracowni z odrzuconym zalotnikiem, by przez godzinę zastanawiać się na głos, gdzie popełniła błąd wychowawczy.

– Lady Warford cierpi na migrenę. Udała się do swojej sypialni.

Clara była przekonana, że migrenę wywołała wizyta wrednej przyjaciółki, lady Bartham.

– Chodźmy stąd – rzuciła do panny Davis.

– Oczywiście, panno Fairfax.

– Do dziewcząt – zdecydowała Clara. Wizyta w Stowarzyszeniu dawała jej szansę zrobienia czegoś pożytecznego w przeciwieństwie do odganiania się od upartych zalotników. – Proszę, zamów mój kabriolet.

Gdy tylko mogła, Clara powoziła samodzielnie. Częściowo po to, by ograniczyć plotkowanie i szpiegowanie przez służących, przede wszystkim zaś, by mieć wrażenie, że jest wolna i może o czymś decydować. Nawet jeśli było to tylko powożenie maleńkim pojazdem. Nie był to okazały powóz, za to prześliczny. Dostała go od najstarszego brata, lorda Longmore’a.

– Kupimy im po drodze trochę błyskotek. – Zerknęła w lustro. – Nie mogę w tym jechać. Muszę wyglądać jak bóstwo.

Kiedy nie była w stanie uniknąć oświadczyn, ubierała się skromnie i bezbarwnie, by odmowa mniej bolała. Jednak z dziewczętami sprawa miała się inaczej. Stowarzyszenie należało do stylistek z najlepszego londyńskiego butiku – Maison Noirot. To one szyły suknie lady Clary i nauczyły ją, że stroje są dziełem sztuki, formą manipulacji i językiem bez słów. Dwa razy ocaliły ją przed poślubieniem niewłaściwego mężczyzny.

Dla ich dziewcząt ubierała się więc jak żywa inspiracja stylu i smaku.

* * *

Charing Cross, godzinę później

– Uwaga! Patrz, gdzie idziesz! Zejdź z drogi!

Clara nie zdążyła zobaczyć, dlaczego miałaby zejść z drogi. Silne ramię chwyciło ją w pasie i pociągnęło z powrotem na chodnik. Dopiero wtedy dostrzegła pędzący w jej stronę czarno-żółty kabriolet.

Pojazd w ostatniej chwili skręcił ostro w kierunku straganiarzy i uliczników zbitych w grupkę przed posągiem króla Karola I. Po chwili znów ostro skręcił, szturchnął przejeżdżający obok omnibus, potrącił kulejącego psa i pognał w St. Martins Lane, pozostawiwszy za sobą istne pobojowisko.

Głęboki, wibrujący głos ponad jej głową wymruczał przekleństwo. Słyszała je wyraźnie mimo jazgotu przerażonych przechodniów, stukotu pojazdów, rżenia koni i ujadania psów. Umięśnione ramię puściło jej talię, a jego właściciel cofnął się o dwa kroki. Spojrzała na niego, zadzierając głowę znacznie wyżej, niż była przyzwyczajona.

Jego przystojna twarz wydawała się znajoma, choć nie mogła w tej chwili dopasować do niej nazwiska. Objęła spojrzeniem silną szczękę, długi nos i surowe usta. Szare oczy patrzyły na nią uważnie spod czarnych brwi wygiętych w perfekcyjne łuki. Czarny lok opadał mu na skroń.

– Przyjmuję, że nie zapamiętała pani żadnych szczegółów? – zapytał rozdrażnionym tonem. – Ach, po cóż zadaję takie bezsensowne pytania. Wszyscy od razu wpadają w panikę i nikt nie patrzy, co się dzieje. Właściwe pytanie brzmi: czy ma to jakiekolwiek znaczenie? – Wzruszył ramionami. – Pewnie tylko dla psa. I można by przypuszczać, że woźnica jedynie zlitował się nad biednym kulejącym zwierzęciem. Wyświadczył mu przysługę. No, to by było na tyle. Czy dobrze się pani czuje? Nie zranił pani? Nie zamierza pani mdleć? Płakać też nie? Doskonale. Życzę miłego dnia.

Dotknął ronda i ruszył w swoją stronę.

– Mężczyzna i chłopiec w czarnym faetonie z żółtymi zdobieniami – powiedziała. Zatrzymał się, ale Clara była skupiona na obrazie, który powoli zaczynał się rozwiewać w jej wyobraźni. – Faeton był świeżo pomalowany. Kasztanowata klacz z białą strzałką i białą skarpetą na tylnej lewej nodze. Nie mieli lokaja. Chłopak… widziałam go już wcześniej niedaleko Covent Garden. Rudy, piegowaty, w wymiętym żółtym płaszczu i lichym kapeluszu. Woźnica o twarzy charta w okryciu… lepszej jakości, ale ciągle kiepskim. Zdecydowanie nie dżentelmen.

Rycerz w czarnym płaszczu odwrócił się do niej powoli. Uniósł jedną brew.

– Twarz charta?

– Wąska, długa twarz – potwierdziła Clara. Drżącą dłonią wykonała gest wzdłuż własnych policzków. – Ostre rysy. Kieruje jak szatan. Mógł oszczędzić tego psa.

Mężczyzna objął ją spojrzeniem tak prędkim, że Clara nie miała pewności, czy rzeczywiście to zrobił. Jednak jego spojrzenie nagle zrobiło się jakby rozmazane. Clara westchnęła w duchu, uniosła brodę i czekała, aż urośnie między nimi znany jej mur.

– Jest pani pewna – oświadczył raczej, niż zapytał.

Jakże mogłabym być pewna, pomyślała Clara. Jestem tylko kobietą, więc nie mam mózgu.

Odparła nieco niecierpliwie:

– Owszem, pies i tak ledwo się wlókł. Pewnie niebawem wpadłby w łapy tamtych łobuzów, którzy zaczęliby się nad nim znęcać, albo kopnąłby go koń. Albo przejechał inny wóz. Jednak jestem pewna, że tamten woźnica wiedział, co robi. Celowo przejechał psa.

Dżentelmen rozejrzał się po placu.

– Idiota – burknął. – Urządza sceny kosztem biednego zwierzaka. Zabicie psa miało być dla mnie rodzajem ostrzeżenia. Nie jest jednak mistrzem subtelnych aluzji. – Spojrzał na nią raz jeszcze. – Twarz charta?

Pokiwała głową.

– Doskonała robota – pochwalił.

Przez chwilę Clara obawiała się, że poklepie ją po głowie, jak pieska, któremu udała się zabawna sztuczka, lecz on tylko stał i spoglądał na nią ze spokojem. Wargi zadrżały mu lekko, jakby zamierzał się uśmiechnąć, lecz ostatecznie się rozmyślił.

– Ten człowiek stanowi zagrożenie dla społeczeństwa – oświadczyła. – Szkoda, że jestem umówiona, w przeciwnym wypadku zgłosiłabym to na policję. – Clara, rzecz jasna, nie była umówiona. Jej wizyta w Stowarzyszeniu była kaprysem. Jednak dama nie mogła mieć nic wspólnego z policją. Nawet gdyby ją mordowali, musiałaby zachować dyskrecję. – Muszę to pozostawić na pana głowie.

– Nikt nie doznał uszczerbku, nie licząc wałęsającego się psa – zauważył dżentelmen. – Zwierzak wyglądał na bezdomnego. Nikt nie zgłasza na policję potrącenia psa, o ile nie był to królewski wyżeł. Poza tym woźnica celował we mnie, ale weszła mu pani pod koła. Nie widziałem go spoza… – Wykonał bezradny gest wokół jej okazałego kapelusza. – …spoza tej

konstrukcji, którą ma pani na głowie. A łajdak o twarzy charta, cóż… – Uśmiechnął się przelotnie. Choć uśmiech znikł w mgnieniu oka, serce Clary nagle załomotało. – Próbuje mnie ostatnio zabić. Zresztą nie on jeden. Nie warto zawracać głowy policjantom.

Ukłonił się nonszalancko i znów ruszył w swoją stronę.

Clara patrzyła za nim przez chwilę.

Wysoki, szczupły i pewny siebie, sunął bez trudu przez gęstą ciżbę tłoczącą się na Trafalgar Square. Nawet kiedy skręcił w Strand, nie straciła go z oczu. Jego elegancki kapelusz i szerokie ramiona wyrastały ponad ludzką masę, póki nie dotarł do Clevedon House i nie zasłonił go jakiś powóz.

Nie obejrzał się.

Nie obejrzał się ani razu.

Chwilę później, gdy zdołała już uspokoić pokojówkę i szarpnęła lejcami, zachęcając konia do truchtu, twarz nieznajomego pojawiła się nagle w jej pamięci, a jego głos, niski i głęboki, wypłynął z jakiejś zapomnianej chwili z przeszłości. Wspomnienie drgało chwilkę w jej sercu, jak cień rzucany przez gasnącą świecę, i zniknęło, zanim zdołała je uchwycić. Wzruszyła ramionami i starała się zająć myśli czym innym, jednak raz po raz zastanawiała się, dlaczego się nie odwrócił.

* * *

Oliver Radford nie musiał się odwracać. W normalnej sytuacji rozpoznałby wysoką blondynkę na pierwszy rzut oka. Fairfaksów można było rozpoznać z daleka. Wszyscy byli do siebie podobni, a rysy mieli tak szlachetne, że nawet pospólstwo bez trudu odróżniało członków tej rodziny.

A jednak przyjrzał się jej i drugi, i trzeci raz.

Przede wszystkim nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Bystrość i przenikliwość jego umysłu – jak twierdzono – nie przystała szlachetnie urodzonemu dżentelmenowi i była wręcz gorsząca. A jednak drugi i trzeci rzut oka potwierdziły, że milady istotnie jest tak inteligentna i bystra, jak się zdaje.

Przyglądając się jej ponownie, poczuł pewność, że już ją kiedyś widział. Jednak nie umiał wydobyć jej z mroków pamięci.

Ponadto udało jej się go zaskoczyć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go zaskoczył.

– Twarz charta – mruknął i roześmiał się, wprawiając w osłupienie mijających go przechodniów. – Niechże mu to powiem! Będzie chciał mnie zabić dwa razy.

* * *

– Nie odwracaj się, półgłówku! – warknął mężczyzna o twarzy charta.

Henry Brockstopp, znany jako Szczypior, zacisnął pięści.

– To ona! Ta cholerna olbrzymka, która zdzieliła mnie szpicrutą! Szkoda, że jej nie przejechałeś.

– Ot, dureń – prychnął woźnica i zdzielił chłopaka wierzchem dłoni. – Żeby cała londyńska szlachta rzuciła się na mnie? Razem z królewską armią? Ile razy mam ci to tłumaczyć? Nie tykaj włosa na szlachetnej głowie, jeśli nie masz w planach zawisnąć na stryczku, a po śmierci trafić na stół sekcyjny w Akademii. Lekarze i studenci mieliby ubaw, wyciągając twoją wątrobę i bezcenne małe jajeczka. – Wybuchnął rubasznym śmiechem. – Kruk to ma oko. Schował się za największą spódnicą w mieście.

Jacob Freame słynął w londyńskim półświatku z poczucia humoru. Śmiał się, wymuszając haracz na sklepikarzach. Szczerzył zęby, gdy jeden z jego podwładnych prowadził pijanego dżentelmena do burdelu, z którego dżentelmen ów miał już nie wyjść żywy. Chichotał, kiedy jego chłopcy kopali swych wrogów. Zawsze był skory do śmiechu.

– Miał się za czym chować – burknął Szczypior, rozcierając głowę.

– Może sobie być tak wielka, jak chce, bo jest damą – oznajmił Jacob. – Kiedy widzisz wielką damę, zdejmujesz kapelusz, kłaniasz się nisko, mówisz tylko: „Tak, proszę pani” i „Nie, proszę pani”. Całujesz ich po rękach, kapujesz? Nikogo nie obchodzi, co robimy w naszym towarzystwie. Ale spróbuj obrazić damę lub dżentelmena. Zaraz dostaniesz po uszach. Rozumiesz czy mam ci to wtłuc do pustego łba?

– Rozumiem – odburknął chłopak. Ale w duchu postanowił, że Bridget Coppy dostanie od niego nauczkę. Długa Tyczka też pożałuje.

Jacob Freame obejrzał się, choć jego cel został daleko w tyle.

– Następnym razem, Kruku – obiecał.

I roześmiał się.

* * *

Covent Garden
chwilę później

Tego dnia Bridget Coppy zarządzała sklepem Stowarzyszenia. Właśnie tutaj klienci mogli składać zamówienia na bieliznę i wyprawy, zasilając wpłatami konto zakładu założonego przez siostry Noirot. Rzecz jasna, przedmioty wykonywane przez dziewczęta o zróżnicowanych talentach prezentowały odmienne walory.

– To musi być twoje – odgadła Clara, wyjmując z pudełka ślicznie haftowaną torebkę.

– Tak, proszę pani. Niestety, ma skazę. Ten ścieg. On nie powinien… – Bridget urwała i wybuchnęła płaczem.

Jej śliczna twarz oblała się rumieńcem. Prędko wyszarpnęła z kieszeni chusteczkę.

– Och, przepraszam! Niech mi pani wybaczy.

Clara potrafiła się odnaleźć w każdej sytuacji. Litowała się nad wszystkimi, których los nie obdarzył tak hojnie jak jej. Nawet jeśli odwiedziny u nich traktowała jak lek na własne niepokoje.

– Moja droga, nawet nie widzę, który to ścieg – stwierdziła. – Jesteś dla siebie zbyt surowa.

– Haft musi być idealny. Nie może… Gdyby miała pani suknię wyhaftowaną w lelije i z jednej wystawałaby nitka? Albo… albo jakiś płatek byłby purpurowy, a miał być różowy. Albo… – Łzy potoczyły się po jej policzkach. Odwróciła się, głośno wydmuchała nos i energicznie otarła twarz chusteczką. – Przepraszam najmocniej. Gdyby mnie teraz szefowa widziała, od razu by mnie wyrzuciła.

– Szefowej tu nie ma – uspokoiła ją Clara. – Jednak skoro jesteś tak przygnębiona, że nie radzisz sobie z uczuciami, to oznacza, że coś cię dręczy. Dlaczego? Przecież jesteś najbardziej odpowiedzialną i rozsądną dziewczyną w Stowarzyszeniu.

– Odpowiedzialną? – jęknęła dziewczyna. – Gdybym była odpowiedzialna, czy wpadłabym w takie tarapaty?

* * *

Dwa dni później

Clara po raz pierwszy przestąpiła próg londyńskiej kancelarii prawniczej. Gdy dama potrzebowała porady prawnika, zapraszała go do siebie. Wszelako prawdziwa dama nigdy nie powinna dopuścić do sytuacji, w której potrzebowałaby takiej pomocy. A gdyby upadła już tak nisko, by jednak jej potrzebować, powinna oddać sprawę w kompetentne ręce ojca, męża, brata czy syna.

Dlatego Clara miała na sobie dopasowaną z grubsza suknię panny Davis. Dlatego też przyjechała wraz z pokojówką i chłopcem na posyłki Fenwickiem fiakrem powożonym przez anonimowego i dość ponurego woźnicę. Dorożka odebrała ich spod Maison Noirot, gdzie na stałe pracował Fenwick, i powiozła na Fleet Street. Wysiedli przy Inner Temple Gate i ruszyli wąską Inner Temple Lane.

Okopcone sadzą budynki z wielu różnych stuleci tłoczyły się wokół świątyni Temple jak niewiarygodnie brudny grecki chór przyglądający się tragedii. Clara wiedziała jedynie, że musi odnaleźć kancelarię na drugim piętrze domu Woodleyów. Ale który to był dom? Fenwick wahał się pomiędzy dwiema najbrudniejszymi kamienicami wznoszącymi się nad kościelnym dziedzińcem, gdy z cmentarza wyłonił się jakiś chłopak. Fenwick podszedł do niego.

Chłopak oświadczył, że wie doskonale, gdzie znajduje się wskazane biuro. Czyż sam nie udawał się właśnie na bardzo ważne spotkanie z tym samym dżentelmenem? I czyż niektórzy doprawdy nie są ślepi, szukając budynku, którego nazwa jest wyraźnie wypisana na tabliczce tuż przed ich nosami? Wskazał palcem rząd tabliczek, na których prawdopodobnie, pod warstwą sadzy i ptasich odchodów, widniały nazwy budynków.

Fenwick zwrócił chłopakowi uwagę na ton i treść robionych im uwag.

Chłopak odciął się niegrzecznie.

Fenwick wymierzył celny cios.

Chłopak nie pozostał mu dłużny.

* * *

Tymczasem na drugim piętrze domu Woodleyów

– Nie żyje – upierał się Westcott. – Martwy. Martwy. Martwy – powtarzał w kółko, machając listem przed nosem Radforda. – Nie rozumiesz po angielsku?

Radford poczuł ciężar w piersi. Instynktownie odsunął od siebie część osobowości doświadczającą uczuć. Uczucia były tak nieracjonalne! Nauczył się traktować emocjonalną część swej natury, jakby była osobnym bytem, i rozważać wszelkie sprawy w kompletnym oddzieleniu od niej. Metaforycznie rzecz ujmując, odepchnął łokciem emocjonalną część samego siebie i na chłodno rozważył słowa Westcotta, przeanalizował charakter pisma i użytą papeterię.

Tylko nie ojciec.

Jeszcze nie.

Zachowanie zwykłego chłodu kosztowało go tym razem znacznie więcej wysiłku.

– Po angielsku rozumiem doskonale – odparł. – Zapominasz jednak, że ten list pisał prawnik.

Radca prawny Thomas Westcott był, jak się zdawało, jedynym przyjacielem Radforda. Panowie dzielili wspólną kancelarię i młodego kancelistę Tilsleya, do którego zadań należało sortowanie poczty.

Radford rzadko podejmował się czytania listów, które przynosił mu Tilsley. Robił wyjątek dla korespondencji od rodziców i przyrodnich sióstr, pozostawiając Westcottowi przedzieranie się przez resztę papierzysk.

– Nie czytałeś! – wyrzucił mu przyjaciel.

Radford nie musiał czytać. Znajomy charakter pisma, pieczęć i oficjalny ton nagłówka wystarczyły mu za wskazówki. Pisał radca księcia Malverna, donosząc o śmierci członka rodziny, prawdopodobnie księcia we własnej osobie, biorąc pod uwagę wyjątkowo zdobną papeterię i zaawansowany wiek Malverna.

– Jestem prawnikiem – odpowiedział Radford. – Rozpoznaję prawne bełkoty na dwadzieścia kroków. Odległość odpowiednia podczas pojedynku. Szkoda, że nie wystarczy zastrzelić tej koperty. Prawdziwi dżentelmeni tak rozwiązują sprawy. Jednak my, jako prawnicy wciąż brudzący sobie ręce zbrodnią i fałszem, nie jesteśmy prawdziwymi dżentelmenami, nieprawdaż?

Radford z radością kontynuował rodzinną tradycję. Był świetnym prawnikiem. Nigdy nie wątpił, że będzie nim przez całe życie, cierpliwie prostując ludzkie ścieżki, walcząc ze złem i głupotą.

Nie mógł jednak naprawić innych Radfordów.

Dziadek Bernarda strawił życie na nastawianiu swych synów i synowych przeciwko sobie. Był samolubnym i mściwym manipulatorem, a jego potomkowie wyrośli na jego obraz i podobieństwo. Jednak dziadek Radforda był inteligentnym, bystrym dżentelmenem i dostrzegł, że rodzina zmierza ku zagładzie. Postanowił ograniczyć do minimum wszelkie kontakty z jej członkami. Podobną decyzję podjął ojciec Radforda. Wiele lat wcześniej powiedział mu: „Jeśli nie chcesz, by skaziła cię ich głupota, trzymaj się od nich z daleka. Żyj innym życiem, synu. Żyj własnym życiem”.

Kruk Radford z pasją posłuchał rady ojca. Nie miał zamiaru gonić z kuzynami za tytułem książęcym, na pewno nie teraz.

Trzy miesiące wcześniej w przytułku Grumleya, dokąd biedacy odsyłali dzieci, na które nie mogli już sobie pozwolić, zmarło pięcioro z nich – oficjalnie na krup. Jednak zabiło je zatrważające połączenie zaniedbania, głodu i brudu. Wszczęto śledztwo i oskarżono Grumleya o morderstwo. Radford był oskarżycielem w tej sprawie.

Z kamienną twarzą wziął od przyjaciela list i przebiegł pismo wzrokiem.

– Został tylko Bernard – powiedział. – Jak, do diabła, im się to udało?

Ojciec Bernarda miał trzech braci oraz trzech synów z drugiego małżeństwa. W niedługim czasie wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, zginęli w wypadkach bądź powaleni przez choroby.

– A wydawało się, że płodność zapewni im powodzenie – prychnął. – Owce też potrafią się mnożyć.

– Rodzina królewska ma ten sam problem – zauważył Westcott. – Król Jerzy III miał przecież dziewięciu synów. A teraz co nam zostało? Niedorosła panienka.

– Szkoda, że tytuł księcia nie może przypaść dziewczynie – westchnął Radford. – Tych mają aż nadmiar. Ale dziewczęta nie dziedziczą. No, trudno. To nie mój problem.

Rzucił list na biurko Westcotta.

– Radford, jeśli obecny książę umrze…

– Bernard nie ma nawet trzydziestu lat, jego żona skończyła dwadzieścia pięć. Jeszcze będzie miał synów.

Oby Bernard żył jeszcze co najmniej pięćdziesiąt lat! Radford nie potrzebował listu, by wiedzieć, że jego ojciec jest następny w kolejce do tytułu księcia Malverna.

George Radford miał już osiemdziesiąt lat i był słabego zdrowia. Chorował przez całą zimę i nie wiadomo było, czy zdoła przeżyć kolejną. Powinni zostawić go w spokoju, u boku ukochanej żony, w zaciszu willi Itaka w Richmond, którą nazwał na cześć domu Odyseusza. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, był przymus zarządzania rozległymi posiadłościami, które marniały przez długie lata.

– Z listu wynika, że młoda księżna jest delikatnego zdrowia – wtrącił Westcott.

– Domyślam się. – Radford wzruszył ramionami. – Ryzyko jej śmierci przy porodzie jest bardzo wysokie. Jak zresztą każdej kobiety, która rodzi co roku. Zapewniam cię jednak, że jeśli umrze, Bernard natychmiast ożeni się znowu, nieważne, ile będzie miał lat. Jego ojciec założył drugą rodzinę, kiedy skończył pięćdziesiąt.

Ojciec Radforda również ożenił się jako pięćdziesięciolatek. Wcześniej nie było go na to stać. I tak Kruk znalazł się w szkole z Bernardem.

Westcott podniósł list z biurka i przeczytał go jeszcze raz.

– Coś tu nie gra – zdecydował. – Nie wiem co, ale jestem pewien, że jest w tym jakieś drugie dno. Nie potrafię czytać między wersami, a ty odmawiasz współpracy.

– Powiem ci, co nie gra – westchnął Radford. – Ten list tylko udaje dokument. Z prawnego bełkotu przebija jedynie aroganckie wezwanie Bernarda. Świeżo upieczony książę oczekuje mych odwiedzin i pokłonów. Jak ci się zdaje, czy może z tego wyniknąć cokolwiek dobrego?

– Mógłbyś się przynajmniej dowiedzieć, czego chce.

– Teraz? Kiedy mam na głowie sprawę Grumleya?

– Mogę pojechać za ciebie. Jako twój radca.

– Nie przyjmie cię. Nie znasz Bernarda.

Ojciec dałby sobie radę z tym bezmózgim osiłkiem, gdyby chciał, ale Radford nie widział takiej konieczności. Nie potrzebował teraz dodatkowych kłopotów. Musi jedynie napisać do matki i ostrzec ją.

– Zmarnuje tylko nasz czas – uciął Radford. – Mamy ważniejsze sprawy. Chcę wysłać tego łajdaka Grumleya do… – Spojrzał podejrzliwie na drzwi. – Kto tam? Gdzie, u diabła, jest Tilsley?!

– Jeśli ma pan na myśli kancelistę, to okłada mojego chłopca pod kościołem.

Głos, choć stłumiony przez drzwi, należał do kobiety. I to arystokratki.

Westcott, choć nie tak przenikliwy jak jego przyjaciel (któż zresztą mógł się z nim równać?), rozpoznał elegancki akcent i wymowę godną najprzedniejszego towarzystwa. Miewał już takich klientów. Rzucił się ku drzwiom i otworzył je z ukłonem.

Do kancelarii weszła wysoka blondynka.

Rozdział 2

Młodocianych przestępców można napotkać w każdej dzielnicy Londynu. Wielu z nich terminuje u starszych złodziei, inni samodzielnie trudnią się żebraniną, bójkami, sprzedażą biletów i gazet, drobnymi kradzieżami z kieszeni przechodniów, straganów i sklepów.
John Wade, *Rozprawa o policji i zbrodniach w metropolii* (1829)

Wspiąwszy się po wąskich i pogrążonych w mroku schodach, Clara i panna Davis znalazły się w długim korytarzu. Jedne z wielu czarnych drzwi oznaczono plakietką z nazwiskiem, którego szukały.

Davis stukała trzy razy, zanim znajdujący się w środku mężczyźni usłyszeli cokolwiek. Clara odniosła wrażenie, że się kłócą.

Jeden z głosów, niski i głęboki, brzmiał znajomo.

Clarze nie udało się go jednak rozpoznać, dopóki drzwi się nie otworzyły i nie weszła do środka. Kiedy spoczęło na niej spojrzenie jasnych, stalowych oczu, zatrzymała się ze zdumieniem. Gwałtowna fala żaru rozlała się w jej brzuchu, podnosząc się do szyi i twarzy, i zaczęła krążyć w zakamarkach, o których damy nie zwykły pamiętać na co dzień.

Poczuła się odrobinę zaniepokojona, lecz prawdziwa dama nigdy nie traci rezonu. Nawet gdy ma wrażenie, że wpadła z impetem na latarnię.

– Lady Claro – przemówił do niej. – Czy to ma być pani zdaniem sprytne przebranie?

– Radford! – wykrzyknął drugi dżentelmen. – Co, do…

Clara uniosła dłoń, uciszając go. Gdyby natychmiast nie przejęła kontroli nad sytuacją, już by jej nie odzyskała. Potraktowaliby ją jak rozkapryszone dziecko. Mężczyźni zawsze traktują kobiety w ten sposób. Zwłaszcza młode. Pogłaskaliby ją po głowie, obsypali uspokajającymi bzdurami i odesłali do domu. I naskarżyli na nią radcy ojca. Wątpiła, by słynne zasady dyskrecji prawników dotyczyły kobiet.

Nie okazuj niepokoju ani niepewności! – nakazała sobie w duchu. *Choć raz w życiu możesz zrobić coś bardziej pożytecznego niż odrzucanie zalotników.*

Odchrząknęła i przyjęła władczą postawę wzorem swej babki.

– Dzięki panu wiem nareszcie, kim on jest – zwróciła się do niższego dżentelmena. – Nie dbam w tej chwili o to, skąd mnie zna. Pan to zapewne radca Thomas Westcott. Nie mam zbyt wiele czasu i nie chciałabym marnować go na formalności. Jak bystro zauważył pański kolega, nazywam się lady Clara Fairfax. To moja pokojówka, panna Davis. Chłopiec, który usiłuje właśnie zabić pańskiego kancelistę, Fenwick, doradził mi, bym się z panem skonsultowała.

Objęła spokojnym spojrzeniem wysokiego dżentelmena w czerni, jeszcze silniej odnosząc wrażenie, że już się kiedyś spotkali.

– Fenwick zdaje się wierzyć, iż pan Radford posiada osobliwe umiejętności, które mogą nam pomóc w sprawie.

– Cały jest osobliwy, muszę to przyznać – odparł Westcott.

– Mam nadzieję, że nie chodzi pani o tamtego psa – wtrącił się Radford. – Policja ma ważniejsze sprawy niż…

– Chodzi o chłopca z nizin – ucięła Clara.

Radford wyjrzał przez okno.

– I w tej sprawie nas pani potrzebuje? Na pewno nie chodzi o tego tam, na dole. On sobie sam doskonale radzi. A nawet lepiej. Założył Tilsleyowi nelsona. Wygląda mi jakoś znajomo.

Clara spędziła dzieciństwo w towarzystwie trzech starszych braci. Wiedziała, że w ulicznej bójce nelson nie kończy się na chwycie za szyję, ale zakłada również tłuczenie przeciwnika wolną ręką po głowie.

– Jest pana znajomym, dlatego właśnie tu jesteśmy – zgodziła się Clara.

– Jak się obecnie przedstawia ten łapserdak?

– Nie przedstawia się. W ogóle niewiele się odzywa. Pracodawcy mówią na niego Fenwick. Jest przekonany, że pomoże nam pan znaleźć chłopca, który nazywa się Toby Coppy.

Radford odwrócił się od okna.

– To przyjaciel naszego… hm… Fenwicka? – zapytał.

Clara strawiła dwa ostatnie dni na poszukiwaniu informacji o sławnym Kruku Radfordzie. Nie było to łatwe, gdyż w domu nie mogła pisnąć o tym ani słówkiem.

Jego nazwisko nie pojawiało się w artykułach o obradach parlamentu czy wydarzeniach kulturalnych. Figurował za to często w materiałach kryminalnych. Wynikało z nich, że jest niebywale bystry, inteligentny i gburowaty ponad wszelką miarę. Choć nie zdołała przeczytać wszystkiego, zdumiewało ją, że wygrał tak wiele spraw, a mimo to większość sędziów, świadków, przysięgłych, a nawet jego własnych klientów miała ochotę go zamordować.

Sama czuła jednak narastającą irytację.

– Wolałabym zacząć opowieść od początku – wycedziła – a nie odpowiadać na pańskie chaotyczne pytania.

Uniósł brew.

– Chaotyczne – powtórzył.

– To była ironia, gdybyś się nie zorientował – podsunął mu Westcott.

– Zorientowałem się – mruknął Radford.

– Afronty nie robią na nim wrażenia, panno Fairfax – powiedział Westcott. – Nawet jeśli je rozpoznaje. Ma inne zalety. Na przykład niedościgniony intelekt.

– Tak słyszałam – odrzekła Clara. – Inaczej nie przyszłabym tutaj.

– Bez wątpienia, panno Fairfax. – Westcott się uśmiechnął. – Skoro zaś zadała sobie pani trud odnalezienia nas, zajmijmy się sprawą, z którą pani przyszła. Dziwi mnie doprawdy, że dżentelmen słynący z zamiłowania do logiki i porządku wdaje się z panią w tak dziwne dyskusje. Proszę zająć krzesło, tu, przy ogniu, to znaczy tu, gdzie zimą pali się ogień, rzecz jasna. Jest czystsze niż…

Urwał, gdy panna Davis obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem i ostentacyjnie wytarła siedzisko chusteczką.

– Tak… cóż… dziękuję – zawahał się Westcott. – Proszę usiąść. Zaraz zrobię notatki. Radford, nie będziesz teraz potrzebny. Jeśli dojdzie do rozprawy, to wtedy naturalnie. Zresztą…

– Nie traćmy czasu. Lepiej, żebym także wysłuchał lady Clary – uznał Radford.

– To nie zaoszczędzi nam czasu, bo będziesz cały czas przerywał – zaoponował Westcott.

– Będę cichy i spokojny jak mieszkańcy kościelnego dziedzińca – obiecał Radford. – Mam na myśli tych pod ziemią.

Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o parapet.

– Proszę opowiadać, lady Claro. Zamieniam się w słuch.

* * *

Miała nadkruszony ząb.

Kiedy weszła do biura i zobaczyła go w środku, ze zdziwienia otworzyła na chwilę usta i wyglądała jak zaskoczona dziewczynka.

Radford znał tę dziewczynkę.

Opanowała się niewiarygodnie prędko, lecz Kruk zdążył ją sobie przypomnieć.

Wytworne rysy Fairfaksów, widoczne na pierwszy rzut oka, strzępki informacji, na które natykał się w prasie, dręczące poczucie, że już ją poznał…

Wszystkie te bezładne elementy złożyły się w piękną układankę z nadkruszonym zębem. To nie była jedna z niezliczonych panien z rodziny Fairfaksów, które spotykał to tu, to tam. To dziewczynka, której pokazał heptaplasiesoptron. Ta sama, która próbowała go obronić przed kuzynem Bernardem.

Jakże wyrosła! I ubrała się w coś pożyczonego. Zapewne uważała, że to sprytne przebranie.

Kiedy zderzył się z nią na Charing Cross, miała na głowie niedorzecznie spiętrzony kapelusz. Skromny czepek, w którym przyszła do biura, nie miał żadnych ozdób, nie licząc jednej wstążki, którą obrębiono rondo. Nie wznosił się nad jej głową, by na tle splątanych w kłęby koronek i wstążek ukazać szlachetne rysy i misterną koafiurę. Rondo opuszczało się w dół, ocieniając twarz lady Clary. Musiał przyznać, że było to sprytne posunięcie. Gdy damy starały się wędrować incognito, zwykle osłaniały twarze woalkami, co tylko zwracało uwagę przechodniów i wzmagało ich ciekawość.

Mimo to w mgnieniu oka rozpoznałby w niej damę z Charing Cross. Nawet gdyby była w woalce. Niedopasowana suknia nie była w stanie przesłonić jej wzrostu i figury.

Niewiarygodnie pociągającej figury. Wzdrygnął się na tę myśl. Od lat usiłował się powstrzymać od tego rodzaju nieistotnych rozważań. Nieuchronnie prowadziły do wyobrażeń owych figur bez odzienia, co nie sprzyjało racjonalnym i logicznym wywodom.

Zepchnął mroczne instynkty w głąb świadomości i z uwagą przyglądał się, jak lady Clara odmawia spoczęcia na krześle, które wskazał Westcott i usłużnie wytarła pokojówka.

Stała na środku biura, wyprostowana i dumna…

Jeszcze piękniej wyglądałaby na leżąco – mruknął mroczny głos z głębi umysłu Radforda.

Zignorował go, wsłuchując się w opowieść. Jej zwięzłość rzucała się w oczy i znacznie odstawała od typowych wypowiedzi dam z wysokich sfer. W zaledwie kilku zdaniach lady Clara wyjaśniła, czym się zajmuje Stowarzyszenie i kim jest Bridget Coppy.

– Jej ojciec nie żyje – ciągnęła – a matka jest pijaczką. W nielicznych chwilach trzeźwości ceruje odzież. W Stowarzyszeniu Bridget nauczyła się czytać i trochę pisać. Namówiła brata, by chodził do szkółki. Wiem, że nie muszę panom tłumaczyć, co to oznacza.

Szkółki z mizernymi skutkami starały się nauczyć dzieci z rynsztoków przynajmniej podstaw czytania, liczenia i pisania. Nauczycielom nikt nie płacił, często umieli niewiele więcej niż ich podopieczni. Wciąż jednak było to lepsze niż wegetowanie na ulicy.

Wielu londyńskich arystokratów nigdy nawet nie słyszało o szkółkach. Radford, jako prawnuk księcia, był w zasadzie arystokratą, jednak jego życie różniło się znacznie od losów większości jego krewnych czy znajomych. Wiedział, o czym mówi lady Clara.

Z jej lekko rozedrganego głosu wywnioskował, że istnienie szkółek było dla niej świeżym – i wstrząsającym – odkryciem. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, jak żyje londyńska biedota.

Ale dlaczegóż miałaby się tym interesować. Zdumiewające, że wiedziała już tak wiele.

– Z pomocą Bridget Toby uczył się czytać, pisać i liczyć – opowiadała dalej. – Jak jednak panowie wiedzą, wokół szkółek kręcą się także mniej szacowni obywatele. Bridget twierdzi, że jakiś gang złodziejaszków wywabił go ze szkółki i nie widziała go już od tygodnia.

Dzień, który rozjaśnił się wyraźnie, gdy milady wkroczyła w progi kancelarii, znów poszarzał. Zaginęło dziecko z nizin. Radford wiedział, jak się kończyły takie historie. Nigdy szczęśliwie.

Najpierw przeklęty list. Teraz kolejny chłopiec zagubiony w rwącym odmęcie tysięcy niechcianych londyńskich dzieci.

Czyż nie mogła przyjść do nich z wyznaniem, że przypadkiem kogoś zamordowała? Byłaby to sprawa niosąca jakieś nadzieje. I podniecająca.

– Bridget chciałaby wyrwać go ze szponów gangu, zanim go powieszą. Jest pewna, że policja złapie go w pierwszej kolejności. Uważa, że jej brat nie jest wystarczająco bystry ani sprytny, by zrobić karierę jako złodziej. A przynajmniej nie na długo.

Och, coraz lepiej, pomyślał Radford. Wyraźnie czuł, że w sprawie kryje się coś jeszcze. Ale nie miało to znaczenia. Chłopiec był już skreślony. Traciła tylko czas własny i Radforda. Naiwnie wierzyła, że chłopaka można jeszcze uratować. Co gorsza, nie uwierzy mu na słowo. Nie ma przecież pojęcia, o czym mówi.

– Czy wie pani, o który konkretnie gang chodzi? – zapytał z rezygnacją.

– Fenwickowi nie udało się dowiedzieć.

– Czy to budzi w pani jakieś skojarzenia?

– Że w Londynie jest bardzo dużo gangów – westchnęła.

– I w związku z tym…? – zasugerował.

Spojrzała na niego z uprzejmym wyrazem twarzy, unosząc lekko brwi.

Radford wiedział, że Westcott powinien był już wkroczyć do akcji, a przynajmniej znaczącym chrząknięciem dać mu znać, że posunął się za daleko. Spojrzał na przyjaciela.

Westcott gapił się na Clarę, jakby pierwszy raz w życiu oglądał kobietę. Wpatrywał się w jej biust z bezgranicznym zachwytem i pełnym zaangażowaniem, absolutnie oddany adoracji ponętnych kształtów panny Fairfax.

Kruk musiał przyznać, że biust milady był w istocie zachwycający. Nie wykluczał jednak, że został efektownie wyeksponowany skomplikowanymi fiszbinami. Radford zastanawiał się nad tym już wcześniej, gdy spotkał ją na ulicy. Naturalne czy wspomagane, Westcott nie powinien im się jednak tak bezczelnie przyglądać.

Mroczny głos z podświadomości zaczął nalegać, by Kruk wyrzucił przyjaciela przez okno. Mężczyzna odchrząknął.

– Czy stwierdzenie „szukać igły w stogu siana” mówi coś pani?

– Niech pomyślę. – Lady Clara wydęła wargi i zmrużyła oczy w teatralnej próbie myślenia. Przypominała tę samą małą dziewczynkę, która usiłowała wymówić „heptaplasiesoptron”.

– Tak – uznała po chwili. – Coś mi dzwoni.

– Świetnie. – Pokiwał głową. – Ponieważ…

– Fenwick zapewnił mnie, że jeśli ktokolwiek będzie w stanie odnaleźć Toby’ego, to tylko pan. Sam pan sobie zasłużył na miano adwokata biedaków.

– Przypuszczam, iż wynika to z faktu, że bronienie biedaków jest tak zdumiewające, że świetnie się nadaje na szokujący nagłówek – wyjaśnił Radford. – W rzeczywistości angażuję się w koszmarnie nudne sprawy dotyczące otruć, kradzieży, napaści, nierządu i tym podobnych.

Niewiele z tych spraw zainteresowało prasę. Większość rozpraw ciągnęła się jak flaki z olejem i zanudzała go na śmierć.

– Jednak sprawa Grumleya…

– Ach, tak. Nasza ostatnia sensacja – prychnął Kruk. – Muszę przyznać, że ta pochłania moją uwagę. Zapewniam panią, że sędzia nie pozwoliłby mi zostawić jej i szukać tego chłopca, nawet gdybym miał jakiekolwiek szanse, by go odnaleźć.

Cień emocji przemknął po jej twarzy. Mimo swej słynnej spostrzegawczości Kruk nie potrafił zdecydować, czy było to rozczarowanie, czy… ulga.

Nie żeby miało to dla niego znaczenie.

– Rozumiem – westchnęła. – Czytałam o tym horrorze. Powinnam była się domyślić… Tylko zawracam panu głowę, a przecież ma pan mnóstwo pracy. Ale w takim razie może mógłby mi pan podpowiedzieć, co teraz robić?

– Moim zdaniem powinna to pani zostawić własnemu biegowi – stwierdził. – Te sprawy nigdy nie okazują się… – Urwał raptownie. Lady Clara uniosła brodę i wyprostowała ramiona. Przypomniał sobie, jak kopnęła brata w kostkę.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Pani nie porzuci tej sprawy.

– Nie.

Spojrzał na Westcotta. Bez skutku. Nawet gdyby kopuła katedry Świętego Pawła spadła mu na głowę, nie wyglądałby na bardziej oszołomionego. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie stał przy atrakcyjnej damie.

Lady Clara nie była zresztą atrakcyjna w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Była zniewalająca.

Głos z mroku usiłował zagłuszyć myśli Radforda. Nie pozwolił na to.

– W takim razie proponuję, by w pierwszej kolejności przeczytała pani *Rozprawę o policji i zbrodniach w metropolii* sir Johna Wade’a.

– Panie Radford – żachnęła się Clara.

– Oczywiście nie w całości. Jednak proszę się zapoznać z rozdziałem dotyczącym młodocianych przestępców. Następnie proszę wynająć czynnego policjanta w charakterze prywatnego detektywa. Proponuję inspektora Keelera.

Policjant Keeler był najlepszy. Cichy, nieustępliwy i wtapiający się w tło. Był mistrzem przebrań.

Lady Clara lekko przechyliła głowę i spojrzała na niego z mieszaniną łagodnej cierpliwości i rozbawienia. Z wiekiem przybyło jej pewności siebie, a także umiejętności skrywania myśli i emocji.

– Widzę, że jednak źle mi doradzono – wyznała. – Słyszałam, że jest pan najbystrzejszym dżentelmenem w Londynie.

Westcott zakasłał z wysiłkiem.

– O ile dobrze się orientuję, jest to prawda – oznajmił Radford.

Przygryzła dolną wargę.

– Zdumiewające – stwierdziła. – Przypuszczałam, że nawet człowiek o mizernej inteligencji i nieorientujący się w szczegółach niepisanych zasad arystokracji zdaje sobie sprawę, że nie mogę zatrudnić detektywa. Damy, co powinno być dla pana oczywiste, nie mają potrzeby ni prawa zatrudniać profesjonalistów. Z wyjątkiem przyjmowania służących.

– Oczywiście – zgodził się. – Jak mogło mi to umknąć? To chyba pani chytre przebranie. Bardzo śmiałe posunięcie.

– Jestem w przebraniu, gdyż damie nie przystoi uganiać się po Temple za prawnikami.

– Domyśla się pani wszakże, że mogłem odnieść odmienne wrażenie – tłumaczył Radford. – Widząc tu panią, mogłem założyć, że gdy byłem zajęty wieszaniem rzezimieszków, w litym menhirze moralnych zasad arystokracji nastąpił jakiś wyłom.

– Zasady nie zmieniły się ani odrobinę od czasu, gdy moja matka była panienką – odparła z niechęcią lady Clara. – A może nawet się zaostrzyły. Moja babka… Och, zbaczam z tematu, a pański czas jest bardzo cenny. Wszak walczy pan o sprawiedliwość dla niewiniątek, a to zadanie godne Herkulesa. Proszę o wybaczenie, że zajęłam pana na tak długo. Skoro nie ma pan dla mnie dobrej rady, nie będę już panu przeszkadzać.

– Czy damie wypada wyznaczyć nagrodę? – zapytał Kruk. – Czy to również jest zabronione?

Spojrzała na niego z uwagą. Prawdopodobnie usiłowała go rozgryźć, co nie mogło być łatwe, skoro nie był w pełni obecny, jeśli można to tak ująć. Stał, jak zwykle, trochę z boku. Albo przynajmniej starał się to robić. Choć tym razem miał większe niż zwykle trudności w zimnym, racjonalnym obserwowaniu sprawy.

– Czy istotnie nie wie pan niczego o damach i regułach, jakim na co dzień muszą podlegać? – zapytała.

– Byłaby pani zdumiona, zdawszy sobie sprawę, jak niewiele słyszał na ten temat – odezwał się nagle Westcott. – Nie spotkała go pani u Almacka, nieprawdaż? Na dworze? Także nie. Nikt by się nie domyślił, że jego ojciec jest pierwszy w linii do tytułu księcia Malverna…

– To nie ma najmniejszego znaczenia – uciął Radford. – Wspaniały świat arystokracji nie stoi przede mną otworem, a i ja nie szukam tam schronienia. Moim miejscem jest sąd.

– Być może wyjaśnię to panu, by kolejna klientka z towarzystwa nie powzięła przekonania, że jest pan niegrzeczny lub upośledzony – powiedziała Clara.

– Przypuszcza pani, że jakkolwiek by mnie to obeszło?

– Przypuszczałam, że opinia damy mogłaby mieć dla pana znaczenie, zwłaszcza gdyby poproszono pana o ściganie złoczyńcy – odparła. – Lub, powiedzmy, w przypadku morderstwa. Gdyby chciała uniknąć konsekwencji.

– Jeśli kiedyś pani kogoś zamorduje, lady Claro, z radością zaofiaruję pani swoje usługi.

– Jeśli kogoś zamorduję, będę zbyt bystra i przebiegła, by mnie złapali. Dziękuję jednak za propozycję.

Spojrzał przelotnie na jej śliczną twarz i uwierzył.

– Czy mógłbym zapytać…

– Bynajmniej – ucięła. – To zepsułoby nam całą zabawę. Zaznaczę jednak, że damie nie wolno zatrudniać detektywa ani wyznaczać nagrody za odnalezienie dziecka. Gdyby pozwolono nam robić takie rzeczy, przydatne rzeczy, do czegóż mogłoby to doprowadzić? Dlaczego nie miałybyśmy zatrudniać detektywów, by znaleźli dla nas mężów? Bądź wyznaczać za

nich nagród? Powinnyśmy mieć większe szanse na znalezienie pokrewnej duszy niż ja na odszukanie Toby’ego.

– Wydaje mi się, że reklama w prasie mogłaby być lepszym rozwiązaniem niż detektyw – podsunął Radford. – Te nonsensowne społeczne rytuały…

– Lady Claro, jak wspomniał mój zacny przyjaciel, szanse na odnalezienie tego chłopca są bliskie zeru, zwłaszcza w obecnych niespokojnych czasach – wtrącił Westcott.

Radford spojrzał na niego. Westcott prędko przesunął palcami po gardle, co znaczyło: „Nawet nie próbuj”. Teraz zdobył się na znaki! Gdy rozmowa wreszcie zaczęła być interesująca.

– Nawet gdyby nasz kalendarz nie był pełny – ciągnął z uporem radca – odradzalibyśmy pani tę krucjatę. Z naszego doświadczenia…

– Jednakże – wtrącił Radford, zanim Westcott posunął się do idiotycznych stwierdzeń – jeśli pani wysiłki, czy to przy pomocy detektywa, czy bez niego, okażą się owocne, proszę do nas wrócić. Mam na myśli, kiedy chłopiec zostanie już aresztowany. Wtedy dopiero możemy się pani przydać.

Toby Coppy miał doprawdy marne szanse przeżycia wystarczająco długo, by zostać aresztowanym, jednak Kruk nie miał wątpliwości, że lady Clara pała szczerą i szlachetną chęcią uratowania chłopaka.

Przez chwilę uważnie mu się przyglądała.

Nic w jej błękitnym spojrzeniu nie wskazywało na to, że pamięta go z przeszłości. Dlaczegóż jednak miałaby go pamiętać? Minęły całe wieki. Spędzili razem może godzinę. Była jeszcze dzieckiem, on zaś jedynie szkolnym kolegą jej brata. Radfordów było w Anglii mnóstwo. Poza tym pewnie nawet nie znała jego nazwiska. Longmore zwracał się do niego wyłącznie „Profesorze”. Żyli w dwóch różnych światach.

Zwłaszcza że nawet on, słynący z niebywałej pamięci i spostrzegawczości, rozpoznał ją dopiero po ukruszonym zębie.

Lady Clara skinęła głową.

– Dziękuję, panie Radford. Również i tę propozycję zachowam w pamięci.

– Ogromnie żałujemy, że nie możemy udzielić pani pomocy – wyznał Westcott.

Na pewno żałował. Mógłby się na nią napatrzeć do syta.

Machnęła lekko dłonią.

– Ależ doskonale rozumiem. To była moja pomyłka. – Ruszyła ku drzwiom. Westcott pomknął, by je przed nią otworzyć. Przystanęła na chwilę i się uśmiechnęła. Radford zmrużył oczy. Wyglądała jak promień światła rozjaśniający ponury pokój. – No, to by było na tyle. Nie zamierzają panowie mdleć? Płakać też nie? Doskonale. Życzę miłego dnia, panie Westcott.

– Miłego dnia, lady Claro.

– Miłego dnia… Profesorze. – Lady Clara zaśmiała się cicho i wyszła.

* * *

– Profesorze? Profesorze! – warknął Westcott.

Radford gapił się na drzwi. Ruszył ku nim, ale zatrzymał się w pół kroku.

– O co jej chodziło? – dziwił się Westcott. – Te słowa o mdleniu i płaczu? To brzmiało zupełnie jak ty.

– To byłem ja. – Radford zdołał opanować rozbiegane myśli i spojrzał na Westcotta. – Niedawno przy Charing Cross Freame usiłował mnie potrącić, lecz lady Clara weszła mu pod koła. Widział, że to arystokratka. Zamordowanie rozwrzeszczanego dzieciaka to jedno, ale przejechanie arystokratki to zupełnie co innego. Odbił gwałtownie, bez wątpienia klnąc i planując zemstę.

Radford bez chwili zastanowienia wysłał sześciu ulubionych rzezimieszków Freame’a do karnych kolonii, a dwóch kolejnych w zaświaty.

– Freame znowu próbował cię zabić? – wykrzyknął Westcott. – I nawet się nie zająknąłeś? Przecież to usiłowanie morderstwa!

– I chcesz mu to udowodnić? Powodzenia!

Radford wolał się skupić na udowodnieniu winy Grumleyowi, a w jego sprawie obrona stawała na głowie przy pełnym poparciu idioty sędziego.

– O damie także nie raczyłeś wspomnieć.

– Ten incydent nie wydał mi się istotny.

Westcott spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Gdyby ucierpiała, to co innego – wyjaśnił Radford. – Wtedy musiałbym go dopaść. Łajdak potrącił psa, ale dla zwierząt nie ma

sprawiedliwości na tym świecie. Zresztą zaraz zajęli się nim ulicznicy. Dama nie przedstawiła mi się i odeszła w swoją stronę. Ja również.

Westcott obrzucił go spojrzeniem. Właściwie patrzył podobnie jak lady Clara. W jego oczach rozpacz mieszała się z resztkami cierpliwości, współczucia i zdumienia. Lady Clara jednak silniej emanowała tymi uczuciami.

Westcott był już oswojony z dziwactwami Kruka.

A lady Clara była tysiąc razy ładniejsza.

– Była zaskoczona, widząc cię tutaj – drążył dalej Westcott.

– Bzdura – prychnął Radford. – Jedynie nie spodziewała się kolejnego spotkania. Skąd mogła wiedzieć, że dżentelmen z Trafalgar Square zadręcza londyńskie sądy nużącymi historiami sierot i uliczników? Po prostu wpadliśmy na siebie przypadkiem. A że stało się to parę dni temu, wciąż pamiętała. Zacytowanie moich słów najwyraźniej ją rozbawiło.

– Wątpię, by ktokolwiek był w stanie cię zapomnieć – burknął Westcott. – Chyba że trzymałbyś język za zębami, co wydaje mi się zupełnie niemożliwe. Poza tym nazwała cię profesorem.

Westcott uniósł brwi. Kruk miał ochotę strzelić go po uchu.

– To przezwisko, które nadał mi w Eton jej najstarszy brat. Najwyraźniej dodała dwa do dwóch i skojarzyła, że stojący przed nią Radford to kolega szkolny Longmore’a i Clevedona.

Był przekonany, że nie pamięta ich wycieczki po Vauxhall. Dręczyła go ciekawość, jak się domyśliła, kim jest, zwłaszcza że w ogóle nie dała po sobie poznać, że się nad tym zastanawia.

Lady Clara potrafi się maskować.

Nie znał ani jednej arystokratki potrafiącej ukryć przed nim myśli i uczucia. Nawet w półświatku niewiele mogło go zaskoczyć. Kryminaliści rzadko bywali inteligentni. Owszem, byli przebiegli i potrafili kłamać jak z nut, ale z czasem nauczył się odróżniać ich kłamstwa od prawdy.

Lady Clara jest inteligentna, błyskotliwa i…

Przyłapał się nagle na myśleniu o niej i powściągnął rozważania. Nie miał czasu na bezużyteczne dumanie, zwłaszcza o kobietach, które należały do innego wszechświata. Proces Grumleya zbliżał się do finału i nie wyglądało to obiecująco.

Lady Clara wiedziała o tym. Skąd, u licha…

Nie. Nie będzie o niej myślał.

Musi się brać do pracy.

* * *

Sąd Old Bailey
trzy dni później

Niewinny.

Radford zerknął na galerię dla publiczności, gdzie siedziała lady Clara – w przebraniu i w towarzystwie pokojówki. Pojawiała się tam każdego dnia od czasu wizyty w kancelarii Westcotta.

Założyła tę samą bezkształtną suknię. Twarz natarła jakimś burym mazidłem, a na nosie miała okulary. Oczywiście bez trudu ją rozpoznał, jak również tłumione siłą oznaki przerażenia. Gdy odczytano werdykt, skrzywiła się i zasłoniła oczy. Wprawdzie woal obojętności opadł z jej twarzy na krótką chwilę, Krukowi jednak w zupełności to wystarczyło.

Zawiódł ją. Przez moment wyobrażał sobie, że zrywa z głowy perukę i depcze ją ostentacyjnie. Gołymi rękami zabija Grumleya. Tłucze głową sędziego o drewnianą ławę.

Zdławił nieracjonalne fantazje.

Chłodny, rzeczowy Radford byłby zdumiony, gdyby zapadł inny wyrok.

Musiał jednak przyznać, że jest zaniepokojony. Odpychał od siebie uczuciową część natury, lecz nie udawało mu się to tak dobrze jak zwykle. Nawet oddzielony od uczuć i fantazji, widział wyraźnie szelmowski uśmiech, jakim go obdarzyła, wychodząc z biura, i słyszał jej perlisty śmiech.

Nie wiedział, jak go odnalazła, i nie miał pojęcia, dlaczego przychodziła do sądu. Przebranie świadczyło o tym, że nie powinna tu przychodzić i że podejmowała jakieś ryzyko.

Dlaczego?

* * *

St. James Street
poniedziałek, 7 września

– Hej! Tutaj!

Radford się obejrzał. Młodzieniec w fantastycznej złotoliliowej liberii skinął głową, wskazując wąski zaułek nieopodal butiku, przy którego witrynie stał Radford.

Chłopiec dostrzegł Kruka już wcześniej, nie ruszył się jednak spod okna wystawowego Maison Noirot. Dopiero gdy wpuścił do sklepu dwie damy, nonszalanckim krokiem przeciął St. James Street i na własny wyszukany sposób przywołał Radforda.

Kruk podążył za nim. Zauważył, że stąd chłopiec mógł stale obserwować drzwi Maison Noirot i podbiec ku nim, gdyby zaszła taka potrzeba.

– No? To czego pan chce? – zapytał z wyszukaną grzecznością młodzian.

Radford przez chwilę przyglądał się oślepiającej liberii.

– Jonesy – oznajmił wreszcie. – Bardzo sprytne przebranie.

– To ubranie, a nie przebranie – poprawił go chłopak. – Mam pracę.

– Ach, tak.

– Nie nazywam się już Jonesy, tylko Fenwick. – Chłopak wyzywająco zmrużył oczy na wypadek, gdyby Radford zamierzał się roześmiać.

– Obiło mi się o uszy – odparł Kruk. Choć doradzał klientom zatrudnianie detektywów, sam osiągał na tym polu znaczne sukcesy. Przydawało mu się to w pracy. Poza tym było zgodne z jego charakterem. Tajemnice i zagadki pociągały go podobnie jak innych mężczyzn picie i gra w karty.

Zagadkę zniknięcia Jonesy’ego rozwiązał tak po prostu, załatwiając inne sprawy.

– Francuskie stylistki – stwierdził, ruchem głowy wskazując butik pań Noirot.

– Porwały mnie wprost z ulicy! – Twarz chłopaka wyrażała czystą niewinność i zgrozę.

– A słyszałem, że ściągnęły cię z powozu, gdzie usiłowałeś okraść jakiegoś dżentelmena. To było głupie. Łudziłem się, że ty masz tę odrobinę rozumu.

– Długa historia.

– Nie opowiadaj mi jej, nie mam na to czasu. Muszę wysłać wiadomość do damy – wyjaśnił.

Fenwick patrzył na niego przez moment i wybuchnął śmiechem. Chichotał, trzymając się za boki i podskakując. Radford czekał cierpliwie.

– Pan! – skomentował chłopak, chwytając oddech.

– To nie tak… – *jak myślisz,* niemal dokończył Kruk, w porę gryząc się w język. Zdanie chłopaka nie miało wszak żadnego znaczenia.

– Tracisz czas, Kruku – prychnął Fenwick. – Faceci latają za nią jak muchy. Byłbyś pięćset sześćdziesiąty w kolejce.

– Być może, ale jestem od nich wszystkich mądrzejszy.

Fenwick sceptycznie wzruszył ramionami.

– Chodzi o waszą zgubę, Toby’ego – ciągnął Radford. – Pamiętasz, prawda? Sam ją do mnie przyprowadziłeś. – Przyjrzał się twarzy chłopaka. – Widzę, że siniaki już zeszły.

– On wyglądał gorzej!

– Tilsley w istocie wygląda znacznie gorzej, a w dodatku siniaki nie pasują mu do liberii.

Fenwick zmrużył oczy.

– Do liberii. Czy jakkolwiek nazywają to twoje stylistki.

Fenwick spojrzał na ociekające złotem liliowe szarawary.

– Powiedziały, że mogę wybrać, co chcę.

– A ty chciałeś wyglądać jak wcielenie Ludwika XIV.

Fenwick zmarszczył brwi.

– Chyba wiem, który to był – zadumał się. – Panie mnie uczą. Umiem już czytać i pisać nawet też. I umiem też matykę.

– Motykę? – zdumiał się Radford.

– Matykę – powtórzył Fenwick głośno i dobitnie, jakby zwracał się do półgłuchego albo obcokrajowca. – Ile jest czternaście i sześć, i jeszcze sześć? Dwadzieścia sześć. Matyka!

– Ach. Zatem ile to będzie sześć pensów i jeszcze sześć pensów?

– Dwanaście pensów, znaczy się szyling.

– Bardzo dobrze. – Radford wyjął z kieszeni szylinga. – Oto szyling dla ciebie, jeśli jesteś wystarczająco sprytny, by dostarczyć damie wiadomość.

Fenwick skrzyżował ręce na wątłej piersi i spojrzał na monetę z lekceważeniem.

– To jest szyling, złodziejaszku – warknął Radford. – Musiałbyś dwanaście razy biegać na posyłki i dobrze o tym wiesz.

– Inni panowie płacą mi więcej – oznajmił szelma.

– Nie jestem jak inni – stwierdził Radford. – Jeśli nie chcesz tego szylinga, poradzę sobie inaczej.

Fenwick wzruszył ramionami i poszedł ku Maison Noirot.

Radford zacisnął zęby. To była wyłącznie zdrożna ciekawość, nic więcej. Nie miał na to czasu. Miał nową sprawę i musiał się do niej przygotować. Powinien zadbać o rodziców i ochronić ich przed przeklętym Bernardem.

Miał swoje życie, a ona nigdy nie będzie jego częścią.

Ich ścieżki nigdy się nie przetną, jeśli nie zajmie się chłopcem, który jest już pewnie złodziejem pełną gębą. Albo leży na dnie Tamizy.

Jeśli wyśle jej wiadomość, będzie uważała, że starał się jej pomóc – choć jej misja była daremna i nie poszła tak, jak planowała. Chłopcy ginęli każdego dnia i w najlepszym wypadku udawało mu się ocalić ich od galer. Nie zawsze odnosił takie sukcesy.

Powinien zostawić to w spokoju, jak jej radził.

Tylko to miało racjonalne uzasadnienie.

– Stój, szubrawcze! – zawołał za Fenwickiem. – Proszę, oto drugi szyling.

Rozdział 3

Takiego nagromadzenia brudu, nierządu, pijaństwa,
nocnych bijatyk i wszelkiego plugastwa nie znajdziemy nigdzie poza Saffron Hill nieopodal Fleet Ditch, gdzie
stłoczyła się znakomita większość biedoty
oblepiającej miasto.
Nathaniel Sheldon Wheaton, *Dziennik z kilku miesięcy spędzonych w Londynie* (1830)

Następnego dnia

Kamienica należąca do Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet stała w długim rzędzie ponurych, wąskich budynków nieopodal komisariatu przy Bow Street. Na tyłach znajdowało się mroczne podwórko. To ciasne, łaknące słońca miejsce zapewne mogłoby stać się czymś znacznie lepszym – jak dziewczęta, które odwiedzały je popołudniami. Skarlałe drzewka oraz poustawiane gdzieniegdzie donice z kwiatami najwyraźniej miały stworzyć tu złudzenie ogrodu. Alejki były zamiecione do czysta i tylko jeden samotny liść zakłócał wzorowy porządek. Radford był przekonany, że i on wkrótce zniknie. Świeżo odmalowana ławka wtuliła się pod powykręcane, rachityczne drzewko.

Na ławce, z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochała Bridget Coppy.

W tej właśnie chwili przybyła lady Clara. Choć słowo „przybyła” wydało się Krukowi rażącym niedopowiedzeniem. Równie dobrze mógłby określić erupcję Wezuwiusza mianem ognika.

Lady Clara objawiła im się w eksplozji haftowanej różowej organzy, powiewając budzącymi grozę, gigantycznymi rękawami. Głęboko wydekoltowana suknia obnażała znacznie więcej kremowych wdzięków, niż damy zwykły eksponować w ciągu dnia, a satynowy szal obrębiony koronką był zamotany tak niedbale, że nawet nie udawał, iż skromnie zasłania niestosowną nagość.

Choć Kruk nie był znawcą mody, miał oko do detali. Spostrzegawczość i nabyta naprędce umiejętność odszyfrowywania tajnego kodu sukien doprowadziły go do wysunięcia przeciw Clarze dwóch oskarżeń: o oszustwo i napad z bronią w ręku.

Tylko gromadzenie dodatkowych dowodów usprawiedliwiało uważne studiowanie stroju panny Fairfax. Zwrócił uwagę na obnażone ramiona, z których rękawy nie zsuwały się jedynie cudem, wąską talię podkreśloną przez pasek, stopień dopasowania gorsetu, a jeszcze wyżej – na centymetry kwadratowe kremowej skóry widoczne spod luźnego węzła szala.

Całość wieńczył słomkowy kapelusz. Rondo obszyto jasną koronką, a nad prawym okiem furkotała różowa wstążka. Piętrzące się na szczycie kapelusza kwiaty, gałązki i źdźbła dodawały przybyłej damie ze dwadzieścia centymetrów wzrostu.

Żaden ze zgromadzonych dowodów nie wyjaśniał, dlaczego małe podwórko nagle pojaśniało i rozkwitło barwami. Kruk wolał nie drążyć tego tematu.

Bridget poderwała się z ławki i dygnęła. Kiedy spojrzała na lady Fairfax, otworzyła z zachwytu usta, oglądając zjawisko od góry do dołu i z powrotem. Zapomniała nawet o płaczu, za co Radford był jej zresztą niezmiernie wdzięczny.

– Lady Claro. – Ukłonił się. – Jest pani nad podziw punktualna.

Nie patrzył na zegarek. Miał wrodzone wyczucie czasu, zwłaszcza kiedy był on marnowany. Z ostatnich dwudziestu pięciu minut zaledwie czterech nie mógł dodać do tej kategorii.

– Czyżbym się spóźniła? – spytała Clara, spoglądając uważnie na zapłakaną Bridget. – Zaprosił mnie pan jednak na czternastą.

– Chciałem porozmawiać z panną Bridget, zanim pani przyjedzie – odpowiedział. To miało mu oszczędzić słuchania dwóch kobiet mówiących jednocześnie. – Niestety, nie powiedziała zbyt wiele ponad to, co usłyszałem wcześniej od pani, za to wciąż mamrotała i płakała.

Clara obrzuciła wzrokiem dziewczynę, która opanowała się na tyle, by obetrzeć łzy wierzchem dłoni.

– To przez Toby’ego, lady Claro – chlipnęła. – Był tu wczoraj wieczorem. Był taki wredny! Zapomniałam powiedzieć, kiedy pan Radford zadawał mi te wszystkie pytania.

Toby wciąż żyje. Biorąc pod uwagę to oraz urywaną opowieść o kłopotach z rzezimieszkiem znanym jako Szczypior, Kruk zaczynał dochodzić do wniosków, które wyjątkowo mu się nie podobały.

Jednocześnie usiłował na chwilę zapomnieć o tym, że lady Clara zaatakowała jednego z najgroźniejszych młodocianych przestępców szpicrutą.

– Jesteś pewna, że chcesz go ratować? – zapytał. – Może uda nam się go pochwycić, ale jeśli został już zdeprawowany, to nie wiem…

Bridget energicznie pokiwała głową.

– Łatwo go wychować – przerwała. – Kiedy będę go już miała w domu i z powrotem w szkole…

– Wyciągną go z niej równie łatwo – westchnął Radford. Gdyby matka nie była wiecznie pijana, może szanse byłyby większe. Choć niezbyt, musiał przyznać.

– Jeśli jeszcze raz się stoczy, dam sobie spokój – oznajmiła Bridget. – Wiem, że w szkole mu nie idzie, nie jest bardzo rozgarnięty. Postaram się znaleźć mu jakąś pracę. Jeśli z tego nie skorzysta, nic więcej nie będę już mogła zrobić.

– Pomożemy ci znaleźć dla niego miejsce – powiedziała lady Clara.

– My? – zdziwił się Radford.

– Owszem – odparła chłodno.

Wzruszył ramionami i zwrócił się do Bridget:

– Możesz wrócić do swoich zajęć. Przekażę wszystko lady Clarze.

Bridget patrzyła na nich pustym wzrokiem.

– Wszystko będzie dobrze, Bridget – zapewniła ją panna Fairfax. – Idź do pracy. Ale najpierw wytrzyj porządnie twarz. Chyba nie chcesz, żeby Madame zastanawiała się, jak pan Radford zmusił cię do płaczu.

Dziewczyna wyciągnęła przemoczoną chusteczkę, przetarła nią twarz, dygnęła kilka razy i wreszcie sobie poszła.

– Nie zmuszałem jej do płaczu – oświadczył Radford. – Nie potrzebowała nawet zachęty. Zresztą płacz był najmniejszym problemem. Nie była w stanie opowiedzieć mi niczego w logicznym ciągu.

Lady Clara obdarzyła go spojrzeniem cierpliwego nauczyciela rozmawiającego z niedorozwiniętym uczniem.

– Ma dopiero piętnaście lat – zauważyła. – Ledwie umie czytać. Nie odróżnia Euklidesa od eucharystii. Skąd pana zdaniem miałaby znać

wytyczne logiki?

– Wie, że jeden i jeden to dwa – odparł sucho. – Nie poszłaby z Whitechapel do Shoreditch przez Bloomsbury. Wybór najkrótszego dystansu pomiędzy dwoma punktami nie wymaga znajomości geometrii ani dzieł Arystotelesa, niezależnie od tego, czy chodzi o punkty w przestrzeni, czy w opowieści.

– Wysoki Sąd, jak wczoraj zauważyłam, także sądzi po umiejętności wypowiadania się. Być może to powszechne u wyedukowanych dżentelmenów.

– Celnie – przyznał. – Dlaczego przychodziła pani do sądu?

– Żeby uniknąć wychodzenia za mąż.

Zbiła go z tropu. Znienacka opanowała go fala emocji tak silnych i niespodziewanych, że nie potrafił ich nawet nazwać. Prędko odsunął je na bok i skupił się na myślach. Myślenie wychodziło mu dobrze.

– Wydaje mi się, że to zupełnie nowatorskie podejście do tematu – stwierdził. – Jeśli jednak ktokolwiek miałby wprowadzać jakąś modę, to zapewne byłaby to lady Clara Fairfax.

– Obserwował mnie pan.

– To raczej pani obserwowała mnie.

– Odpłaciłam panu pięknym za nadobne – odparła z uśmiechem. – Jest pan interesujący. Pamiętam, że był pan bardzo interesującym chłopcem. Powinnam się przespacerować. Dziewczęta będą nas podglądały przez okno, a suknia prezentuje się najlepiej w ruchu. Lubią mnie oglądać w najlepszych strojach. To dobrze wpływa na ich rozwój.

Radford usiłował przetrawić wiadomość, iż uznała go za interesującego chłopca. Reszta świata uważała, że jest raczej irytujący. Ruszył za panną Fairfax, okrążającą podwórze. W ruchu suknia istotnie prezentowała się jeszcze lepiej. Kruk miał wrażenie, że lady Clara zmieniła atmosferę ponurego dziedzińca.

Efekt piękna, wytłumaczył sobie. Ludzie doświadczają silnych emocji, widząc dobre malarstwo czy słuchając muzyki. Jego stłamszone wewnętrzne ja miało wielką ochotę usiąść na ławce i napawać się tym widokiem. To jednakże ani nie byłoby rozsądne, ani nie przyniosłoby pożądanych efektów. Wręcz przeciwnie.

Chodził więc wraz z nią.

– Sezon się skończył – ciągnęła. – Większość znajomych wyjechała na wieś. Jednak parlament nadal obraduje i papa musi tam siedzieć do końca. A mama potrzebuje czasu, by się pozbierać po ostatnich weselach… które nie były moje.

Zerknął na nią. Rumieniec wypłynął jej na policzki.

– Niektórzy panowie także ociągają się z wyjazdem i oświadczają mi się dwa razy w tygodniu. Mam wrażenie, że to ostatni krzyk mody w sporcie męskim. Oświadczanie się lady Clarze Fairfax. I wiem doskonale, co pan teraz myśli.

– Szczerze w to wątpię. – W najgłębszych zakamarkach wyobraźni wyrzucał wszystkich jej zalotników przez okno.

– Pan nie dba o to, co ludzie o panu mówią – westchnęła Clara. – I ja także nie zamierzam się tym przejmować. Nie będę się martwiła tym, że uważa mnie pan za płytką, próżną i rozkapryszoną.

– Wcale tak nie pomyślałem.

– Oczywiście. Wcale pan o mnie nie myśli, bo i po co?

Na litość boską, czyżby jednak była głupiutka?

– Ma pan ważne sprawy – wyjaśniła. – Wiem. Nawet Bridget ma ważniejsze sprawy niż ja. Stara się wspiąć wyżej, nauczyć się czegoś, zrobić coś ze swoim życiem. I z życiem brata, choć to zapewne beznadziejna sprawa. A jednak się nie poddaje. Albo sprawa tych biednych dzieci i ich rodziców. – Zacisnęła dłonie w pięści. – Dostaję szału, kiedy sobie o tym przypomnę. Nie wiem, jak pan sobie z tym radzi. A jednak stara się pan coś zmienić. Potrafi pan nawet przekuć porażkę w zwycięstwo. A ja? Mogę jedynie uciekać przed zalotnikami…

– Prosto w opiekuńcze podwoje sądu – dokończył. – Więc to desperacja zawiodła panią w nasze progi. Było to doprawdy zdumiewające. Nigdy bym się nie domyślił powiązania z zalotnikami. Których imię, jak się domyślam, brzmi: Legion.

Spojrzała mu w oczy.

– Po to mnie pan wezwał? Był pan ciekaw, dlaczego przychodziłam do sądu? Nie miało to żadnego związku z Bridget? Czy pan jest szalony?

– Znacznie mniej niż inni, jeśli szalony oznacza nieracjonalny – odciął się. – I było to związane z Bridget. Poniekąd.

– Ale nie chce pan mojej pomocy.

– W czym chce mi pani pomóc? – Znaczącym spojrzeniem omiótł jej frywolną postać – od szalonego ogrodu na czubku głowy do różowych pantofelków. I jeszcze raz. – O ile dobrze pamiętam, to pani zgłosiła się po moją pomoc. Nie wyruszyła pani samotnie z odsieczą małemu rzezimieszkowi.

– Więc czym mam się zająć?

Lekceważąco machnął dłonią.

– Czymś, co zwykle robią damy – oznajmił i ruszył ku bramie.

Clara tupnęła z wściekłości.

Radford odwrócił się i spojrzał na nią z politowaniem.

– Tupnęła pani – wytknął. – Jak rozkapryszone dziecko.

– Jestem rozkapryszonym dzieckiem, nieznośny człowieku! – wykrzyknęła. – I próbuję jedynie zrobić coś pożytecznego. Przydać się na coś.

– Mnie się pani nie przyda – odparł, brutalnie tłumiąc podszepty podświadomości. – Nie mam szczególnych skrupułów i często wykorzystuję ludzi, gdy się nadarza okazja, każdy to pani powie. Panią także bym wykorzystał, gdyby miało to najmniejszy sens. Ale nie udam się do Seven Dials ani do Whitechapel, ani w żadne z miejsc, w których smarkacz mógłby się zaszyć, w towarzystwie młodej damy. Nie tylko zresztą damy, ale córki londyńskiego para! Byłaby mi pani kulą u nogi i musiałbym drżeć o życie pani, a przez to i o swoje własne. Jeśli uważa pani, że dodatkowo skomplikuję sobie i tak niełatwą pracę, bo się pani nudzi i ugania się za panią zbyt wielu zalotników, to doprawdy uznam, że te szczątki rozumu, które pani miała, uległy atrofii.

* * *

Clara żałowała, że nie może go zdzielić po głowie parasolką. Niestety, nie wzięła własnej, a panna Davis, która nie ruszała się z domu bez tego jakże przydatnego przedmiotu, siedziała posłusznie w budynku.

Poza tym Clara wiedziała, że Radford ma rację.

Byłaby tylko ciężarem.

Skąd, na Boga, przyszedł jej do głowy pomysł, że mogłaby mu jakoś pomóc?!

To nie był już ten sam chuderlawy młodzieniec, który dostał cięgi od nalanego sadłem kuzyna, ponieważ rzucił się na niego bez opamiętania, by bronić jej honoru.

Nawet jako mała dziewczynka doskonale rozumiała, jak działają mężczyźni. Przy trzech starszych braciach uczyła się prędko – także rzeczy niestosownych, takich jak słowo „cycki". Wiedziała też, że gdyby w pobliżu był Harry albo Clevedon, zrobiliby to samo. Zapewne z większym sukcesem, co czyniło rozpaczliwy atak Profesora jeszcze bardziej uroczym.

Przerósł teraz Harry'ego i Clevedona. Sądząc zaś po konturach ciała podkreślonych przez świetnie skrojone ubranie, w ciągu tych lat ciało trenował równie zażarcie, jak umysł.

Nie. Nie będzie myślała o jego ciele. Jest nieznośnie wyniosły i zarozumiały. Szkoda, że Harry nie nauczył jej podstaw boksu. W walce mogłaby stawić mu czoło. Solidne lanie zawsze trafiało do mężczyzn, czy to młodych, czy dojrzałych. Z jaką rozkoszą założyłaby mu nelsona!

– Nie potrafię dociec, co wprawiło panią w takie rozdrażnienie.

– Rozdrażnienie?

– Niechże pani ruszy głową – podsunął. – Jakże inaczej miałem szansę z panią porozmawiać? Nie bywam w towarzystwie. Nie mógłbym pojawić się nagle u pani drzwi i wręczyć lokajowi sądowej wizytówki. Pani rodzina chciałaby się dowiedzieć, skąd się znamy. Skoro bawi się pani w przebieranki, jest dla mnie jasne, że bliscy nie mają pojęcia o pani sekretnych wizytach.

– Ściągnął mnie pan tutaj wyłącznie z ciekawości – podsumowała Clara najspokojniej, jak mogła.

– Czyż nie powiedziałem o tym wprost? Czy nie przyszło pani do głowy, że jej nagłe pojawienie się na sali sądowej wzbudzi moje zdumienie i potrzebę wyjaśnień?

– Spodziewałam się, dlatego przyszłam w przebraniu. Sądziłam, że mnie pan nie zauważy.

– Bardzo nierozsądnie.

– Bardzo rozsądnie! – upierała się Clara. – Przypuszczałam, że będzie się pan koncentrował na sprawie, a nie przyglądał publiczności. A jednak patrzył pan na galerię. Domyślam się, że rozpoznał pan pannę Davis.

– Rozpoznałem panią – odparł z naciskiem Radford. – Obecność panny Davis była tylko potwierdzeniem.

Clara poczuła zamęt w głowie. Z wysiłkiem powściągnęła temperament i spojrzała w zdumiewająco szare oczy swego rozmówcy. Jasne i chłodne jak zimowe niebo.

– Zatem jest pan geniuszem, jak sądzę – wycedziła. – Któż by pomyślał? Sądziłam, że nic nie zdoła odwrócić pana uwagi od sprawy, a tymczasem błyskotliwie przejrzał pan moje przebranie.

– Po pierwsze, byłem w pełni skupiony – oznajmił. – Proszę sobie wyobrazić, że da się zerknąć w jedną stronę i nie tracić z oczu czegoś, co dzieje się obok. Poza tym notowałem, więc doskonale wiem, co kto mówił. Po drugie, to było marne przebranie.

– Po drugie, było doskonałe – obraziła się Clara. – Pan Bates minął mnie na ulicy bez słowa.

– Pan Bates jest ślepy. – Kruk objął spojrzeniem postać Clary. – Ja rozpoznałbym panią wszędzie.

Clara poczuła nagły żar w podbrzuszu. Zignorowała to.

– A po pierwsze…

– Pierwsze zwykle występuje przed drugim – przerwał jej.

– Zgadzam się, lecz drugie było bardziej prowokujące. Zatem po pierwsze…

– Drwi pani ze mnie.

– Dlaczegóżby nie? Pan także ze mnie drwi.

Kąciki jego ust wyraźnie drgnęły.

– Po pierwsze – nie dała się stropić panna Fairfax – było to dla mnie niebywale skomplikowane zadanie. Z moim maleńkim móżdżkiem, wie pan, miałam trudności w zrozumieniu potknięć obrony. Tak ślicznie rozdzielali zgodne z prawem włosy na czworo, że zaczęłam się gubić. Ale na tym właśnie polegała sztuczka, czyż nie? Nie byli w stanie dowieść, że to gorączka – a nie metody Grumleya – zabiła te dzieci.

Skrzyżował ramiona na piersi i przewiercał ją wzrokiem.

To test, pomyślała Clara. Jeśli go nie zda, będzie musiała wrócić do bawialni, wysłuchiwać oświadczyn i marzyć o zostaniu starą ekscentryczką mieszkającą w namiocie w Arabii.

Zaczęła krążyć po podwórku. Wiedziała, że jej strój rozproszy nieco uwagę Radforda, dzięki czemu nie będzie się może czuła jak insekt pod

lupą.

– Pana świadkowie nie byli w stanie sprostać szczegółowym pytaniom obrony – ciągnęła. – Naciski sędziego jeszcze bardziej ich oszołomiły i zatrwożyły. Przysięgli nie mieli wyboru. Naturalnie, mój genialny przyjacielu, wiedział pan o tym o wiele wcześniej niż ja.

Radford podszedł do ławki i oparł się o nią. Nie odezwał się ani słowem.

Clara z trudem oderwała wzrok od jego dłoni.

– Wróciłam więc następnego dnia, żeby zobaczyć, czy uda mi się przejrzeć pana strategię.

Radford patrzył na nią roztargnionym wzrokiem. To był kluczowy moment, a mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał jej tego ułatwiać.

– Dał pan wzruszający popis, burczał i darł włosy z głowy, jednocześnie wymieniając cierpliwie wszystkie codzienne przewiny oskarżonego, które powinny doprowadzić do jego skazania. Każda gazeta opisała pana przemowę, gdyż nie była ona zwykłym prawnym bełkotem, lecz prostą opowieścią, którą każdy czytelnik mógł zrozumieć i wyciągnąć własny wniosek.

Powszechnie krytykowano wyrok w tej sprawie. Grumley uniknął więzienia, ale był skompromitowany. Stał się wyrzutkiem społeczeństwa.

Clara rozumiała teraz, skąd wzięła się ponura reputacja Radforda. Po dłuższej chwili, gdy do panny Fairfax zaczęły docierać szelesty listków przesuwanych wiatrem po alejce i odległe odgłosy ulicy, powiedział:

– Może pani pójść ze mną do szkółki Toby’ego.

Prawie się zatoczyła.

Damy tego nie robią. Stoją godnie wyprostowane lub mdleją z wdziękiem.

– Pojutrze – dodał. – O dziesiątej, gdy najbardziej podejrzane elementy będą jeszcze spać. Albo będą na tyle nieprzytomni, że nie zwrócą na panią baczniejszej uwagi. Ale nie może się pani ubrać w coś takiego. – Machnął dłonią w kierunku jej sukni. – Ani w to, co pani miała w sądzie. Niech dziewczęta ze Stowarzyszenia uszyją coś na kształt sukni ich madame. Proszę im powiedzieć, że to do przedstawienia. Proszę dać znać przez Fenwicka, skąd mam panią odebrać.

Dotknął ronda kapelusza i odszedł. Clara patrzyła za nim jak urzeczona i stała bez ruchu jeszcze parę minut, mimo że Radford dawno zniknął w bramie.

– Zdałam – mruknęła wreszcie. – Zdałam test.

* * *

Saffron Hill
dwa dni później

Dom wyglądał, jakby za chwilę miał się zapaść pod własnym ciężarem. W porównaniu z nim kamienice wokół Temple były nowoczesne, przestronne i olśniewająco czyste.

W środku nie było lepiej, choć dało się dostrzec ślady bezskutecznych prób sprzątania. Grupki niewiarygodnie umorusanych i rozczochranych dziewcząt skupiły się w pierwszym pokoju, który minęli. Starsze chowały się po kątach. Zapewne tak samo zachowywały się na ulicy. Krzykliwa bielizna bez ogródek informowała o ich zawodzie. Inne siedziały na skrawkach gazet i spały, oplótłszy kolana chudymi ramionami. Niektóre zwinęły się w kłębki wprost na podłodze. Najwyraźniej było to najbezpieczniejsze i najczystsze miejsce, jakie znały.

Dwoje nauczycieli, mężczyzna i kobieta, z pełną spokoju godnością usiłowali przekazać jakieś wiadomości tej zbieraninie. W jednym kącie kobieta uczyła dziewczęta czytać, w drugim nauczyciel cierpliwie wyjaśniał podstawy arytmetyki.

– Niech się pani z tym oswoi, zanim przejdziemy do sali chłopców – podsunął Radford.

– Oswoić się! – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nie jest to raczej możliwe.

– Chciała pani pomóc – odparł z naciskiem.

– Myślę, że jestem w stanie oswoić się z zapachem – stwierdziła ugodowo. Była pewna, że życia by jej nie starczyło na oswojenie się z widokiem.

Stłoczone w niskim, dusznym pokoju dziewczęta były zaledwie kroplą w oceanie londyńskiej biedoty.

– Niech pani nikogo nie dotyka i stara się nie oddychać zbyt głęboko – poprosił. – Jeśli złapie tu pani jakąś zarazę, pani bracia powolutku obedrą mnie ze skóry i to będzie dopiero początek.

– Będą raczej musieli ustąpić pierwszeństwa pannie Davis – odparła.

Pokojówka mamrotała coś pod nosem, jednak gdy Clara spojrzała na jej twarz wiernego buldoga, dostrzegła na niej, oprócz wstrętu, także smutek i współczucie.

Panna Davis powzięła wszystkie dostępne jej środki ostrożności. Ubrała Clarę od stóp do głów, pozwalając na odkrycie wyłącznie twarzy, i nasączyła jej chusteczkę octem. Usiłowała także nakłonić Clarę do owinięcia nosa i ust skropionym octem szalem, ale panna Fairfax wygrała tę bitwę.

Jedna z krzykliwie odzianych panien uśmiechnęła się do Radforda i po chwili wahania ruszyła w jego kierunku. Zatrzymał ją krótkim machnięciem dłoni. Dziewczyna wróciła pod ścianę z pewnym siebie uśmieszkiem i szepnęła coś do koleżanki.

Radford poprosił nauczyciela na bok i rozmawiał z nim przez chwilę. Nauczyciel wezwał gestem młodą prostytutkę. Kruk wskazał głową mroczny, pusty kąt i dziewczyna poszła za nim. Nie zaprosił Clary, jednak ta również za nimi podążyła.

Radford nie spojrzał na nią bykiem, jak się spodziewała. Jego wzrok mówił raczej: „Ach, jaki grzeczny piesek!”.

– Pani Faxon – powiedział. – To jest Jane. Jane zna Toby’ego.

Jane przyjrzała się Clarze podejrzliwie.

– Pani Faxon uczy w szkole Bridget Coppy. Szukają Toby’ego.

– A co zrobił? – zapytała dziewczyna.

A przynajmniej tak się zdawało Clarze. Jej prostacki akcent był znacznie trudniejszy do odszyfrowania niż wymowa Fenwicka.

– Wiesz doskonale, co zrobił – odpowiedział Radford. – Uciekł ze szkoły.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Kto by nie chciał.

– Ty tu jesteś.

– Nikt mnie nie prosił, żebym… – urwała nagle i spojrzała na nich wrogo. – Znam te twoje sztuczki, Kruku. Każdy je zna. – Odchrząknęła i krzyknęła, żeby wszyscy słyszeli: – Nie wydam wam Toby’ego ani nikogo innego! Nie donoszę na przyjaciół! – A ciszej dodała: – Nie zamierzam się spotkać z czyimś nożem. Powiedzcie Bridget, że sama jest sobie winna.

Odeszła, powiewając brudną spódnicą.

Radford pokręcił głową.

– Idźmy dalej, pani Faxon. Wiedziałem, że tylko zmarnujemy czas. Oni zawsze trzymają się razem. Nazywają to honorem złodziejaszków, jeśli jeszcze pani nie wie.

* * *

Radford musiał przyznać, że lady Fairfax dzielnie zniosła wizytę w klasie dziewcząt. Nie zemdlała ani nie zdradzała oznak mdłości. Była wszak siostrą Longmore’a, choć nie była do niego podobna.

W klasie chłopców panował chaos. Nauczyciele ignorowali harmider, a kilku chłopców usiłowało się nawet czegoś nauczyć.

Radford wybrał najmniejszego i odciągnął w kąt, z dala od reszty. Nie wyprowadzał go jednak na zewnątrz, gdyż wtedy na pewno niczego by się nie dowiedział.

Chłopiec o wdzięcznym imieniu Jos obrzucił ich podobnymi okrzykami jak Jane, użył jednak mniej delikatnych słów.

Radford wyprowadził panie z budynku. Milczał, tak jak i lady Clara, bez wątpienia wstrząśnięta wizytą w szkółce. Szły za nim prędko do postoju przy Hatton Garden, gdzie cała trójka wdrapała się do antycznej dorożki.

– To tyle? – zapytała lady Clara, gdy dorożka ruszyła z jękiem. – Ile jeszcze szkółek musimy odwiedzić, zanim się czegoś dowiemy?

– Nie słuchała pani? – zdziwił się Radford. – Przecież wszystko nam powiedzieli.

– Wyglądało na to, że wszyscy pana znają – ciągnęła Clara. – Te dziewczęta… Jane… – zająknęła się i spojrzała w okno. Niestety, nic nie było widać przez zaklejoną brudem szybę.

– Wiedzą, że nie muszą powtarzać kilka razy, żebym zrozumiał – uciął Radford.

– Ja z kolei z trudnością zrozumiałam cokolwiek. Ten chłopiec… Jo? Czy jak miał na imię? Równie dobrze mógłby mówić w języku starożytnej Mezopotamii.

– Nie rozumiem, dlaczego miałaby pani rozumieć, lady Fairfax – wtrąciła panna Davis. – I pomyśleć, że doczekałam takiej chwili. Moja pani w otoczeniu takich stworzeń i te ich brudne łachy, ocierające się o pani suknię. – Spojrzała na Radforda z wyrzutem.

Wzruszył ramionami.

– Możesz potem spalić ten strój. W mroku nocy, jeśli poczujesz się lepiej.

– Jakże miałabym to palić w nocy, nie przyciągając uwagi, sir? – żachnęła się pokojówka. – Czy sądzi pan, że mam swobodny wstęp do kuchni i nikt nie zauważy? Czy nie uważa pan, że suknia paląca się w kominku mojej pani wzbudziłaby plotki w całym domu?

– Odeślij suknię do mnie albo zostaw mi ją gdzieś, a ja ją spalę – odparł Radford znudzonym głosem.

– Nie kłóćcie się o błahostki – ucięła Clara. – Czego się pan dowiedział?

– Jane wspomniała o nożownikach.

Pokojówka spojrzała z trwogą na swą panią.

– Czy mogę już zabić tego dżentelmena? – zapytała. – To wstrętny człowiek. Wpadła pani w złe towarzystwo, odkąd…

– Dosyć, panno Davis – warknęła lady Fairfax. – Później się policzymy za zaglądanie pod podszewkę w towarzystwie pana Radforda.

Wewnętrzne ja Radforda, chwilowo zajęte wizją sypialni lady Clary, z pasją rzuciło się na fantazję o zaglądaniu pod jej podszewki, poczynając od gorsetu i halki, skończywszy na bieliźnie i nagiej skórze.

– Widzę, że drażnienie się ze mną sprawia panu wiele radości – powiedziała do niego lady Clara. – Chciałabym jednak się dowiedzieć, co pan odkrył.

– Przede wszystkim przyjście tam z panią u boku było bardzo bystre z mojej strony.

– Bystre! – wykrzyknęła Clara. – Z pana strony! To był mój pomysł. Musiałam zdać test!

– Gdyby go pani nie zdała, branie pani ze sobą byłoby głupie i bezużyteczne. Jane była o panią zazdrosna, więc…

– Zazdrosna???

– Prostytutki odruchowo walczą o uwagę mężczyzn – odparł. – Chciała się pochwalić tym, że wie coś, czego pani nie wie. Jos z kolei chciał pani zaimponować, bo jest chłopcem, a pani jest atrakcyjna, nawet z tym pokostem na twarzy.

Mazidło przyciemniło jej cerę, ale nie było w stanie zatrzeć pięknych rysów nawet przed najbardziej nierozgarniętym chłopakiem, którym Jos zresztą nie był.

– Panna Davis zrobiła dla mnie ten krem – wyjaśniła Clara. – Ile Jos ma lat? Dziewięć?

– Czternaście. Nie rozwijają się tak dobrze jak dzieci arystokracji, za to dojrzewają znacznie szybciej. Chciał się pani dobrze przyjrzeć, to jasne. I być może sprawdzić, jak pachnie czysta kobieta. Wiedział, że musi zapłacić za ten przywilej, więc zdradził mi, co wiedział. Podsumowując, świetnie się pani sprawdziła jako przynęta. Wiemy przynajmniej, w czyjej mocy jest Toby.

Freame go ma. Radford podejrzewał to już wcześniej. Ze wszystkich gangów w Londynie musiał trafić akurat do tego. Udział Szczypiora w całej sprawie aż nadto wyjaśniał motyw.

– Ja nie wiem – wyznała Clara.

– Może zdoła pani samodzielnie rozwikłać tę zagadkę. Będzie to lepsza inwestycja energii umysłu niż uciekanie przed zalotnikami. Ja nie mam cierpliwości, by zaspokajać pani czczą ciekawość.

Lady Clara podjęła ogromne ryzyko, idąc z nim do szkółki. Nie powinien był do tego dopuścić. Mógł na własną rękę dowiedzieć się wszystkiego, choć pewnie nie byłoby to tak proste.

Trudno. Popełnił błąd. Musi to prędko naprawić.

– Czczą ciekawość? Wszak przed chwilą powiedział pan…

– Pani pokojówka nie pochwala tych wycieczek, a okoliczności popierają jej stanowisko.

– Panna Davis nie jest moją matką! – żachnęła się Clara.

– Proszę mnie nie zmuszać do naskarżenia na panią matce. Nie lubię donosić na przyjaciół, podobnie jak Jane, i podobnie jak ona zrobię to, jeśli się mnie sprowokuje. Niebawem dotrzemy na Oxford Street, lepiej już wysiądę. Muszę porozmawiać ze znajomymi z komisariatu przy Bow Street. – Dał znać stangretowi, żeby się zatrzymał.

– Jest pan najbardziej nieuprzejmym człowiekiem…

– Tak mówią – przerwał jej Radford. – I nieznośnym. – Stangret nie śpieszył się z otwarciem mu drzwi. Radford otworzył okienko i sam nacisnął klamkę. Otwierał drzwiczki, gdy lady Clara chwyciła go za rękę.

– Panie Radford…

– Lady Fairfax! – krzyknęła wstrząśnięta pokojówka.

Radford również czuł się wstrząśnięty. Intymność tego gestu zbiła go z tropu.

Lady Clara nie zabrała dłoni.

Drobnej kobiecej dłoni w rękawiczce, ważącej tyle, co nic. Nie powinien w ogóle poczuć tego dotyku, a przeszył go jak sztylet. Cała krew Kruka ruszyła na spotkanie z jej dłonią.

– Nie może mnie pan tak po prostu odprawiać – odezwała się lady Clara.

– Doprawdy? – Zakrył jej dłoń własną, czując, jak zamiera. Twarz panny Davis powlekła się purpurą. Chwyciła parasolkę. Zapewne zamierzała go nią stłuc, ale nie dbał o to. Kobiety biły go już wcześniej za znacznie drobniejsze przewiny.

Uniósł dłoń lady Fairfax. Była zbyt zdumiona, by oponować. Nie zatrzymał jej tuż poniżej ust, jak było stosowne, lecz przycisnął miękką rękawiczkę do warg, wdychając oszałamiający zapach Clary. Tak pachniała tylko ona.

– Żegnaj, droga pani – mruknął. – Dziękuję za uroczy poranek. Przy odrobinie szczęścia nie zobaczymy się nigdy więcej.

Uwolnił jej dłoń i z uśmiechem odsunął się od dorożki. Kiedy zamknął drzwiczki, uśmiech zniknął. Rzucił woźnicy monetę i patrzył, jak dorożka odjeżdża, przeklinając się w duchu.

* * *

Clara wpatrywała się w dłoń, którą pocałował.

Kiedy go dotknęła, fala emocji tak ją zaskoczyła, że w pierwszej chwili chciała zabrać dłoń. Miała wrażenie, że dotknęła płomienia. Nie wiedziała, co czuje i jak to nazwać.

I wtedy… I wtedy…

Nie była już dzieckiem, niewinną panienką z dobrego domu. Kiedy jednak zamknął jej dłoń w swojej, poczuła tęsknotę tak przemożną, że miała ochotę rozdzierająco jęknąć.

Pragnęła już w życiu wiele. Przygód, wolności, zakazanych książek, podróży, lecz nigdy wcześniej bliskości mężczyzny. I nie było to pragnienie porównywalne z jakimkolwiek innym. Było głębokie, dzikie, niemal bolesne.

Zostań – chciała wyszeptać.

Został zaledwie chwilę, tylko po to, by ucałować jej dłoń, roztrzaskać cały świat Clary i zatrzasnąć w rozklekotanej dorożce jej pragnienia.

Żar jego warg, który czuła doskonale przez cienką skórzaną rękawiczkę, w ułamku chwili zburzył jej wyobrażenia o życiu. Serce załomotało w niej jak oszalałe, fala gorąca popłynęła w dół brzucha, uda zadrżały. Nie mogła nawet spytać go, co się stało, bo już zniknął.

Przypomniał jej się chłopiec sprzed lat, który poprosił ją: „Zostań”.

– Wygląda na to, że zostałam – szepnęła Clara.

– Lady Fairfax? – zapytała panna Davis.

Clara spojrzała na pokojówkę ze zdumieniem.

– Nic takiego.

Panna Davis wygładziła spódnicę.

– Jeśli nikt go niebawem nie zamorduje, może zostać sędzią, a nawet kanclerzem. Ma też szanse na tytuł księcia. Niewykluczone, że coś z niego będzie.

– Nie dbam o to – prychnęła Clara, odwracając się do okna.

– Ależ oczywiście, lady Fairfax. Słusznie. Lepiej wyrzucić go z głowy najprędzej, jak się da. Straszna kreatura. Na szczęście dziś ostatnie posiedzenie parlamentu i pojutrze ruszamy do Cheshire.

– Panno Davis…

– Dziś będzie przyjęcie, wszystko mamy już spakowane, wszyscy są gotowi. Pojutrze wyjedziemy i więcej go nie zobaczymy.

Clara zmierzyła pokojówkę wrogim spojrzeniem. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Zwykle panna Davis doskonale trzymała się swej roli i milczała, nie chcąc być złym przykładem dla innych służących. Jednak była przy Clarze od tak wielu lat i towarzyszyła jej we wszystkich kryzysach. W zaciszu sypialni lub z dala od wścibskich uszu pozwalała sobie czasem na swobodne uwagi, płynące prosto z jej wiernego serca.

– Nie jadę do Cheshire – oznajmiła Clara.

– Spodziewałam się tego.

– Przestań się zachowywać jak wszystkowiedząca wyrocznia! Jak… on. Mam już tego dosyć.

– Oczywiście, lady Fairfax.

– Muszę się nad tym zastanowić.

– Oczywiście, lady Fairfax.

– Niech stangret zawiezie nas do Kensington. Muszę porozmawiać z ciotką Dorą.

– Nie w tej sukni – wycedziła panna Davis. – Lady Fairfax.

Rozdział 4

W czwartek Jego Miłość udał się do Izby Lordów,
by zamknąć obrady parlamentu. Tuż przed czternastą
król wsiadł do karocy w towarzystwie hrabiego
Albemarle'a i markiza Queensberry'ego.
„Życie Dworu", 12 września 1835 roku

Radford popełnił trzy głupie błędy. Po pierwsze, wysłał Fenwicka, by skontaktować się z lady Clarą. Po drugie, spotkał się z nią w Stowarzyszeniu i pozwolił jej mówić. Po trzecie, zabrał ją do szkółki, gdzie mogła zarazić się jakimś paskudnym mikrobem. W odróżnieniu od kłębiących się tam dzieci nie była zahartowana biedą, brudem i ciągłym kontaktem z zarazkami. Mogła umrzeć na coś, co nigdy nie zaszkodziłoby komuś pokroju Jane.

W tym temacie kuzyn Bernard wygrałby konkurs na inteligencję.

Radford miał nadzieję, że pocałunek zadziała na nią odstręczająco. Owszem, zachował się bardziej wyzywająco i porywczo niż zwykle, licząc na to, że lady Clara postanowi go unikać. Jak zarazy. Jego ukryte ja wprawdzie protestowało, lecz Kruk uznawał je za twór z zasady nieracjonalny. Wolał trzymać się rozumu.

Logiczne, rozsądne myśli powinny przywrócić go do równowagi.

Podjął już decyzję i miał zamiar się jej trzymać. Musi odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Nie był jednak w stanie całkowicie oddzielić się od uczuć.

Wciąż czuł na sobie jej dotyk, jakby to wspomnienie przywarło na stałe do jego ręki. Czuł je, idąc prędko wzdłuż Drury Lane. Czuł, wchodząc do komisariatu i prosząc o spotkanie z komendantem.

Policja Miejska powstała zaledwie sześć lat wcześniej i z początku mieszkańcy jej nienawidzili. Jednak powoli policjanci zyskiwali sobie

szacunek i wdzięczność londyńczyków – zwłaszcza że liczebność i bezczelność bandytów wciąż rosła.

Policjanci z kolei mieli mieszane uczucia wobec Radforda. Jak wielu innych, uważali, że jest niebywale trudnym i drażniącym współpracownikiem i zapewne niejednokrotnie żałowali, że morderstwo nie jest mniej nielegalne. Z drugiej jednak strony często przydawała im się jego sieć informatorów i był znakomitym oskarżycielem.

Nie chcąc marnować czasu, Radford ograniczył się do najistotniejszych informacji.

– Bridget Coppy spodobała się Szczypiorowi – powiedział. Nie musiał nikomu tłumaczyć, kim jest Szczypior. – Usiłując za wszelką cenę żyć godziwie, dziewczyna odrzuciła jego zaloty. Żeby zaleczyć urażoną dumę albo żeby ją szantażować, Szczypior sprowadził jej brata na manowce. Nie zaprzątałbym wam głowy takimi przepychankami, ale Bridget znalazła schronienie w Stowarzyszeniu na rzecz Edukacji Skrzywdzonych Kobiet.

– W tej szkole dla dziewcząt przy Hart Street?

Radford pokiwał głową.

Komendant zasznurował wargi. Nie potrzebował więcej informacji.

Szkoła Stowarzyszenia znajdowała się na terenie komisariatu, podobnie jak obszar działania Jacoba Freame’a. Trzy siostry, które założyły Stowarzyszenie, wyszły za mąż za dżentelmenów stanowiących prawdziwy kwiat angielskiej arystokracji. Jeśli rzezimieszki Freame’a zaczną przysparzać kłopotów szkole, trzy potężne osobistości przybiegną w te pędy na posterunek i zażądają wyjaśnień. Polecą głowy, poczynając od głowy komendanta. Z drugiej strony, wykorzenienie niebezpiecznej bandy z okolicy przyniosłoby policji wiele korzyści i powiększyłoby grono jej zwolenników wśród arystokracji.

– Wiem, że od wieków usiłujecie złapać Freame’a.

– Zawołam Sama Stokesa – odparł komendant. – Freame jest na jego liście. Ścigał go, kiedy jeszcze pracował w patrolu pościgowym.

Parę lat wcześniej przy Bow Street pracowały agencje ścigające złodziei. Niestety, wydarzyło się parę afer korupcyjnych, które podkopały ich wiarygodność, ale niektórzy specjaliści zatrudnili się potem w policji. Sam Stokes był szczery, cierpliwy, wytrwały. Był też znacznie bardziej bystry i niebezpieczny, niż mogło się wydawać. Okazał się najlepszym

detektywem w jednostce, jeśli nie w całym Londynie – choć zadaniem policji nie było już tropienie zbrodni, lecz zapobieganie im.

Zjawił się po minucie. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, co sprawiało, że mógł wtopić się w każdy tłum. Był średniego wzrostu i średniej postury, o rysach, które zapominało się już po kwadransie.

– Znowu Freame – podsumował, gdy Kruk wyjaśnił okoliczności sprawy. – Już raz zdawało mi się, że znajdę go przy pomocy kilku uliczników, ale zabił ich wszystkich. Zawsze wie, z której strony zaatakujemy. Odkryliśmy jego ostatnią kryjówkę, ale już go tam nie było. Znalazł nową. Nie mamy dostępu nawet do jego podręcznych.

Szczypior i Zdławiacz. Najbardziej przerażający przestępcy Londynu. Zdławiacz prawie się nie odzywał, w przeciwieństwie do wiecznie popisującego się Szczypiora. Przezwisko nie wzięło się jednak z jego małomówności, lecz z faktu, że na co dzień zajmował się duszeniem ludzi.

– Jeśli chcesz jeszcze raz spróbować – powiedział Radford – to mam kilka pomysłów.

* * *

Dla szanującej się damy przebieranie się za kogoś innego, a potem zrzucanie przebrania nie było łatwe. W przebraniu lady Clara nie zwracała na siebie większej uwagi. We własnej skórze zdawała się chodzącym pokazem fajerwerków.

Nie miała jednak wyboru. Musiała się prędko przebrać w Warford House. Na szczęście, by odgrodzić posiadłość od Green Parku, ogrodnik rozkrzewił na tyłach domu drzewka i krzaki. Przy odrobinie ostrożności zdołała przemknąć pomiędzy nimi do wozowni i z pomocą panny Davis stać się znów sobą.

Tego dnia poszło im znacznie łatwiej, gdyż parlament zamykał wreszcie podwoje i cała służba rzuciła się do pakowania, a damy nerwowo przygotowywały się do wieczornego przyjęcia. W tym chaosie Clara nie zwróciła na siebie uwagi matki ani żadnej z młodszych sióstr.

Przebrawszy się prędko, wskoczyła do kabrioletu i ruszyła do Kensington, gdzie mieszkała jej cioteczna babka, lady Dora Exton.

Wcześniej Clara mogła się zwierzać ukochanej babce, która zawsze ją rozumiała. Niestety, babcia Warford zmarła i Clara wciąż tęskniła za jej

poczuciem humoru i rozsądnymi radami. To ona ostrzegała Clarę przed cierpliwym czekaniem na księcia Clevedona. I jak się okazało, miała rację.

Ciotka Dora to wprawdzie nie to samo, lecz ona także dorastała w mniej „pańciowatych”, jak sama mówiła, czasach. Skoro Clara nie mogła wtajemniczyć w swoje awantury ani Sophy, ani jej sióstr, ciotka Dora była jej ostatnią nadzieją.

Doskonale wybrała termin wizyty. Znalazła ciotkę pogrążoną w odmętach nudy i zastanawiającą się, jak ją odegnać. Opowieść Clary prędko rozwiała opary znużenia.

– Radford, powiadasz – westchnęła. – George Radford prowadził kiedyś sprawę kradzieży, która miała miejsce w moim domu. Niebywale błyskotliwy człowiek. I taki irytujący. Jedynym mężczyzną, którego bardziej pragnęłam zamordować, był mój drogi mąż. Radford okazał się jednak użyteczny. Ale to nie może być on. Zdaje mi się, że odszedł na emeryturę niebawem po śmierci twojej babki.

– Mam na myśli jego syna – wyjaśniła Clara. – Ma na imię Oliver, lecz wszyscy nazywają go Krukiem.

– Doprawdy? – Błękitne oczy ciotecznej babki Dory błysnęły. – Interesujące. Jak najbardziej, musisz ze mną zostać. Cóż mogłoby być lepszego niż młoda krew w domu? Chyba że jest to krew moich dzieci czy wnuków. Sztywniaki. Odziedziczyli to po swoim ojcu, zapewniam cię.

– Obiecuję, że nie będę sztywniarą. – Clara się uśmiechnęła. – Obawiam się jednak, że mama będzie oponowała.

Lady Exton machnęła dłonią.

– Pomówię z nią o tym. Pewnie będzie dziś w amoku ze względu na wyjazd do Cheshire, choć ja na przykład umiem sobie wyobrazić podróże bardziej ekscytujące i wymagające poważniejszych przygotowań. Wiem, że zrobi wszystko, by się mnie jak najprędzej pozbyć. Jestem pewna, że już dziś cię do mnie odeślą. Tak, nie będzie z tym problemu.

Clara ucałowała ciotkę w oba policzki i podziękowała jej serdecznie.

– Nie ma za co, drogie dziecko, nie ma za co. Powinnaś popełnić choć jeden zdrożny czyn, zanim dasz się zamknąć w domu na wieki.

– Popełniłam już dwa – roześmiała się Clara i przypomniała ciotce o odrzuceniu oświadczyn księcia Clevedona i szokującym incydencie na balu u księżnej Igby.

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Towarzyskie potknięcia – prychnęła. – Ta sprawa to zupełnie co innego. Wiem, że jesteś zbyt bystra, by podejmować nieuzasadnione ryzyko. A jeśli pan Radford choć odrobinę przypomina swego ojca, to na pewno ma głowę na karku.

Piękną głowę, o lśniących czarnych włosach, z zalotnym kosmykiem opadającym na skroń… Oczy jak zimowe niebo, królewski nos i zdumiewająco gorące wargi.

Jednak wygląd nie świadczył o człowieku. Podobnie jak umiejętność wzbudzania w damie gorących dreszczy. Jest, jaki jest, i z upływem lat jego cechy ulegną jedynie wzmocnieniu. Nic dobrego nie przyjdzie z prób zmian mężczyzny, którego mózg pracuje prędzej niż skomplikowana maszyneria.

Clara pragnęła jedynie zwrócić Toby'ego Bridget, jak obiecała. Być może była to stracona sprawa. Jednak chłopak ma siostrę, która go kocha i pragnie dla niego lepszego życia. Clara czuła, że musi im pomóc.

Gdy tego dokona, wróci do swego świata i życie zamknie ją w uścisku… jak boa dusiciel. I co wtedy?

Będzie cierpiała dyskretnie, jak na damę przystało.

Po kilku minutach rozmowy Clara wyszła, a lady Dora wezwała kamerdynera, który służył jej od dziesięcioleci. Jak każdy szanujący się szef służby wielkiego domu, Nodes na bieżąco odświeżał informacje o arystokracji.

– Radford – rzuciła lady Exton. – Wchodzi tu w grę jakiś książę, ale nie mogę sobie przypomnieć tytułu.

– Malvern, Wasza Wysokość.

– Szczegóły poproszę.

Jak podejrzewała, miał do powiedzenia znacznie więcej niż oficjalna *Kronika rodów Zjednoczonego Królestwa i Irlandii*. Tomy te były publikowane raz do roku, a kamerdyner wnikliwie studiował rubryki o narodzinach i ślubach oraz klepsydry w każdej gazecie.

Gdy skończył opowiadać, lady Exton oznajmiła:

– Lady Clara Fairfax zamieszka z nami na jakiś czas. Przygotujcie dla niej wszelkie wygody. I powiadom służbę, że jeśli zamierzają zachować posady, mają bezwzględnie milczeć na temat wyjść i powrotów panienki.

Kamerdyner się ukłonił.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

* * *

Biuro Westcotta
11 września

Gdy Radford wbiegł do biura, zastał Westcotta zapatrzonego w sporą, bezkształtną paczkę owiniętą szarym papierem i przewiązaną sznurkiem.

– To do ciebie – burknął radca. – Posłaniec przyniósł.

Radford spojrzał na paczkę ponuro.

– Właśnie miałem ją otwierać – ciągnął Westcott. – Waży niewiele i nie ma żadnego zapachu, wnoszę zatem, iż nie jest to martwe zwierzę.

Radford dostawał już wiadomości od przyjaciół i wrogów osób, które oskarżał lub bronił. Ze względu na to, że większość z nich nie potrafiła pisać, wiadomości były zwykle symboliczne.

Tym razem jednak nadawca elegancko i ze szczegółami zaadresował paczkę.

– Wiem, co to jest – odgadł Radford.

Rozciął sznurek i rozpakował papier.

– Wygląda jak suknia – zdumiał się Westcott.

– Jesteś niebywale spostrzegawczy.

Suknia lady Clary. Miała ją na sobie w szkółce.

Westcott wstał zza biurka i przez chwilę przyglądał się sukni, po czym rzucił ją w objęcia Radforda, jakby nie chciał mieć z nią nic do czynienia.

– Ten kolor nigdy mi nie pasował – roześmiał się Kruk.

Suknia emanowała delikatnym zapachem lady Clary.

– Czy to jakaś wiadomość? – rozgniewał się Westcott, wyrywając mu kreację. Zapach się ulotnił. Radca obracał suknię na wszystkie strony. – Mniej odrażająca niż zwykle.

– Mam się tego pozbyć – wyznał Kruk.

– Ale to nie jest dowód?

Radford zmierzył go spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie – poprawił się Westcott. – Nigdy byś nie zniszczył dowodu. Chyba na chwilę zamroczyło mi umysł.

– Nie będę zaprzeczał.

– To zapewne szok. Nie na co dzień otrzymujesz damskie fatałaszki zamiast gróźb karalnych.

– Do listy mych prawdopodobnych zabójców należy dopisać pokojówkę lady Clary – wskazał Radford.

– Ciekawe. Ta informacja jakoś mnie nie dziwi. Co zrobiłeś tym razem?

– Zabrałem lady Clarę do szkółki, gdzie łachmany prostytutki miały czelność otrzeć się o jej suknię – oznajmił Radford.

– Lady Clarę Fairfax. Najstarszą córkę markiza Warforda.

Kruk pokiwał głową.

Westcott odłożył suknię na biurko.

– Zabrałeś ją do szkółki.

– Na Saffron Hill.

– Och, coraz lepiej.

Radford podał szczegóły wyprawy, a następnie opowiedział, co robił przez całą noc i poranek. Westcott wpatrywał się w suknię i słuchał bez słowa.

– Pokojówka nie mogła jej spalić, nie wzbudzając podejrzeń i plotek – zakończył Kruk.

– Przesada – odezwał się wreszcie Westcott. – Wystarczy ją wyprać i oddać komuś. Naszej gospodyni na pewno się przyda.

– Owszem, masz rację – zgodził się Radford. Zabrał suknię i poszedł do prywatnych pokoi na drugim końcu korytarza, które zajmowali wraz z Westcottem.

Rzucił suknię na krzesło w salonie. Potem podniósł ją i obejrzał. Wreszcie zanurzył twarz w wycięciu dekoltu i głęboko odetchnął zapachem kobiety, której pewnie już nigdy nie zobaczy.

Pięć minut później wrócił do kancelarii i rzucił suknię na biurko Tilsleya.

– Oddaj to gospodyni.

* * *

Sąd
poniedziałek, 14 września

Winny.

Tego dnia rozprawy toczyły się w błyskawicznym tempie. Daniel Prior usłyszał wyrok po pięciu minutach. Dożywotnie zesłanie.

Ryknął ze zgrozą i zaczął bełkotliwie wykrzykiwać, że jest niewinny. To nie on! To ktoś inny! Nawet nie był wtedy w pobliżu, wszyscy kłamią jak ostatnie ścierwa.

Rzucił się do Radforda:

– To nie ja, Kruku! – wrzasnął, strząsając z siebie ręce strażników. – Zapłacisz za to!

Strażnicy siłą wyciągnęli go z sali. Daniel Prior wrzeszczał, miotał groźby i wierzgał nogami. Nawet gdy zamknęły się za nim drzwi, wciąż słyszeli jego stłumione ryki.

Skazani zwykle urządzali takie sceny. Prior doskonale odegrał swoją rolę.

Schwytany w minionym tygodniu za napaść na policjanta, skazany w przeszłości już niejednokrotnie, Prior zapewne skończyłby w pętli. W zamian za złagodzenie wyroku udzielił im istotnych informacji o Jacobie Freamie.

Radford westchnął i rzucił okiem na galerię. Nie było jej tam. Zresztą, dlaczegóż miałaby przychodzić?

Dał jej jasno do zrozumienia, że jest mu kulą u nogi, i przy pożegnaniu zachował się tak odrażająco, że już nigdy nie będzie chciała go oglądać.

Wyszedł z sali sądowej i udał się do szatni, gdzie zdjął perukę i togę, po czym przebrał się w zwykły strój. Westcott czekał na niego w korytarzu.

– Świetna robota – powiedział z uznaniem. – Chłopak dał piękny popis zdolności aktorskich.

– Miał też i ku temu powody – sprostował Radford. – Choć długie życie w kolonii karnej wydaje się lepszym wyborem niż pętla, nie jest jednak powodem do świętowania.

Wyrok w tej sprawie nie był zbyt surowy. Daniel Prior był przestępcą chyba od urodzenia.

– Biorąc pod uwagę sztuczkę, której dokonałeś, moim zdaniem, jedną z najlepszych, jakie widziałem, spodziewałem się zastać cię w lepszym humorze – wytknął Westcott.

– Nie mamy jeszcze Freame’a.

– Dorwiesz go.

– Jeśli ten łajdak nie kłamał. I jeśli Freame nie zwietrzy podstępu, dopóki nie dotrze do niego policja.

Wyszli na deszcz. Szare budynki tonęły w strugach wody, a nagłe podmuchy wiatru rozpryskiwały je w gęsty opar.

– Weźmy dorożkę – zaproponował Westcott.

– Na ten dziesięciominutowy spacer?

– Nie mam zamiaru przemoknąć jak pies.

– Wiesz doskonale, że w deszczu nie złapiemy pustej dorożki.

Westcott wydął wargi, gdy zza rogu wybiegł ku nim chłopak z wielkim parasolem.

– Kruku, chodź ze mną – wysapał. – Prędko, proszę. Ona jest tam – oznajmił, wskazując stojącą za węgłem dorożkę. Ten rodzaj pojazdu zwano często „trumienką” i to nie tylko ze względu na kształt.

Zasłonki były szczelnie zaciągnięte.

– Kto tam jest? – zdziwił się Radford, czując nagłe pulsowanie krwi.

– Ona – odparł z naciskiem chłopak.

Jego drugie ja przeżyło gwałtowny atak serca, a dzień nagle się rozjaśnił. Jak we śnie ruszył ku trumience.

– Do środka – szepnął teatralnie kobiecy głos.

– Świetnie – mruknął Radford. – Uwielbiam sceny.

– Wsiadaj, Kruku – wycedziła ze zniecierpliwieniem.

Odwrócił się do chłopca, który biegł za nim, ukryty pod parasolem.

– Przekaż mojemu przyjacielowi, że spotkam się z nim później.

Chłopak stał bez ruchu, patrząc mu w oczy, a kaskady wody chlustały z parasola na buty Radforda. Kruk westchnął i sięgnął do kieszeni.

– Piraci i zbóje – mruknął. – Masz tu suwerena, ale parasol oddaj mojemu koledze.

Chłopak błyskawicznym gestem chwycił monetę i wyszczerzył zęby.

– Dzięki, Kruku! – parsknął i popędził do Westcotta.

Radford wspiął się do dorożki. Natychmiast uderzyła mu do głowy woń bogatej damy.

– Przytulnie tu – stwierdził.

Zbyt przytulnie, pomyślał.

– Słyszałam, że wygrał pan sprawę – powiedziała lady Clara.

Choć zaciągnięte zasłonki zamieniały dorożkę w grobowiec, nie było całkiem ciemno. Mdłe światło sączyło się przez szpary. Radford nie widział jej sukni, ale czuł zapach mokrej wełny zmieszany z czymś ziołowym, czego nie potrafił nazwać, i z wonią jej ciała, którą rozpoznałby wszędzie.

– Mogła pani przeczytać o tym w gazecie, zamiast przyjeżdżać w mokrym przebraniu – odparł. – Zaczynam rozumieć, że ma pani skłonności samobójcze. Obawiam się, że przejażdżka dorożką może nie wystarczyć, powinna była pani wezwać kabriolet. Murowane zapalenie płuc i znacznie większe szanse na wypadek.

Wypadki kabrioletów były już codziennością. Woźnice brali za punkt honoru zaprezentowanie klientowi maksymalnej prędkości. Często kończyło się to zderzeniami i pasażerami wysypującymi się na bruk.

– Nie widzę pokojówki – ciągnął Radford. – Straciła pani resztki rozsądku? – Zamilkł na chwilę. – Parlament zakończył obrady tydzień temu. Co pani tu jeszcze robi?

– Po pierwsze, moja pokojówka dołączy do nas w pańskim mieszkaniu. Nie zmieścilibyśmy się tu we troje.

– Dlaczego zatem…

– Chciałabym odpowiedzieć na pana pytania po kolei – przerwała. – Po drugie, mój rozsądek wciąż pozostaje nienaruszony, dziękuję za troskę. Po trzecie, mieszkam u ciotecznej babki, lady Dory, która ze szczegółami zna sprawę zagubionego Toby’ego.

Umysł Radforda miotał się pomiędzy uniesieniem i grozą. Freame, Szczypior, Zdławiacz… Wciąż są na ulicy.

– Dokąd mam jechać, sir? – krzyknął woźnica. – To nie jest postój! Blokujemy ruch i zaraz podejdzie do nas policjant!

– Temple! – odkrzyknęła lady Clara.

– Sir?

Panna Fairfax westchnęła z rezygnacją.

– Gdy tylko na scenę wkracza mężczyzna, kobieta staje się niewidzialna.

– Fleet Street, jak powiedziała pani – krzyknął Radford. – Inner Temple Lane. – Do niej zaś szepnął: – Bardzo bym chciał, by stała się pani niewidzialna.

Dorożka szarpnęła i potoczyła się z turkotem.

Lady Clara mruknęła coś pod nosem.

Radford nie prosił, żeby powtórzyła. Starał się oddzielić od podświadomości, z miernym sukcesem.

W istocie wcale nie chciał, by stała się niewidzialna. Wcale też nie żałował, że jedzie z nią dorożką. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie uciekałby przed okazją przejechania się na wąskiej ławeczce u boku

lady Clary Fairfax. Każdy na jego miejscu życzyłby sobie węższej ławeczki, gęstszych zasłonek i dłuższej podróży.

Radford jednak wolałby skupić się na racjonalnej stronie tego wydarzenia.

Tymczasem był w pełni świadomy każdego punktu na ciele, który dotykał jej ciała, co jakiś czas mocniej i gwałtowniej, gdy przeklęta dorożka podskakiwała na bruku. Mieli do pokonania krótki odcinek, lecz w strugach deszczu nawet woźnica stał się ostrożny. Rzecz jasna, w porównaniu do swej zwykłej brawury, nie do stylu jazdy rozsądnego człowieka.

Skupił się na ostatniej informacji.

– Kim jest lady Dora? – zapytał.

– Lady Exton, wcześniej lady Dora Fairfax – wyjaśniła. – Pański ojciec prowadził dla niej dochodzenie. Sprawa okazała się niełatwa, gdyż złodzieje byli sprytniejsi niż zwykle. Ciotka mówi, że pana ojciec jest przenikliwy i nieznośnie irytujący.

Radford poczuł falę żalu, lecz jednocześnie chciało mu się śmiać. W odpowiedzi na jego list, matka napisała:

Wiesz, że nie ukryję Twoich listów przed Ojcem. Przekazuję ci jednak, że masz się tym nie zadręczać. Czegokolwiek chce Malvern, będzie musiał nauczyć się cierpliwości. Powiada, że być może stuka już do drzwi Śmierci, jednak nikt – nieważne, jak młody i zdrowy – nie może się równać z chytrym, starym prawnikiem.

– Wspomnę mu o tym przy najbliższej wizycie – powiedział. Kiedy tylko upora się ze sprawą Toby’ego, wyruszy do Richmond. Nie widział się z ojcem od chwili, gdy konsultował się z nim przed wniesieniem oskarżenia przeciw Grumleyowi. Jakże sobie bez niego poradzi? Z kim będzie mógł porozmawiać? – Nie powiedziała mi pani, dlaczego spędza czas w Londynie.

– Niech pomyślę – zadrwiła, stukając się palcem w brodę. – Bo jest pan nieodparcie pociągający? Nie, raczej nie. Bo Toby Coppy wciąż się nie odnalazł? Przede wszystkim. Widzę, że rozpaczliwie potrzebuje pan mojej pomocy.

Jej słowa były tak absurdalne, że chyba po raz pierwszy w życiu zaniemówił ze zdumienia.

Nie na długo.

– Wiem już, że jest pani znudzona na śmierć miłosnymi utarczkami, jednak nie powinna pani dać się ogłupiać oparom znużenia. Mój świat niewiele ma wspólnego z fantazją, w której pani żyje. Muszę na co dzień pracować. Podlegam surowym przepisom prawa. Współpracuję z policją. Dziś nad ranem odkryliśmy pewne tropy. Zasugerowałem konkretny plan i policja właśnie wciela go w życie. Nikt pani nie potrzebuje.

Podświadomość Radforda podniosła sprzeciw, lecz Kruk bezwzględnie go oddalił.

Atmosfera w dorożce wyraźnie zgęstniała.

Lady Fairfax odezwała się jednak spokojnie:

– I wie pan, jak wygląda Toby?

– Otrzymałem szczegółowy opis.

– A ja go widziałam. Rozmawiałam z nim kilka razy. Parę razy dałam mu pieniądze. Jak pan sądzi, komu chętniej zaufa?

– Zaufanie nie ma zastosowania w tej sprawie. Zamierzamy…

– Inner Temple Lane! – ryknął woźnica. – Która brama?

* * *

Radford silną dłonią pokierował lady Clarę wąską alejką do bramy, mimo to zdążyła przemoknąć. Niemal wbiegli po schodach do biura, gdzie zastali kancelistę Tilsleya, usiłującego utrzymać linijkę na czubku nosa.

Upuścił linijkę i zapatrzył się w nich szeroko otwartymi oczami. Zielonkawe i fioletowe siniaki na twarzy nie dodawały mu uroku.

– Idź po węgiel – rzucił ku niemu Radford. – Potrzebujemy ognia, bo inaczej dama dostanie zapalenia płuc. Pośpiesz się! Martwe damy stanowią kiepską reklamę dla kancelarii.

Chłopak zeskoczył z krzesła.

– Oczywiście, panie Radford. Kiedy zobaczyłem deszcz, pozwoliłem sobie rozpalić w biurze pana Westcotta.

Lady Clara podeszła do Tilsleya i z uwagą obejrzała jego twarz.

– Och, mój Boże. Czy to sprawka Fenwicka?

– Dziękuję za troskę, Wasza Miłość. Potrafię się sam bronić. A tamten łajdak stłukł mnie tylko dlatego, że oszukiwał.

– Pani Faxon, przedstawiam pani naszego kancelistę Tilsleya – wtrącił Radford. – Gdy odwiedziła nas pani ostatnim razem, był nieco zajęty. Jest jednak znacznie bystrzejszy, niż się wydaje.

Tilsley oblał się rumieńcem. Jego twarz wyglądała teraz jak tęcza. Radford rzadko chwalił kogokolwiek.

– Skoro już rozpaliłeś, bądź łaskaw zrobić damie herbaty.

– Tak jest, sir.

Radford otworzył drzwi i wepchnął Clarę do biura Westcotta.

* * *

Dzień był mroczny i deszczowy, a biuro, wyposażone w ciemne zasłony i ciężkie meble, nawet w najlepszą pogodę wydawało się ponure. Radford doszedł do wniosku, że Clara jest jedynym jasnym i promiennym zjawiskiem w pomieszczeniu.

Blask świec lśnił na kroplach ściekających z czepka na jej policzki i spływających po szyi. Radford popchnął ją w stronę ognia.

– Potrafię sama podejść do kominka, panie Radford – zakpiła i zaczęła rozwiązywać wstążki czepka.

– Nie tak! – burknął Kruk i odepchnął jej dłonie. – Zaciśnie pani mocniej ten supeł. Czyż powinienem być zdziwiony? Nie. Naturalnie nie wie pani nawet, jak rozwiązać własny czepek.

– Myli się pan. Jednak przyznaję, że jest to trudniejsze, kiedy wstążki są mokre i gdy nie widzę, co robię.

– Proszę podnieść brodę, żebym przynajmniej ja widział, co robię. To rondo jest monstrualne. Wygląda jak olbrzymi kaczy dziób, a w ogóle nie chroni pani twarzy.

Podniosła twarz, spoglądając na niego. Jej oczy lśniły jak akwamaryny czystej wody. Wilgoć na jej policzkach przypominała rosę na płatkach róż. Kapelusz był odrażający, lady Fairfax – nieprzyzwoicie piękna.

Jej widok niemal sprawiał ból.

Radford skupił się na wstążkach. Jego dłonie nawet nie drgnęły. Serce niemal wyskoczyło mu z piersi.

– Proszę, gotowe. Doradzałbym pani wrzucić tę ohydę w ogień, ale chwilowo nie mam damskich kapeluszy na wymianę. – Zdjął przemoczony

kapelusz z jej głowy i położył na stoliku. Odwrócił się ku niej. – Jednakże polecam… – Urwał, zdumiony.

Blask od kominka migotał na włosach barwy szampana. Radford nigdy wcześniej nie widział jej bez kapelusza. Starał się otrząsnąć z oszołomienia, lecz nie był w stanie wyrwać podświadomości ze szponów zachwytu. Miał poczucie, że nagle znalazł się w świecie Odyseusza. Lady Clara była zbyt piękna na śmiertelniczkę. To na pewno Calypso albo Kirke, a może nawet sama Afrodyta. Mitologiczna czarodziejka i kusicielka.

Odchrząknął. To nie mit. Musiał zachować zdrowy rozsądek. Nie da się przecież oczarować kolorem włosów!

Lady Clara szamotała się z zapięciem peleryny. Podszedł, żeby jej pomóc.

– Zawsze wiedziałem, że tak jest, ale teraz zobaczyłem to na własne oczy – mruknął. – Nie umie się pani nawet rozebrać. – Sięgnął do jej guzików.

Odtrąciła go.

– Umiem sobie poradzić sama!

– Właśnie widzę – zadrwił, znów wyciągając ręce, jakby nie mógł się powstrzymać.

– Proszę mnie zostawić!

– Nie może pani…

– Nie ma pan pojęcia, co mogę, a czego nie! Niech mnie pan przestanie traktować jak idiotkę.

– Nigdy nie powiedziałem, że jest pani idiotką.

– Mówi pan to bez przerwy, na tysiąc sposobów.

– Wskazuję jedynie fakty, którym pani wciąż zaprzecza.

– Chciałabym zobaczyć, z jaką łatwością by je pan przyjął – odparła. – Chciałabym zobaczyć, jak żyje pan moim życiem. Nie wytrzymałby pan dwudziestu minut.

– Och, w istocie. Jakże upiorne musi być życie w luksusie i wiecznej adoracji.

– Nie dałby pan rady. Po godzinie umarłby pan z nudów.

Odsunął się o krok, usłyszawszy w jej głosie ból. W błękitnych oczach zalśniły łzy.

– Niewykluczone – zgodził się. – Ale…

– Nie ma pan pojęcia, jak żyje się w tym świecie, który pan nazywa fantazją – ciągnęła tym samym, pełnym tłumionego cierpienia głosem. –

Nie wie pan, jak to jest, żyć jak jajko owinięte wełną, gdy wszyscy wokoło czują, że muszą cię chronić, i to głównie przed tobą samą. Bo nie zachowujesz się tak, jak przystoi dziewczynce. I uważają, że coś jest z tobą nie w porządku. Nie wie pan, jak to jest, żegnać braci, odjeżdżających do szkół, gdzie uczą się, zawierają przyjaźnie i mają przygody, jakie ciebie nie spotkają nigdy, nawet na kartach książek. Nie wie pan, jak to jest, gdy zabraniają ci czytać i wytykają, że za dużo wiesz. Kiedy trzeba ukrywać inteligencję i wiedzę, bo przerazi się wszystkich znajomych, kiedy trzeba chować w sercu opinie, gdyż nie przystoi, by dama miała własne zdanie. – Tupnęła nogą. – Nic pan o mnie nie wie. Nic!

I wybuchnęła płaczem. Nie był to bynajmniej teatralny pokaz chlipania, lecz autentyczny szloch ze strumieniami gorących łez.

Radford rzucił się ku niej, lecz powstrzymał się w porę.

– Proszę przestać – powiedział spokojnie, zaciskając pięści. – Niech pani przestanie.

– Nie! Jest pan gburem i idiotą!

– A pani histeryczką – odparł. Serce waliło mu w piersi jak dzwon. – Jeśli się pani nie uspokoi, będę musiał wylać na panią wiadro wody.

Znów tupnęła.

– Już jestem mokra, barani łbie!

– Wspaniale. Spełniło się moje marzenie. Rozpieszczona damulka tupie nogą i płacze, bo coś poszło nie po jej myśli.

– Owszem, bywam nieracjonalna, ty wyniosły, nadęty, gburowaty…

– Coraz lepiej – przerwał Radford, czując narastający, zupełnie niestosowny żar. – Pani nad sobą nie panuje.

– Nie mam zamiaru!

Chwyciła odrażający kapelusz ze stolika.

– Już pani wychodzi? A myślałem…

– Ty niemożliwy do wytrzymania draniu! – Trzasnęła go kapeluszem w ramię. – Ty odrażający… – Kolejny cios kapeluszem dosięgnął jego torsu.

– Lepiej przestań – powiedział Kruk. – Usiłuję zachować rozsądek, ale przyznaję, że nie ułatwiasz mi tego.

Clara nie była w stanie się opanować. Była boginią walki i zemsty. Porażał go błękitny płomień jej oczu, oślepiał blask jasnych włosów, podniecał karminowy rumieniec.

Rzuciła kapelusz na podłogę i chwyciła go za poły surduta.

– Chciałabym być mężczyzną! – wykrzyknęła. – Spuściłabym ci lanie jak rozwydrzonemu bachorowi! Złamałabym ci ten zadarty nos! Wytłukła…

– Nie, doprawdy, musisz już przestać – odparł cicho. – Zabijesz mnie.

Otoczył ją ramionami, pochylił głowę i pocałował ją.

Rozdział 5

PRAWNIK – 1. zważywszy na delikatną materię świadczonych usług, zawsze musi mieć na względzie stosowne zachowanie wobec klienta. Postępowanie – dostosowane do rangi klienta i jego zachowania wobec wezwanego prawnika.
„Jurysta”, vol. 3 (1832)

Clara doskonale wiedziała, co powinna zrobić dama, gdy dżentelmen dopuszcza się takich frywolności. Powinna go odepchnąć i za wszelką cenę bronić swego honoru.

Ktokolwiek wymyślił tę zasadę, z pewnością nie całował się z Krukiem Radfordem.

Gdy tylko dotknął wargami jej ust, w głowie Clary eksplodowały fajerwerki, rozbiegając się ognistymi wężykami po całym ciele. Nieznane emocje zawirowały w niej, jak budząca się gwałtownie burza, i wszystkie reguły bycia prawdziwą damą spisane w opasłym tomie jej umysłu nagle rozwiały się i znikły.

Nie odepchnęła go. Zaciskając palce na klapach surduta, oddała mu pocałunek najlepiej, jak umiała, biorąc pod uwagę mizerne w tym doświadczenie.

W zasadzie żadne doświadczenie. Porównując z tym pocałunkiem poprzednie nieudolne próby, wypadały one jak zabawa ołowianymi żołnierzykami zestawiona z bitwą pod Waterloo.

Z wysiłkiem rozprostowała palce, puściła klapy i oplotła ramionami jego szyję, unosząc się na palcach, by dopasować się do smukłego ciała Kruka.

Jęknął cicho, przesuwając dłonie z jej barków wzdłuż ramion, aż do łokci. Chciał się odsunąć, ale Clara nie była jeszcze gotowa. Trzymała go mocno za szyję i po kilku uderzeniach serca Kruk mruknął coś i otoczył rękami jej talię, przyciągając ją bliżej. Pocałunek stał się bardziej żarliwy, jakby chciał usunąć z jej pamięci wszystkie wcześniejsze wstydliwe próby

i na zawsze odcisnąć wspomnienie tylko tego, pierwszego prawdziwego pocałunku dojrzałego mężczyzny. Clara czuła, jak nowe, nieznane emocje wirują w niej coraz prędzej, niosąc ją na fali szczęścia i pragnienia.

Dziwne emocje, prawdopodobnie niestosowne dla młodej damy.

Pławiła się w nich, jak w dzieciństwie zwykła była pławić się w zakazanych wodach. Unosiła się na przypływach i odpływach jego oddechu, równie szybkiego jak jej własny. Wygrzewała się w cieple bijącym od jego ciała, w sile emanującej z jego dłoni, w bezpiecznym oceanie jego obecności. A może nie tak bezpiecznym? Daleko, za odległym horyzontem, leżała tajemnicza kraina, ku której dryfowała, niesiona silnym prądem.

Ignorowała alarm bijący w jej głowie. Nie chciała być bezpieczna. Była bezpieczna przez całe życie! Chciała czuć się zagrożona, jak teraz, otoczona jego ramionami, zmiażdżona silnym uściskiem. Chciała wreszcie nie myśleć i tylko czuć ten moment, siebie i jego, splecionych i rozpalonych pocałunkiem. Czuła pod palcami wełnę i len jego ubrania. Słyszała cichy szelest halki ocierającej się o jego spodnie. Zapach węgli na kominku i wilgotnych ubrań mieszał się z obezwładniającym zapachem mężczyzny. Chciała otulić się na wieki tymi wrażeniami. Pragnęła coraz mocniej.

Podniosła dłonie i wsunęła palce w jego włosy. Gęste, piękne i lśniąco czarne, jak skrzydła kruka.

Kruk.

Jęknął głośniej i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Lecz po chwili poczuła, że zamarł.

A potem rozległ się łomot. W biurze było tak cicho, że stukanie do drzwi zabrzmiało jak uderzenie gromu. Clara usiłowała odepchnąć od siebie natarczywy dźwięk. Radford oderwał od niej wargi, lecz nie wypuścił jej z ramion.

Stukanie. Jeszcze głośniejsze. I głos Tilsleya, stłumiony przez drzwi.

– Herbata gotowa, madame. Nie chciałem wbiegać do państwa i przerywać toku… hm… dyskusji.

Radford uniósł głowę i spojrzał na Clarę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Po kilku sekundach wypuścił ją z ramion i odsunął się swobodnie. Clara stała na drżących nogach. Życie, które znała do tej pory, roztrzaskało się i leżało u jej stóp jak klocki rozrzucone przez dziecko.

Tylko dzięki wielu latom praktyki nie rozpłakała się, nie upadła ani nie toczyła wokół błędnym, ogłupiałym spojrzeniem. Wszystkie te sceny przeżywała wyłącznie w zaciszu własnej głowy.

Nigdy wcześniej nikt jej tak nie całował. Czymkolwiek były jej przygody, nie były to prawdziwe pocałunki. Nie znała pożądania. Mogła zaledwie czuć dreszcz poczucia winy, że zachowuje się tak niestosownie. Jeszcze o świcie tego dnia wydawało jej się, że jest doświadczona i wyrafinowana. Teraz wiedziała już, jak bardzo się myliła.

Całe szczęście, że Radford nie mógł widzieć jej trzęsących się kolan. Spojrzała w jego oczy, szare jak nadciągający sztorm. Wiedziała, jak zachowuje się prawdziwa dama, stała więc bez ruchu, z wyprostowanymi ramionami i spokojnym wyrazem twarzy, choć serce niemal wyskakiwało jej z piersi. W jej głowie tłukły się dwie myśli: „Popełniłam fatalny błąd” i „Nie dbam o to”.

– Wchodź prędko, Tilsley – powiedział Radford. – Na co czekasz?

Drzwi uchyliły się ze zgrzytem.

– Na pozwolenie, sir – odparł Tilsley zza drzwi. – Dwa razy otrzymałem szczegółowe instrukcje, abym nie wpadał do biura jak oparzony, gdy pan Radford bądź pan Westcott rozmawia z klientem. Panowie udzielili mi reprymendy wraz z barwnym opisem kar, jakie zastosują przy następnym przypadku podobnej bezczelności. Zdaje mi się, że wśród nich pojawiła się nawet gilotyna i pętla, zatem, będąc odrobinę bystrym, pozwalam sobie czekać cierpliwie pod drzwiami, nie zaś wpadać przez nie jak burza.

Radford przygryzł wargę.

– To dobry chłopak – powiedział do Clary. – Tylko gaduła.

Podszedł spokojnie do drzwi i otworzył je szeroko.

Tilsley, oblany purpurowym rumieńcem, lekko potknął się na progu, zdołał jednak utrzymać ogromną tacę z herbatą. Ostrożnie umieścił ją na stoliku blisko kominka. Podrzucił węgli do ognia i przemieszał palenisko pogrzebaczem. Ani razu nie spojrzał na nią ani na Radforda.

Tilsley upewnił się jeszcze, że niczego więcej im nie trzeba, i obiecał wylewnie, że będzie w pobliżu, po czym wyszedł, starannie zamykając drzwi.

Zapadła cisza. Tylko ogień trzaskał w kominku i rzucał migotliwe blaski na półki pełne książek, ciężkie fotele i stoliki, twarz Radforda. Clara

zaciskała dłonie na fałdach sukni, myśląc: *Co ja mam teraz zrobić? Co mam zrobić z nim?*

Radford odetchnął.

– Nie zamierzam pytać, czy skończyła już pani ze scenami – oznajmił. – Nawet głupiec dostrzegłby, że przez lata gromadziła pani nieprzebrane zasoby histerii, które w przełomowych momentach muszą panią zawładnąć. Nie zamierzam przepraszać za pocałunek. Nie będę się z tego tłumaczył. Fakty są jasne i niezaprzeczalne. Była pani w furii. Lady Clara Fairfax w furii jest niebywale podniecającym widokiem. Jestem mężczyzną i poddałem się pierwotnej męskiej potrzebie. – Spojrzał jej w oczy. – I nie obiecam, że to się już nie powtórzy. Jeśli ma pani zamiar mnie dalej prześladować, na własne życzenie podejmuje pani to ryzyko. Potrafię się doskonale kontrolować, jednak nie jestem maszyną.

– Po pierwsze… – przerwała mu Clara drżącym głosem.

Radford podniósł dłoń.

– Rozepnę ci teraz pelerynę, a ty się postarasz nie krzyczeć na mnie, nie tłuc mnie ani nie żądać dyskusji, dobrze?

Wcale cię nie prześladuję – zamierzała powiedzieć, jednak to nie była prawda.

Prześladowała go od samego początku. I tłumaczyła sobie, że robi to wszystko, by pomóc biednej dziewczynie, która tak się stara uciec od biedy i występku. Jednak Clara nie była tu potrzebna. Jedynie bardzo chciała być potrzebna. Po prostu snuła się za nim, jak w dzieciństwie snuła się za starszymi braćmi, dopóki matka nie położyła temu kresu.

„Oto, do czego dochodzi, kiedy pozwala jej się ganiać za chłopakami!” – wrzeszczała matka, odkrywszy wyszczerbiony ząb Clary. „Koniec z tym! Zrujnuje sobie urodę, nigdy nie nauczy się stosownie zachowywać i jak wydamy ją za mąż? Będzie dziwadłem, nikt jej nie zechce!”.

Clara nie zdradziła nikomu, jak wyszczerbiła ząb.

Nie żałowała tego, co zrobiła, a tym bardziej nie dbała o braki w uzębieniu. Przynajmniej zrobiła coś, cokolwiek.

Całe szczęście, że tego dokonała, gdyż od tamtej pory nie wolno jej było robić nic.

Nie zamierzała przepraszać za to, że chce być potrzebna. Miała już dwadzieścia dwa lata i stwierdziła, że jej życie wypełnione jest ślicznym i pachnącym… niczym. Nie mogła się na to zgodzić.

Podniosła głowę, choć wciąż nie w pełni kontrolowała wszystkie mięśnie i miała ogromną ochotę opaść na najbliższy fotel.

– Możesz rozpiąć mi pelerynę. Postaram się nie zadręczać cię, ale nie mogę niczego obiecać, jeśli zamierzasz się odzywać.

Kąciki ust Radforda lekko zadrżały.

Ust, które przed chwilą całowały jej wargi.

Z wysiłkiem stłumiła westchnienie.

Sprawnie rozpiął guziczki, zdjął jej z ramion mokrą pelerynę i rozwiesił ją na oparciu krzesła.

– Po pierwsze? – zapytał.

– Nieważne – machnęła dłonią. Potrzebowała nowej taktyki, lecz pocałunek Radforda przesłonił jej umysł mgłą. Musi się prędko otrząsnąć i nie pozwolić odesłać się do domu.

Usiłowała znaleźć jakąś wskazówkę w tym, co do niej powiedział, lecz żadną miarą nie mogła się skupić. Rozumiała tylko, że to jedyny na świecie mężczyzna, który był w stanie wygłosić chłodną przemowę po tak namiętnym pocałunku.

Starając się iść prosto, podeszła do fotela.

– Masz przemoknięte buty – stwierdził Kruk. – Powinnaś je zdjąć.

Spojrzała niechętnie na wysokie trzewiki. Wstążki przeplecione przez mnóstwo maleńkich oczek, co najmniej piętnaście przy każdym bucie. Co gorsza, nie z przodu ani nawet z boku, ale po wewnętrznej stronie kostki. Ostatni krzyk mody.

Spojrzała na Radforda.

– Teoretycznie wiem, jak je rozwiązać. W praktyce, musiałabym być akrobatką. – Nie wspominając, że czuła falę nieprzyzwoitego żaru na myśl o obnażeniu przy nim stóp w pończochach. – Usiądę przy kominku i napiję się herbaty. Nie obawiam się przeziębienia, robię to dla twojego spokoju. Wydajesz się sądzić, że rozpuszczę się po zetknięciu z odrobiną wody. Najwyraźniej nie tylko ja jestem dotknięta histerią. Może i jestem damą, w wielu sprawach bezużyteczną, ale nie jestem taka delikatna.

Usiadła i przyjrzała się tacy. Filiżanki z pachnącą herbatą. Zamiast klasycznych herbatników – świeży chleb i masło, pokrojone i ładnie ułożone. I dzbanek z mlekiem.

Kruk usiadł w fotelu.

– Czy nie mówiła pani, że dołączy do nas pani pokojówka?

– Może wpadła na pana Westcotta i – ogarnięci namiętnością – rzucili się sobie w ramiona? To byłoby interesujące. Przyszłaby niebawem z rozrzuconymi włosami i źle zapiętą suknią.

Radford uśmiechnął się i serce Clary na chwilę zamarło.

Uśmiech przemknął przez twarz Kruka jak cień i zniknął, lecz zmienił jego twarz nie do poznania. Clara ujrzała na chwilę człowieka ukrywającego się pod chłodną maską racjonalisty.

Odegrała stosowny spektakl z tacą, w którym byłaby w stanie grać nawet z przewiązanymi oczami pod ostrzałem artyleryjskim. Radford wziął czarną herbatę z kostką cukru i jednym kęsem pochłonął trzy czwarte kromki chleba. Clara nigdy wcześniej nie wyobrażała go sobie przy posiłku. Nie sądziła, że kiedykolwiek bywa głodny. W ogóle nie myślała o nim jak o człowieku, z wyjątkiem dawnych wspomnień z Vauxhall.

Teraz mogła jeszcze myśleć o tej chwili, gdy ją pocałował.

Zrobił to z pasją. Z namiętnością.

A przynajmniej tak jej się zdawało. Skądże miałaby mieć pewność?

Clara pragnęła namiętności. Odrzuciła dżentelmena wprost stworzonego dla niej, gdyż zdawała sobie sprawę, że ich związek byłby pozbawiony jakiejkolwiek pasji. Wciąż nie do końca wiedziała, czym jest namiętność. Czuła jednak, że może jej doświadczać i że oczekuje od mężczyzny, że będzie czuł to samo do niej.

Wypiła herbatę, lecz jedzenie przerastało jej umiejętności udawania. Kazała mu dokończyć chleb i Radford posłusznie zjadł wszystko. Clarze serce ściskało się ze wzruszenia, gdy na niego patrzyła.

– Wygląda na to, że byłem niemal zagłodzony – stwierdził z prostotą. – To była jednak długa noc w szemranym towarzystwie. Nasz zdeprawowany świadek trzymał się do ostatniej chwili, przerażony wizją stryczka, jednak jeszcze bardziej drżał z obawy przed Freame’em. Czy też raczej przed jego ulubionymi zabójcami. Potem musiałem się jeszcze uporać z sędzią. Bardzo chciał powiesić Daniela Priora. Przekonanie go, by powstrzymał żądzę sprawiedliwości, było trudniejsze, niż zakładałem. Ponadto nie mamy zbyt wiele czasu na tę akcję. Na szczęście policja z Bow Street jest gotowa. Zatem ruszamy jutro tuż po świcie, by odbić Toby’ego i przy odrobinie szczęścia zamknąć kilku kryminalistów.

Odetchnął i Clara zacisnęła dłonie, czekając na listę powodów, dla których absolutnie nie wolno jej brać w tym udziału. „Po pierwsze…” –

powie…

– Może pani do nas dołączyć pod warunkiem, że złoży pani świętą przysięgę, że będzie robić tylko i wyłącznie to, co powiem.

* * *

I to był błąd numer siedem.

Piąty: przywiezienie jej do biura zamiast odwiezienia do domu.

Szósty: pocałowanie jej. Jak to się stało? Jak, do diabła, to się stało?! Wciąż nie był w stanie się uspokoić. Był… poruszony. Nie, kłamstwo. Był ordynarnie podniecony i chyba pierwszy raz w życiu nie potrafił się opanować.

I to bez wątpienia tłumaczy błąd numer siedem.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy i Radford niemal poderwał się z fotela w obawie, że lady Clara mdleje. Lecz rumieniec powrócił po chwili, nieco żywszy niż zwykle. Otworzyła na chwilę usta, po czym zamknęła je gwałtownie.

Zacisnęła prześliczne, kuszące, nienawykłe do pocałunków wargi.

Radford w duchu zgrzytał zębami.

Gdyby Tilsley nie zastukał do drzwi…

Gdybanie jest bez sensu. Tilsley zastukał w porę i na tym koniec.

– Mówiąc, że mam… – Głos jej się załamał i urwała. Wyprostowała się i odchrząknęła. – Mówiąc, że mam robić tylko i wyłącznie to, co pan powie, ma pan na myśli…?

– Mam na myśli dosłownie to, co mówię – uciął. – Jeśli nie da mi pani świętego słowa honoru…

– A jeśli ktoś pana zamorduje? – wtrąciła Clara. – Jak wtedy mam robić tylko to, co pan mówi?

– Proszę nie dzielić włosa na czworo – burknął. – To moja działka, zajmuję się tym na co dzień i robiłem to na długo przedtem, zanim zacząłem w ten sposób zarabiać na życie. Oczekuję od pani nie więcej niż od każdego innego klienta. Jeśli nie postępują ściśle według moich wskazówek i nie stosują się do poleceń, nie biorę odpowiedzialności za konsekwencje ich nierozsądnych zachowań.

– Doskonale, zatem obiecuję – odparła. – Ale…

– Żadnych ale – przerwał jej Radford. – Nie wierzę, że zaprosiłem panią do współpracy. Ogromnie żałuję, że to uczyniłem. Trudno, za późno na żale. Zamordowała pani mój rozsądek i powiedziałem to. Gdybym się teraz wycofał, znów zaczęłaby pani płakać, a tego mam już serdecznie dość.

Z grubsza była to prawda.

Był oswojony z damskimi łzami. Kobiety zjawiały się u niego dopiero wówczas, gdy miały poważne kłopoty. A damy w opresji płaczą. Zawsze.

Jednak Radforda niepokoiło coś więcej niż łzy lady Fairfax.

Niepokoiła go jej pełna pasji przemowa. Nie mógł jej zapomnieć, nie mógł się z niej otrząsnąć. Utknęła w jego umyśle jak skalpel, którym bez wątpienia lady Clara chciała go w tamtej chwili przebić.

Wciąż pamiętał ją jako małą dziewczynkę. Bystrą i pełną energii. Widział, że świat prawdziwych dam zaciska się wokół niej jak pętla. Wiedział, co Clara czuje, gdyż sam również był o wiele zbyt rozumny na życie, jakie proponowała mu jego klasa społeczna. Było dla niego jasne, że panna Fairfax po prostu się dusi.

Nagle zdał sobie sprawę, że to właśnie dlatego popełnił siódmy błąd.

– Proszę – szepnęła. – Obiecuję robić tylko i wyłącznie to, co pan każe.

„Proszę” lady Clary wbiło mu się prosto w serce. Cios za ciosem.

– Świetnie – odparł z wysiłkiem. – Po pierwsze, nie może pani ciągać za sobą pokojówki. Kiedy panią przyprowadzę, będzie już wystarczająco źle. Dwie kobiety zostaną natychmiast odsunięte od sprawy.

Otworzyła usta, by się z nim sprzeczać, ale tylko odetchnęła głęboko, złożyła dłonie na kolanach i pokiwała głową.

– Po drugie…

Radford urwał, słysząc tumult dobiegający z kancelarii.

– Co mówisz, do diabła?! – krzyknął Westcott. – To moje biuro!

– Tak, sir, ale…

– Z drogi!

Lady Clara uniosła lekko brwi, jak królowa na widok niezdarnego dworzanina. Drzwi rozwarły się z hukiem i do biura wpadł Westcott, a tuż za nim panna Davis.

– Mam już tego dość, Radford! Ten mały łazęga stanął w drzwiach do mojego biura i nie chciał mnie wpuścić!

– Pani Faxon, tuszę, iż pamięta pani radcę Westcotta – odezwał się Kruk lodowatym tonem.

Lady Clara skinęła po królewsku głową. Włosy miała oklapnięte, a suknię pogniecioną – raczej od deszczu niż za sprawą uścisków Radforda. Jej mina i postawa nie zdradzały tego, co stało się chwilę wcześniej, i nawet Westcott nie mógłby się domyślić, że Kruk pocałował ją i tak dalece zapomniał się w tym pocałunku, że zrobiłby znacznie więcej, nie bacząc na stosowność takiego zachowania.

– Zaczęłam się już niepokoić, panno Davis – oznajmiła chłodno lady Clara. – Spodziewałam się, że będziesz tu mnie oczekiwała.

Westcott nie dopuścił pokojówki do słowa, jakby była jego klientką i czuł, że musi jej bronić.

– Panna Davis z pewnością byłaby tu wcześniej, gdyby nie zatrzymał jej tłum na Old Bailey – rzucił bez tchu. – Ogromne rzesze ludzi wyszły z sądu po zakończeniu porannych sesji. I choć woźnica sprytnie ruszył objazdem, natknął się na wypadek nieopodal więzienia. Powóz się przewrócił, byli ranni…

– Nie widziałam tego – wtrąciła panna Davis. – Niczego nie widziałam przez ulewę. Woźnica powiedział, że musimy się zatrzymać, tłum nagle zgęstniał i musieliśmy czekać.

– Czy ty również ruszyłeś objazdem? – zapytał Radford. – Czekałem na ciebie.

– Czekałem w kawiarni, aż ulewa przejdzie – zawstydził się Westcott. – Kiedy odrobinę się przejaśniło, zrobiłem użytek z parasola, który hojnie mi przesłałeś. Spotkałem pannę Davis przy bramie.

– Jesteśmy zatem w komplecie – podsumowała lady Clara.

– Tak, panno Fairfax, jednak czas już wracać – stwierdziła panna Davis. – Lady Exton oczekuje.

– Pani Faxon – odparł z naciskiem Radford – nie może jeszcze wyjść. Musimy ustalić szczegóły akcji. Planuję odbić brata Bridget Coppy i potrzebuję pomocy.

Pokojówka otworzyła szeroko oczy i usta, po czym zacisnęła wargi w wąską kreskę. Westcott, nie będąc służącym, nie musiał powstrzymywać się od komentarza.

– Oszalałeś? Nie możesz zabrać panny…

– Obecność pani Faxon jest kluczowa dla powodzenia tej misji – uciął Radford, spoglądając znacząco na drzwi. Wiedział, że Tilsley zawsze ich

podsłuchuje. Drzwi były grube i ciężkie, jednak musiał wcześniej coś słyszeć, skoro nie chciał wpuścić Westcotta.

– Nie wtajemniczajmy kancelisty, jeśli łaska – powiedział ściszonym głosem. – Im mniej osób zna szczegóły, tym lepiej. – Spojrzał na pannę Davis. – Daję pani słowo, że pani Faxon nic się nie stanie. Ani ona, ani ja sam nie będziemy brali bezpośredniego udziału w akcji. To jest sprawa dla policji, a oni nie uznają amatorów pałętających im się pod nogami. Jednak wszystko pójdzie szybciej i sprawniej, jeśli pani Faxon na miejscu zidentyfikuje Toby'ego. A gdyby się opierał, namówi go do współpracy.

– Wszystko w porządku, panno Davis – odezwała się lady Clara. – Będę otoczona uzbrojonymi policjantami.

– Oczywiście, milady. Skoro pani tak mówi.

– Jeśli mogę się wtrącić – zaczął Westcott urażonym tonem – stanowczo odradzam pannie… szanownej pani udział w tej akcji. Jeśli cokolwiek wymknie się spod kontroli…

– Domyślam się, że istnieje ryzyko – odparła lady Clara. – Proszę się nie obawiać, wezmę ze sobą broń. Ponadto będzie przy mnie pan Radford i w razie potrzeby zagada przestępców na śmierć.

Na szczęście Radford miał naturę dyktatora, więc ucinał większość sprzeczek, zanim na dobre zdążyły się zacząć.

Pokojówka była wściekła, że nie pozwolił jej przyjść, jej nieobecność nie uszczęśliwiała zresztą i samego Kruka, ale naprawdę nie potrzebował kolejnej kobiety, zwłaszcza takiej, która czuła się w obowiązku wiecznie chronić swą panią. Sprawy i tak zbyt się skomplikowały.

W ciągu następnej godziny sto razy przekonywał się do odwołania propozycji. Cóż najgorszego mogłaby mu zrobić lady Clara? Znienawidzić go? Uderzyć?

Radford wierzył, że jest rozsądnym człowiekiem. Cenił logikę i wiedzę. Czuł, że za jego obietnicą stoją nieracjonalne pragnienia i że powinien się z niej jak najprędzej wycofać. Próbował się do tego zmusić raz, drugi i trzeci, lecz za każdym razem słowa rozsądku więzły mu w gardle. W zamian powiadomił pannę Davis, w co powinna być ubrana pani Faxon i o której godzinie się po nią stawi. Podpowiedział, jak uniknąć ciekawskich sąsiadów i wścibskich służących. Że nie powinna mieć przy sobie żadnej broni, którą sama mogłaby się skrzywdzić (tu milady zmiażdżyła go spojrzeniem), ale na pewno może wziąć parasolkę lub laskę.

– I ostatecznie, jak wskazała pani Faxon, jeśli dojdzie do najgorszego, będę gadał, aż zaczną błagać o litość.

Radford niemal parsknął śmiechem, gdy powiedziała to lady Clara.

Westcott, choć miał znakomite poczucie humoru, nawet się nie uśmiechnął. Bez słowa ukłonił się damom, gdy opuszczały biuro, i ruszył za Radfordem do mieszkania.

– Oszalałeś?! Nie możesz zabrać córki markiza Warforda na obławę!

– Obiecałem jej to. Nie mogę złamać słowa.

– Możesz i co więcej, powinieneś! Jak cię zwiodła? Czy to było wymuszenie? Bo jeśli tak…

– Nie gadaj bzdur. Czym mogła mi zagrozić? Mokrym kapeluszem?

Radford wszedł do swojej sypialni i zaczął się rozbierać.

– Wiem, że jesteś gotowy wykorzystać wszystko i wszystkich, by osiągnąć cel – ciągnął Westcott – ale to nie jest twoja bitwa. Nie zajmujesz się chwytaniem przestępców. To sprawa policji!

– Chcę tylko odzyskać głupiego brata Bridget – wyjaśnił Radford. – Resztą zajmą się policjanci.

Przez chwilę panowała cisza. Radford prędko się ubierał.

– Jeśli cokolwiek przydarzy się lady Clarze, lord Warford cię zniszczy.

– Tylko jeśli wcześniej jego trzej synowie oszczędzą cokolwiek – odparł cierpko Radford.

– Nie chciałem powiedzieć, że Warford cię zabije – sprostował Westcott. – Będzie znacznie gorzej. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak na tej szalonej eskapadzie, jeśli gazety coś zwęszą, będziesz skończony. Możesz się pożegnać z karierą. W zasadzie możesz od razu uciekać z kraju.

Prawda. Jego podświadomość rwała włosy z głowy, wyjąc jak pies.

– Nic jej się nie stanie – powiedział bez przekonania. – Nikt się nie dowie. Gdybym nie był o tym przekonany, musiałbym uznać, że byłem chwilowo zamroczony, i powiedzieć jej, żeby siedziała w domu i przestała mnie zadręczać.

– Z napięciem czekam na wyjaśnienie, dlaczego tego nie zrobisz.

– Nie bądź idiotą, Westcott. Jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia! Dlaczego?!

Radford założył płaszcz.

– Bo spojrzała na mnie tymi wielkimi błękitnymi oczami i powiedziała: „Proooszę”!

– Radford…

Kruk włożył rękawiczki i kapelusz.

– Dokąd się wybierasz? Nie dość już nabruździłeś jak na jeden dzień?

– Jadę do Richmond. Chcę się spotkać z ojcem, zanim ktoś mnie zamorduje.

* * *

Willa Itaka, Richmond

Radford opowiedział ojcu dowcip lady Clary o zagadywaniu przestępców na śmierć. W chwili, gdy to powiedziała, musiał być opanowany, lecz przy ojcu pozwolił sobie na serdeczny wybuch śmiechu. Ojciec także się zaśmiewał, ocierając łzy.

George Radford nie czuł się dobrze, a wychudzona twarz świadczyła nazbyt wyraźnie o dręczącym go bólu. Leżał na jednej z sof w bibliotece, skąd miał rozległy widok na rzekę.

Teraz jednak zapadł już zmrok. Kruk wiedział, że jego wizyta odciąga uwagę ojca od cierpienia i dodaje mu energii. Opowiadał więc ze swadą o wszystkim, jak zawsze, omijając jedynie drobne szczegóły. Pocałunek lady Clary był jednym z takich szczegółów, jednak uważne spojrzenie, jakim obrzucił go ojciec, potwierdzało, że rodzicielski instynkt wciąż funkcjonował bez zarzutu.

– Bez wątpienia musisz pomóc lady Clarze – zawyrokował ojciec. – Mówisz, że rzuciła się na Szczypiora ze szpicrutą?

Nieświadoma związku Szczypiora ze zniknięciem Toby’ego, milady nie opowiedziała mu o tym, gdy pierwszy raz zawitała do kancelarii. Radford poznał prawdę dzięki Bridget. Uznał, że incydent ze szpicrutą wiele mówi o charakterze lady Clary. Wiedział też, że Bridget ją ubóstwia i ufa jej do tego stopnia, że ma siłę upierać się przy poszukiwaniach brata.

– Nie jest lękliwa, z całą pewnością.

– Nigdy nie wierzyłem w to, że kobiety są delikatne i płoche – powiedział ojciec. – Jak zawsze powtarza twoja matka, kobiety nie są dziećmi, dopóki im się tego nie wmówi.

Ojciec miał o wiele więcej do powiedzenia na temat kobiet i choć Radford planował spędzić z nim godzinę, został znacznie dłużej, słuchając

i pytając, aż znużony rozmową ojciec zasnął. Kruk także zapadł w sen na fotelu, trzymając dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

* * *

Na szczęście dla niego ojciec miał płytki, niespokojny sen. Obudził Kruka niezbyt delikatnym stuknięciem laski w piszczel.

– Budź się! Wstawaj! Spóźnisz się!

Chwilę później Radford gnał już do Londynu. Osadził konia przed kancelarią, gdy niebo zaczęło nabierać złotej barwy.

– Mnóstwo czasu – mruknął pod nosem i wbiegł do mieszkania.

Westcott drzemał w fotelu, ale poderwał się na dźwięk otwieranych drzwi.

– Jak się ma twój ojciec?

– Lepiej już raczej nie będzie – burknął Radford. – Na szczęście humor mu dopisuje. Zasnąłem. Byłem chyba bardziej wyczerpany, niż mi się zdawało.

– Obawiam się, że nie wypoczniesz w najbliższym czasie – westchnął Westcott.

Wyjął kopertę stojącą pomiędzy dwiema ceramicznymi figurkami na kominku.

Radford prędko rozłamał pieczęć i przebiegł list wzrokiem.

Jej Wysokość księżna Malvern umarła po skomplikowanym poronieniu.

Książę oczekuje jego wizyty. Bez zwłoki.

Rozdział 6

Dlaczego dorożki powinny być czyste? Słyszę, że nasi
przodkowie jeździli brudnymi i nie zgłaszali
sprzeciwów. Podobnie jednak oni tłukli się
po kamieniach z prędkością czterech mil na godzinę,
my zaś, frenetycznie łaknąc pędu, oczekujemy
gładkich dróg i sześciu mil na godzinę!
Charles Dickens, *Uwagi o dorożkach* (1835)

Kensington, wtorek o świcie

Clara przemierzała bez wytchnienia salon ciotki Dory.

– Powinnam była się domyślić – powtarzała. – To była blaga. Obiecał to wszystko tylko dlatego, żeby się mnie pozbyć. Łajdak na pewno pojechał beze mnie!

Wstała o godzinie, o której panienki z dobrych domów wracały z przyjęć i balów. Wczoraj położyła się wcześnie jak dziecko i ubrała się w strój nauczycielki, a to wszystko na nic! Zerknęła ponownie na skromny zegarek przypięty do skromnej ciemnej sukni.

– Powinnam się była domyślić. Był stanowczo zbyt zgodny. To znaczy jak na jego możliwości. Och, nieważne. Wiem, gdzie ma się spotkać z policją, pojadę tam sama.

Panna Davis wyglądała przez okno.

– O ile pan Radford udzielił pani prawdziwych wskazówek – zauważyła.

Clara zatrzymała się raptownie.

– Uważasz, że do tego wszystkiego jeszcze kłamał?

– Nie wiem, milady. Nie znam ulic, których nazwy podawał pan Radford. Być może mówił prawdę. W każdym razie powinna pani wziąć lokaja.

– Nie mogę wziąć lokaja!

– Jeśli zamierza pani wybrać się na miejsce obławy bez pana Radforda, powinna pani wziąć kogoś ze sobą – powtórzyła z naciskiem panna Davis.

– Proszę sobie tylko wyobrazić, co się może stać, jeśli milady przyjedzie tam nieproszona i niespodziewana. Nie zdziwiłabym się, gdyby pan Radford kazał panią aresztować. W takiej sytuacji warto mieć przy sobie służącego, który wezwie radcę.

– Aresztować? – zatchnęła się lady Clara. – Nie aresztowaliby córki lorda Warforda, nawet gdybym stała nad martwym ciałem Radforda z zakrwawionym nożem w ręce! Nikt nie odważy się mnie aresztować. Tata… – urwała nagle, uświadomiwszy sobie, co mówi. Gdyby ojciec dowiedział się, co Clara wyrabia… Och, chyba dostałby szału. A to i tak byłaby radosna przygoda w porównaniu z tym, co zrobiłaby matka. Na pewno miałaby atak serca i Clara do końca życia czułaby wyrzuty sumienia.

– Tak też sądzę, milady – podsumowała panna Davis, czytając, jak zwykle, w jej myślach. – A oto jest i pan Radford.

Clara podbiegła do okna. Pojazd, który ukazał się jej oczom, był roztrzęsionym reliktem przeszłości, zapewne dumą jakiejś wielkiej rodziny w zamierzchłych czasach młodości jej ciotecznej babki. Wtedy był prawdopodobnie jaskrawożółty. Teraz przybrał odcień brudnej musztardy. Okienka miał maleńkie, choć czystsze niż większość dorożek. Wyblakły, postrzępiony dach przypominał na wpół uduszoną gęś na polu zgniłej kapusty. Koła miał brudnozielone, z wyjątkiem jednego, brudnoczerwonego. A kupka łachmanów na koźle była zapewne woźnicą.

Nie widziała Radforda, ale z pewnością krył się w środku, skoro powiedział, że tam będzie na nią czekał. Nie wyszedł, nie zatrzymał dorożki, nawet nie pomachał. Pojazd zatrzymujący się przed drzwiami lady Dory o świcie na pewno dałby służbie sąsiadów temat do plotek na następne pół roku. Zwolnili tylko, jak ustalono, i pojechali dalej. Clara wymknęła się z domu i ruszyła prędkim krokiem za dorożką, dopóki domy sąsiadów nie zniknęły jej z oczu. Wtedy zebrała suknię i puściła się biegiem.

– Nie musiała pani biec – zauważył Radford. – Mamy mnóstwo czasu.

Clara wciąż usiłowała uspokoić oddech. Dopiero po chwili była w stanie odpowiedzieć:

– Myślałam, że już pan nie przyjedzie. Umówił się pan ze mną na wpół do szóstej. Jest już po szóstej.

– Wiem z doświadczenia, że kobiety zawsze się spóźniają, nawet do sądu. Z zasady więc oznaczam wcześniejszą godzinę spotkania. Powinna

pani uznać to za komplement. Obliczyłem dla pani tylko pół godziny na poranną opieszałość.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, nie mogąc się zdecydować między niedowierzaniem a furią.

– Komplement? – wybuchnęła wreszcie. – Czy ma pan choćby mgliste pojęcie, jak nieznośnie się pan zachowuje?

– Dość precyzyjne pojęcie. Dzięki nader uprzejmym osobom, które wciąż mnie o tym informują.

– Mogłam spać całe pół godziny dłużej.

– Czy w związku z tym zamierza być pani burkliwa i cierpka?

– Tylko w stosunku do pana – odparła Clara.

Dama zawsze zachowuje się uprzejmie i z gracją. Nawet jeśli musi kogoś skarcić, czyni to z wyszukaną grzecznością i elegancją. Clara znała tysiąc sposobów na powściąganie gniewu i zniecierpliwienia. Potrafiła zachować kamienną twarz niezależnie od okoliczności. Napomniała się w duchu, że nie jest już dzieckiem. Jest damą, arystokratką i nie pozwoli pierwszemu lepszemu mężczyźnie, nieważne, jak irytującemu, wyprowadzić się z równowagi. Złożyła dłonie na kolanach i przyjrzała mu się ze spokojem. I wtedy dostrzegła, że coś jest nie w porządku.

– Czy pan się przebrał, czy spał w ubraniu?

Radford spojrzał na siebie. Miał na sobie swój zwykły czarny strój, jednak niebywale wygnieciony i wymięty.

– Spałem w tym – przyznał. – Byłem w Richmond. Przyjechałem konno na czas, ale zatrzymano mnie w mieszkaniu. Nie zdążyłem się już przebrać, bo musiałem pojechać jeszcze po panią.

– Konno? – zdziwiła się Clara. – Jechał pan konno? Z Richmond?

– Owszem, potrafię jeździć konno, milady.

– W wyobraźni widzę pana wyłącznie w dorożce lub pieszo – przyznała Clara. – Wydaje się pan taki… cywilizowany. Prawdziwy człowiek z miasta. Nie mogę wyobrazić sobie pana na wsi. W Richmond jest tak… zielono.

– Jest zielono i bardzo pięknie. Moi rodzice mają wspaniały widok na okolicę. Pojechałem zobaczyć się z nimi, na wypadek gdyby ktoś mnie dziś zamordował.

– Pana rodzice – powtórzyła.

– Owszem, posiadam dwoje. Z pewnością wyobrażała pani sobie, że wyskoczyłem z głowy Zeusa jak Atena. Jednak przyznaję, że jestem zwykłym śmiertelnikiem i wyskoczyłem z tradycyjnego miejsca. Posiadam klasyczny zestaw przodków, po jednym z każdej płci, żyjących w radości i względnym zdrowiu w sielankowym Richmond.

– Oczywiście. Ciotka Dora mówiła mi, że pana ojciec przeszedł na emeryturę. – Zawiesiła głos. – Powiedział pan, że we względnym zdrowiu. Mam nadzieję, że nic im nie dolega.

– Mój ojciec ożenił się późno. Ma już osiemdziesiąt lat i jest… kruchy.

Być może miała wybujałą wyobraźnię, jednak zdawało jej się, że w głosie Radforda zadrgał ból i troska. Serce się w niej ścisnęło. Chciała pochylić się i złapać go za rękę. Nie drgnęła. Choć prawie go nie znała, czuła, że nie przyjąłby gestów, które uznałby za litość czy nawet współczucie.

– I założył pan, że jego zdrowie ulegnie poprawie, gdy powie mu pan, że zamierza ryzykować życie dla ulicznika? – zapytała lekkim tonem.

Radford się roześmiał.

– Wiedziałem, że to poprawi mu humor. Sam nie może się już angażować w takie awantury. W jego czasach nie było nawet policji. Londyn wydawał się znacznie mniejszym miastem, za to mniej powściągliwym. Wiem, że wybrał karierę prawną, bo tylko to pozwalało mu w pełni wykorzystać możliwości intelektu. Ani kariera wojskowa, ani kościelna nie przyniosłyby mu satysfakcji. Jako dżentelmen nie mógł wstąpić do miejskiej straży ani zostać detektywem.

Radford opowiedział jej o zmianach, które zaszły w zawodzie prawnika od czasów, gdy pracował w nim jego ojciec. W sądzie coraz częściej występowali adwokaci i oskarżyciele zamiast poszkodowanych i oskarżonych. Powołano policję miejską. Zmieniono kodeks.

– Dlaczego pani nie śpi? Osiągnąłem już wyżyny nudnego wykładu, a pani nawet nie ziewnęła, mimo że wykradłem jej całe pół godziny snu.

– Usiłował mnie pan uśpić? – zdziwiła się. – Żebym przespała największą awanturę? Nie ma szans. Nie pamiętam, kiedy byłam równie podekscytowana.

– Nie wierzę, że pani życie jest tak bezbarwne.

Nuda nie była problemem. Clara nienawidziła uczucia, że się dusi. I nie znosiła rozpaczy.

Wyjrzała przez okno.

– Trudno w to uwierzyć, chyba że nagle doświadczy się czegoś odmiennego. Zdawało mi się, że wiodę spokojne, przyjemne życie, lecz pewnego dnia zobaczyłam, jak ten wstrętny chłopak próbuje zmusić Bridget, żeby z nim poszła.

To się stało dzień po jej urodzinach. Miała poczucie, że przeszła spokojnie tysiące mil i nagle stanęła na rozdrożu. Do tamtej pory szła bezmyślnie główną drogą. Właściwie królewską aleją. Tamto zdarzenie zmusiło ją do zatrzymania się i spojrzenia na inne ścieżki.

Dopóki nie powiedziała tego na głos, nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Nawet teraz nie była pewna, czy w pełni rozumie istotę tej przemiany. Czuła jednak, że jej życie, jej widzenie świata bezpowrotnie się zmieniło.

– Miejmy nadzieję, że dziś go schwytamy – powiedział Radford. – Nie chciałbym, żeby błąkał się po mieście z urazą w sercu, planując zemstę. A skoro o tym mowa, muszę omówić z panią jeszcze kilka spraw, których nie mogłem poruszyć podczas wczorajszej rozmowy ze względu na obecność osób trzecich.

– Nie przypominam sobie żadnej rozmowy – stwierdziła Clara. – Pamiętam, że mówił mi pan, co mam robić, i żądał trzymania języka za zębami. Pamiętam też, że pan Westcott miał rozmaite obiekcje, które pan oddalał.

– Czy zamierza mi pani przez całą drogę wytykać wady charakteru? Bo jeśli nie jest pani zainteresowana szczegółami obławy, wolę się w ciszy przygotować na śmierć, upokorzenie lub, co gorsza, dramatyczny koniec świetnie zapowiadającej się kariery prawniczej.

Odwróciła się od okna, założyła ręce na piersiach i spojrzała mu w oczy.

– Świetnie – wycedziła. – Uwielbiam sceny.

* * *

Kamienica wcisnęła się pomiędzy podobne, na wpół zrujnowane budynki, pośrodku wyboistej uliczki odchodzącej od Drury Lane. Okolica nie wyglądała zachęcająco. Na parterze kamienicy znajdowała się odrapana witryna jakiegoś sklepu. Światło poranka nie przebijało się przez brudne, zachlapane szyby. Stojące na wystawie przedmioty mogły być meblami,

używanymi ubraniami, a nawet trumnami, nie sposób było to stwierdzić. Obok mieścił się sklep z porcelaną. Tak twierdził szyld, gdyż wystawa była równie brudna. Nie licząc jaskrawo odmalowanego frontu lombardu, sklepy zdawały się prowadzić tu działalność anonimowo i dyskretnie. Prawdopodobnie okoliczni mieszkańcy wiedzieli, co się kryje za brudnymi witrynami. Podobnie jak wiedzieli, kto rezyduje za równie brudnymi oknami na piętrze.

Radford zauważył, że lady Clara zerka na zegarek.

– Policja za chwilę przybędzie – uspokoił ją.

Doświadczony i ostrożny dorożkarz mógłby od biedy przecisnąć się przez wąski zaułek. Powożący czarnym furgonem sierżant udawał jednak, że utknął u wylotu alejki. Tymczasem szeroki wóz zablokował drugi jej koniec.

Radford miał nadzieję, że Stokes i jego ludzie pojawią się, zanim ktoś zauważy blokadę i podniesie alarm.

Wyjrzał przez okienko dorożki i zauważył policjanta skradającego się chyłkiem pod ścianą budynków. Inni zapewne okrążali kamienicę z tyłu, żeby odciąć drogę ucieczki przez podwórze. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Siedzenie w dorożce było trudne do zniesienia. Chciał być z nimi. Chciał dowodzić tą obławą.

Ale to byłoby niestosowne. Jego miejsce było na sali sądowej.

A lady Clara powinna tańczyć na balu albo przyjmować w bawialni, roztaczając blask swej urody i dowcipu. Kruk rozumiał jej położenie. Wiedział, że czuje się jak w klatce. Wiedział także, że lady Clara nie należy do jego świata. Nawet w najlepszej swej wersji nie był on ani piękny, ani dobry.

– Już są – szepnął. – Miejmy nadzieję, że żaden się nie wymknie.

Pochyliła się i wyjrzała przez okienko. Ubrała się tak, jak polecił, w stylu podstarzałej nauczycielki. Surowy czepek i skromna, ciemna suknia ze stójką, wąskimi rękawami i rzędem prostych guzików. Ani jeden strzępek koronki czy rąbek jedwabiu nie łagodziły sztywnego stroju. Nawet zegarek był prosty i praktyczny.

Ubrała się, jak kazał, więc tylko do siebie mógł mieć pretensje o to, że żadne frymuśne wymysły krawcowych nie odwracają uwagi od

oszałamiającego kształtu jej ciała. Nic nie kryło łagodnych, smukłych linii jej figury.

Pachniała świeżą zielenią. Ten zapach przypomniał Krukowi pełen spokoju rozległy widok z okien biblioteki ojca. Pachniała też sobą, a to z kolei wywołało w jego wyobraźni znacznie bardziej niepokojące wizje.

Jej twarz znajdowała się tak blisko. Niemal mógł sięgnąć wargami jej ust. Podświadomość wysyłała mu coraz silniejsze impulsy. Radford zepchnął je w mrok i odsunął się odrobinę od zapachu Clary, jej jedwabistej skóry i miękkich warg.

– Obyśmy odzyskali Toby’ego w jednym kawałku – szepnęła z niepokojem. – Och, nie. Co się dzieje?

Drobny, zwinny jak małpka chłopiec wyślizgnął się przez okno i spełzł na ulicę po fasadzie kamienicy.

– Cholera – mruknął Radford. – Usłyszeli, jak nasi nadchodzą.

Kolejny chłopiec wylazł przez okno. Po chwili dwaj następni wypadli z bramy obok.

– Uciekają! – wykrzyknęła Clara. – Nie możemy ich zatrzymać?

– Cierpliwości – powiedział, choć miał przeczucie, że plan właśnie wziął w łeb. – Pierwszą rzeczą, jakiej uczą się ci chłopcy, jest jak najprędzej uciekać. Dlatego zablokowaliśmy uliczkę i mamy tylu ludzi na zewnątrz. Jeden czy dwóch na pewno się wymknie, ale nie wszyscy.

Chłopcy wciąż wysypywali się z kamienicy. Musiała się ich tam gnieździć cała masa, gdyż nie przestawali wypływać wartką falą z bramy i z okien, jak szczury opuszczające tonący statek. Nie byli jednak w stanie przecisnąć się obok furgonu ani przeskoczyć ponad nim, zawracali więc i próbowali uciec inną drogą. Niektórzy łomotali do drzwi sąsiednich domów, inni usiłowali bić się z policjantami. Ponad ich krzyki i przekleństwa nagle zaczął się wybijać jednostajny wrzask. Z głębi uliczki dobiegał chór młodych, podekscytowanych głosów.

– Co się stało? – spytała lady Clara.

– Nie wiem.

Radford otworzył okienko.

– Proszę się cofnąć. Nikt nie może pani zobaczyć. Naprawdę… – urwał, widząc, co się dzieje. Wstał i wyskoczył z dorożki. – Proszę tu zostać.

– Panie Radford!

Kruk nie słuchał. Biegł w głąb uliczki ze wzrokiem utkwionym w postaci przemieszczającej się zwinnie po dachu kamienicy. Chłopcy przestali uciekać i stali, gapiąc się na Szczypiora i głośno mu kibicując. Z kapeluszem zawadiacko przechylonym na bok przeskoczył właśnie na dach sąsiedniego budynku. Ten był bardziej stromy i Szczypior ześlizgnął się dwa razy, zdołał jednak chwycić się czegoś i podciągnąć. Na dachu oblężonej kamienicy pojawił się policjant. Coś na pewno poszło nie tak. Jeden z ludzi Stokesa miał od razu obstawić wyjście na dach, a jednak Szczypior zdołał tamtędy uciec.

– Nie masz dokąd uciekać! – krzyknął policjant. – Poddaj się!

Radford biegł chodnikiem, w krok za biegnącym po dachu chłopakiem.

– Zwiewaj, Szczypior! – krzyknął jakiś chłopak. – Pokaż im!

– Nie daj się złapać!

– Pokaż im!

Banda chłopaków zaczęła krzyczeć.

Szczypior podciągnął się po odrapanym kominie na szczyt dachu. Radford domyślił się, że na wypadek obławy już wcześniej powiązali sznury na kominach. Jednak Freame raczej nie dałby rady uciekać w ten sposób.

Nikt już nie spał. Mieszkańcy okolicznych budynków wyglądali przez okna, pokrzykując.

– Złapał równowagę!

– Nie złapią go!

– O, tam jest, za kominem!

– Wraca!

– Oszalał?! Gdzie on lezie?

Radford biegł, czując narastający niepokój.

Widział, jak Szczypior ominął komin, stanął na szczycie i zaczął zjeżdżać po drugiej stronie. Wypuścił linę, chwycił wystającą krawędź dachu i zawisł tam na chwilę, próbując odzyskać równowagę. Policjant ostrożnie, lecz nieubłaganie szedł ku niemu.

– Idzie po ciebie! Zwiewaj, Szczypior!

Chłopak zjechał na sam dół stromego dachu, przeskoczył na następny i prędko przebiegł po szczycie budynku. Dopiero wtedy zatrzymał się raptownie. Pomiędzy nim a kolejną kamienicą ziała szeroka dziura.

Budynki pochyliły się w przeciwnych kierunkach, tworząc szczelinę. Co gorsza, kolejny dach był wyżej niż ten, na którym stał Szczypior.

– Daj spokój, nie masz skrzydeł! – krzyknął Radford.

– To ty, Kruku? – odkrzyknął chłopak i wybuchnął śmiechem. – Przyleć na swoich i mnie złap!

– Wiej! – wrzeszczeli chłopcy. – Dasz radę!

– Leć, Szczypior, leć!

Szczypior jeszcze bardziej przekrzywił kapelusz.

– Lecę! – krzyknął.

Zrobił kilka kroków do tyłu, żeby móc się rozpędzić. Policjant już ześlizgiwał się ze stromego dachu.

– Stój tam! – krzyknął.

– Nie mam zamiaru – parsknął Szczypior.

– Nie rób głupstw! – Nie wytrzymał Radford. – Masz za krótkie nogi!

– Akurat. Patrz, jak lecę, Kruku. Patrz!

Szczypior zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Policjant podbiegł do niego i już miał go złapać, lecz chłopak puścił się pędem ku przepaści. Skoczył i chwycił się krawędzi następnego dachu. Chłopcy, stojący w ciszy w chwili skoku, zawyli i zaczęli klaskać. Szczypior wisiał i majtał nogami, usiłując się podciągnąć. Zarzucił jedną nogę na dach, przytrzymał się przez chwilę, po czym z przenikliwym krzykiem zsunął się i runął na chodnik.

* * *

Clara słyszała chóralne krzyki, nagłą ciszę, dziki wrzask i znów ciszę. Wyjrzała dyskretnie i zobaczyła Radforda w głębi uliczki, otoczonego pobladłymi chłopcami. Policjant zaganiał milczące dzieci w stronę furgonu. Zadaniem Clary było wyłowienie z tłumu Toby’ego, ale nie udało jej się go dostrzec.

Opuściła rondo czepka na czoło i wyskoczyła z dorożki.

Kwaśny odór brudnych chłopców uderzył ją w twarz. Przez chwilę walczyła z mdłościami, ale prędko się opanowała. Nie miała czasu na fochy. Plan obławy najwyraźniej się rozsypał. Po minach chłopców widziała, że stało się coś okropnego, zwłaszcza jeśli byli tak oswojeni ze zbrodnią, jak twierdził Radford. Niektórzy szarpali się z policjantami, krzycząc i płacząc, lecz Clara nie wierzyła w ich niewinność.

– Co się stało? – zapytała najbliższego policjanta. – Co to za krzyki?

– Szczypiooor! – zawodził jakiś chłopak. – Spadł z dachu!

– Rozgniótł się na placek – zaśmiał się nieszczerze inny.

Clara z trudem opanowała dreszcze.

– To żaden z nich, madame? – zapytał policjant.

Pokręciła głową.

– Gdzie Toby? – zapytała chłopców.

– Jaki Toby? – zdziwił się teatralnie jeden.

– Nigdy o takim nie słyszałem – dodał inny.

– Spadł z dachu, razem ze Szczypiorem!

– Nie, pojechał na królewski targ po ostrygi!

Rozbrzmiały śmiechy i kolejne fantastyczne opowieści.

Clara ruszyła ku kamienicy.

– Nie powinna pani tam iść, madame – ostrzegł policjant. – Wciąż jeszcze nie wiemy, kto jest już na zewnątrz, a kto jeszcze w środku. Mają mnóstwo sprytnych kryjówek.

Gdyby rzeczywiście mieli, Szczypior nie uciekałby na dach, pomyślała Clara.

Zacisnęła dłoń na parasolce panny Davis i pewnym krokiem ruszyła przed siebie. Brama kamienicy stała otworem. Policjant chciał ją zatrzymać, ale przybrała królewską postawę swej babki i machnęła na niego parasolką. Obok przebiegł pędem jakiś ulicznik i policjant rzucił się za nim w pogoń.

Clara weszła do kamienicy. Smród niemal wywrócił jej wnętrzności. Korytarze zionęły odorem brudu i odchodów. Zatkała nos, zamrugała gwałtownie i zaczęła się wspinać po stromych schodkach.

Było tu znacznie gorzej niż w szkółce. Ciemno i strasznie. Ledwie widziała na dwa kroki i wcale nie była tym zmartwiona. Schody skrzypiały i cały budynek trzeszczał w posadach, jednak nie słyszała żadnych głosów.

Na pierwszym piętrze znalazła dwa wielkie pokoje, w obydwu ślady panicznej ucieczki. Koce i pościel walały się po podłodze, talerze leżały strzaskane, krzesło – przewrócone. Ogień na kominku prawie wygasł.

Clara wiedziała, że chłopcy niedawno wrócili z łowów. Spali do południa, potem szli rabować portfele i pranie ze sznurów. Wieczorami włamywali się do domów i zajmowali innymi zbrodniczymi sprawkami, do których należały zastraszanie i okradanie bezbronnych przechodniów. Wczesny ranek był najlepszym momentem na wyłapanie ich. Policjanci

zakładali, że chłopcy położyli się niedawno, a nagle wybudzeni będą osowiali i powolni. Clara przyznała, że nie wydali jej się ani trochę osowiali.

– Toby! – zawołała półgłosem. – Jestem znajomą Bridget! Chodź do mnie!

Cisza. Znalazła świecę i podniosła z podłogi słomkę. Odpaliła ją od zagasającego kominka i zapaliła świecę. Zajrzała za zasłony i w ciemne kąty sali, nawołując Toby'ego. Sprawdziła drugą salę. Nic.

Ze ściśniętym sercem weszła po rozchwianych schodach na drugie piętro. W pierwszym pokoju, znacznie mniejszym niż poniżej, zobaczyła kosze z różnymi metalowymi i drewnianymi przedmiotami. Z sufitu zwieszały się worki z pościelą i ubraniami. Złodziejski skarbiec, pełen dowodów zbrodniczej działalności.

– Toby! – zawołała.

Zdawało jej się, że coś usłyszała. To mógł być gołąb. Albo skrzypnięcie belki.

Trzymając wysoko świecę, weszła do drugiego pokoju.

– Toby?

Szloch. Zduszone dźwięki. Być może jakieś słowa, ale trudne do zrozumienia.

– Toby, gdzie jesteś? Jestem znajomą Bridget, na pewno mnie pamiętasz.

Jęk i kaszel.

Clara poszła w kierunku stłumionych odgłosów. Dochodziły spod sterty odrażających łachmanów.

Kiedy podeszła, sterta się poruszyła.

– Toby?

– Pomocy. Nie mogę uciekać. Jestem chory…

Uklękła, żeby odsłonić szmaty. Chłopiec leżał zwinięty w kłębek, dygocząc.

– Toby…

– Zostawili mnie – zaskrzeczał. – Czy ja umrę?

* * *

Mniejsi chłopcy otoczyli ciało Szczypiora, płacząc i pociągając nosami. Któryś ze starszych wpadł na lepszy pomysł i zaczął krzyczeć:

– Mordercy! Zabiliście biednego chłopaka!

Wspaniale. Tego im było trzeba. Męczennika.

Chłopcy zaczęli krzyczeć, po chwili dołączyli się do nich ludzie wyglądający z okien. W stronę policjantów poleciały śmieci, ale Radford cieszył się, że nie kamienie. Policjanci niewzruszenie wyłapywali chłopców z uliczki. Byli przyzwyczajeni do takich dowodów uznania dla swej pracy.

Sam Stokes wyszedł zza węgła bez Freame'a. Oznaczało to, że szef gangu znów się wymknął. Kamienna twarz inspektora nie wyrażała niczego. Ani rozczarowania, ani frustracji. Ze zwykłym sobie spokojem rozpłynął się w tłumie. Radford zostawił ciało Szczypiora policji i ruszył w stronę dorożki. Już z daleka zobaczył, że drzwiczki archaicznego powozu stoją otworem.

– Gdzie ona jest? – krzyknął z rozdrażnieniem.

Policjant pokazał palcem na kamienicę.

– Tam poszła, sir. Nie byłem w stanie jej powstrzymać. Nie bez użycia siły.

– Była uzbrojona w parasol! Nie jesteś w stanie powstrzymać kobiety z parasolką?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł do kryjówki Freame'a.

– Claro! Mam szczerą nadzieję, że cię tu nie ma! Claro!

Spojrzał na schody, zaciskając zęby. Stare domy w odrażających zaułkach Londynu wiecznie groziły zawaleniem. W zeszłym tygodniu cztery osoby zginęły w gruzach.

Freame chętnie ryzykował życie chłopców. Zawsze mógł zwerbować nowych. Ale nie ukryłby najcenniejszych łupów w takiej ruinie. Z całą pewnością była to wylęgarnia wszelkich chorób. Cholery i gruźlicy. I wszystkich innych. Nie wspominając o szczurach i robactwie. Ściany były wilgotne i wszędzie unosił się kwaśny odór nieczystości.

Kto wie, czy w ciemnych kątach nie czaili się jeszcze jacyś młodociani nożownicy.

Nie, dość tego. To tylko rozszalała podświadomość, która wpadła w panikę. Radford wziął się w garść i jak burza wbiegł po schodach.

– Powiedziałem wyraźnie: „zostań" – mamrotał ze złością. – Niech tylko cię dostanę w swoje ręce, milady, pożałujesz, że nie zostałaś w domu z robótką i zalotnikami.

Gdy zajrzał do pierwszej sali, usłyszał dobiegający z góry dźwięk. Lekkie kroki i skrzypienie desek. Szelest halek.

Spojrzał w górę. Lady Clara podeszła do rachitycznej poręczy.

– Nie opieraj się o to! – krzyknął. – Nawet tego nie dotykaj!

Zrobiła krok do tyłu.

– Wreszcie pan jest! – westchnęła.

Najwyraźniej nic się jej nie stało. Zanim odetchnął z ulgą, powiedziała:

– Prędko, panie Radford, proszę. Toby jest chory, musi mi pan pomóc go przenieść.

Radford zaklął soczyście, wbiegł po schodach i wpadł do ciemnego pokoju.

Uklęknął przy chłopcu, dotknął rozpalonego czoła i zmierzył puls. Usłyszał za sobą skrzypienie podłogi.

– Proszę się nie zbliżać – mruknął. – Myślę, że to zwykłe przeziębienie, ale wolę nie ryzykować. Niechże się pani choć raz na coś przyda. Proszę przynieść najczystsze koce lub poszwy, jakie zdoła pani znaleźć. Nie powinno to być trudne. – Rozejrzał się. – Nakradli tego na furgony.

Nawet nie próbowała się z nim sprzeczać. Wyszła i po chwili wróciła z naręczem prześcieradeł. Kruk wyłuskał durnego brata Bridget z ohydnych szmat i owinął go całego w czystą pościel. Chwycił chłopaka w ramiona i wstał. Smarkacz prawie nic nie ważył.

– Proszę prowadzić – powiedział. – I uwaga na gwoździe wystające ze schodów! Cokolwiek wmawiają nam lekarze, zakażenie może być śmiertelne.

* * *

Radford niósł chłopca z wielką troską i delikatnością. Jednocześnie nie przestawał zrzędzić za jej plecami.

Miała zostać w powozie. Obiecała, że zrobi wszystko, co jej Radford powie. I złamała tę obietnicę. Nie powinno go to zaskakiwać. I nie czuje się zaskoczony. Ani trochę. Zaufał jej i to było idiotyczne z jego strony. Jak mógł być tak naiwny? Jak każda rozpieszczona panienka z wyższych sfer dbała wyłącznie o siebie. Może sobie ryzykować własne życie, nic mu do tego, ale niech robi to z dala od niego. Nie ma prawa narażać jego kariery i reputacji! Gdyby ktoś poderżnął jej gardło, bo miała kaprys wałęsać się po

tej ruinie, byłby skończony! Miałby szczęście, gdyby pozwolili mu być prawnikiem w Mongolii.

W korytarzu na parterze minęli policjantów udających się na górę. Radford przerwał na chwilę potok wyrzutów, by poinformować, gdzie znajduje się sala z łupami.

– Żadnych śladów Freame’a? – zapytał policjant. – Zdławiacza też nie znaleźliśmy.

Pan Radford podsunął im kilka miejsc nadających się na kryjówki. Kominki. Szafy z drugim dnem. Kosze z pościelą.

Clara odniosła wrażenie, że zaledwie omiótł sale spojrzeniem, a jednak zapamiętał wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Zauważył przynajmniej tuzin rzeczy, których ona nie dostrzegła. Ale ona była skupiona na poszukiwaniu Toby’ego.

– Na pewno jeszcze kilku się tu ukrywa, ale wątpię, żebyście znaleźli Freame’a – dodał. – Nawet jeśli tu był, kiedy przyjechaliśmy, na pewno czmychnął, gdy Szczypior skupił na sobie całą naszą uwagę.

Dopiero w tej chwili Clara zrozumiała, jak szaleńczo ryzykowała i dlaczego pan Radford tak się wścieka. Dom wcale nie musiał być pusty, gdy do niego weszła. Jeden chłopak wspiął się na dach, ale inni mogli się pochować. Freame mógł tu być! I jakiś Zdławiacz. Kiedy policjanci ścigali uciekających chłopców, najgorsze zbiry mogły czaić się za workami z pościelą, czekając na dobry moment na ucieczkę.

Gdyby ją złapali, byłaby świetną zakładniczką.

Wyobraźnia usłużnie podsunęła Clarze wizję, co mogłoby wydarzyć się później. I potem. I jeszcze później. W panice chwyciła za poręcz, krew odpłynęła jej z twarzy.

– Niech się pani nie waży teraz mdleć – wycedził Radford. – I ręce precz od tej brudnej poręczy! Wbije się pani drzazga. Czy pani w ogóle myśli? Chce się pani nabawić infekcji? Dlaczego muszę pani wszystko tłumaczyć?!

Krew znów zaczęła w niej krążyć. Przez chwilę miała szczerą chęć stłuc go parasolką panny Davis. Ale może później. Kiedy nie będzie miał na rękach chorego dziecka.

Rozzłościł ją jednak na tyle, że nie zemdlała.

* * *

Niemal schwytali Jacoba Freame’a.

Przyjechał w środku nocy, żeby obejrzeć łupy swoich najlepszych chłopców. Dowiedział się, że jeden z nowych jest chory. Jakby tego było mało, szybko ustalił, kim szczeniak jest naprawdę. Obudził Szczypiora i stłukł go przykładnie za mieszanie spraw osobistych i zawodowych. Zastanawiał się dłuższą chwilę, jak się pozbyć chorego smarkacza, i nie zauważył, że zaułek dziwnie przycichł. Zanim odezwał się w nim instynkt, policja zablokowała już wyloty alejki, otoczyła dom i wpadła przez bramę.

Freame wysłał Szczypiora na dach, tłumacząc, że inni chłopcy mogą wpaść, ale nie on. Na nim zależy mu najbardziej. W istocie chciał w ten sposób odwrócić uwagę policji. Gdy wszyscy rzucili się za chłopcami i uganiali za Szczypiorem, Freame wyślizgnął się przez zamaskowane drzwi do sąsiedniej kamienicy.

Przykucnął za ladą sklepu z porcelaną i czekał, aż tumult ucichnie. Nie widział zbyt wiele, ale usłyszał ciekawe rzeczy.

Kobiecy głos nawoływał Toby’ego. Mówiła z akcentem z wyższych sfer.

Kruk wrzeszczał: „Claro!”.

Freame nie wierzył w zbiegi okoliczności. Prawdę mówiąc, wierzył w niewiele rzeczy. Umiał za to dodać dwa do dwóch. Arystokratka, która szukała Toby’ego, i wysoka dama, która stłukła Szczypiora za zaczepianie jego siostry, musiała być tą samą Clarą, której szuka Kruk.

Freame zawsze uczył chłopców, że nie należy mieszać spraw prywatnych i zawodowych. Ale oni byli durniami, on sam zaś cieszył się sławą sprytnego łajdaka. Sprytny łajdak potrafi wyważyć przyszłe zyski i ryzyko, które musi podjąć.

Freame od dziecka zajmował się podejmowaniem ryzyka. I nie dbał o to, w jaki sposób wykończy Kruka, byle tylko zdołał go dopaść. Szczypiora już nie ma, ale Zdławiacz nie wpadł w ręce policji. Dadzą radę Radfordowi.

Freame wyszczerzył zęby.

Jeśli Długa Tyczka Szczypiora doprowadzi ich do Kruka, będzie tylko więcej zabawy.

Rozdział 7

PRAWNIK – 2. kieruje się zasadami, które są fundamentem zawodu. Jako że naturą człowieka jest błądzić, prawnik dąży do odkrycia prawdy. Tak w sobie, jak i w otaczającym go świecie.
„Jurysta”, vol. 3 (1832)

Radford oddał chłopca pod opiekę strażnika miejskiego z wyraźnym wskazaniem, by odwieźć go do Szpitala Świętego Bartłomieja. W odróżnieniu od innych szpitali, które miały wyznaczone dni przyjmowania pacjentów, Święty Bartłomiej przyjmował o każdej porze dnia i nocy. Strażnik miał jeszcze dopilnować, by chłopca nie odwiedzał nikt poza siostrą i matką.

Kruk wolałby zająć się tym osobiście, bał się jednak spuścić z oczu lady Clarę, a chciał, by trzymała się jak najdalej od chorego dziecka. W innym wypadku sami zawieźliby biedaka do szpitala.

Opowiedział jej o tym, gdy wsiadł do dorożki, by odwieźć ją bezpiecznie do domu.

– Wiem, że postąpiłam nierozważnie – odezwała się, gdy dorożka ruszyła z chrzęstem. – Ale nie mogłam go tam zostawić. Trząsł się z gorączki i strachu.

Radford spojrzał na jej piękną twarz. Siedziała sztywno, wpatrując się w okno i ściskając dłonie na kolanach. Przypomniał sobie, co ojciec powiedział mu o kobietach. A może była to matka?

Rozum Radforda stoczył krótką i zaciekłą walkę z uczuciami.

– Była pani bardzo odważna – powiedział.

Odwróciła się gwałtownie, blednąc jak ściana.

Radford zmartwiał.

– Ma pani mdłości? – zapytał. – W skrytce rzezimieszków miała pani znacznie lepsze powody i doskonałą okazję. – Podniósł rękę i powąchał

rękaw płaszcza, czując odór kamienicy. – Czy to ja?

– To pan – odparła. – Powiedział mi pan coś, co brzmiało jak pochwała.

– Mógłbym równie żarliwie zapewnić panią, że był to czyn nad wyraz głupi i godny nagany, ale powiedziałem to już tyle razy, że temat zaczął mnie nudzić.

– Nie czułam się odważna – rzekła. – Byłam przerażona i obrzydzona do mdłości.

– Mimo to zrobiła to pani.

– Nie jestem pewna, czy zdobyłabym się na to, gdyby chodziło o anonimowego ulicznika – przyznała. – Jednak to był brat znajomej dziewczyny. Ciężko pracującej, zdeterminowanej i skrzywdzonej. Chciałam jej pomóc. A gdyby to jeden z moich braci wpakował się w kłopoty? Czemu mówię: „A jeśli”? Przecież oni ciągle pakują się w kłopoty i ratują się nawzajem. – Westchnęła. – Mnie również uratowali.

Radford przypomniał sobie Clarę. Gdy była mała, rzuciła się na Bernarda jak dzika kotka.

– Ale jest pani dziewczyną – powiedział z uśmiechem. – Biorąc pod uwagę pani pochodzenie i wychowanie, był to czyn heroiczny. Mówię to jako adwokat. Jako prokurator chętnie sporządzę listę porażających dowodów pani chwilowego szaleństwa. Nawet ja zastanowiłbym się kilka razy przed wejściem do tego domu. Różnimy się od tych dzieci, lady Claro. Jesteśmy inni.

– My… – powtórzyła w zamyśleniu.

– Owszem – potwierdził. – Wbrew pozorom wychowano mnie na dżentelmena. Szczerze przyznaję, że wszedłszy tam, niemal straciłem śniadanie. Nie wierzę, że Freame chciałby mieszkać w takiej ruinie. Daniel Prior upierał się przy tym, jednak czy chłopcy mogą za to zaręczyć? Freame może mieszkać w jakimś burdelu albo jaskini hazardu. Jednak woli umieszczać bandy chłopaków w osobnych domach, w pobliżu zaufanych miejsc, w których może sprzedawać swe łupy.

– Lombard na rogu?

– Najprawdopodobniej.

Znów odwróciła się do okna. Było nad podziw czyste, Radford postarał się o to. Dopilnował także, by woźnica wyczyścił wnętrze dorożki.

W porannym świetle jej cera nabierała perłowego połysku, wciąż jednak była blada. Przesunął wzrokiem po rzędzie surowych metalowych guzików

do dłoni ciasno splecionych na podołku. Rękawiczki miała brudne i wystrzępione.

Była bardzo dzielna. Któraż młoda panienka z dobrego domu zdobyłaby się na to, czego dokonała Clara? Teraz jednak podekscytowanie obławą opadło i zobaczyła wszystko w przerażająco jasnym świetle, ze wstrętnymi szczegółami. Dlatego jest taka blada.

Kruk tłumaczył sobie, że Clara jest uparta ponad wszelką miarę i że jedynie tak szokujące lekcje są w stanie do niej dotrzeć. W tym samym czasie komponował w duchu kojące przemowy. Zanim jednak otworzył usta, dorożka zwolniła. Wyjrzał przez okno.

– Bedford Street – powiedział. – Tu wysiadamy i przesiadamy się do innego pojazdu. To, że ja byłem na obławie, nie jest niczym szczególnym, jednak policja nie wie, kim pani jest, i wolałbym, żeby tak zostało.

Wysiedli i zatrzymali inną dorożkę. Potem przesiedli się jeszcze raz, Radford zaś wyznaczał woźnicom okrężne trasy. Wreszcie wsiedli do ostatniej dorożki i zaczęli zmierzać ku domowi.

Podróżowali w ciszy.

Clara zatopiła się w rozważaniach. Radford także miał się nad czym zastanawiać, jednak odpychał od siebie natrętne myśli, gdyż – jak powiedział o świcie Westcottowi – nie jest w stanie być w dwóch miejscach jednocześnie i nie odwoła obławy, którą sam zorganizował. Gdy odda lady Clarę na łono rodziny, będzie miał mnóstwo czasu na spotkanie z kuzynem Bernardem.

To będzie koniec ich małego śledztwa. On sam wróci do swego świata, lady Clara zaś do swego i nigdy więcej się nie zobaczą. Podświadomość koniecznie chciała się dowiedzieć, dlaczego tak ma się to zakończyć, i wdał się z nią w żarliwą dyskusję, gdy lady Clara odezwała się nagle:

– Mam nadzieję, że Toby wyzdrowieje.

– Oczywiście. Objawy nie były niepokojące. Gdyby miał prawdziwy dom, nie wysłałbym go nawet do szpitala.

– Niełatwo leczyć chore dzieci biedaków, prawda? – zapytała. – Jeśli rodzina nie może się nimi opiekować, jakiś łaskawy człowiek musi się nimi zająć. W innym wypadku idą do pracy albo trafiają do ochronki, jak u Grumleya. – Ścisnęła skronie palcami. – To straszne, panie Radford. Jestem przybita i poruszona.

– Miałem taką nadzieję – odparł. Chciał wziąć ją za rękę i przytulić. Ale był to bardzo głupi pomysł, zresztą czułość nigdy nie była jego mocną stroną.

– Jakiś chłopak mówił, że Szczypior spadł z dachu – powiedziała. – Dlatego tak nagle pobiegł pan w ten zaułek?

– Miałem nadzieję, że przeżyje. Oczywiście byłby na pewno bardzo poturbowany. Jednak zginął na miejscu. Nie będzie się więcej naprzykrzał ani Bridget, ani nikomu innemu. Wykpił się od szubienicy. I nie piśnie już ani słowa. Freame ma powód do radości.

– Myśli pan, że go do tego nakłonił? – spytała. – Do wyjścia na dach?

– Owszem. Nie musiał go pewnie długo namawiać. Szczypior zawsze uwielbiał się popisywać.

Westchnęła.

– Nie wiem, jak pan to robi – wyznała. – Jak pan zachowuje równowagę i rozsądek. Tyle biedy i cierpienia!

– Na co dzień nie spędzam zbyt wiele czasu wśród biedaków. Owszem, mam wśród nich kilku informatorów, bo czasem występuję w obronie policji. Jednak, jak pani wspomniałem, większość moich spraw jest nudna i błaha. Dostaję sprawę, wczytuję się w przepisy, idę na rozprawę i koniec. Sprawa Grumleya była niechlubnym wyjątkiem.

Spojrzała mu w oczy.

– Przeze mnie wplątał się pan w gangsterskie porachunki.

– Nie dała mi pani wyboru. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, ruszy pani na odsiecz sama.

* * *

To nie był jedyny powód. Nie był nawet główny. Tego dnia, gdy spotkali się w ogródku Stowarzyszenia… Każdy mężczyzna powiedziałby, że lady Clara rzuciła na niego czar. Ale to była tylko metafora.

Patrzył na nią jak urzeczony, gdy szła wąską ścieżką, cała w organzie i koronkach, z kwiatami i źdźbłami eksplodującymi z jej kapelusza jak fajerwerki.

Patrzył, jak idzie i wszystko wokół niej wiruje i trzepocze, a jednak nie jest pustogłową panienką i potrafi zgrabnie podsumować jego strategię

sądową, której nie pojął nawet prawnik Grumleya – dopóki nie było za późno.

– Sama bym nie poszła – stwierdziła. – Nie jestem aż tak szalona. Ale pewnie dręczyłabym kogoś innego.

Podświadomość podpowiedziała mu, że kimkolwiek byłby jej inny pomocnik, należałoby wyrzucić go przez okno. Rozsądny Radford odrzekł:

– Skupiłem się na pozytywach. Miałem okazję schwytać Freame'a. To nie zmieni świata ani nawet dzielnicy. Jego miejsce niebawem zająłby inny gang. Tego gatunku nie da się wyplenić. Jednak Freame jest szczególnie zainteresowany zamordowaniem mnie, a to motywuje mnie do działań przeciwko niemu. Nie uznaje mnie za godnego przeciwnika, chowa w sercu urazy. Ale to kryminalista, lady Claro. Niezbyt bystry. Widzi świat na swój zdegenerowany sposób.

Odwróciła wzrok.

– To tak jak ja. Dopóki nie odwiedziłam szkółki, nie wiedziałam nawet, jak mały i cukierkowy jest mój światek. Dzisiejszy poranek dał mi jeszcze więcej do myślenia.

– Nie potrzebowała pani tych lekcji.

– Zapewne mogłabym żyć bez tej wiedzy – przyznała. – Jednak dowiedziałam się między innymi, że uratowanie Toby'ego to dopiero początek. Trzeba znaleźć mu miejsce w życiu. Trzeba to zrobić prędko. Trzeba go potem pilnować. Przecież nie zostanie moją pokojówką.

W pierwszej chwili słowa Clary nie dotarły do Radforda. Był zbyt oszołomiony wrażeniem, że prowadzą racjonalną, spokojną rozmowę. Jakby rozmawiał z… przyjacielem. Jakby rozmawiał z Westcottem, tylko o wiele ładniejszym. Ale lady Clara nie była jego przyjaciółką. Była za to niezwykle inteligentną, bystrą i upartą kobietą. Zwariowaną kobietą.

– Czy odwołałem się wcześniej do pani chwilowego szaleństwa? – Radford odchrząknął. – Wysoki Sądzie, szanowni ławnicy i świadkowie, pozwólcie mi przyznać się do ogromnego błędu. Oskarżona nie cierpi na chwilowe szaleństwo. Jest to u niej stan chroniczny.

Spoczęło na nim zdumione spojrzenie błękitnych oczu.

– Co pana ugryzło?

– Nie będzie pani szukała miejsca dla Toby'ego. Nie będzie pani miała z nim nigdy więcej do czynienia. Nawet na milę nie zbliży się pani do tego chłopaka!

– Obiecałam Bridget, że znajdę mu pracę w jakimś zakładzie – odrzekła cierpliwie. – Co w tym złego, u licha?! Porozmawiam z nauczycielkami ze Stowarzyszenia, może znajdziemy mu jakiś kąt w okolicy. Na pewno dobrze mi poradzą.

Spojrzał w jej wielkie, niewinne oczy i miał szczerą chęć potrząsnąć ją za ramiona. Już otworzył usta, by oznajmić jej, że jest idiotką… *Cierpliwości* – napomniał się w duchu. Jest naiwna i młoda, to wszystko.

Cierpliwość nie była jednak jego mocną stroną. Zacisnął zęby i pięści, po czym zdobył się na heroiczny akt powściągliwości.

– Nie – wycedził.

Zmarszczyła brwi.

– To fatalny pomysł – dodał. – Nie może pani wciągać nauczycielek w problemy rodzinne Bridget. Będzie miała z tego powodu kłopoty w szkole. Dziewczynki uznają, że jest faworyzowana, a tego nigdy nie puszczają płazem. Zrobią jej z życia piekło. Nie rozumie pani tych ludzi i ich świata. Sama to pani przyznała i to tylko na podstawie kilku obserwacji. Oni nie rozumują tak jak pani, na pewno nie w tym wieku. Musi pani odciąć się od tej sprawy. Na zawsze.

– Obiecałam – powtórzyła z naciskiem.

– Proszę więc spełnić tę obietnicę w rozsądny sposób – prychnął. – Westcott bez trudu znajdzie pracę dla Toby’ego.

Jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. Był to ostateczny dowód jej niebywałej urody, wyglądała bowiem jeszcze piękniej niż zwykle.

– Nie wpadłam na to – wyznała. – Muszę być bardziej zmęczona, niż sądziłam. Nie spałam zbyt długo.

Wyobraził sobie Clarę leżącą bezsennie w panieńskim łóżku. Z natury czując potrzebę rozwiązywania wszelkich problemów, wyobraził sobie kilka sposobów, które mogłyby ułatwić jej zaśnięcie. Zakasłał.

– Proszę zatem pomyśleć teraz o sobie – podsunął. – Zastosować rozsądne wyjście z kłopotów, w które się pani wpakowała. Na przykład zniknąć ze sceny, zanim opadnie kurz. Rozsądna istota wiedziałaby, że lepiej wyjechać na jakiś czas, dopóki pewne kręgi nie zapomną, jak wygląda.

– Cóż za miła odmiana – parsknęła lady Clara. – Jest pan pierwszym mężczyzną, który twierdzi, że łatwo mnie zapomnieć.

Podświadomość oznajmiła gromko, że nigdy jej nie zapomni. Nigdy.

Ileż jeszcze do tego Kensington?

– Chłopcom z ulicy na pewno – wyjaśnił. – Mają mnóstwo atrakcyjnych przygód, jak na przykład codzienne starania, by nie umrzeć z głodu, nie dać się zabić w ciemnym zaułku lub powiesić za kradzież. Piją też do nieprzytomności. Niech pani wyjedzie na miesiąc czy dwa, a po powrocie żaden nie odróżni pani od innych wysoko urodzonych blondynek.

– Na miesiąc czy dwa – powtórzyła. – Drobiazg.

– Sześć miesięcy, a nawet na zawsze, byłoby rozsądniejszym wyborem, ale nie śmiem tego proponować.

– Przesadza pan. Jak zwykle. Domyślam się, że w sądzie nabywa się skłonności do dramatyzowania.

– Dramatyzowania!

– Proszę się postarać przemyśleć tę sprawę rozsądnie i na spokojnie – podpowiedziała. – Po pierwsze, jest mało prawdopodobne, że spotkam któregoś z tych chłopców w Almacku albo w bawialni Jej Królewskiej Miłości. Po drugie, większość z nich, jeśli nie wszyscy, udadzą się niebawem na dożywotnie wakacje w koloniach karnych na wyspie Norfolk. Po trzecie, wiedzą o mnie tylko tyle, że jestem damą, która szukała brata Bridget Coppy. Cóż w tym zdumiewającego? Wszyscy wiedzą, że damy z towarzystwa utrzymują szkołę Bridget. Że arystokratki udzielają się charytatywnie, by nie umrzeć z nudów. Wiedzą, jakie puste jest nasze życie i jak głupiejemy wśród niańczących nas rodziców i prześladujących zalotników.

Miała rację. Nie mógł zaprzeczyć.

– Coś w tym jest – wyjąkał niechętnie.

– Czyżby? – Nachyliła się ku niemu. Poczuł delikatny cień zapachu jej ciała. – Czy przyznanie tego było bolesne? Widziałam, że pan cierpi. Uwielbiam, gdy mi pan schlebia.

Oparła się i zaczęła teatralnie wachlować dłonią.

– Ale… – zaczął Radford.

– Zawsze jest jakieś „ale” – westchnęła.

– Problem w tym, że oni wiedzą, że może ich pani rozpoznać.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Jakie to naiwne z ich strony – stwierdziła. – Powszechnie wiadomo, że wysoko urodzone damy nie odróżniają jednego biedaka od drugiego. W tych brudnych łachmanach i wysmarowani sadzą wszyscy wyglądają tak

samo. Zresztą, kto by chciał się im przyglądać? To wymagałoby zbliżenia się do nich i zanurzenia się w ten potworny smród. Wszyscy wiedzą, że wolimy zostawić ich w spokoju. Niech się wyrzynają nawzajem, byleby nie zbliżali się do naszej dzielnicy.

Radford zmrużył oczy.

– Skończyła pani?

– Niezupełnie. Wszyscy wiedzą również, że dama nie pojawi się w miejscu tak odrażającym jak sala sądowa. Nigdy nie stanie przed sądem jako świadek! Równie dobrze mogłaby od razu iść na ulicę, gdyż jej reputacja w mgnieniu oka ległaby w gruzach na wieki.

Uniosła wysoko podbródek i spojrzała mu bezczelnie w oczy.

Podświadomość czuła pokusę zrobienia czegoś, co zdaniem racjonalnego Radforda jedynie pogorszyłoby sprawę.

– Doskonale – rzekł. – Niech pani robi, co się jej żywnie podoba. Nie mam czasu ani ochoty być pani niańką. Mam sprawę o pomówienie, umierającego ojca, którym chciałbym się zająć, przykry pogrzeb w Herefordshire i szalonego kuzyna, któremu będę zmuszony stawić czoło. Z całym szacunkiem i sympatią, zostawię panią pod opieką lady Exton.

Czas ruszyć własną drogą.

Stanie się to zresztą dość prędko. Gdy tylko zakończy się ich przejażdżka po Londynie.

Wyjrzał przez okno. Patrzenie na lady Clarę sprawiało mu ból. Czuł się nieszczęśliwy i targało nim pragnienie popełnienia całego szeregu głupstw, których potem by żałował. Ze zdumieniem spostrzegł, że są już niedaleko.

– Za chwilę miniemy Hyde Park – oznajmił spokojnie.

* * *

Clara miała ochotę ugryźć się w język albo wymierzyć sobie siarczysty policzek. Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy, gdyż pierwszą łatwiej było zaplanować, niż wykonać, a druga była wulgarna i mogła świadczyć o postępującym szaleństwie.

– Czy pan ma nie po kolei w głowie? – zapytała z rozpaczą. – Dlaczego pozwolił mi pan na nieuzasadnione użalanie się nad sobą? Dlaczego mi pan nic nie powiedział? Kto umarł?

Nie odpowiedział od razu. Spojrzał za okno, potem na własne ręce spoczywające bezwładnie na kolanach. Zmarszczył brwi.

– Młoda dama, niestety. Nie powinienem był mówić o tym w tak niefrasobliwy sposób.

Młoda dama.

Clara poczuła się tak jak tego dnia, gdy mimo zakazów i gróźb poszła poślizgać się po stawie, a lód załamał się pod nią i wpadła do niebywale zimnej wody. Zignorowała to uczucie, bo było idiotyczne. Przecież Radford jest młodym, bardzo przystojnym dżentelmenem, gdy pozwoli już komuś zajrzeć za zasłonę pozornej gburowatości. Kobiety od dziecka uczą się zaglądać za takie zasłony, w innym wypadku rodzaj ludzki dawno by wyginął, bo żadna nie zdecydowałaby się wyjść za mąż.

To naturalne, że w życiu Radforda występuje jakaś młoda dama. Czyżby lady Clara Fairfax uwierzyła, że jest jedyna na świecie, jak powtarzały jej zastępy durnowatych zalotników? Czyżby sądziła, że pan Radford stanie z nimi w konkury i będzie się ścigał z chmarą pustogłowych modnisiów?

Nonsens. Wiedziała, że jest najmodniejszą panną sezonu jedynie w tym roku i że stało się tak za sprawą jej stylistek. Moda nie rządzi panem Radfordem. Ma własny rozum, trzeba mu to przyznać.

W niczym nie przypominał znanych jej dżentelmenów.

– Po takim poranku? – powiedziała współczująco. – Z tyloma sprawami na głowie? Któż by oczekiwał, że będzie pan ważył każde słowo? Ja się popisuję elokwencją, a pan stracił kogoś bliskiego. Nie powinien był pan pozwolić mi tak paplać.

– Po pierwsze, przysłuchiwanie się pani było nad wyraz pouczające oraz zabawne – stwierdził Kruk. – Przy odrobinie wysiłku byłby z pani całkiem niezły adwokat, gdyby pozwolono kobietom uprawiać ten zawód. Po drugie… nie znałem jej.

Wrażenie zlodowacenia nagle ustąpiło.

– Była jednak młoda – ciągnął. – I zmarła, jestem o tym przekonany, próbując rozpaczliwie obdarzyć mego przeklętego kuzyna wymarzonym dziedzicem. Pamięta pani Bernarda? Wyszczerbiła pani ząb na jego łokciu.

Pokiwała głową. Jakże mogłaby go zapomnieć? Jej zdaniem to Bernard odpowiadał za radykalne ukrócenie jej swobody. I to przez niego całe jej życie potoczyło się tak fatalnie.

– Ciężko chorował, jeśli to panią pocieszy – powiedział Radford. – Ale przeżył i niedawno został księciem Malvern. W tej chwili, jak się zdaje, jego umysł jest przyćmiony żałobą. Bądź rozczarowaniem. Czy też jakimś innym uczuciem. Tak czy owak wpadł w histerię i zażądał, bym natychmiast się tam zjawił.

– W Herefordshire – powiedziała.

– Tak.

– Na jak długo się pan tam wybiera? – Po co pytała? Czy to ma jakiekolwiek znaczenie? Wszak powiedział już, że więcej się nie zobaczą.

– Nie wiem. Ale proszę się nie martwić, że podczas mej nieobecności sprawa Toby'ego utknie w martwym punkcie. Napiszę z Richmond do Westcotta, on znajdzie chłopcu kąt i zatrudnienie. Brak wykształcenia nie będzie problemem. W niektórych profesjach intelekt jedynie przeszkadza. Ktoś mógłby stwierdzić to samo o prawnikach, jednak z tym drobnym wyjątkiem, że my musimy czytać i pisać. Z drugiej strony, całe rzesze chłopców nie nadają się do rzemiosła. Nasz Tilsley, na przykład. Nie usiedzi ani chwili w miejscu. Doszliśmy jednak do wniosku, że zanim nauczymy go podstawowych umiejętności…

– Panie Radford – przerwała.

Spojrzał na nią chłodnymi, szarymi oczami.

– Lady Claro?

Przełknęła ślinę.

– Wygląda na to, że nigdy więcej się nie spotkamy.

– Wyjątkowo nie mogę się z panią nie zgodzić.

Zostań – chciała powiedzieć. *Nie jestem gotowa na pożegnanie.*

– W takim razie już teraz podziękuję panu za pomoc w uratowaniu brata Bridget – powiedziała.

– Lepiej nie. – Uśmiechnął się. – Cała ta misja była wbrew rozsądkowi.

– Nie wbrew mojemu. Była trudna, bolesna, szokująca i chwilami odrażająca, ale to właśnie chciałam zrobić i zrobiłam to. Nie czytałam o tym w gazecie, nie słuchałam plotek przekazywanych szeptem na sali balowej. Brałam w tym udział. Zobaczyłam kawałek świata i zrozumiałam rzeczy, których inaczej nie byłabym w stanie pojąć. I myślę, że jednak czegoś mnie to nauczyło. Będę lepszym człowiekiem.

– Ja myślę, że jest pani niepoprawną romantyczką. Uważam, że będą panią dręczyły koszmary. Że panna Davis powinna spalić każdy fatałaszek,

który ma pani teraz na sobie. Będę się zadręczał całą drogę do Richmond i jeszcze dalej za to, że nie przywiązałem pani do ławki w dorożce. Niech pani spojrzy na swoje rękawiczki!

Spojrzała. Trudno uwierzyć, że zniszczyły się w parę godzin. Zdjęła je z odrazą.

– Nawet w tym idiotycznym przebraniu, w jakim pojawiła się pani u mnie pierwszego dnia, nie była pani taka… brudna! – zagrzmiał. – Nie będzie pani od tego lepszym człowiekiem.

– Będę. I Toby też będzie.

– Oczywiście, biedny Toby. Zadziwia mnie gorliwość, z jaką dotrzymuje pani obietnic danych jego siostrze. Jest pani wszak zdumiewająco niestała w ich dotrzymywaniu. A co z obietnicami, które złożyła pani mnie? „Proszę”, powiedziała pani tak żałośnie, a ja przecież powinienem być odporny na takie błagania! I te wielkie, błękitne oczy wypełniające się łzami, i…

– Wielkie, błękitne…

– Ale nie! Jestem najwyraźniej równie głupi jak każdy modniś, który za panią biega. „Proszę, obiecuję, że zrobię wszystko, co pan każe” – to pani słowa. A ja uwierzyłem.

– Och, panie Radford… – Clara przysunęła się i nachyliła ku niemu.

– Proszę mi tu nie wzdychać – burknął. – Jest pani impulsywna i trzeba to sobie szczerze powiedzieć. Nawet wyszczerbiony ząb niczego pani nie nauczył. Mam nadzieję, że zniszczone rękawiczki okażą się jedyną dzisiejszą tragedią. Dziękować mi, też coś. Za tężec? Za zakażenie? Proszę mi podziękować za popełnianie jednego błędu za drugim! Naliczyłem ich już siedem. Nie, osiem. Błędem numer osiem było uwierzenie w pani puste obietnice. A na koniec dziewiąty, kiedy…

– Dość – powiedziała. – Proszę przestać.

Chwyciła go za poły płaszcza i zanim zdołał coś powiedzieć czy choćby pomyśleć, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Prosto w usta. Żarliwie. Rozpaczliwie. Zupełnie nie w stylu prawdziwej damy.

* * *

Błąd numer dziesięć: Clara na jego kolanach. Radford nie miał pojęcia, jak się tam znalazła, ale nie miał zamiaru żałować. Wściekał się na nią, bo

nie mógł powiedzieć tego, co myślał, nie powinien nawet myśleć o tym, o czym myślał.

Nie chciał się z nią żegnać.

Kensington było coraz bliżej i Radford miał coraz większy zamęt w głowie.

Potrzebował więcej czasu. Miał ochotę zawrócić dorożkę i kazać woźnicy jechać w siną dal. Teraz jednak trzymał Clarę w ramionach, a ona całowała go z zapamiętaniem. Mocno chwyciła go za kark, strąciła mu z głowy kapelusz i trzymała go stanowczo, jakby obawiała się, że będzie taki głupi i wyrwie się z jej uścisku. Jej pocałunki udowodniły mu, jak prędko się uczyła. I jakim był naiwnym głupcem, pokazując jej tak wiele poprzednim razem.

Wtedy oszołomiły go jedynie obiecujące możliwości i smak jej ust. Czuł na wargach jej zaskoczenie, niepewność i wstyd. I niewinność.

Teraz siała w nim spustoszenie. Jej miękkie wargi wprawiały go w drżenie, sięgały aż do serca i dudniły w żyłach. Rozsądny Kruk nie był w stanie sformułować ani jednej jasnej myśli. Nie myśląc – czuł. Upojny smak jej ust, żar jej ciała, ciężar perfekcyjnie krągłych pośladków.

Otoczył ją ramionami i zmiażdżył w uścisku. Tak idealnie pasowała do jego ciała i tak naturalnie układała się w jego dłoniach, jakby została dla niego stworzona.

Pachniała kiepską dzielnicą, jak i on, lecz nie zwracał na to uwagi. Zapach jej ciała przebijał się powoli przez ten opar, docierał do niego ciepły, naturalny aromat ziół i mydła. Otoczył jego głowę jak gęsta mgła, odcinając go od wszelkich innych bodźców. Jej zapach, jej smak i kształt jej ciała odepchnęły skutecznie wspomnienia okropnego świata, który odwiedzili o poranku. Na szczęście tylko na chwilę.

Oderwał od niej wargi i wtulił twarz w szyję Clary, by zatopić się w jej zapachu. Pocałował skrawek skóry nad sztywnym kołnierzykiem sukni. Westchnęła cicho. Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy, wplatając palce w jego włosy. Radford zadygotał. Odchylił się i spojrzał na jej nieziemsko piękną twarz. Położyła dłoń na jego oczach i przywarła wargami do jego ust.

W jej dzikim pocałunku nie wyczuwał już niewinności. Utorował sobie drogę czubkiem języka, aż rozchyliła dla niego wargi i poddała się

z jękiem. Chwyciła go za ramiona z taką siłą, jakby nie miała zamiaru go puścić. Już nigdy.

Radford prześlizgnął dłońmi po jej wyprostowanych plecach aż do talii. Suknia była surowa, ze sztywnego materiału, jak prosił. Kilka warstw halek i bielizny oddzielało jego dłonie od skóry Clary. Nawet w stanie kompletnego oszołomienia wiedział, że nie dotknie jej nagiej. Cieszył się zatem taką bliskością, jaką mogli dać sobie w toczącej się coraz wolniej dorożce.

Przesunął dłonie w górę po wciętej talii i jeszcze wyżej, obejmując piersi uwięzione w sztywnym gorsecie. Nie zastanawiał się nad niczym. Kierował nim wyłącznie instynkt. Wsunął palec pod jeden z zimnych guzików i przepchnął go przez dziurkę.

Nakryła dłonią jego dłoń i oderwała wargi od jego ust.

Radford starał się opanować. Nagle dotarło do niego, jak bardzo łomocze mu serce, jak trzęsą mu się ręce i jak gwałtownie oddycha. Był znacznie bardziej pobudzony, niż wskazywałaby na to sytuacja. To był zaledwie jeden guzik!

Clara także oddychała z trudem. Krągłe piersi falowały pod jego dłonią. Radford myślał, że go odepchnie, lecz ona trzymała mocno jego dłoń na swoim sercu.

Spojrzał na nią. Była zarumieniona. Wargi jej nabrzmiały, oczy lśniły dziko. Czepek przekrzywił się na bok. Spod ronda wysunął się jasny lok.

Nie chciał być rozsądny. Rozsądek nakazałby mu przestać, a on nie chciał przestawać. Nie chciał przestać do końca życia. Chciał czynić rzeczy niewytłumaczalne z panną Fairfax i pannie Fairfax, teraz i tutaj, w tym archaicznym powozie.

Opanował się z wysiłkiem.

Wysunął dłoń spod jej dłoni i zapiął guzik sukni.

Clara płynnym ruchem zsunęła się z jego kolan i usiadła na ławce. Poprawiła kapelusz, wygładziła spódnicę, zwinęła dłonie na podołku i odwróciła się do okna.

– Nie zamierzam pytać, czy skończył już pan ze scenami – oznajmiła sucho. – Nawet głupiec dostrzegłby, że przez lata zgromadził pan nieprzebrane zasoby histerii i w przełomowych momentach muszą panem zawładnąć.

– Histerii!

– Nie zamierzam przepraszać za pocałunek – ciągnęła niewzruszenie. – Nie będę się również z tego tłumaczyć. Fakty są jasne i niezaprzeczalne. Nie mógł pan przestać krytykować mnie i zrzędzić. Miałam już tego dość. Poddałam się naturalnej kobiecej potrzebie uciszenia mężczyzny, który gada takie głupoty. – Spojrzała mu w oczy. Głowę zadarła wysoko, policzki miała zaróżowione. – I nie obiecam, że to się już nie powtórzy. Wygląda na to, że przez długie lata gromadziłam w duchu pokaźne pokłady buntu, a pan ma zdolność uwalniania go. Jest pan chwilami doprawdy nie do zniesienia.

– Mogła mnie pani zdzielić parasolką – zauważył.

– Może następnym razem. Ach, chwileczkę, zapomniałam. Nie będzie następnego razu. No trudno. Tutaj nasze drogi się rozchodzą.

Dorożka zatrzymała się ze zgrzytem.

Radford wciąż próbował przetrawić informację, że Clara uważa go za zdolnego do histerii. Wyjrzał przez okienko. Kensington High Street. Już.

– Dziękuję za bardzo pouczające doświadczenia – powiedziała spokojnie Clara. – Uważam, że powinien pan do mnie napisać, ale nie liczę na to, że pan to uczyni.

– To byłoby… – Niemądre. Ryzykowne. Im szybciej się od niej odetnie – całkowicie – tym szybciej dojdzie do siebie.

Woźnica otworzył drzwiczki.

Zanim Radford się ocknął, lady Clara wyskoczyła z powozu i ruszyła przed siebie. Podniósł się, żeby za nią pobiec, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie mógł iść za nią. Nie mógł pojawić się nagle w domu lady Exton. Zbliżało się już południe i ryzyko rozpoznania radykalnie wzrosło.

Woźnica zatrzasnął mu drzwiczki przed nosem.

Kruk opadł na siedzenie i przez okienko patrzył za Clarą, dopóki nie znikła.

Zastukał w dach, by woźnica ruszał w drogę, choć sam nie wiedział doprawdy, dokąd miałby teraz jechać. Spojrzał na swoje roztrzęsione dłonie i zadumał się gorzko. Po chwili zobaczył na podłodze dorożki jej rękawiczki. Pewnie spadły, kiedy złapała go za poły płaszcza.

Podniósł je, przytulił na chwilę do policzka, po czym schował w wewnętrznej kieszeni.

Rozdział 8

PRAWNIK – kieruje się zawsze odwagą i szczerością,
ma w pogardzie sądy osobiste i nie zważa na konsekwencje
swych dociekań, gdyż prawda i prawo leżą
u źródeł publicznego zaufania.
„Jurysta”, vol. 3 (1832)

Exton House, Kensington
wtorek, 22 września

Dama musi wiedzieć, jak kierować mężczyznami w sprawach sercowych.

Wiadomo, że potrafią być uparci jak osły i ślepi na delikatne wskazówki. Jednocześnie lubią mieć przekonanie, że to oni podejmują wszystkie decyzje. Damy muszą więc znać sposoby porozumiewania się z dżentelmenami, dzięki którym podsuną im sprawy oczywiste i nie będą przy tym dosłowne.

Clara nie wiedziała, czy mogło być zachowanie bardziej dosłowne niż chwycenie dżentelmena za gardło i pocałowanie go. Powiedziała mu, żeby do niej napisał. Zasugerowała jednocześnie, że nie muszą się już nigdy więcej kontaktować, a przecież pan Radford był na tym tle nad wyraz wyczulony.

Być może subtelne arystokratyczne metody nie miały uzasadnienia w przypadku dżentelmenów takich jak pan Radford. Ach, co za nonsens! W ogóle nie ma takich dżentelmenów jak Kruk Radford. Jest jedyny w swoim rodzaju.

Usiadła więc przy biurku, wyjęła kartkę i pióro.

Panny z dobrych domów nie pisały do dżentelmenów spoza najbliższej rodziny. A dżentelmeni nie powinni pisać do panien.

Radford rozumiał zasady na tyle, by nie wysyłać jej listów, jednak przekazywał krótkie wiadomości przez Fenwicka. „Bądź w tym miejscu o tej godzinie”. Nie można tego było uznać za korespondencję.

Jednak sama zachęciła go do napisania, czyż nie? A minął cały tydzień bez znaku od niego. Przecież musiał już wrócić z podróży. Dotarł do zamku księcia Malverna w jeden dzień. Jechałby dwa, gdyby zwlekał, jednak nie potrafiła sobie wyobrazić pana Radforda przeciągającego cokolwiek w czasie.

Dowiedziała się, dokąd pojechał. Zamek Glynnor w Herefordshire. Kamerdyner ciotki Dory twierdził, że piąty książę Malvern zaczął go budować na przełomie wieków. Clara znalazła ilustrację Glynnor w drugim tomie albumu *Jones' Views*, zawierającym ryciny przedstawiające domy arystokracji brytyjskiej.

Ciotka Dora powiedziała, że nie słyszała, by ktokolwiek odwiedzał ten zamek. Nie pamiętała także, kiedy poprzedni książę Malvern był w Londynie.

– Wydaje mi się, że Radfordowie przyjeżdżali do miasta wyłącznie w poszukiwaniu żon, choć i tak zazwyczaj znajdowali je na prowincji – mówiła. – Jego Wysokość lubił mieć całą rodzinę przy sobie, a sam nie znosił stolicy. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio zatrzymali się czy mieszkali w swojej londyńskiej rezydencji. Zwykle wynajmują ją obcokrajowcom.

Clara nie mogła sobie wyobrazić pana Radforda szczęśliwie wypoczywającego w podrabianym średniowiecznym zamku na głuchej prowincji. Pewnie z rozpaczy wyrywa włosy z udręczonej głowy. To potrafiła sobie wyobrazić. Jak wpada w pasję i traci panowanie nad sobą. Tak właśnie ją całował. I chciałaby…

Sama nie wiedziała już, czego chce. Od kilku dni nie spała zbyt dobrze i miała zamęt w głowie. Nie była w stanie myśleć. Odłożyła pióro i zamknęła kałamarz. Kartkę schowała do szuflady.

Kiedy parę minut później do jej sypialni weszła panna Davis, lady Clara westchnęła:

– Chyba nie dam rady zjeść dziś kolacji z lady Exton. Nie czuję się dobrze.

Zachwiała się nagle i spadłaby z krzesła, gdyby panna Davis w porę jej nie złapała.

– Och, czuję się koszmarnie… – szepnęła Clara. – Moja głowa…

– Nie wygląda pani kwitnąco, milady – przyznała panna Davis z troską. – Proszę się położyć.

* * *

Zamek Glynnor, Herefordshire
czwartek, 24 września

Bernard wciąż był pijany.

Jego Wysokość książę Malvern był pijany od dnia, w którym Radford dotarł do zamku Glynnor, w przeddzień pogrzebu księżnej. Kruk zdołał go otrzeźwić na czas pogrzebu, ale okazało się, że nie był to dobry pomysł. Na trzeźwo Bernard stawał się agresywny.

Największe cięgi zebrała oczywiście rodzina, lecz i pastorowi się oberwało. Książę nie odpuścił nawet grabarzowi. Na zmianę zasypiał i mamrotał coś podczas czytań. Kiedy przenosili ciało jego żony do grobowca, płakał i zawodził na cały głos. Gdy pastor dotarł do „Niech spoczywa w pokoju wiecznym”, Bernard zaczął się histerycznie śmiać.

Rodzina wyjechała bez chwili zwłoki. Skłóceni ze sobą, nie byli w stanie wytrzymać razem nawet w tak wielkim zamku.

Książę Malvern posiadał wiele nieruchomości, w tym posiadłość rodzinną Radford Hall w Worcestershire. Ale ojciec Bernarda chciał mieć średniowieczny zamek. Z wieżyczkami. Strawił trzydzieści lat na budowaniu go i meblowaniu. Ten toczący się latami i pochłaniający go bez reszty projekt, wraz z wiecznym podżeganiem potomstwa do kłótni i sprzeczek, nie pozostawił przestrzeni na dbanie o inne posiadłości czy interesy. Majątek Malvernów był w stanie tak koszmarnego chaosu, że każdy rządca uciekłby w popłochu albo trafił do domu dla obłąkanych. Jednak Radford, po pierwsze, nie był rządcą, po drugie zaś, uwielbiał rozwiązywać skomplikowane zagadki.

Musiał przyznać, że zamek robi wrażenie. Był zgrabny, świetnie wyważony, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami i wspaniałymi widokami z każdej strony. Radford kilka razy przyłapał się na rozmyślaniu, co na temat tej budowli powiedziałaby lady Clara. Stwierdził, że pewnie byłaby rozbawiona tym podrobionym przepychem, ale ostatecznie uznałaby, że jej się podoba. Był także przekonany, że znacznie bardziej polubiłaby rodzinne gniazdo w Worcestershire. Za jego charakter.

Próbował o niej nie myśleć, ale nie wychodziło mu to najlepiej, mimo że miał naprawdę wiele spraw na głowie. Westchnął i udał się na obchód

zamku w poszukiwaniu Jego Wysokości.

Znalazł Bernarda w bibliotece. Książę bynajmniej nie czytał książki. Leżał bezwładnie na sofie przy kominku. Pod ręką miał stolik z karafką i kieliszkiem. Poplamiony winem magazyn sportowy leżał u jego stóp.

Radford stanął nad nim bez słowa. Bernard spojrzał na niego przekrwionymi oczami.

– Chcesz mi przekazać majątek? – zapytał Kruk.

Owszem, zwięzłe wypowiedzi bez przedstawienia ciągu przyczyn i skutków nie były w jego stylu, jednak żal mu było strzępić język.

Książę zamrugał.

– Mały Kruk? Ukochany mały kuzynek… Gdybym nie był powalony żałobą, zrzuciłbym cię z wieży. Dlaczego służba nie zrzuciła cię z wieży? Może zapomniałem im powiedzieć…

– Posłałeś po mnie, idioto – wycedził Radford. – Zwolniłeś rządcę i księgowego.

– Zawracali mi głowę.

Bernard i jego poczucie odpowiedzialności. Był przecież jedynie osiłkiem bez mózgu. Radford nienawidził go od dziecka, starał się jednak nie myśleć o własnych uczuciach. Tytuł książęcy nie ograniczał się do jednego człowieka, a honor rodziny dotyczył również Kruka.

Malvernowie mieli wiele majątków ziemskich. W tych majątkach mieszkało wielu ludzi, których los zależał od właściwego zarządzania. Większość z nich ciężko pracowała na każdy kawałek chleba.

Dla Jego Wysokości biedacy w ogóle nie istnieli. Zależało mu jedynie na własnej wygodzie. Gdy Radford zdołał mu wytłumaczyć, że brak zaangażowania we właściwe prowadzenie majątków objawi się wszelkiego rodzaju niewygodami, zawracaniem głowy, a w rezultacie licytacją i biedą, Bernard powiedział: „Ty się tym zajmij”.

Radford doszedł do wniosku, że w zasadzie mógłby zaopiekować się majątkiem. Sprawa o oszczerstwo nie wejdzie na wokandę przez kolejny miesiąc, jeśli w ogóle zdoła się przebić. Praca dla Bernarda byłaby zapewne uciążliwa, ale przynajmniej miałby się czym zająć. Zdecydowanie wolał się użerać z kuzynem niż bezproduktywnie rozmyślać na temat pisania bądź powstrzymania się od pisania do lady Clary.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteś łatwiejszy do wytrzymania, gdy pijesz – powiedział. – Zatem, dla dobra tych, którzy muszą z tobą mieszkać, nie

doradzę ci całkowitej trzeźwości. Jeśli jednak nie zamierzasz przekazać mi tytułu, proponuję, byś ograniczył używki o połowę.

Pochylił się i spojrzał w orzechowe oczy księcia. Niestety, białka nie były już białe. Trudno było to stwierdzić z całą pewnością, gdyż oczy Bernarda zawsze były przekrwione i na wpół przymknięte, jednak Radford dostrzegł żółty nalot.

– Twój doktor uważa, że postępujący żółty odcień oczu świadczy o tym, że alkohol sieje spustoszenie w twym ciele – ciągnął Radford. – Nie mogę się z nim nie zgodzić, choć na ogół uważam lekarzy za skostniałe, zacofane i przesądne towarzystwo, czczące zamierzchłe bożki i nieposiadające doświadczenia klinicznego.

– Mógłbyś powtórzyć to samo po ludzku? – stęknął Bernard. – Zawsze byłeś wyszczekany. Trudne słowa, łacina, greka. Nie mam pojęcia, jak udało mi się jeszcze nie zasnąć. I usiądź, do diabła! Szyja mnie już boli.

Radford przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

– Jeśli nie zmienisz szkodliwych nawyków, niedługo umrzesz. A wcześniej zapewne dosięgnie cię impotencja. A to oznacza…

– Wiem, co to oznacza – roześmiał się Bernard. – Smutny, zwiędły fiut. Czy to nie jest przypadkiem twój problem, mały Kruku? Czy dlatego jesteś takim cierniem w tyłku?

– To o twojego fiuta chodzi, imbecylu! – zirytował się Radford. – Zacznijmy od początku: chcesz się ożenić, prawda? Chcesz mieć synów?

– Żywych!!! – zawył nagle Bernard. Zamrugał gwałtownie i zmarszczył nalaną twarz. – Ona… Tylko dwie dziewczynki i tak szybko zmarły. Resztę straciła przed porodem. Musiała być chora! Skąd zresztą mam wiedzieć? Głupia krowa. Nie rozumiem, czemu za nią tęsknię.

– Bo wcale na nią nie zasługiwałeś, co, jak sądzę, zawsze będzie istotą twego małżeństwa. Słuchaj, kuzynie. Wiemy doskonale, że całe rzesze rodziców chętnie sprzedałyby swe córki księciu, który czeka na dziedzica, choćby był nawet na wpół zżarty przez kiłę.

Bernard podniósł się z sofy, lecz wielki brzuch nie pozwolił mu się pochylić. Nie zdołał więc wyglądać groźnie – raczej komicznie.

– Nie mam syfa, ty pokurczu!

– W imieniu twej przyszłej wybranki miło mi to słyszeć – westchnął Radford. – Cieszę się także, że twoja edukacja nie poszła całkiem na marne, gdyż najwyraźniej rozumiesz pewne trudne słowa.

– Gdybym nie był w żałobie, dałbym ci w mordę – stęknął książę i opadł na sofę.

– Pragnę jedynie zauważyć, że niezależnie od tego, przez jak wielkie cierpienie obecnie przechodzisz oraz jak młoda i płodna jest twoja przyszła żona, nie będziesz w stanie mieć zdrowego dziecka, jeśli nie przestaniesz chlać i ładować w siebie laudanum.

– Nie zauważyłeś, że dopiero co byliśmy na pogrzebie?

– Nie obrażaj mojej inteligencji udawanym żalem – uciął Radford. – Od dziecka byłeś nieczułym łajdakiem. I piłeś, odkąd pamiętam. W ciągu ostatnich sześciu lat nikt nie widział cię trzeźwego.

Bernard napełnił kieliszek. Przez chwilę wpatrywał się w Radforda, po czym wlał w siebie całą zawartość na jeden raz.

– Cięta riposta – zakpił Radford i wstał. – Skończyłem kazania.

– Nigdzie nie wyjedziesz!

– Niestety – przyznał Kruk. – Mam spotkanie z twoim nowym rządcą.

Znalezienie go nie było łatwe. Poprzedni pracownik zostawił w księgach straszliwy bałagan, rzecz jasna nie z własnej winy, a niewielu wykwalifikowanych rządców lubiło – tak jak Kruk – rozsupływać węzły gordyjskie.

– Doprawdy? Czy jest równie głupi jak poprzedni?

– Owszem, ale płacisz mu więcej, by wynagrodzić mu tę dysfunkcję. Zatrudniłem też ponownie księgowego Dursleya, gdyż jest jedynym kompetentnym księgowym w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Brenard zamrugał. Pewnie nie wiedział nawet, kim jest Dursley.

– Nie łam sobie nad tym biednej główki – westchnął Radford. – Poradzimy sobie bez ciebie. – Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się w progu. – Skoro już załatwiam za Waszą Wysokość wszystkie sprawy, czy książę życzy sobie również, bym wybrał dla niego żonę? Biorąc pod uwagę obecny stan zdrowia szanownego księcia, zalecałbym pośpiech w tej materii.

– Cha, cha. Taki z ciebie dowcipny spryciarz, Kruku. Oczywiście, znajdź dla mnie i żonę.

Radford wyszedł. To będzie musiała być twarda, odporna dziewczyna, pomyślał. Taka mogłaby postawić Bernarda do pionu. Mógłby napisać do lady Clary i poprosić ją o radę.

Uważam, że powinien pan do mnie napisać, ale nie liczę na to, że pan to uczyni.

Radford uważał, że nie powinien pisać. Byłby to błąd numer jedenaście.

* * *

List z Londynu zastał Kruka w gabinecie, gdzie zamknął się z nowym rządcą, Sanbornem. Choć na kopercie widniało pismo Westcotta, Kruk rzuciłby go na stos korespondencji, gdyby nie fakt, że list został nadany jako ekspresowy. Radford wiedział, że Westcott nie wysłałby ekspresu, by zanudzać go szczegółami prowadzonych spraw. Z bijącym sercem rozerwał kopertę.

Westcott przesłał w niej kolejny list, opatrzony krótką notatką:

Dostałem dziś rano list od pokojówki milady. Proszę, przeczytaj bez zwłoki.

Oba listy były datowane poprzedniego dnia. Panna Davis napisała:

Szanowny panie Westcott

Moja pani położyła się wczoraj niezdrowa i dziś obudziła się z okropnym bólem głowy. Jej temperatura wciąż rośnie, skarży się także na ból mięśni i stawów. Lekarz lady Exton twierdzi, że to atak malarii i że przy kolejnej wizycie upuści jej krwi, jeśli nie poczuje się lepiej. Uważam, że to bezzasadne, lecz doktor Marler nie wie, gdzie była moja pani, a gdybym nawet odważyła się do niego przemówić, z pewnością by mi nie uwierzył. Na co dzień leczy arystokratów, z których większość tylko wyobraża sobie, że cierpi. Nie będzie wiedział, czym jest więzienna gorączka, ani nie uwierzy, że moja pani mogła zapaść na coś podobnego. Jest jak inni doktorzy, nie słucha nikogo prócz siebie. Zresztą nawet gdyby mi uwierzył, obawiam się, że tylko pogorszyłby stan mojej pani. Lady Exton jest bardzo mądra, mimo to z jakiejś przyczyny bezgranicznie wierzy w doktora Marlera. Tak więc panna Fairfax z godziny na godzinę jest coraz bardziej chora, a ja nie wiem, jak jej pomóc. Może Pan przekazać ode mnie panu Radfordowi, że serdecznie dziękuję mu za kłopoty, w jakie wpakował moją panią? Obiecał, że nic jej się nie stanie, gdybyż mógł ją teraz zobaczyć! Jeśli moja pani umrze, zabiję go własnymi rękami, a potem z radością pójdę na szubienicę.

Mróz ścisnął serce Radforda.

Więzienna gorączka, czyli tyfus.

To niemożliwe. Wszak rozpoznałby objawy tyfusu u Toby’ego! Z kim innym miała kontakt?

Czego dotknęła? Gdzie głębiej odetchnęła?

– Muszę natychmiast wyjechać – powiedział Sanbornowi i wybiegł z gabinetu. Zawołał lokaja, zażądał błyskawicznego spakowania swoich rzeczy i wezwania karetki pocztowej. Bernarda znalazł w tym samym miejscu, w którym go zostawił.

– Wracam do Londynu – rzucił. – To pilne.

– Nie ma mowy – odparł flegmatycznie Bernard. – Musisz być tutaj. Pilnie. Ja jestem w żałobie.

– To dla mnie ważniejsze niż ty!

– Obiecałeś, że zajmiesz się wszystkim, łajdaku!

– Zajmę. Ale nie teraz.

– Nie! Nie możesz rzucić wszystkiego i wyjechać tylko dlatego, że…

– Bernardzie, nie mam czasu na te sceny – przerwał mu Kruk. – Zamówiłem już karetkę. Weź się w garść, dobrze? Jestem bardziej potrzebny w Londynie niż tutaj.

Książę spojrzał na niego ponuro.

– Drogi mały Kruk w popłochu. Nie chodzi przypadkiem o ukochanego tatusia, co?

– Jeszcze nie – uciął Radford.

– Ach, kobieta – odparł Bernard, szczerząc żółte zęby. – Kruk ma jakąś kochanicę, kto by się spodziewał?

– Kuzynie, wypiłeś już dość. Potrzebujesz kąpieli. Masz trzydzieści lat, dorośnij wreszcie.

Bernard dolał sobie wina.

– Jesteś nudziarzem i zachowujesz się jak wiecznie jęcząca pielęgniarka. Jedź. Jedź do Londynu. I bądź przeklęty. Weź mój powóz i Harrisa. Na pewno dotrzesz prędzej. – Wypił wino i chciał dolać więcej, ale karafka była już pusta. – Hej, ty! – ryknął do lokaja. – Przynieś mi coś do picia!

Radford wyszedł w pośpiechu.

* * *

Zatrzymawszy się jedynie po to, żeby zmienić konie i pozwolić Harrisowi zjeść miskę zupy, Radford dotarł do Kensington w piątek wieczorem. Odźwierny lady Exton z powątpiewaniem zmierzył go wzrokiem. Podświadomość Radforda miała ochotę zdzielić go w skroń, przeskoczyć nad bezwładnym ciałem i ruszyć na poszukiwanie Clary. Kruk z coraz większym trudem uciszał ciemną stronę swej natury.

To prawda, wyglądał skandalicznie. Nie golił się i miał wygniecione ubranie. Zatrzymał się na pięć minut w domu rodziców, by umyć ręce i twarz. Nie tracił czasu na zmianę stroju. Żaden szanujący się służący nie powinien wpuścić do domu takiego oberwańca.

Dostał się więc do środka, twierdząc – zresztą zgodnie z prawdą – że przybywa prosto od księcia Malverna. Podświadomość burzyła się na myśl o używaniu tytułu Bernarda do otwierania drzwi lady Exton, jednocześnie miotała się na wszystkie strony w nieutulonej potrzebie ujrzenia Clary. Radford ignorował ją najlepiej, jak potrafił.

Odźwierny zadzwonił po lokaja, który z ociąganiem przyjął jego wizytówkę i oddalił się z nią nieśpiesznie. Radford musiał zagryźć wargi, żeby nie krzyczeć z bezsilności. Odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić, i zaczął krążyć po małej bawialni, do której wprowadził go odźwierny.

Po nieznośnie długim czasie lokaj wrócił i zaprowadził Radforda do gabinetu lady Exton. Na widok jej bladej twarzy i rozkojarzonego wzroku Kruk stwierdził, że pokojówka nie przesadzała.

– Muszę natychmiast zobaczyć lady Clarę – oznajmił.

– Nie wydaje mi się – odparła spokojnie lady Exton. – Posłałam właśnie po doktora Marlera. Pod jego opieką od razu wyzdrowieje.

– Mogę się z panią założyć, że nigdy wcześniej nie miał do czynienia z tyfusem.

– Tyfusem? Moja wnuczka! Czy stracił pan rozum?!

– Mógłbym przedstawić pani szczegółową diagnozę, ale nie mamy czasu do stracenia. Nawet jeśli pani doktor zetknął się kiedyś z tyfusem, najprawdopodobniej zabije swą pacjentkę mimo najlepszych intencji i wiedzy medycznej, która będzie nim kierowała. Będzie jej puszczał krew, dopóki lady Clara nie umrze, choć największe sławy tej profesji od lat głoszą, że to nieskuteczna metoda i bardzo szkodliwa w wielu schorzeniach.

Radford nie ufał lekarzom. Nie miał także zamiaru tracić ani chwili dłużej. Już i tak zmarnował cały dzień na podróż. Nie odda Clary w ręce

przemądrzałych ignorantów.

– Skończył pan studia medyczne, panie Radford?

– Sam miałem tyfus i żyję – odciął się Kruk. Zdarzyło się to w Yorkshire, gdy odwiedził z ojcem jedną z parszywych szkółek. Sprawa, którą prowadził wtedy ojciec, przypominała sprawę Grumleya. Obaj się rozchorowali. Może dotknęli chorych dzieci, a może zarazki po prostu wisiały w powietrzu. Nikt nie wiedział, jak rozprzestrzenia się tyfus, lecz coraz częściej wskazywano na to, że jest bardzo zakaźny.

Ojciec rozchorował się pierwszy, a Radford sam się nim opiekował, bo nie ufał nikomu innemu. Na szczęście przeczytali wszystko na temat tej choroby, zanim ruszyli w podróż. Niezliczone raporty, wykłady i opisy przeczyły sobie nawzajem, jednak kilka z nich wskazywało leki i zabiegi, które w ocenie Kruka miały szansę wyleczyć chorego, a nie go dobić.

– Nie mamy czasu, lady Exton – westchnął. – Każda chwila jest na wagę złota.

Obawiał się, że i tak przybył za późno. Najważniejsze było zatrzymanie choroby w pierwszej fazie.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest, i oszczędzić przeszukiwania całego domu.

– Może i jest pan sławnym prawnikiem, panie Radford, ale nie jest pan lekarzem – odrzekła wyniośle lady Exton. – Niech się pan trzyma z daleka od mojej wnuczki. O ile dobrze się orientuję, to wszystko pana wina. – Zniżyła głos do szeptu i dodała: – W zeszłym tygodniu spotkała się z panem i od tamtej pory jest chora.

To z jego winy Clarze grozi śmierć. Wiedział o tym. Jednak wysłuchiwanie połajanek i wyrzutów było stratą cennego czasu. Wymaszerował sztywno do hallu i ryknął na cały głos:

– Panno Davis!!!

Dwóch postawnych lokajów nadbiegło od strony drzwi.

– Żaden z was nie jest panną Davis – stwierdził z zawodem Radford. – Panno Davis! Gdzież, u diabła, pani jest?!

Pokojówka pojawiła się na szczycie schodów.

– Nie śpieszył się pan – powiedziała cierpko.

Radford ruszył biegiem na schody, lokaj rzucił się za nim w pogoń.

– Tom! – krzyknęła pokojówka. – Zostaw tego dżentelmena albo osobiście nauczę cię dobrych manier!

Tom zatrzymał się w pół kroku.

– Panno Davis! – krzyknęła władczo lady Exton. Przed tym głosem drżała cała służba.

Panna Davis, wierny buldog swej pani, utrzymała jednak pozycję.

– To ja posłałam po pana Radforda, Wasza Wysokość, i oczekuję, że stanie na wysokości zadania. Z najwyższym szacunkiem, lady Exton, muszę wyznać, że pani lekarz nie poznałby zarazy, nawet gdyby wpadł na nią w drzwiach. Mam jedynie nadzieję, że nie podpisał wyroku śmierci mojej drogiej pani.

Lady Exton cofnęła się z oburzeniem.

Pokojówka ponagliła Radforda niecierpliwym gestem.

– Na co pan jeszcze czeka? Szczerze panu radzę, niech pan pomoże lady Clarze albo nie ręczę za siebie, sir.

– Panno Davis, nie omieszkam poinformować lorda Warforda o twoim zachowaniu – wycedziła lady Exton.

– Tak, proszę pani. Mam nadzieję, że pani to zrobi. Panie Radford, dlaczego się pan tak wlecze?

Kruk biegł po schodach, jakby chciał dogonić poprzedni dzień.

* * *

Hałas za drzwiami rósł i Clara miała wrażenie, że pęknie jej głowa. Bolała ją już tak długo. Bolało ją wszystko, nogi, ręce i brzuch.

Poczuła na czole chłodną dłoń.

To nie była dłoń panny Davis.

Och, nie. Tylko nie doktor! Obiecał, że upuści jej krwi, a nie miała teraz siły mu się sprzeciwić. Było jej zimno.

Drżąc, z trudem otworzyła oczy.

– Jak śmiałaś się rozchorować? – zapytał szorstko.

To nie doktor.

Próbowała się skupić, ale głowa pękała jej na kawałki. W pokoju było za jasno. Wokół jego głowy promieniowała świetlista aureola. Jednak głos… Clara znała ten głos. A więc to tylko sen.

– Musisz wyzdrowieć i to szybko – ciągnął głos. – Davis zamorduje mnie, jeśli nie wyzdrowiejesz, a wtedy ją powieszą. Na pewno nie chcesz,

żeby powiesili twą wierną służkę, milady, a zwłaszcza z powodu takiej drobnostki jak gorączka.

– Kruk – wyszeptała.

To sen. Zamknęła oczy.

* * *

Niebawem pojawił się doktor Marler. Lady Exton nie czuła się na tyle pewnie, by go odesłać, ten przykry obowiązek spadł więc na Radforda. Usiłował przemówić doktorowi do rozsądku, ale z równym powodzeniem mógłby gadać do ściany. Doktor odmówił rozmowy, argumentując, że nie życzy sobie, by przy łóżku chorej przesłuchiwał go byle prawnik.

Jednak Radford na co dzień miał do czynienia z upartymi sędziami i kryminalistami. Zasypał więc świadka gradem pytań, aż Marler zaczął krzyczeć. Wtedy Radford przypomniał mu, że znajdują się w pokoju pacjentki, i wściekły doktor wybiegł, trzaskając drzwiami. Kruk wyszedł za nim na korytarz, zadając kolejne pytania. Ilu chorych na tyfus wyleczył? Czy była to często spotykana zaraza wśród arystokracji? Czy doktor raczył zapoznać się z wykładami Richarda Millara na ten temat?

– Jak pan śmie przypuszczać, że lady Fairfax zapadła na tę odrażającą chorobę? – zagrzmiał doktor Marler. – Millar wspominał o epidemii, ale w Glasgow! To choroba, która dotyka biedotę i Irlandczyków. Więzienna gorączka!

– To zaraza, która może się rozprzestrzeniać w powietrzu bądź na ubraniach i innych przedmiotach – wytknął Radford. – Jeśli dama udziela się dobroczynnie i odwiedza na przykład szkółkę albo zatłoczoną i niewietrzoną ochronkę, może się tam zarazić. Jeśli nie chorował pan dotąd na tyfus, błagam dla dobra pańskich pacjentów, niech pan odda lady Clarę w ręce kolegi, który ma to już za sobą. Tymczasem ja się nią zajmę, gdyż przechodziłem tyfus i nie grozi mi ponowne zarażenie.

Doktor próbował się jeszcze kłócić, lecz wizja zarażenia się irlandzką chorobą przemówiła do niego tak mocno, że spuścił z tonu.

– Niech będzie – powiedział wreszcie i obiecał, że znajdzie w szpitalu doktora, który przeszedł już tyfus. Zostawi jednak wskazówki pokojówce pacjentki i oczekuje, iż zostaną one wypełnione co do joty.

Wyszedł oszołomiony i rozdrażniony do tego stopnia, że obawiał się trwałego zaburzenia równowagi humorów, w które wciąż szczerze wierzył. Zapewne nie pocieszyłby go fakt, iż każdy, kto wszedł w drogę Krukowi, doświadczał ostatecznie podobnych symptomów.

– Kogo pan teraz irytuje? – zapytała słabym głosem Clara. Gdyby nie wiedział, że to ona leży w łóżku, nie rozpoznałby jej głosu. – Czyżbyśmy znaleźli się w sądzie? Zabiłam kogoś? Ale to przecież nie pan, prawda? Niech pan mu nie pozwoli mnie ciąć.

Podszedł do łóżka. Twarz miała bladą i mizerną.

– Niech pan mu nie pozwoli mnie ciąć, proszę – powtórzyła.

– Proszę się nie wygłupiać. Oczywiście, że nie pozwolę nikomu pani ciąć. Pijawkom też się sprzeciwię, chyba że mnie pani rozgniewa.

Uśmiechnęła się słabo. Radford widział, że jest wyczerpana.

Odwrócił się do panny Davis, której twarz, dzięki bogom, była purpurowa, a nie blada. Nie miał pewności, czy dałby sobie radę, gdyby i ona się rozchorowała.

– Gdy lady Clara powiedziała mi, że się źle czuje, nie wiedziałam, co jej dolega – odezwała się panna Davis. – Przemyłam ją zimną wodą z octem. Wiem, że lekarze tego nie pochwalają, ale była taka rozpalona.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Radford. – Będziemy stosować tę metodę jeszcze kilka razy.

– Starałam się ją ochronić – chlipnęła panna Davis. – Z obawy przez robactwem wyszorowałam ją całą, gdy tylko wróciła z waszej… przygody. Nazywała wasze szaleństwo przygodą, sir. – Oczy pokojówki napełniły się łzami. – Wyczesałam jej włosy i powiedziałam, że to prawdziwy cud, że niczego nie przyniosła. A ona się śmiała. I wspomniała o jakimś poemacie o wszy.

Robert Burns, przypomniał sobie Radford. Tylko Clara mogła śmiać się z tego i nazwać to poematem.

Przypomniał sobie jej śmiech, gdy wychodząc z biura, nazwała go „Profesorem”. Śmiech Clary zawsze rozjaśniał pokój, jakby przynosiła ze sobą własne słońce.

– Słyszałam, że powinno się golić głowę – ciągnęła panna Davis – ale nie mogłam się na to zdobyć, sir. Moja piękna dziewczynka! – Zakryła twarz dłońmi.

– Nie było takiej potrzeby – pocieszył ją Kruk. – Jestem przekonany, że zmyłaś z niej wszystko, co było trzeba. Cokolwiek ją osłabiło, zaraziło ją już wcześniej.

– Opiekuję się nią, odkąd skończyła dziewięć lat. To prawdziwy klejnot i mój jedyny skarb. Niech ją pan wyleczy.

– Wyleczę – obiecał. – Przede wszystkim musimy opróżnić i wysprzątać pokój. Ma błyszczeć. Okna muszą być cały czas otwarte, więc trzeba rozpalić w kominku, żeby jednocześnie ogrzewać sypialnię i ją wietrzyć.

Gdy lokaj rozpalił w kominku, Radford wrzucił do ognia zalecenia doktora.

* * *

Kruk wiedział, że nie da sobie rady bez panny Davis. Potrafił zastraszać ludzi i brutalnie przejmować kontrolę nad sytuacją. Manipulowanie świadkami czy ławą przysięgłych przychodziło mu bez trudu. Każda jednak bitwa czy seria utarczek słownych wymagały energii i czasu, a tych dwóch zasobów w obecnej sytuacji nie posiadał. Czekało go trudne zadanie, musiał się skupić na lady Clarze. A będzie to możliwe tylko dzięki pannie Davis.

Cała służba drżała przed pokojówką młodej pani. Gdy panna Davis wydawała polecenie, nikt nie śmiał się ociągać, twierdzić, że nie może tego zrobić lub musi to ustalić z kamerdynerem. Prędko zagoniła dwie krzepkie pokojówki do otwarcia okien, opróżnienia sypialni ze wszystkich zbędnych mebli i bibelotów i umycia każdego kątka.

Wszelkie zabiegi pielęgnacyjne przy lady Clarze należały wyłącznie do panny Davis. Radford już po godzinie wiedział, że kiedy nadejdzie chwila przemywania gąbką twarzy i szyi pacjentki bądź delikatnych prób napojenia jej bulionem, pokojówka odepchnie go bezceremonialnie łokciem i nie dopuści do łóżka. Pomiędzy drobnymi łykami bulionu panna Davis podawała swej pani po kilka kropel laudanum, na wszelki wypadek. Radford przyznawał z podziwem, że doskonale oceniała dawki leku, gdyż Clara zdawała się ukojona, ale pozostawała przytomna i przyjmowała porcje bulionu bez sensacji.

Wiedząc, że czuwanie nad Clarą będzie się przeciągało, Radford zostawił ją pod opieką panny Davis i poszedł na dół, aby pogodzić się z lady Exton.

* * *

Odnalazł księżną w dawnym gabinecie księcia, po którym krążyła drobnymi kroczkami, mrucząc pod nosem. Wystrój świadczył o tym, że lady Exton z zaangażowaniem zatarła wszelkie ślady zmarłego męża.

– To jednak tyfus, prawda? – zapytała bez wstępów. – Doktor Marler twierdzi, że to nonsens, ale wybiegł stąd w podejrzanym pośpiechu. Powiedział, że przyśle innego lekarza, gdyż okazało się, że on sam nie jest w pana guście, Clara zaś była dla niego niemiła od pierwszego spotkania.

– Zatem nie straciła do reszty rozsądku – burknął Radford.

– Chciał jej upuścić krwi, ale powiedziała mu, że to upuszczanie krwi zabiło lorda Byrona, a nie gorączka. I że nie wyraża zgody na to, by zbliżał się do niej ze swym brudnym skalpelem. Stwierdziła, że nie wiadomo przecież, gdzie go już wtykał. – Wargi lady Exton zadrżały. – Jest tak podobna do swej babki. Władcza i despotyczna, nawet w śmiertelnej pościeli. Naprawdę, prawie wybuchnęłam śmiechem, słuchając jego skarg. Choć tak bardzo się martwię…

Lady Exton była przerażona i paplała bez opamiętania, jak zwykły czynić wielkie damy w obliczu zagrożenia. Radford wiedział, że na tej paplaninie straci co najmniej godzinę, a nie mógł sobie na to pozwolić. Domyślał się też, że jego zwykły sposób radzenia sobie z paplającymi damami nie zostanie uznany za chęć zawarcia pokoju – wręcz przeciwnie.

Dla dobra Clary postanowił obejść się z księżną delikatnie i taktownie. Wszak jest prawnikiem, napomniał się w duchu. Potrafi dyskutować o każdym problemie ze stu rozmaitych punktów widzenia. Rozmowa z lady Exton wymagała jedynie łagodniejszego języka.

Gdy księżna przerwała na chwilę potok wymowy, żeby otrzeć oczy chusteczką, powiedział:

– Odmowa upuszczenia krwi prawdopodobnie ocaliła jej życie i dziękuję uniżenie Waszej Wysokości za światłe ujęcie się za wnuczką. Wiem, że to trudny czas, pełen zmartwień i obaw. Moje wtargnięcie, w nieporządnym stroju i bez zachowania elementarnych manier, na pewno nie odegnało pani obaw. Błagam o wybaczenie. Proszę, niech Wasza Wysokość usiądzie. Nie wiem, czy sobie poradzę z dwiema wyczerpanymi pacjentkami.

Księżna uśmiechnęła się, usiadła i łaskawym gestem wskazała Radfordowi fotel. Siedziała sztywno wyprostowana, z dłońmi zwiniętymi

na kolanach. Tylko delikatne drżenie ramion zdradzało jej wzburzenie.

– Nie mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że lady Clara choruje na tyfus – zaczął Kruk. – Nawet doświadczeni lekarze nie zawsze mogą to potwierdzić. Jednak widzę objawy i nie zaryzykuję zdrowia lady Clary, sugerując, że to coś banalnego.

Księżna wstrzymała oddech.

– Okazało się, że kiedy lady Clara poczuła się gorzej, panna Davis zrobiła wszystko, co i ja bym zrobił, gdybym był na miejscu – zapewnił. – Panna Fairfax jest młoda i silna, zarówno ciałem, jak i duchem. Powinniśmy zachować nadzieję. Jednak przed nami trzy tygodnie albo i dłużej…

– Trzy tygodnie!

– Trzy tygodnie, zanim będziemy mogli być pewni, że wyzdrowiała.

Obserwował, jak lady Exton przyjmuje tę wiadomość, nie pozwalając dojść do głosu targającym nią emocjom. Niektóre damy potrafiły kontrolować się lepiej niż mężczyźni.

– Innymi słowy – rzekła po chwili – Clara wciąż może umrzeć w czasie tych trzech tygodni.

– Nie pozwolę na to – zapewnił.

Spojrzała w stronę biurka.

– Muszę powiadomić jej rodziców. Nie zrobiłam tego do tej pory, gdyż nie chciałam dodatkowo walczyć z histerią lady Warford.

– Lady Clara potrzebuje spokoju i ciszy – powiedział Kruk. – Musi spać, odpoczywać. Potrzebuje ustawicznego czuwania życzliwych, spokojnych osób. Nie będzie korzystne, gdy nagle zwali się jej na głowę cała rodzina. Zrobiliśmy wszystko, by zatrzymać rozprzestrzenianie się zarazy, lecz nie mogę zapewnić Waszej Wysokości, że któraś z sióstr lady Clary się nie zarazi i nie przekaże zarazków kolejnym osobom.

Przypomniał lady Exton, że bratowa panny Fairfax, lady Longmore, jest przy nadziei, podobnie jak jej siostra, księżna Clevedon. Czy powinni narażać zdrowie tych dam i życie ich nienarodzonych dzieci?

Lady Exton była bystra. Zapoznała się z materiałem dowodowym popartym kilkoma przykładami z osobistych doświadczeń Radforda i jego ojca, westchnęła i wydała wyrok:

– Niech będzie. Muszę jednak do nich napisać, bo nabiorą podejrzeń. Wyślę zatem zwykły list, pełen kłamstw. – Wstała. Radford także się

podniósł. – Co do pana zaś, każę przygotować jeden z pokoi gościnnych. I wymyślę kolejne kłamstwa, które uzasadnią pański pobyt w moim domu.

– Jestem prawnikiem – podsunął. – Cóż innego mógłbym tu robić, jeśli nie służyć pani radą prawną w zawiłych kwestiach spadkowych?

Rozdział 9

Tyfus – osiągnąwszy pełne stadium, będzie się rozwijał
dalej aż do śmierci pacjenta, pomimo zastosowania
wszelkich leków i zabiegów, jakie medycyna dotąd
wymyśliła. Wyjątki od tej zasady są bardzo nieliczne.
Richard Millar, *Wykład kliniczny o zakaźnym tyfusie na podstawie obserwacji dokonanych w czasie epidemii*

w Glasgow i w okolicach (1833)

Radford wysłał do Westcotta krótką wiadomość z prośbą o czyste ubrania i kilka drobiazgów, po czym wrócił do sypialni lady Clary. Panna Davis siedziała przy łóżku, szydełkując.

Nowoczesne łóżko w greckim stylu zdobiły cztery kolumny wyobrażające postaci nagich kobiet, które podpierały baldachim. Wspaniale. Lady Clara zasługuje na kariatydy strzegące dostępu do łóżka bogini. Inne greckie artefakty zdobiły kominek. Pośrodku pysznił się rzeźbiony zegar z figurką Erosa wskazującego godzinę ostrzem swej strzały. Po obu stronach zegara stały wazy i porcelanowe figurki mitologicznych bogów i bohaterów.

Pokojówki odsunęły błękitne zasłony, by pokój mógł się swobodnie wietrzyć, więc Radford w pierwszej chwili dostrzegł rozrzuconą pościel pacjentki, którą musiała z siebie strącić, eksponując śnieżnobiałą nocną koszulę aż do talii. Była to prosta, ascetyczna i dziewicza koszula, bez żadnych koronek i ozdób, nie licząc wąskiej wstążki pod szyją. W żaden sposób nie przyćmiewała ani nie odwracała uwagi od oszałamiającej urody Clary.

Nawet chora i blada zawstydzała wszystkie nimfy i boginie strzegące sypialni. Nic nie ukrywało również faktu, że jej figury nie musiała poprawiać żadna bielizna.

Radford nie próbował sobie tłumaczyć, że w obecnej sytuacji nie powinien przyglądać się jej kształtom. Po pierwsze, był niebywale spostrzegawczy. Po drugie, był mężczyzną.

Zresztą, nic jej nie groziło z jego strony. Znacznie groźniejsze były zarazki.

Rozrzucona pościel świadczyła o niespokojnym śnie, jednak w tej chwili Clara leżała nieruchomo jak posąg. Podszedł do łóżka i ujął delikatnie jej nadgarstek. Zamrugała z wysiłkiem.

– To nie pan – szepnęła.

– Jednak ja – odrzekł. – Puls jest stabilny.

– Trzyma mnie pan za rękę. – Uśmiechnęła się słabo.

Radford łagodnie odłożył jej rękę na kołdrę. Nie tego pragnął. Chciał ściskać jej dłoń i utrzymać przy życiu siłą swej woli. Bał się ją puścić. Bał się, że odejdzie na zawsze.

To głupie i przesądne myślenie, upomniał się w duchu. Musi zachować spokój i rozsądek. Emocje prowadzą do paniki, a panika – do błędnych decyzji.

– Jak się pani czuje? – zapytał.

– Zdaje mi się, że śnię na jawie.

– To przez laudanum. – Radford nie miał dobrego zdania o tym leku, jednak panna Davis słusznie nie chciała dokładać pacjentce cierpień.

– Doprawdy? – zapytała sennie Clara. – Czuję się całkiem dobrze. Czy byłam bardzo wstrętną pacjentką?

– Odrażającą – odrzekł. – Doprawdy, nie mogłem tego znieść. Wybiegłem stąd ze zgrozą i przysięgałem, że znajdę mniej odpychającą dziewczynę, którą będę mógł pielęgnować.

– Pan mnie pielęgnuje?

– Nikt inny nie chciał – burknął Radford. – A w szczególności doktor lady Exton.

Clara próbowała się roześmiać.

– Jest pani głodna? – zapytał.

Chciała pokręcić głową, ale skrzywiła się i odpowiedziała:

– Nie.

– Poślę po bulion – oznajmił. Tyfus wyraźnie zmniejszał apetyt. Radford wiedział, że Clara nie będzie chciała jeść ani pić, ale trzeba było ją do tego zmusić, by choroba nie osłabiła jej ostatecznie.

– Zajmę się tym – oświadczyła panna Davis. Odłożyła robótkę i wyszła.

Po chwili wahania Kruk usiadł na krześle pokojówki.

– Musi pani jeść – powiedział. – Musi pani zrobić wszystko, co powiem, i wyzdrowieć, gdyż obiecałem, że tak się stanie. Jeśli pani nie wyzdrowieje, nie dotrzymam obietnicy, a wtedy…

– Wiem. Pana kariera będzie zrujnowana. Jest pan taki czarujący!

– Wszyscy to mówią.

– Nie, nie mówią. Nigdy. Założyłabym się o wszystko, że nikt i nigdy w całym pana życiu tak nie powiedział.

– Być może nikt nie użył konkretnie słowa „czarujący” – odparł Radford. – Być może… Tak, już sobie przypominam. Mówili: „do wytrzymania w niewielkich dawkach”.

– A jednak za panem tęskniłam – wyznała. – Zdumiewające.

Clara doprawdy utrudniała mu zachowanie rozsądku. Radford uznał, że jest to wręcz niemożliwe.

– Ja też za panią tęskniłem – wyjąkał z trudem.

– Oczywiście – odrzekła. – Jestem wszak taka urocza.

– Nie jest pani ani trochę urocza – żachnął się. – Jest pani niebywale irytująca. I przebiegła. Lecz ja na co dzień pracuję z zatwardziałymi kryminalistami i półgłówkami w sędziowskich togach, więc przebywanie z panią nie jest niczym niezwykłym.

Uśmiechnęła się.

Nie zdawał sobie sprawy, jaki głaz przygniata mu serce, aż do tej pory, gdy ciężar zelżał odrobinę. Wiedział jednak, że nie opuści go, dopóki Clara nie wydobrzeje i nie zacznie na nowo doprowadzać go do szewskiej pasji.

– Tylko pan mógł powiedzieć coś takiego – westchnęła. – Czytałam o zwyczajach kruków. Są bardzo bystre. Nawet kiedy ich nie widzimy, one widzą nas. Jeśli chce się obserwować kruki, trzeba leżeć bez ruchu, płasko na plecach.

– Świetnie sobie pani z tym radzi – zauważył. – Choć mogłaby pani być trochę bardziej… płaska.

– Kruk nigdy nie zbliża się bezpośrednio, tylko podkrada się dookoła i nie można go schwytać. – Powieki jej opadły. – Zmęczyłam się, Kruku.

– Za dużo pani papla. Nie będzie pani miała siły przełknąć żałosnej łyżki bulionu.

– Mhm… Niemądrze.

Czuwał nad jej snem, dopóki nie wróciła panna Davis. Odszedł wtedy w odległy kąt sypialni i patrzył przez okno na ogród, słuchając, jak pokojówka zachęca Clarę do przełykania kolejnych łyżeczek bulionu.

– Jeszcze jedna, panno Fairfax… Proszę. Jeszcze kropelka. Świetnie. Jeszcze raz. Poczuje się pani lepiej, obiecuję.

W jednej chwili opanowało go ogromne znużenie. Troska, niedobory snu i posiłków, pośpiech… Ugiął się pod tym niespodziewanym ciężarem, opadł na najbliższy fotel i natychmiast zasnął.

* * *

Obudziła go panna Davis.

Nie wiedział, jak długo spał. Zapewne kilka godzin, gdyż za oknami panował już mrok. Tylko jedna świeca migotała na stoliku.

– Przez jakiś czas czuła się lepiej, sir – szepnęła panna Davis. – Potem rozbolał ją brzuch. Obawiam się dać jej więcej laudanum, bo choć uśmierzy ból, to wiem, że wywołuje skurcze.

Radford podszedł do łóżka.

Dotknął czoła Clary. Było gorące. Kobieta położyła drżącą dłoń na jego ręce i słabo ją przycisnęła. Palce też miała gorące.

Wymamrotała coś, czego nie zrozumiał.

– Jak głowa? – zapytał, schylając się do jej warg. Głos miała bardzo słaby.

– Obetnijcie ją, błagam – szepnęła.

– Bolą panią plecy?

– Też obetnijcie.

– Nogi?

– Przede wszystkim.

Miał bardzo mgliste wspomnienia własnych cierpień, lecz chorobę ojca pamiętał aż za dobrze. Nie był w stanie wygodnie się ułożyć. Każdy ruch powodował nieznośny ból.

Choć George Radford nigdy się nie skarżył, nie mógł ukryć oznak cierpienia. Kruk wciąż miał przed oczami jego bladą, napiętą twarz, mocno zaciśnięte wargi i głębokie zmarszczki biegnące od zamkniętych oczu. Pamiętał także własne uczucia, które miotały nim, gdy opiekował się ojcem. Rozpacz i lęk, że go straci.

– Lady Clara potrzebuje snu – powiedział pannie Davis. – Ty także. Jestem pewny, że czuwasz przy niej, odkąd poczuła się gorzej. Brak snu wykończy każdego.

– Nie mogę spać, gdy moja pani jest chora.

– Powiedz, na co się jej przydasz, gdy ze znużenia nie będziesz w stanie myśleć ani podejmować właściwych decyzji? Ja teraz odpocząłem i będę czuwał. Pielęgnowałem chorych, dam sobie radę. Czy pan Westcott przysłał już moje rzeczy?

Zdumiał się, gdy pokojówka wskazała mu pokój po drugiej stronie korytarza. Spodziewał się, że przeznaczą dla niego podobny do celi pokoik na drugim piętrze, gdzie tradycyjnie umieszczano niskich rangą urzędników. Tymczasem lady Exton ulokowała go w pięknym pokoju gościnnym. Bez wątpienia w imię zasług ojca, który wygrał dla niej sprawę. On sam twierdził, że była dość intrygującą zagadką, co oznaczało, że zwykły prawnik niczego by nie wskórał.

Radford nie miał złudzeń, że wcześniejsze przeprosiny zmiękczyły jej serce. Westcott mawiał, że jego przeprosiny nigdy jeszcze nie zbliżyły się nawet do definicji tego słowa. Pewne było, że Radford nie czuł potrzeby zgłębiania sztuki savoir-vivre’u.

Wiedział, że nie jest ujmującym dżentelmenem, zjednującym serca leciwych dam. Tylko przez pamięć dla zasług ojca lady Exton nie kazała wyrzucić go za próg.

Nie mógł teraz rozmyślać o ojcu. Matka jest wspaniałą, mądrą i troskliwą opiekunką. Zresztą gdy widział go o poranku, ojciec zdawał się mieć lepszy humor. Choć musiał przyznać, że wpadł tam jak burza, w trzech zdaniach wyjaśnił, dlaczego jedzie do Kensington, i wypadł.

O rodzinie jednak będzie mógł pomyśleć później.

Tymczasem musiał utrzymać Clarę z dala od granicy, zza której nie będzie w stanie jej już wyciągnąć.

– Proszę, przyślij przez kogoś moją kasetkę z lekami – powiedział pokojówce. – I połóż się spać, dopóki można. Później będę cię potrzebował.

Kiwnęła głową i ruszyła ku drzwiom, zatrzymując się na chwilę przy łóżku, by pogłaskać Clarę po głowie. Tuż za drzwiami powiedziała coś do kogoś i w ciągu kilku minut młody lokaj William przyniósł kasetkę z lekarstwami.

– Będę w korytarzu, sir – powiedział lokaj. – Jeśli będzie pan potrzebował czegokolwiek, z radością we wszystkim pomogę. Mam wartę do świtu, potem zmieni mnie Tom. Panna Davis powiedziała, że stale musi ktoś tu czuwać.

Radford podziękował i wziął kasetkę. Ojciec nauczył go już w młodości, że zawsze musi zabierać ze sobą podstawowy komplet lekarstw. Rozstawił podróżny imbryk na stojaku w kominku i przyrządził wywar z kory wierzbowej. Pierwszy raz w życiu użył przy tym zegarka, by precyzyjnie odmierzyć czas zaparzania.

Gdy wrócił do łóżka, Clara miała zamknięte oczy, lecz jej płytki oddech i niespokojne ruchy dłoni świadczyły o tym, że nie śpi.

– Mam dla pani coś pysznego – powiedział.

Uniosła lekko powieki.

– Nic nie jest pyszne – szepnęła.

– Ach – odparł. – Widzę, że osiągnęła pani etap gburowatości.

– Myślę, że powinien pan sobie pójść.

– Zwykle aż się palę do słuchania pani komentarzy – odparł. – Są takie zabawne. Ale ten był wyjątkowo nudny. Ignoruję go zatem jako nieistotny. Własnymi szlacheckimi rękami przyrządziłem napar z wierzby, a pani go wypije. Poza tym nigdzie nie odejdę, dopóki pani nie wyzdrowieje. A dopóki nie nabierze pani sił, nie ma pani ze mną szans.

Odwróciła głowę.

– Claro.

Spojrzała na niego z błyskiem w błękitnych oczach.

– Dla pana lady Claro. Albo milady! Ewentualnie proszę pani, panie Radford.

Stłumił wybuch śmiechu. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, gdy już dorosła. Ten olbrzymi kapelusz. Suknię przypominającą szalony sen francuskiego cukiernika. Wyniosły ton, gdy nakazała mu wołać policję.

Potrzebował tej właśnie Clary.

– Jeśli życzy sobie pani należnego szacunku, proszę przyjąć lekarstwo jak dzielna arystokratka. Proszę myśleć o francuskich szlachcicach, którzy szli na szafot, dumnie zadzierając tłuste podbródki.

Kąciki ust Clary zadrżały.

– Nie wiem dlaczego, ale przypomniał mi się teraz podwójny podbródek mego całkiem angielskiego kuzyna – ciągnął Radford. – Widziała pani

kiedyś karykaturę księcia Walii spod ręki starego Grillaya? Nosi tytuł: *Lubieżnik w okrutnych szponach trawienia*. Mój ojciec oprawił sobie jej kopię i powiesił w gabinecie. Książę leży w fotelu i dłubie widelcem w zębach. Brzuch ma tak wielki, że nie mieści mu się w spodniach i połowę guzików ma rozpiętych. Kamizelka też się na nim rozjeżdża. Za nim widzimy bardzo przepełniony nocnik. Obok stolik uginający się pod słodyczami. Na podłodze puste butelki. Właśnie tak wygląda mój kuzyn.

– Kuzyn? Bestialski Bernard? – zapytała z ożywieniem.

– Niczego pani nie opowiem, dopóki nie wypije pani lekarstwa.

Zadarła brodę. Niestety, leżała na poduszce w pomarszczonym, ozdobionym niedorzecznymi wstążkami czepku i cały arogancko arystokratyczny efekt wziął w łeb.

– Trudno – syknęła. – Zanudza mnie pan na śmierć i nie chce odejść. Może mnie pan w takim razie otruć.

Postawił kubek na stoliku i się zawahał.

Wiedział, co powinien zrobić i jak należy to zrobić. Musiał pomagać ojcu siadać w łóżku, karmić go i poić, starając się nie przysparzać mu przy tym więcej bólu, niż to konieczne. Jednak Clara nie była jego ojcem.

Była młodziutką, niewinną panienką w nocnej koszuli i Radford nagle zawstydził się do głębi serca. Najwyraźniej do reszty oszalał.

Clara jest chora. Wygonił wszystkich, z wyjątkiem jej zaufanej pokojówki, i sam zarządził, że zajmie się leczeniem. Awansował się na lekarza i pielęgniarkę, gdyż nie ufał nikomu innemu i bał się, że mimo dobrych intencji ktoś ją zabije. Dopóki Clara nie wyzdrowieje, będzie musiał zapewne wykonać jeszcze wiele znacznie bardziej intymnych czynności.

Nie chodziło o to, że nigdy wcześniej nie widział kobiety bez sukni. Ani o to, że nigdy wcześniej nie dotykał Clary. Przecież trzymał ją w ramionach, siedziała mu na kolanach. Powinien był do niej napisać, jak podpowiedziała, opowiedzieć jej o wszystkich tych myślach i uczuciach, które pozbawiały go rozsądku.

Teraz już za późno na listy i zaloty.

Wsunął rękę pod jej plecy, delikatnie ją podniósł i podłożył dodatkową poduszkę. Choć nie krzyknęła ani nawet nie pisnęła, widział, że zacisnęła usta z bólu. Miał ochotę tulić ją w ramionach i obiecać jej, że wszystko będzie dobrze. Że się nią zajmie. Że wszystko naprawi.

– Da pani radę usiedzieć prosto? Może podtrzymać pani głowę? Wolałbym, żeby się pani nie zadławiła. Morderstwo nie ułatwi mi otrzymania nominacji na lorda kanclerza.

Uśmiechnęła się słabo.

– Poproszę jeszcze jedną poduszkę. – Odetchnęła głęboko. – Czuję się lepiej z głową w górze.

Radford znalazł kolejną poduszkę i podparł Clarze głowę.

Zaczekał chwilę, aż dama zbierze siły, tymczasem wziął kubek i łyżeczkę.

– Bestialski Bernard – szepnęła. – Niech mi pan o nim opowie.

Radford na poczekaniu ułożył fantastyczną sagę o Złym Kuzynie.

* * *

Clara zaczęła się bać.

Nikt nawet nie pisnął, co jej dolega, co samo w sobie było bardzo niepokojące. Słyszała, jak Radford kłócił się z doktorem, lecz była zbyt osłabiona, by zrozumieć, co mówią. Pamiętała jedynie uniesiony głos doktora i spokojny, zimny Radforda, którym zapewne doprowadził Marlera do szału.

Domyślała się, że to poważna choroba, bo nikt do niej nie przyszedł, nawet ciotka Dora nie zajrzała przez drzwi, a co najgorsze, ściągnęli pana Radforda z Herefordshire, by ją pielęgnował.

Clara nie chciała zresztą nikogo innego. Nie chciała widzieć zmartwionej miny ciotki. Z pewnością nie chciała też oglądać matki w ataku histerii, jaki przychodził zwykle po stwierdzeniu, że coś poszło nie tak, jak oczekiwała. Mama nigdy jej nie pielęgnowała, w żadnej chorobie, po żadnym wypadku. Nie miałaby pojęcia, jak to robić.

Zanim zatrudniła pannę Davis, Clarą opiekowały się niańki. Jednak już od wielu lat nie była naprawdę chora.

Doprawdy, że też musiała zapaść nagle na jakąś wstrętną zarazę. Z pewnością nie była to cholera, bo zapewne już by nie żyła. Ile to już trwa?

Nie ma znaczenia.

Przyjechał Kruk, siedzi przy niej i opowiada historie o Bestialskim Bernardzie, wywołując salwy jej wewnętrznego śmiechu. Prawdziwy był

zbyt wyczerpujący. Czuła się przerażająco osłabiona. Na szczęście dała radę wypić napar. Radford obiecał, że to przyniesie jej ukojenie.

Jednak gdy opowiadał, znów poczuła narastający lęk. I treść historii doprawdy nie miała znaczenia. Jego głęboki, mroczny głos był tak pociągający. Wzbudzał w niej uczucia, których nawet nie umiała nazwać. Sprawiał, że drżała, bynajmniej nie z zimna ani cierpienia.

Mówił i podawał jej kolejne łyżeczki. Wolałaby sama pić, ale nie byłaby w stanie utrzymać łyżeczki. Z trudem utrzymywała głowę. Nie znosiła bezsilności, szczególnie w jego towarzystwie. Mimo to cieszyła się, że to właśnie on się nią opiekuje. Jej Kruk. Niegrzeczny i sarkastyczny. I zabawny. W odróżnieniu od niej, zawsze mówił to, co miał na myśli. Nieważne do kogo.

Ona zaś zawsze musiała przewidywać skutki najdrobniejszego słowa czy gestu, by nigdy nie uchybić manierom. Tylko nie przy nim.

Jej Kruk. Tak inny od znanych jej mężczyzn. Żaden nie łamał sobie wiecznie głowy nad problemami. Nawet Clevedon nie był takim wyzwaniem dla jej intelektu i humoru.

Przy nikim innym tak się nie czuła.

Nawet nie musiał się starać. Wystarczyło, że na niego spojrzała. Że dotknął jej dłoni.

Opowieść o Bernardzie sięgała drwin i przepychanek, które spotkały go już pierwszego dnia w Eton. Niebawem koledzy nadali mu przezwisko Kruk. Lubił je, choć nigdy im się do tego nie przyznał. Clara, nawet półprzytomna z gorączki, domyślała się, że szorstki charakter i wszystkowiedzące uwagi nie mogły przysporzyć mu w szkole popularności.

– Pragnie pan zemsty? – zapytała.

– Teraz? Bynajmniej. Wiem, że się nade mną znęcał, robili to także inni, mam jednak świadomość, że zwykle sobie na to zasłużyłem. Ponadto doświadczenia szkolne były dla mnie wprost bezcennym zasobem, kiedy zacząłem pracować w sądzie.

Opowieść Kruka nie była zresztą łzawą historią o znękanym chłopcu. Radford ze swadą opowiadał zabawne anegdoty o Bernardzie, który nie był orłem, trzeba przyznać, a także o innych chłopcach i o nauczycielach.

Pochłonięta historiami Clara dopiła wywar. Czuła się już lepiej – nie tak rozpalona i obolała. Gdy Radford odstawił kubek i wyjął poduszkę zza jej

głowy, powiedziała:

– Niech pan dalej opowiada. Proszę, niech pan nie przestaje.

Wsłuchiwała się w jego mroczny głos, aż zasnęła.

* * *

Dni i noce Radforda i panny Davis upływały na pielęgnowaniu Clary, karmieniu jej, pojeniu i odganianiu bólu i gorączki. Wywar z wierzby i herbata z imbirem wciąż stały na stoliku. Panna Davis nadzorowała przygotowywanie bulionów, kleiku i budyniu. Były to jedyne potrawy, które mogła przełknąć Clara. Radford wiedział, że musi za wszelką cenę wzmacniać pannę Fairfax. Tyfus tylko czekał na osłabienie.

Cały dom wspomagał ich w tej walce. Pokojówki przynosiły ładnie udekorowane talerzyki z kuszącymi potrawami. Kucharka wznosiła się na wyżyny kunsztu, przygotowując rozmaite wariacje półpłynnych posiłków. Gospodyni osobiście biegała na targ, by wyszukać najlepsze kąski. Lady Exton dyskretnie, lecz nieustępliwie zdobywała owoce i warzywa ze szklarni swych przyjaciółek. Wszyscy zgodnie pracowali nad obudzeniem uśpionego apetytu Clary.

Każdego ranka pokojówki pomagały zmienić pościel i przewietrzyć pokój. Wciąż jednak kąpiel i zmiana bielizny należały wyłącznie do panny Davis.

Choroba nie odeszła, jednak stan pacjentki się nie pogarszał. Prawnik i pokojówka wypracowali sobie rytuały opieki, wspierając się nawzajem. Panna Davis trzymała straż dzienną, Radford czuwał nad Clarą nocami.

Gdy spała, pracował. Przestawił biurko, by móc ją cały czas obserwować, a blask świecy nie raził jej oczu. Była wciąż bardzo wrażliwa na światło.

W czwartek Radford odznaczył w kalendarzu siódmą noc w Exton House i zabrał się za notatki do sprawy o pomówienie. W pokoju panowała cisza. Słychać było skrobanie pióra po papierze, ciche tykanie zegara na kominku i szelest jesiennych liści za oknem.

– Sezon, moja droga. Sezon się skończył – szepnęła ledwie słyszalnie. – Jak mogłaś, Claro? Nawet ona! Tak, mamo. Lepiej ona niż ja.

Radford upuścił pióro i podszedł do łóżka. Kręciła głową na prawo i lewo, odpychając od siebie coś, czego nie widział.

– Claro? – odezwał się łagodnie.

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Muszę. Harry nie może go zabić! Nie rozumiesz?

– Claro, obudź się.

– Zostanę starą ekscentryczką i będę mieszkała w namiocie pod gorącym niebem Arabii.

Radford delikatnie ujął ją za ręce.

– To tylko sen, Claro.

– Ach, ten chłopak! Już ja mu pokażę. Założę mu… nie pamiętam. Nie, nie, nie. Portsmouth jest w tamtą stronę – wymamrotała.

To nie był sen. Nadeszło delirium.

* * *

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Gorączka niebezpiecznie wzrosła. Trudno było nawet przemywać jej twarz i dłonie, bo Clara miotała się niespokojnie bez wytchnienia. Zmuszenie jej do przełknięcia chłodnego napoju było niemal niewykonalne. Chwilami cichła nagle i wydawało się nawet, że jest przytomna. Potem, w trakcie spokojnej rozmowy, znów zaczynała majaczyć. W pewnym momencie była przekonana, że łóżko to jej kabriolet, i usiłowała powozić. Przed świtem uspokoiła się i zasnęła.

Gdy przyszła panna Davis, Radford przekazał jej pogodną, okrojoną wersję nocnych wydarzeń. Wprawdzie spodziewał się, że Clara się nie obudzi, wzorem innych ciężko chorych zamieniając dzień z nocą, wolał jednak, by pokojówka była przygotowana na powrót majaków.

Poszedł do swojego pokoju i przez godzinę tłumaczył sobie, że delirium wcale nie musi zabić Clary. Owszem, nie było szczęśliwym omenem, zwłaszcza w połączeniu z wysoką gorączką, nie musiało jednak oznaczać spraw ostatecznych. Mimo to, choć był bardzo zmęczony, długo nie mógł zasnąć.

Kiedy wrócił wieczorem do sypialni Clary, panna Davis powiedziała, że pacjentka zachowywała się tak, jak przewidział. Spała prawie przez cały dzień, budząc się jedynie na chwilę. Zdołała nawet przełknąć kilka łyżeczek bulionu.

Po względnie spokojnym wieczorze Clara obudziła się nagle ogromnie poruszona. Usiadła gwałtownie, by zmiażdżyć kogoś tyradą wygłoszoną niskim, pełnym wściekłości głosem:

– Ty łajdaku – mówiła. – Ty szubrawy kłamco! Kłamiesz. Wciąż kłamiesz. Dlaczego ja zawsze…? A ty? Dlaczego? To niesprawiedliwe. Nie. Nic nie jest sprawiedliwe.

– Claro, to ja.

Spojrzała na niego z furią.

– Ach, doprawdy. Wszyscy tak robią. Jak mogłaś? Jak mogłaś, Claro?

– Ty jesteś Clarą – tłumaczył cierpliwie. – To ja. Kruk.

Spojrzała mu w oczy, lecz Radford nie wiedział, kogo lub co naprawdę widzi.

– Połóż się – powiedział. – Musisz odpocząć.

– Chcę wstąpić do cyrku i z flagami w dłoniach cwałować na stojąco na końskim grzbiecie, w kółko i w kółko, szybciej i szybciej, aż odpadnie mi głowa.

– Jutro – obiecał. – Jeśli pogoda dopisze. Ale najpierw zaśnij.

Usiłował ją położyć, ale się wyrwała.

– Wspaniale – stwierdził. – Skoro jednak nie będziesz spała, zaproponuję ci pyszny, chłodny napój.

Podszedł do parapetu, na którym chłodził się dzbanek z lemoniadą.

– Kruku!

Odwrócił się błyskawicznie. Leżała na poduszce, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w sufit.

Przyniósł szklankę lemoniady. Z wysiłkiem skupiła na nim wzrok.

– To pan.

– Mam nadzieję.

– Kruk – szepnęła z uśmiechem i zasnęła.

Radford zdał sobie sprawę, że od długiej chwili wstrzymywał oddech.

* * *

Stało się to ich tradycją. Clara spała przez cały dzień i budziła się w nocy. Przez jakiś czas zdawała się przytomna, potem jej umysł zaczynał błądzić. Na ogół po prostu mówiła bez ładu i składu, ale była spokojna. Noc za nocą mijały im na beztroskim bajdurzeniu Clary. Jednak w niedzielę, po kilkunastu minutach radosnych bełkotów, stała się nagle niespokojna.

Zwykle jego głos ją uspokajał, jednak tym razem tylko bardziej się zirytowała. Nagle usiadła i zaczęła pouczać kogoś bez większego sensu

podniesionym tonem:

– Nie na to czekałam. Zmieniłeś się. Co z nimi wszystkimi jest? Jak mogę im zazdrościć? Nie widzisz tego? Co za ponury żart. Ale nie możesz… Wciąż jest mi drogi. Tak, brandy. Kiedy się od tego uwolnię, będę mogła się spokojnie zastanowić. Jeśli nie przestaniesz, mamo, ostrzegam, że… że… sama nie wiem, co zrobię!

– Claro!

Nie słyszała go. Wpadła w furię, groziła, że ucieknie i nikt jej już nigdy nie znajdzie. Potem śmiała się do rozpuku.

– Ale tylko z pokojówką! Ach, oczywiście. Nie umiem wiązać sobie butów ani wciągnąć pończoch. Nie! Zostaw!

Szamotała się zdecydowanie zbyt gwałtownie. Wyczerpie siły i zmarnuje wszystko, co osiągnęli przez ostatnie dni.

– Claro, przestań natychmiast.

Próbował chwycić ją za rękę. Czasami to pomagało.

– Nie! – Wyrwała się gwałtownie i prawie spadła z łóżka.

Radford starał się ją przytrzymać najdelikatniej, jak umiał, lecz szarpała mu się w ramionach, jakby poraził ją prąd. Była całkiem nieprzytomna i gotowa zrobić sobie krzywdę. Powinien ją związać, ale nie mógł się na to zdobyć.

– Claro, błagam, uspokój się. To tylko ja, twój Kruk ponury. Ciiicho już, cicho, dziewczynko.

– Muszę uciekać! Muszę na statek, szybko! Szybko, zanim Harry nas dogoni! Pośpiesz się, Davis! Nie wlecz się tak!

Rzucała się w malignie. Kiedy Radford próbował jej dotknąć, podskakiwała jak rażona gromem. Wspiął się na łóżko.

– Leż – powiedział spokojnie. – Kładź się i leż bez ruchu. Nic ci nie grozi. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

– Toby!!! – krzyknęła nagle. – Zostawili go na pewną śmierć!

– Nic mu nie jest, lady Claro – zapewnił. – Toby jest już bezpieczny. Ty także.

– To nie jego wina – zaszlochała. – Jest niezbyt rozgarnięty, to wszystko. Jak Harry. Och, ale Harry wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Nie wiedzą, jaki przebiegły… Nie rozumiesz? Żaden nie jest taki jak ty! Dlaczego znów zrobiłam wszystko źle? Och, pozwól mi go odnaleźć!

Odpychała go, usiłując wstać. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest osłabiona, a Radford nie chciał jej skrzywdzić, szarpiąc ją za ręce. Clara nie miała zamiaru się uspokoić.

Mówił spokojnie, cichym głosem. O Tobym, który ma doskonałą opiekę, bo zajmują się nim lekarze i pielęgniarki, a nie burczący Kruk Radford. Próbował żartować. Ucichła na chwilę i zdawało mu się, że słucha, gdy wtem znowu się poderwała i chciała wyskoczyć z łóżka. Chwycił ją w ostatniej chwili, lecz wyślizgnęła się jak wąż, żeby wyskoczyć drugą stroną. Z trudem złapał ją w talii i przytrzymał, bo nie przestawała się wyrywać.

Przygwoździł ją do łóżka za ramiona i usiadł na niej okrakiem. Kiedy próbowała się wywinąć, w przypływie rozpaczy położył się na Clarze i dłońmi przytrzymał jej głowę.

Jęknęła i zastygła nagle, wlepiając w niego szeroko otwarte oczy.

Radford starał się nie skupiać na odczuciu jej miękkiego, gorącego ciała pod swoim. Z wysiłkiem nawiązał kontakt z rozsądkiem.

– Uspokoisz się wreszcie? – zapytał chrapliwie. – Jeśli ktokolwiek tu wejdzie i znajdzie nas w takiej pozycji, oboje będziemy skończeni. Nigdy już nie zostanę lordem kanclerzem, a nawet przygłupim sędzią.

– Kruku? – westchnęła.

– Słucham cię, wariatko. Czy jesteś wreszcie przytomna?

– Zostaliśmy kochankami? – spytała z rozmarzeniem.

Radforda na chwilę zatkało.

– Nie jesteś aż tak nieprzytomna – odburknął i uniósł się na łokciach.

– Och. Zapomniałam. Jestem chora.

– Owszem. Gorączka znów cię dręczy, a nie mogę zrobić wywaru z wierzby, bo nie można cię spuścić z oka nawet na chwilę.

Zamrugała gwałtownie, jakby próbowała powstrzymać łzy. Przełknęła ślinę.

– Postaram się leżeć spokojnie.

Radford zebrał myśli.

– Wciąż potrafisz to wymówić?

– Co?

– Nazwę wystawy, którą oglądaliśmy.

Zmarszczyła brwi.

– Hepta… – Przygryzła wargę.

Kruk podniósł się z niej i zszedł z łóżka, drżąc na całym ciele. Miał tylko nadzieję, że Clara tego nie widzi.

– Nieważne – prychnął. – Jesteś przecież dziewczyną. Nie spodziewałem się, że będziesz pamiętała.

Błysk w błękitnych oczach.

– Pamiętam!

– Nie pamiętasz. Za dużo sylab jak na twój kobiecy wątły rozumek. Na cóż był mój trud nauczenia cię tej jednej rzeczy! Można wytresować psa, by aportował, myślałem sobie. Małpkę, by tańczyła w rytm katarynki. Dlaczegóż nie dałoby się nauczyć dziewczyny jednego słowa?

Zmrużyła niebezpiecznie oczy.

– Profesorze!

– To nie to słowo.

– Heptaplop… Niech cię licho porwie!

– Nie spodziewam się. Ty potrenuj swą mizerną główkę, a ja tymczasem ugotuję wywar.

Próbowała wiele razy. Mruczała i mamrotała pod nosem, ale wyglądała na znacznie spokojniejszą. Wywar był już prawie gotowy, gdy ze śmiechem powiedziała:

– Heptaplasiesoptron!

– Nareszcie – potwierdził.

– Heptaplasiesoptron. Heptaplasiesoptron. Heptaplasiesoptron. A jednak, Profesorze.

– Dla pani „profesorze Kruku” – odparł, naśladując jej wyniosły ton. – Albo „sir”. Ewentualnie „geniuszu”.

– A może „najbardziej irytujący mądralo”?

– Pani zaś, jak mniemam, w ogóle nie jest irytująca.

– Owszem, jestem – odparła z godnością. – Ale pan to we mnie lubi, sir Geniuszu. Z wyżyn swego intelektu wielki i wspaniały Kruk patrzy na mnie z niejakim rozbawieniem. Niech pan nie udaje, że nie. Widzę, jak panu drżą wargi. Widzę ten błysk w pana bystrych kruczych oczkach. Nie umie się pan roześmiać jak normalny człowiek?

– Nie jestem normalnym człowiekiem – sprostował. – Jestem kimś nieskończenie ponad normalnymi ludźmi.

Napełnił kubek i wrócił do łóżka.

Podparł Clarę poduszkami. Tym razem ruch zdawał się nie sprawiać jej tak wiele bólu. Wypiła wywar bez kłopotów, położyła się bez scen i spokojnie zasnęła. Gorączka spadła, majaki ustąpiły. Przynajmniej na razie.

Następnej nocy zachowywała się normalnie, tylko jej myśli zdawały się chwilami błądzić i bełkotała coś nieskładnie.

Przed północą zrobiła się niespokojna i zażądała powozu. Próbowała wstać, lecz kiedy delikatnie dotknął jej ramion, uspokoiła się. Chciał wyprostować potargane prześcieradła i poprawić kołdrę, lecz odepchnęła jego ręce.

– Cicho, dziewczynko. Już ci się poprawiło. Leż spokojnie. Nie rozrabiaj.

Poderwała się.

– Umiem powozić, przestań mnie pouczać! Nie zostanę tu. Jadę do Portsmouth, a potem do Egiptu i Arabii.

Tym razem nie dała się uspokoić. Chciał ją ułożyć na poduszce, ale bez skutku. Usiłował ją przygnieść, lecz kopała zaciekle i wyrywała się jak szalona. Nie chciał, żeby się całkiem wyczerpała, więc puścił ją. Nie słyszała jego słów. Na chwilę zdołał ją położyć, ale prędko znów się poderwała, kopiąc i krzycząc:

– Puść mnie! Puszczaj!!!

– Claro, proszę, robisz sobie krzywdę. Proszę, uspokój się.

Usiłował ją utrzymać, żeby nie wybiegła z pokoju, gdy nagle zamachnęła się szeroko i łupnęła go pięścią prosto w brew.

Rozdział 10

Choć rzadko uda wam się dostrzec kruka, kruk zawsze was widzi. Będzie się podkradał i mijał z wami w drodze, przemierzy w ukryciu setki mil, lecz gdy wreszcie zdołacie go uchwycić wzrokiem, zobaczycie tylko, jak odlatuje.
Charles F. Partington, *Encyklopedia Brytyjska* (1836)

Clara potrafiła nieźle przyłożyć jak na dziewczynę.

Musiała włożyć w cios całą siłę, bo padła jak podcięta na poduszkę i zasnęła. Wyczerpana, ale nie tak rozpalona jak poprzedniej nocy.

W tej chwili wydawało się, że jest bezpieczna, więc Radford uchylił drzwi.

– Milady raczyła podbić mi oko – powiedział do Williama. – Czy mógłbyś obudzić kogoś na dole i przynieść mi zimny stek wołowy? Zaczyna mi już puchnąć, a potrzebuję obojga oczu do pracy.

Przez twarz służącego przebiegł ledwie zauważalny grymas. Lokaj z trudem ukrywał rozbawienie.

– Strzeż się kobiecej pięści – dodał Radford. – Nie walczą uczciwie. Uderzają nagle i bez ostrzeżenia.

– Oczywiście, sir. – Znów grymas.

– Wydaje mi się, że najgorsze mamy za sobą.

Lokaj uśmiechnął się szeroko z wyraźną ulgą.

– Wspaniała wiadomość, sir. Bezzwłocznie dostarczę zimny stek.

Radford wrócił do swej samotni. Oko tętniło bólem, mimo to on także się uśmiechnął.

* * *

Kiedy Clara się obudziła, czuwała przy niej panna Davis. Nie miała pojęcia, która jest godzina, zresztą nie miało to znaczenia. Choć czuła się

bardzo wyczerpana, była też trochę głodna, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. I po raz pierwszy dokończyła porcję bulionu bez słowa zachęty. Sama trzymała filiżankę, panna Davis podtrzymywała ją tylko na wszelki wypadek. Resztę dnia spała bez ruchu.

Gdy obudziła się następnym razem, pilnował jej Radford. Zanim jeszcze otworzyła oczy, słyszała skrzypienie pióra po papierze. Uniosła głowę i zobaczyła Kruka pochłoniętego pracą, pochylonego nad jakimś dokumentem.

Powoli uniosła się na łokciach, żeby mu się przyjrzeć. Nie licząc dnia, w którym ratowali Toby'ego, Radford zawsze był bardzo starannie uczesany i elegancko ubrany. W ostatnich dniach najwyraźniej zrezygnował z tego zwyczaju, choć Clara nie do końca odróżniała dzień od nocy, nie wiedziała także, co wydarzyło się naprawdę, a co tylko jej się śniło.

To na pewno nie był sen. Wyraźnie widziała, że Kruk nie przejmował się zbytnio strojem. Odwiesił marynarkę na oparcie krzesła i pracował jedynie w koszuli i kamizelce. Długie nogi w wąskich, ciemnych spodniach wyciągnął daleko pod biurko.

Mała lampka i blask bijący od kominka nie oświetlały wyraźnie pokoju. Clara widziała jednak białe plamy lnianych rękawów koszuli. Radford rozwiązał fular i rozpiął jeden guzik przy kołnierzyku, odsłaniając smukłą szyję. Cień brody zaznaczał się na jego szczęce. Wijące się czarne loki sterczały na różne strony, co świadczyło o tym, że wiele razy w zamyśleniu przeczesał je palcami.

Było coś wzruszającego w jego napiętej sylwetce i cieniach drżących na przystojnej twarzy. Serce Clary nagle ścisnęło się boleśnie.

Musiała podświadomie wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Kruk poderwał głowę i spojrzał na nią z niepokojem.

– Liczyłem na spokojną noc – oznajmił. – Nie mam jednak szczęścia w życiu.

Pewnie było to głupie i naiwne, lecz czuła się dziwnie podekscytowana, gdy mówił takie rzeczy. Były to braterskie przekomarzanki i uszczypliwości, jednak w ustach Radforda wcale nie przypominały złośliwości jej braci.

Stłumiła rozpaczliwe westchnienie. Żałowała, że jest tak chora i bezsilna. Chciałaby umieć uwodzić, zawrócić mu w głowie. Jednak, z drugiej strony, gdyby nie była chora, nie byłoby go przy niej. Wiedziała doskonale, że nie

wygląda teraz nawet w drobnej części tak pociągająco jak w pięknej sukni i kapeluszu.

Wytarł pióro i odłożył je na biurko. Zamknął kałamarz, a kartki złożył równo z boku. Dopiero wtedy wstał i podszedł do łóżka. Kiedy się zbliżył, zauważyła jakiś cień wokół jego lewego oka. Siniak?

– Zderzył się pan z drzwiami? – zapytała.

– Nie, panno Fairfax. – Pochylił się nad nią. Bez wątpienia miał podbite oko. Wsunął ramię pod jej plecy, uniósł ją delikatnie i podłożył dwie poduszki, od razu wygładzając pościel.

– Nie jestem tak spostrzegawcza jak pan, widzę jednak, że coś się panu stało w oko.

– Owszem. Nadziało się na pani pięść.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, lecz jej umysł nie znalazł rozwiązania tej zawiłej kwestii.

– Uderzyłam pana? Pewnie pan sobie zasłużył.

– Bynajmniej. Wykonywałem jedynie powierzone mi zadania. Należało do nich powstrzymanie pani przed rzuceniem się z łóżka na podłogę i wyskoczeniem przez okno w upartym dążeniu do Arabii czy Portsmouth.

Rozejrzała się po sypialni, próbując przypomnieć sobie cokolwiek. Widok pokoju nic jej nie podpowiedział.

– Majaczyła pani – wyjaśnił.

– Ach. – Wolała sobie nie wyobrażać, co jeszcze zrobiła lub powiedziała. Pamiętała jedynie, że był wciąż przy niej, przez długi czas. Na pewno zachowywała się bardzo niedyskretnie. – Śnił mi się surowy stek. Najwyraźniej to nie był sen.

Po długiej chwili milczenia Radford zapytał:

– Gdzie się pani nauczyła walczyć na pięści?

– Harry mnie nauczył. Bawiło go to. Lecz to było wieki temu. W ogóle nie wierzę, że pana uderzyłam. Jestem chora! Nie potrafię usiąść bez pomocy.

– Zaręczam, że nie posiniaczono mnie w salonie boksu dla dżentelmenów – prychnął. – Strzeliła mnie pani z zaskoczenia, gdy zdawało mi się, że wreszcie zdołałem panią uspokoić, zdradliwa istoto. Proszę się nie wykręcać. Mam świadków, którzy potwierdzą, że od dnia, w którym tu przyjechałem, ani na chwilę nie opuściłem Exton House. Dodatkowo, lokaj pilnujący drzwi zaświadczy, że wchodząc tu, miałem oczy w zupełnym

porządku i nie wychodziłem, dopóki nie byłem zmuszony zażądać steku. Żaden sąd w kraju cię nie uniewinni, o ile nie wlepisz w niego swych wielkich błękitnych ocząt.

Clara zadarła brodę.

– Skoro pana uderzyłam, na pewno pan na to zasłużył.

– Usiłowałem panią uratować, niewdzięczna kobieto!

– Och, niech pan już nie jęczy – skwitowała. – Proszę się przysunąć bliżej, pocałuję pana i przestanie boleć.

Radford na ułamek sekundy otworzył szeroko oczy. Nie dostrzegłaby tego, gdyby nie wpatrywała się w skupieniu w jego twarz. Zresztą sama była zaskoczona tymi słowami. Może wciąż majaczy? Twarz ją paliła, jednak obawiała się, że to nie gorączka.

Radford cofnął się od łóżka i stwierdził chłodnym tonem:

– Myślałem, że delirium już minęło.

– Może to laudanum. – Clara wzruszyła ramionami.

– Nie dostała go pani na mojej warcie.

– W takim razie jestem sobą. Niech się pan zbliży.

– Żadnego całowania – zastrzegł.

Oczywiście. Niby dlaczego miałby chcieć się całować z kobietą, której oddech powstrzymałby nosorożca w natarciu.

– Dobrze! – Uniosła dłonie w teatralnym geście. – Chciałam tylko przyjrzeć się swemu dziełu.

Po dłuższej chwili, podczas której uważnie przyglądał się kolumnie baldachimu, Radford powiedział wreszcie:

– Bynajmniej nie bronię się przed pocałunkami. Nawet od pani. Jak wcześniej wspominałem, jestem mężczyzną.

– Zauważyłam to – wtrąciła Clara. Spojrzała na jego smukłą szyję, potężne ramiona i szeroki tors. Płaski, umięśniony brzuch, który prezentował się tak pociągająco w samej kamizelce. Wąskie, chłopięce biodra. I długie, długie nogi…

Najwyraźniej wraca do zdrowia. Albo właśnie bardzo jej się pogorszyło. Może choroba spowodowała nieodwracalne zmiany w mózgu?

– Jednakże… – Spojrzał na nią. – Jest pani wciąż chora i nie do końca przy zdrowych zmysłach. Musiałbym być całkowicie pozbawiony manier, gdybym wykorzystywał słabość chorej damy.

– Nie jestem aż tak słaba! – zaprotestowała. – Podbiłam panu oko!

Wargi mu zadrżały.

– Uznam zatem ów cios za znak powrotu do zdrowia.

– To się musiało w końcu stać – wyznała Clara. – Już od dłuższego czasu miałam ochotę pana uderzyć. Teraz mogę o tym zapomnieć.

– Z tego, co mi mówiono, chęć uderzenia mnie rzadko mija po fakcie.

– Ile kobiet już pana uderzyło? – zapytała, czując nagłą falę palącej zazdrości.

– Och, nie zliczyłbym tych przelotnych policzków – westchnął. – Najczęściej rzucają we mnie z daleka.

Clara nie życzyła sobie, by jakakolwiek dama poza nią rzucała w niego czymkolwiek.

– Postawa godna naśladowania – powiedziała. – W ten sposób nie uszkodzę sobie dłoni.

Podszedł jednak.

– Boli panią dłoń?

Rzeczywiście trochę bolała. Clara nie skupiła się na tym, gdyż od tygodni bolało ją wszystko. Schowała rękę pod kołdrę.

– Ależ skąd. Miałam na myśli następny raz. Chyba że zdołałabym uderzyć mocniej. Ale na to nie mam nadziei, więc spróbuję rzucania przedmiotami.

– Proszę mi pokazać tę dłoń.

Clara nawet nie drgnęła.

– Nie chciałbym pani przymuszać…

Gdyby nie była chora i czuła się pewnie co do swego wyglądu i zapachu, nie miałaby nic przeciwko temu, żeby ją trochę przymusił. Westchnęła i wyciągnęła ku niemu rękę.

Radford dokładnie obejrzał każdy palec, naciskając kolejne stawy.

– Boli?

– Nie. – Czuła wyraźnie jego dotyk. Palił ją jak ogień.

– A to?

Kruk powoli obejrzał całą dłoń, nadgarstek i rękę aż do łokcia, dotykając i naciskając z różnych stron. Jego dłonie były ciepłe i silne. Czuła jego zapach. Nie był to zapach choroby ani zmęczenia. Pachniał jak prawdziwy mężczyzna. Niedawno wykąpany.

Musiała zmobilizować wszystkie zasoby wychowania, by nie przyciągnąć go do siebie. Powinien dotykać tak całego jej ciała. Teraz.

Tutaj. Natychmiast.

– Palce ma pani trochę posiniaczone – powiedział, odkładając jej dłoń tak delikatnie, jakby była z chińskiej porcelany. – Poślę po lód. Powinienem był to zrobić już wczoraj.

– Wczoraj niczego nie zauważyłam.

– Może dlatego, że od razu zapadła pani w sen.

– A pan nie chciał mnie budzić i ryzykować kolejnego siniaka.

– Nie zawracałbym pani głowy siniakami – sprostował. – Walczy pani z czymś znacznie poważniejszym. A skoro o tym mowa…

Urwał i przez chwilę wpatrywał się w ścianę, przygryzając wargi. Clara poczuła lęk.

– Czuję się już lepiej – zapewniła. – No, może jeszcze nie całkiem dobrze, ale przecież…

– Wysypka – przerwał jej Radford.

– Słucham? – Dotknęła z przerażeniem twarzy. Jeszcze tego brakowało. – Mam wysypkę?

– Nie tutaj – odchrząknął Kruk. – Zwykle pojawia się na… torsie. – Wykonał szybki gest w okolicach klatki piersiowej i brzucha. – Małe czerwone krostki.

Ach, doprawdy wspaniale. Czerwone krostki. Brzydki zapach z ust. Clara miała nadzieję, że panna Davis myła ją w ciągu ostatniej doby. Nie chciała nawet myśleć, jak wyglądają jej włosy. Dzięki niebiosom za nocne czepki!

– Poproszę pannę Davis, żeby to sprawdziła – powiedział. – Na ogół znikają po paru dniach, ale nie wolno ich drapać, żeby nie wdała się infekcja.

– Lód – ucięła Clara. – Miał pan zamówić dla mnie lód.

Może położy go też na brzuch i zamrozi wysypkę.

Nigdy nie uważała, że jest próżna. Najwyraźniej nie miała racji. W tej chwili oddałaby wiele – nawet swój ukochany kabriolet – za stosowny strój, fryzurę i… zapach.

– Lód, oczywiście – odparł i zamrugał, jakby wyrwała go z głębokiej zadumy. – A skoro czuje się pani lepiej, może poproszę także o bulion albo kleik?

– Wolałabym coś treściwszego. Co pan zrobił z tym stekiem?

* * *

Wysypka pojawiła się w środę. Jednak apetyt lady Clary powoli się poprawiał. Podobnie jak jej humor.

W piątek przybył wreszcie kolega doktora Marlera. Oznajmił, że milady wraca do zdrowia i wyśmiał cynicznie możliwość zarażenia się przez Clarę tyfusem. Uznał, że gdyby istotnie przechodziła tyfus, prawdopodobnie by umarła, a już na pewno nie doszłaby do siebie w takim tempie. Zostawił szczegółowy plan dalszego leczenia, który Radford wrzucił do kominka.

Do soboty wysypka zniknęła.

Clara z dnia na dzień czuła się coraz lepiej.

We wtorek miną trzy tygodnie, odkąd się rozchorowała. Radford nie miał odwagi marzyć, że wydobrzeje w tak krótkim czasie. Już teraz spędzała część dnia w fotelu, wracały jej siły. Potrzebowała coraz mniej snu. I coraz mniej pomocy.

Wkrótce w ogóle nie będzie potrzebowała jego obecności i nie będzie już żadnej wymówki, by pozostawał w Exton House. Musiał to z przykrością przemyśleć i podjąć równie przykrą, choć nieuniknioną decyzję.

* * *

W poniedziałek, siedząc w fotelu przy oknie, Clara czytała „Poranne Zwierciadło”. Panna Davis krzątała się to tu, to tam. Gdy wróciła z garderoby z naręczem bielizny, Clara zapytała z przekąsem:

– Odra?

– Słucham, panno Fairfax?

Clara przeczytała na głos:

Lady C.F., najstarsza córka lorda W., przebywa wciąż w Londynie pod opieką krewnej. Lady C. walczy z nagłym atakiem odry, który trwał podejrzanie długo, lecz podobno milady wraca już do zdrowia.

Podniosła wzrok znad gazety.

– Czy przypadkiem nie przechodziłam odry w dzieciństwie?

– Owszem, milady, lecz lady Exton musiała coś powiedzieć wszystkim bliskim i znajomym. Dzięki temu trzymała odwiedzających z daleka. Przecież nikt nie pamięta, które dziecko przechodziło którą chorobę w dzieciństwie.

To prawda. Wszystkie zakaźne choroby dziecięce szalały okresowo w domu Warfordów, lecz nie wszystkie dzieci przechodziły je jednakowo.

Ponieważ to pokojówki i nianie opiekowały się małymi pacjentami, a nie miały one w zwyczaju zostawać na służbie zbyt długo, gdyż dzieci Warfordów doprowadzały je do szaleństwa – nikt nie mógł być pewny, co przechodził, a czego nie.

– Wszyscy wiedzą, że dziecięce choroby w dorosłym wieku przechodzi się ciężko – ciągnęła panna Davis. – Odra jest niebezpieczna zwłaszcza dla dżentelmenów. Lady Exton potrzebowała nazwy, która odstraszy pani braci, ale nie wzbudzi skandalu. Domyślam się, że był to pomysł pana Radforda.

– Niezbyt elegancko – westchnęła Clara – ale chyba lepiej niż… – Próbowała sobie przypomnieć, czy ktokolwiek powiedział jej, na co choruje. – Co ja w zasadzie przeszłam?

– Pan Radford uważa, że tyfus, panno Fairfax.

– Wielkie nieba!

– W istocie.

– A jednak żyję.

– Na to wygląda.

Żyje wyłącznie dzięki Radfordowi. Tyfus!

– Odra brzmi zatem doskonale – podsumowała Clara. – Przynajmniej nie przyprawi mamy o atak serca.

– Zgadza się, panno Fairfax. Pan Radford myśli o wszystkim.

Clara spojrzała na nią ze zdumieniem, lecz pokojówka wychodziła już, taszcząc naręcze bielizny.

Pół godziny później zjawiły się trzy siostry Noirot, najwyraźniej bagatelizując grozę zarażenia się odrą. Clara powiedziała im wiele, ale nic zgodnego z prawdą, oraz przymierzyła suknie, które przyniosły jej w prezencie.

* * *

Wtorek, 13 października

– Przyszedłem się pożegnać – powiedział swobodnie Radford.

Tygodnie czuwania przy Clarze i ukrywania przed wszystkimi targającego nim niepokoju dopadły go wreszcie i przespał niemal całą poprzednią dobę. Tuż przed południem słyszał gości, nawiedzających jego

pacjentkę. Co chwilę musiał sobie przypominać, że Clara nie jest już jego pacjentką.

Odwiedziły ją kobiety. Ich doskonały angielski był ekscytująco ubarwiony francuskim akcentem. Nie musiał się wysilać, by domyślić się, kim są. Słynne stylistki z Maison Noirot. Przemaszerowały korytarzem, rozmawiając głośno, niekiedy mówiły trzy naraz. Słyszał wyraźnie ich głosy, dopóki nie ucichły za drzwiami sypialni lady Clary. Chwilę wcześniej wyszedł stamtąd, nie dbając o pozory stosowności, gdyż do tej pory ich nie potrzebował.

Lady Clara odłożyła książkę i zwinęła dłonie na podołku.

Radford zdał sobie sprawę, że oswoił się zupełnie z widokiem panny Fairfax ubranej jedynie w nocną koszulę. W ostatnich dniach, gdy zaczęła nabierać sił i siadać w fotelu, narzucała na koszulę prostą podomkę. Dziś jednak miała na sobie frywolny dezabil, który kobiety nazywały w sposób kompletnie nieuzasadniony poranną suknią.

Był to puszysty obłok haftowanego muślinu z bufiastymi rękawkami do łokci i dopasowanymi poniżej. W okolicach piersi i talii też była świetnie dopasowana. Nieprzebrane metry koronek i wstążek zdobiły to dzieło krawieckiej sztuki, a różowa szarfa przewiązana w pasie na kokardę zwracała uwagę na jej kuszące kobiece kształty. Radford uważał to za pułapkę na kretynów. Każdy mężczyzna o właściwie działającym wzroku sam byłby w stanie wychwycić jej kształty.

Zamiast dziewiczego białego czepka miała na głowie koronkowy różowy kapturek, którego wyłogi spływały po ramionach, zbierając się w przyciągające wzrok fałdki na dekolcie. Jakby ktoś nie wiedział, gdzie powinien patrzeć.

Jakby ktoś nie rozpiął kiedyś guziczka akurat w tym miejscu.

Zdawało mu się, że od tamtej chwili uniesienia minęły wieki.

Widząc ją w stosownym stroju, sztywno wyprostowaną w fotelu, czuł, jak mur dzielący ich światy odbudowuje się na nowo.

Zresztą tego właśnie powinien się spodziewać, a nawet oczekiwać. Wszak jest rozsądnym mężczyzną.

Rozsądny mężczyzna wie doskonale, że wszystko wróci do poprzedniego stanu. Lady Fairfax była chora, ale ich zażyłość zawiązana w tym czasie musi zaginąć w odmętach niepamięci. Przecież nie zmieniła się w kogoś innego. Właśnie dlatego rozsądny mężczyzna przyszedł się pożegnać.

– Czyżby wczorajsza wizyta mej bratowej i jej sióstr tak pana wystraszyła?

– Nie lękam się kobiet – odparł. – Nawet Francuzek.

– Ach, oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Jestem niedorzeczna. Po prostu uznał pan, że już czas. Uratował mnie pan i troszczył się o mnie, a teraz musi wracać do Herefordshire i zatroszczyć się o Bestialskiego Bernarda.

Radford westchnął cicho.

– Powinna pani siadać bliżej kominka. Po ciężkiej chorobie bardzo łatwo o przeziębienie. Proszę wstać, przestawię pani fotel.

Wstała wśród szelestu muślinu.

– Przypuszczam, że po prostu nie umie się pan powstrzymać – powiedziała. – To pewnie cecha książęcej krwi. Te dyktatorskie polecenia.

Kruk ustawił fotel bliżej kominka, po czym przesunął parawan tak, by osłaniał ją od żaru płomieni, ale zapewnił dostateczne ciepło.

– Jest pani aż nazbyt władcza i wyniosła – odpowiedział. – Gdybym pani nie styranizował, zapewne owinęłaby mnie pani sobie wokół palca.

– To zrozumiałe, muszę taka być – przyznała. – Wychowano mnie na księżnę.

To słowo uderzyło go jak taran i utkwiło w sercu jak zadra. W głębi ducha upadł i zapłakał. W rzeczywistości stanął i odetchnął ukradkiem. Musiał się wziąć w garść. Tylko trzaskanie ognia rozpraszało ciężką ciszę, która zapadła w pokoju. Po chwili Clara podeszła do fotela i usiadła, szeleszcząc koronkami.

– Moja matka nie zgodzi się na niższą rangę – szepnęła.

Radford nie był zaskoczony. Ani upokorzony. Nie mógł być, gdyż sam wiele razy to sobie tłumaczył. Lady Clara nie była dla niego. Nigdy nie będzie. Nie miał w zwyczaju się oszukiwać. Widział to wyraźnie już tego dnia, gdy pojawiła się nagle w jego kancelarii, w miejscu, w którym pod żadnym pozorem nie powinna była się znaleźć. Należą do innych światów. Równie dobrze mogłaby mieszkać na Księżycu.

– Może powinnam wyjść za Bestialskiego Bernarda? – oznajmiła, zanim odepchnął od siebie uczucia na tyle, by móc sklecić jakąś sensowną odpowiedź. – Wygląda na to, że rozpaczliwie potrzebuje żony takiej jak ja. Jestem despotyczna, więc bez trudu sobie z nim poradzę. Wiem, że mężczyźni tacy jak Bernard nie są trudni do opanowania.

Radford gapił się na nią bezmyślnie. Zajęło mu dobrą chwilę odnalezienie połączenia pomiędzy mózgiem i językiem.

– Bernarda – wykrztusił.

– Tak – potwierdziła. – Jest księciem i głową tej rodziny, nieprawdaż?

* * *

Serce Clary biło tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Musiała wezwać na pomoc całe dwadzieścia dwa lata wychowania na prawdziwą damę, żeby nie zemdleć.

– Czy pani znów majaczy? – wyjąkał z przerażeniem Radford.

– Wprost przeciwnie. Spoglądam na tę sprawę bez emocji. Otarłam się o śmierć i…

– Nawet się pani do niej nie zbliżyła, bo czuwałem tu jak wariat – wycedził Kruk.

– Gdyby jednak pan nie czuwał – ciągnęła – na pewno bym umarła przy nieocenionej pomocy doktora Marlera. Zdałam sobie sprawę, że nie dokonałam dotąd niczego prócz uratowania niezbyt bystrego chłopca. Zmarnowałam całe życie.

– Ma pani dopiero dwadzieścia dwa lata!

– Jestem starą panną – prychnęła. – Wszystkie dziewczęta, które debiutowały razem ze mną, dawno wyszły już za mąż. Niektóre mają dzieci. Miałam nadzieję… Cóż, to nie ma znaczenia, byłam naiwna. Potem postanowiłam w ogóle nie wychodzić za mąż, ale to też było naiwne. Zdałam sobie sprawę, że w głębi serca wcale nie chcę być ekscentryczną starą panną. Ani mieszkać w namiocie.

– Nikt nie mówi, że ma pani mieszkać w namiocie! To jakiś obłęd, doprawdy.

– Wyjaśniam panu jedynie, iż jako dama nie mam zbyt wielu możliwości do wyboru. Tak mnie wychowano. Moim przeznaczeniem jest wyjść dobrze za mąż, a i tak przeciągałam to aż nazbyt długo. Nie chcę wyjść za kogoś, kto oświadcza mi się, bo to najnowszy krzyk mody w stolicy. Pański kuzyn nie dba o modę. Chce jedynie żony, która da mu synów.

Zielone i żółte siniaki wokół oka Radforda nabrały intensywnej barwy, gdy krew odpłynęła mu z twarzy. Clara miała nadzieję, że jest wstrząśnięty, w innym wypadku przejrzałby jej plan.

– Idąc dalej tym tropem, jeśli miałabym wreszcie zadowolić matkę i wyjść za księcia, wolałabym takiego, którego życie nie jest powtarzalne do znudzenia. Wszystko, co mi pan opowiadał, świadczy o tym, że książę Malvern będzie dla mnie doskonałą inspiracją i stymulującym wyzwaniem dla mego intelektu i przebiegłości. To oczywiste, że potrzebuje kogoś takiego jak ja, by zapanował nad jego domem. Pan się nada do zarządzania nieruchomościami. – Machnęła dłonią. – Żeby się użerać z zarządcą, księgowym i tak dalej.

– Jakże jestem szczęśliwy, że jednak ostatecznie do czegoś się nadam – odparł zdławionym głosem.

– Jego Wysokość potrzebuje jednak kobiety, która z powodzeniem zajmie się sprawami domowymi. Nauczono mnie tego już w młodości. Potrafię prowadzić książęcy dom. Miałam wyjść za Clevedona, jak pan zapewne wie, i…

– Mój kuzyn nie jest Clevedonem! – wykrzyknął Radford. – Bernard jest odrażający! Pamięta pani ten dzień, gdy miała nieszczęście go spotkać? Wyglądał wtedy najlepiej, jak to możliwe. Teraz jest po prostu obrzydliwy.

– Podobnie jak biedacy i bezdomni, a jednak podejmuje pan wyzwanie i szuka dla nich sprawiedliwości.

– Nie muszę z nimi mieszkać!

– Jego Wysokość posiada kilka obszernych domów – wytknęła z beztroską. – Nie muszę widywać go częściej, niż to konieczne.

– Ależ on jest nie do zniesienia w całości! – zatchnął się Radford. – Jak możesz, Claro?

Spojrzała w ogień.

– Moja matka zawsze mi to powtarza.

Kątem oka widziała, że Kruk zaciska i rozprostowuje drżące dłonie.

– Nie po to pielęgnowałem cię jak niańka, żebyś rzuciła się w objęcia Bernarda – wycedził.

Spojrzała na niego. Jego twarz nabrała kolorów i wyglądał na opanowanego, jednak przeczył temu jego płomienny wzrok, podobnie jak zaciśnięte pięści.

– Mama życzy sobie, bym wyszła za księcia. Będzie zdruzgotana, jeśli tego nie zrobię, a jej toksyczna przyjaciółka lady Bartham zatruje nam życie. To mój obowiązek. Niestety, kierując się pychą, odrzuciłam Clevedona, a jak się okazało, książęta nie są stali w swych uczuciach.

– Niech cię licho, Claro! Nie potrzebujesz księcia!

– Ale mama…

– Do diabła z twoją matką! Potrzebujesz mnie, głupia dziewczyno!

Zapadła cisza tak przejmująca, że trzaskanie ognia brzmiało jak ogień artyleryjski.

Clara ledwie panowała nad ciałem. Serce jej łomotało, dłonie miała spocone.

Delikatnie uniosła brew.

– Doprawdy? – zapytała chłodno.

Dopiero gdy Radford wygłosił szaloną kwestię, zdał sobie sprawę ze swych słów, co było jasnym dowodem na to, że znajdował się w tragicznym stanie. Najwyraźniej na chwilę postradał wszelkie zmysły. A przede wszystkim rozum.

Odruchowo skrzyżował ramiona i podszedł do okna, udając, że spogląda na ogród. Nic nie widział.

– To szaleństwo – powiedział do emanującej jesiennym chłodem szyby.

– Bez wątpienia – odparła Clara. – Nie mogę sobie uświadomić, do czego miałabym pana potrzebować, chyba że czułabym nieuzasadnioną potrzebę irytacji.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Nie wyjdziesz za Bernarda.

Wyprostowała się jak na przyszłą księżnę przystało i zadarła nos.

– Ależ wyjdę – odparła. – Chyba że dostanę lepszą ofertę. Ostatecznie muszę za kogoś wyjść.

Za mnie! – krzyczał w duchu Radford. – *Wyjdź za mnie!*

Powiedział to nawet na głos. Prawie.

Spojrzał na nią spod brwi. Podszedł do kominka. Jedna z figurek wyobrażała Dafne zamieniającą się w drzewo. Przesunął ją o centymetr w lewą stronę i zastygł na moment z dłonią na marmurowym obramowaniu paleniska.

Często stosował tę metodę na sali sądowej. Stał przez chwilę w milczeniu, z opuszczoną głową, przygotowując się do przemowy. Niestety, tym razem był zarówno oskarżycielem, jak i obrońcą. Chciał reprezentować Rozum. Jego podświadomość stała na straży Emocji, Pragnień i Życiowych Prawd.

– Będzie się pan próbował z tego wyłgać – stwierdziła Clara. – Widać to jak na dłoni.

Zdaniem Kruka widziała jak na dłoni stanowczo zbyt wiele. Przypomniał sobie, jak mimo groźby śmierci pod kołami rozpędzonego powozu w mgnieniu oka spostrzegła ogromną liczbę szczegółów. Zapamiętała, w co byli ubrani Freame i Szczypior i jak wyglądał powóz wypadający wprost na nią z Charing Cross.

– Nie przemyślałem tych słów – wyznał. – Wizja pani związku z Bernardem była tak absurdalna, że na chwilę zamroczyła mój rozum. – Kiedy wspomniała o synach Bernarda, w głowie Radforda wizja sama ubrała się w szczegóły i przez chwilę obawiał się, że mózg mu eksploduje. – Pani choroba wprowadziła nas na poziom intymności, jakiej w naturalnych okolicznościach nigdy i pod żadnym pozorem byśmy nie doświadczyli – westchnął. – Nie mogę zaprzeczyć, iż żywię do pani… uczucia.

Kochasz ją! – ryknęła gromko podświadomość. – *Kochasz ją, nadęty kretynie!*

– Gdybym nie darzył pani… uczuciem, być może wykorzystałbym fakt, iż chwilowo myli pani wdzięczność z… silniejszymi emocjami. Wziąłbym pod uwagę pani piękny posag i dążyłbym do zgody z panią, wbrew oczekiwaniom jej rodziców. Pani krewni znienawidziliby mnie na wieki, lecz i tak wszyscy mnie nienawidzą, więc nie sprawiłoby mi to różnicy. Zdobyłbym piękną żonę, która w porównaniu ze wszystkimi kobietami, jakie poznałem, posiada organ najbardziej zbliżony do mózgu, której znajomości i wpływy pomogłyby mi osiągnąć sukces zawodowy i której majątek zapewniłby nam dostatnie życie, zanim się to stanie.

Która uszczęśliwia mnie bardziej, niż mógłbym się spodziewać. Której twarz chciałbym zawsze oglądać przy moim stole. Której głos chciałbym słyszeć o poranku i na zakończenie każdego dnia.

– Ale – podsunęła Clara. – Zawsze jest jakieś „ale”.

– Proszę pomyśleć choć przez chwilę. – Odsunął się od kominka. Od niej. – Nie jest mi pani przeznaczona, a ja nie jestem dla pani. Czar nowości szybko pryśnie i zostanie pani żoną biednego prawnika mieszkającego w wynajętych pokojach. Nie do tego panią wychowano. Jednocześnie zmarnuje pani swe wykształcenie i będzie musiała się zmierzyć z dramatycznie odmiennymi problemami. Znajomi odwrócą się od pani.

Nie wspominając już o tym, jak męczącym i drażniącym jestem współlokatorem. Proszę zapytać Westcotta. Pewnego dnia po prostu mnie zastrzeli i każda ława przysięgłych go uniewinni.

– Ja również mogę pana zastrzelić – zauważyła Clara. – I zapewne ubawię się przy tym znacznie bardziej. – Machnęła dłonią. – Nieważne. Ma pan rację. Jestem niemądra.

– Była pani chora. Naturalnie jeśli…

– Sądziłam, że dżentelmen, który wykazał się odwagą i wytrzymałością wystarczającą, by opiekować się mną w czasie długiej i odrażającej choroby… Dżentelmen, który wziął pełną odpowiedzialność za moje życie… Który ufał jedynie swemu rozsądkowi, mądrości, cierpliwości i współ… współczuciu… – Głos panny Fairfax zadrżał.

– Claro…

Uniosła dłoń.

– Nie skończyłam. To moja mowa końcowa, uczony przyjacielu, i musisz jej wysłuchać. – Jej oczy wypełniły się łzami, zamrugała, przełknęła ślinę i mówiła dalej: – Sądziłam, że taki dżentelmen jest prawdziwym mężczyzną. Sądziłam, że z takim mężczyzną kobieta może żyć szczęśliwie, mimo że nie jest on księciem. Jestem naiwna. Wymyśliłam sobie mężczyznę, którego będę mogła kochać i szanować, któremu będę mogła z dumą pomagać w pracy, gdyż potrzebuje on pomocy, biorąc pod uwagę jego brak taktu, nie wspominając o uroku. Zapragnęłam mężczyzny, który nie widzi we mnie najmodniejszej ślicznotki sezonu ani nawet prawdziwej damy, ale widzi mnie naprawdę. Jako przyjaciółkę i towarzyszkę. Nie rozumiem, dlaczego miałabym poradzić sobie z panem mniej sprawnie niż Westcott, ale jest pan o tym przekonany, a nie będę się z panem spierała. Wszak zajmuje się pan tym zawodowo. Wydaje mi się także, że jest pan przekonany, iż nie będę szczęśliwa, jeśli nie wyjdę za księcia. Przyjmę zatem od pana poradę prawną. Wyjdę za Bernarda.

– Nie wyjdzie pani…

– Nie żartuję – powiedziała dobitnie. – I nie jest to czcza pogróżka. Przemyślałam to gruntownie. Mogę go zmienić. I proszę mi nie przypominać, że jest odrażający, bo już to pan wyraźnie podkreślił. Pan także jest potworem, ale w ogóle mnie pan nie przeraża. Przeciwnie, bawi mnie pan. Bernard jest zapewne bestialski w zupełnie inny sposób, jednak zakładam, że także będzie mnie bawił. Przekonamy się o tym dość prędko,

prawda? No, to by było na tyle. Czy dobrze się pan czuje? Nie zraniłam pana? Nie zamierza pan mdleć? Płakać też nie? Doskonale. Życzę miłego dnia, panie Radford. Dziękuję uprzejmie za ocalenie mi życia.

Radford w duchu powtarzał sobie, że z przyczyn fizjologicznych wszystkie kobiety są w różnym stopniu pomylone. Powtarzał też sobie, że jeśli ktokolwiek na świecie byłby w stanie wychować Bernarda, to właśnie ona i choć ten pomysł wydawał mu się makabryczny, a wręcz samobójczy, wiedział, że to reakcja emocjonalna.

Czyż nawet kilka sióstr Jego Miłości, rozpaczliwie uciekając przed staropanieństwem, nie wyszło za ohydnych staruchów? Kilka z tych małżeństw uchodzi za zgodne i szczęśliwe.

– Nie ma za co, lady Claro – powiedział. – Dobrego dnia.

Wyszedł sztywno z sypialni. Gdy tylko zamknął drzwi, coś roztrzaskało się o nie z głuchym łoskotem. Radford ruszył korytarzem.

Rozdział 11

Prawo – jest zbiorem nakazów i zakazów
porządkujących zasady współżycia społecznego.
Na zasady prawa powołują się wszyscy: oskarżeni,
poszkodowani i świadkowie. Zaś oskarżycieli
i obrońców, to znaczy osoby pracujące z prawem
i znające jego zapisy, nazywamy prawnikami.
Thomas Edlyne Tomlins, *Słownik prawny* (1835)

Clara spojrzała z nienawiścią na figurkę Amora. Chciała rzucić nim w drzwi razem z zegarem, do którego był przymocowany, lecz zachowałaby się wówczas jak rozpieszczony dzieciak.

Którym zresztą była.

Była jednak również rozsądną i bystrą kobietą, wiedziała więc, że pan Radford ma rację.

Było jasne, że w tej chwili mama przyjęłaby z ulgą w zasadzie każdego dżentelmena z jakimkolwiek tytułem i majątkiem.

Ale nie. Clara musiała się zakochać w mężczyźnie, który nie odziedziczy tytułu jeszcze przez długie lata, a biorąc pod uwagę jego szacunek dla tradycji – być może nigdy. Mieszka w wynajętych pokojach, nie ma nawet rodzinnego domu w mieście. Jego ojciec posiada jakieś nieruchomości, nie może się jednak poszczycić tytułem. Co gorsza, ożenił się z rozwódką! Cudzołóstwo czy inne małżeńskie nieszczęścia przydarzały się nader często, lecz prawdziwe damy cierpiały w milczeniu bądź przenosiły się na prowincję, nie rozgłaszając swych niedoli przed sądem i światem.

Mama z trudem przełknęła ślub Harry’ego ze stylistką Sophy Noirot, lecz mężczyźni mogli swobodniej wybierać swe żony, a mama i tata i tak w duchu szaleli z radości, że nie poślubił potajemnie jakiejś kurtyzany. Ponadto Sophy była z pochodzenia arystokratką i zachowywała się jak urodzona dama. Wszystko to sprawiło, że mama prawie ją polubiła.

Oczekiwanie, że polubiłaby szorstkiego w obyciu i gburowatego Radforda, było niedorzecznością. Jeśli zaś mama nie zaakceptuje zalotnika, tata na pewno nie ujmie się za nim, chyba że sam miałby zamiar mieszkać w namiocie w Arabii.

Choć pan Radford jest mistrzem argumentowania, przy takich przesłankach nawet on nie byłby w stanie przekonać do siebie rodziców Clary.

Poza tym być może w istocie Clara nie byłaby dla niego odpowiednią żoną. Jest rozpieszczona, rozrzutna i próżna. Jeden dobry uczynek nie zmieni jej charakteru, zwłaszcza że to pan Radford ocalił Toby'ego i zrobiłby to bez jej pomocy.

Clara wiedziała, że znów, jak zwykle, pragnie być kimś, kim nie jest.

Zawsze chciała spędzać czas z chłopcami, bo ich zajęcia były bardziej ekscytujące niż te, na które pozwala się dziewczynkom. Ich zabawki były ciekawsze. Książki bardziej intrygujące.

Pan Radford okazał się bardziej ekscytujący, intrygujący i zabawny niż jakikolwiek dżentelmen, którego poznała, więc zapragnęła być z nim. Ale jest mężczyzną, a nie zabawką czy książką. Ma swoje życie. Karierę, na której mu zależy. Czekała go – jeśli, rzecz jasna, nikt go nie zamorduje – świetlana przyszłość, do której panna Fairfax po prostu nie pasowała. Być może nawet ją lubił i pożądał jej ciała. Jednak towarzystwo nie wybacza takich różnic społecznych. Gdyby przepaść między nimi nie była tak rozległa, ich ścieżki krzyżowałyby się częściej w ciągu ostatnich trzynastu lat.

Nie pasowała do jego świata i była pewna, że jej świat go nie przyjmie. Radford dostrzegł to od razu. Ona się łudziła.

Trudno. Być może była jeszcze zamroczona po chorobie. Nie myślała tak jasno jak zwykle.

Popłacze sobie porządnie – może kilkanaście razy – i jakoś się z tym pogodzi. Potem może równie dobrze wyjść za księcia Malverna. Jej argumentacja była na wskroś logiczna i rozsądna. Dlaczegóżby nie? Babci Warford rodzice wybrali męża, w ogóle nie pytając jej o zdanie. Wyszła za mąż bez miłości. Jednak z czasem wychowała sobie męża i nawet zdołała się do niego przywiązać.

Pod czujnym palcem Amora zegar odmierzył dwie minuty.

Clara odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Odwróciła się od kominka. Żałowała, że nie ma przy sobie sióstr Noirot z nieodłączną karafką brandy, ich lekiem na wszelkie zło tego świata.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Radford wpadł do sypialni i zatrzasnął je z hukiem.

– Nie wyjdziesz za Bernarda! – oświadczył z mocą.

* * *

Nie mógł tak po prostu odejść. Nie mógł się pogodzić z racjonalnym, jedynie słusznym rozwiązaniem. Nie zdołał stłumić burzy emocji, pragnień, oczekiwań i lęków mącących mu umysł i ściskających za serce.

Był głupcem. Szaleńcem! Bez wątpienia spotka go za to zasłużona kara. Jednak czuł, że jest to w zasadzie sprawa jak każda inna, a miał przecież doświadczenie w prowadzeniu spraw skazanych na porażkę. Potrafił walczyć do samego końca.

Nie chciał odejść. Poddać się bez walki.

Widział przy drzwiach strzaskaną figurkę z porcelany, ale patrząc na Clarę, nikt nie domyśliłby się, że to ona ją rzuciła. Kryła się znów pod maską wielkiej damy. Patrzyła na niego beznamiętnie, z uprzejmym brakiem zainteresowania. Tak mogłaby patrzeć księżna na pijanego prostaka, zanim dyskretnie nie kazałaby lokajom wyrzucić go za drzwi.

Radford nie przejmował się spojrzeniami. Sędziowie i ławnicy hojnie obdarzali go tym towarem.

– Będziesz nieszczęśliwa! – powiedział. – Bernard mnie obrzydza, gdybym jednak wierzył, że cię uszczęśliwi, życzyłbym wam wszystkiego najlepszego. – Oczywiście, zadławiłby się na śmierć tymi życzeniami. Bez wątpienia. – Ale tak się nie stanie. Potrafi zadbać jedynie o siebie. Wykończysz się przy nim. Zmarnujesz życie.

Zaczerpnął tchu, próbując uspokoić serce.

– Jeśli już musisz zmarnować z kimś życie, Claro, to wybierz mnie. Jeśli koniecznie chcesz kogoś wyprowadzić na ludzi, niech to będę ja.

Twarz Clary była nieprzeniknioną maską.

– Do licha, Claro! Wyjdź za mnie!

Spochmurniała.

– Tak sobie wyobrażasz oświadczyny? Nigdy w życiu nie słyszałam niczego równie grubiańskiego. Wszyscy inni wytężali umysły – a przynajmniej to, co tam mieli – by ułożyć porywającą mowę. Wszyscy padali na kolana i błagali mnie o rękę ze łzami w oczach. Wszyscy twierdzili, że od mojej zgody zależy ich życie. Wszyscy podkreślali, jak bardzo nie zasługują na to niewymowne szczęście. Wszyscy…

– Jestem inny niż wszyscy.

– Hm… – mruknęła Clara.

Podszedł do niej. Nie cofnęła się. Chwycił ją za ramiona.

– Wyjdź za mnie, do diabła!

– Gnieciesz mi rękawy!

– Niech szlag trafi twoje rękawy!

– Nie masz prawa wpadać tu jak wariat, gdy…

Pochylił głowę i pocałował ją tak, jak pragnął przez te wszystkie dni. Włożył w pocałunek swą troskę, niepokój, pragnienie, żal i szaleństwo.

Oddała mu pocałunek ze złością i namiętnością. Radford czuł, jak jego serce topnieje nagle i rozpływa się w piersi. Miał rację. Wiedział, że tak musi być. Clara miała rację. Była dla niego stworzona.

Oderwała od niego wargi i spojrzała mu w oczy.

– Jeśli sądzisz, że jeden pocałunek udobrucha mnie po tym, jak nieczule mnie odepchnąłeś…

– Jestem nieczuły – przerwał. – I okropny. Ale także uparty, milady. I jeśli jeden pocałunek nie wystarczy…

Ujął jej głowę w dłonie i pocałował znowu, wierząc, że pokona jej opór. Jej wargi poddały się bez wahania. Jej wargi tak… miękkie i aksamitne. Jej smak… słodki i nieujarzmiony. Jej gibka postać… przypominała mityczną najadę.

Clara chwyciła go za ręce. Radford wiedział, że czuje to, co on. Że wie.

– Wyjdź za mnie, Claro – szepnął.

Otworzyła oczy.

– Zastanawiam się – odparła drżącym głosem.

– Nie zastanawiaj się.

Pocałował ją znowu, zawierając w tym pocałunku wszystkie emocje, które dławił w głębi serca. Ukrywał je przed światem i przed sobą, zamknął w głębi duszy. Clara otworzyła w nim wszystko, zerwała tamy i uwolniła uczucia, których nie znał i nie potrafił nawet nazwać.

* * *

Sądziła, że Radford całował ją już wcześniej. Zdawało jej się, że to były dorosłe pocałunki.

Myliła się. Znowu.

Jego wargi objęły ją w posiadanie, rozkazywały, żądały, brały od niej wszystko. Nie miało znaczenia, że nie cierpiała, gdy ktoś nią komenderował. Nic nie miało już znaczenia. Jej rozsądek pożegnał się uprzejmie i oddalił, kolana się pod nią ugięły.

Nie dał jej czasu na zebranie myśli. Porwał ją w ramiona i w pocałunki elektryzujące jak burza. Mrok ogarnął cały świat, w głowie Clary rozbłysły światła. Żar oblewał falami jej ciało, serce prawie pękało ze szczęścia.

Nie mogła tego znieść. Gdyby Radford nie trzymał jej mocno, zapewne spłynęłaby na podłogę i rozlała się jak kałuża. Tymczasem wisiała w ramionach Kruka, mniej więcej pionowo, i starała się odnaleźć samą siebie w huraganie emocji. Całował całą jej twarz, jej powieki, nos, policzki i uszy. Jego dłonie błądziły po jej ciele, budząc gwałtowne pożądanie. Chwyciła go za ramiona, z trudem utrzymując się przy życiu, a jedyna jasna myśl kołacząca się w jej głowie brzmiała: *Och, mój Boże, och, mój Boże…*

To prawda, całował ją już wcześniej, a ona oddawała mu pocałunki i nauczyła się tego i owego, lecz to nie miało nic wspólnego z obecnym szaleństwem. Jego dłonie były wszędzie, a gdy jej dotykał, drżała jak struny skrzypiec pod smyczkiem wirtuoza. Tego się właśnie spodziewała, gdy któregoś wieczoru badał jej dłoń. Pragnęła, by dotykał jej wszędzie, by muskał każdy zakamarek jej ciała.

Ujął w dłonie jej głowę, odchylił do tyłu i znów pocałował ją w usta. Był to dziki, szalony pocałunek. Jego język poruszał się w jej ustach, wypełniając je smakiem Radforda, gorącym, drżącym od emocji, których nie umiała nazwać.

Całował ją i kierował powoli do tyłu, a Clara szła, poddając się jego woli, jak w tańcu. Przypominało jej to walc, lecz pełen żaru i intymności, ich ciała splecione tak blisko, a potem… jego kolano pomiędzy jej udami, dłonie Kruka na jej pośladkach.

Poczuła na udach krawędź łóżka, lecz nie miała czasu się nad tym zastanowić, gdyż uniósł ją błyskawicznie i położył. Rozsunął jej nogi

i przyklęknął pomiędzy nimi. Clara jęknęła. To było szalone, niestosowne, nieprzyzwoite! Wspaniałe.

I znów ją całował. Oplotła rękami jego szyję, z rozkoszą oddając wszystko, co otrzymała. Radford przesunął dłonie z jej talii na pełne piersi. Objął je okrężnym ruchem, a potem ścisnął. Clara z westchnieniem wygięła się w łuk. Nie mogła się opanować. Och, jak cudownie się czuła! Och, jakże nienawidziła tych wszystkich warstw ubrań pomiędzy jego dłońmi i swym nagim ciałem!

Radford podniósł ją i przesunął po łóżku, a potem wspiął się na nie. Instynktownie podparła się na łokciach, patrząc spod przymrużonych powiek, jak podciąga się ku niej miękkim ruchem jak dziki kot.

Przypomniała sobie szalony sen, w którym Radford leżał na niej, przygniatając ją słodkim ciężarem, otaczając tętniącym żarem swojego ciała. Oparła głowę na poduszkach, na wpół siedząc, jak wtedy, gdy była chora. Teraz jednak czuła się doskonale, bardziej ożywiona niż kiedykolwiek w życiu.

Radford wyjął spinki z kapturka i rzucił je na nocny stolik. Serce tłukło się w niej jak schwytany w klatkę ptak. Rozwiązał wstążkę pod szyją Clary. Poczuła jego dotyk tuż pod gardłem.

– Przez tyle dni oglądałem cię w koszuli nocnej – mruknął. – Marzyłem, by dotknąć twojej szyi. Językiem.

Musnął wargami szyję Clary, a potem poczuła na skórze jego język i owładnęły nią emocje tak silne, aż poczuła ból w podbrzuszu. Jęknęła cicho, odchylając głowę do tyłu, poddając się jego pocałunkom. Miała wrażenie, że umrze z rozkoszy. To było tak bardzo, niewymownie nieprzyzwoite.

O tak, pomyślała. Tak, tego właśnie pragnę. Tego zawsze pragnęłam.

Radford przygniótł ją ciężarem swego smukłego ciała, jedną dłonią sięgając do brzegu sukni, podciągnął ją razem z halkami. Poczuła jego palce na kolanie, sunące w górę do rąbka pończochy, mijające podwiązkę. Podniósł głowę i patrzył na nią, powoli przesuwając opuszki palców po nagim udzie coraz wyżej i wyżej…

Westchnęła, patrząc mu w oczy.

Pochyliwszy się, wsunął język pomiędzy jej rozchylone wargi, tłumiąc przeciągły jęk.

I całował ją. Namiętnie, z czułością. Jego pocałunki smakowały jak szaleństwo. Jak zapamiętanie, jak… miłość.

Clara opadała, wirując, w mroczną, rozedrganą nicość, gdy Kruk nagle oderwał od niej wargi i odetchnął.

– Wystarczy – oznajmił stanowczo.

* * *

Panna Fairfax spojrzała na niego błękitnymi, nieco nieprzytomnymi oczami.

– Nie. Nie wystarczy – mruknęła.

Przypominało to dziewczęcy głos w jego pamięci, mówiący: „Ja też chcę do łodzi”.

– Owszem, wystarczy.

– Nie, wcale nie.

Był rozpalony, nabrzmiały i podniecony do granic szaleństwa. Podświadomość w ułamku chwili znienawidziła go za przerwanie chwili uniesienia i spojrzała ze wzgardą na jego skrupuły. Umysł z kolei ujadał, że już za późno, że już się z tego nie wykręci i ma za swoje. A jednocześnie Kruk starał się powstrzymać serdeczny śmiech na widok jej nieprzytomnej twarzy.

– Nie wezmę cię w pośpiechu w domu twej ciotecznej babki! – oświadczył z mocą. – To chyba oczywiste, do diaska!

– Och… – Przeciągnęła się i uśmiechnęła bezwiednie.

– No właśnie. Nic z tego. Nie przed ślubem.

A w jaki sposób do niego dojdzie, sam diabeł tylko wie.

Podniósł się z ociąganiem. Gdyby miał skłonności do dramatyzowania również poza salą sądową, zapewne darłby sobie włosy z głowy. Nie powinien był posuwać się tak daleko.

Cóż, zdaje się, że nie mógł nad tym zapanować. Kusicielka Kalipso nie miałaby szans z lady Clarą.

Jej jasne włosy rozrzuciły się na poduszkach. Wargi miała nabrzmiałe od pocałunków, w jej spojrzeniu mieniły się emocje, które bał się nazwać. Rozbawienie? Pożądanie, a może miłość?

Przynajmniej niczym w niego nie rzucała.

– Ach, więc jednak weźmiemy ślub? – mruknęła.

– Owszem. Muszę ci wybić z głowy głupi pomysł wyjścia za głupiego Bernarda.

Uniosła się na łokciach.

– Zaczynam wierzyć, że będzie pan znacznie bardziej zajmujący niż pana kuzyn. Lecz niestety, to on jest księciem. To nie będzie łatwa sprawa, nieprawdaż?

Wręcz niemożliwa, do diaska! – zaklął w duchu Radford. *Oto błąd numer jedenaś*cie.

– Niezbyt – przyznał i zamarł raptownie.

Ogromny dom lady Exton był na co dzień tak cichy, że każdy dźwięk, nawet odległy, rozbrzmiewał w nim dalekim echem.

Przeklinając się w duchu za nieroztropność, Radford zeskoczył z łóżka, podrywając Clarę ze sobą.

– Co…? – zająknęła się, zaskoczona.

– Ktoś idzie – wyjaśnił. Chwycił kapturek i wcisnął jej na głowę. – Niech mnie diabli porwą, mogłem się tego spodziewać!

Słychać już było kroki na schodach i kobiece głosy. Dwa. Nie, trzy.

Panna Davis. Lady Exton.

I jeszcze jeden, nieznajomy, ale najbardziej donośny.

– Zachować spokój? Któż by zdołał zachować spokój w takiej sytuacji? Czy ciotka byłaby spokojna, gdyby Clara była jej córką i ktoś trzymałby ją w ukryciu? Nie zmrużyłam oka, odkąd dotarł do mnie twój ostatni list! Gdzie ona jest? Ciociu Doro, gdzież jest moje biedne dziecko?!

Radford spojrzał na Clarę. Patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zgrozy.

– Cholera – burknęła i błyskawicznie poprawiła kapturek, zgrabnie wpinając spinki.

* * *

Lady Warford nie dała się zbić z tropu.

Otworzyła z trzaskiem drzwi i wmaszerowała energicznie, głośno przemawiając. Lady Exton i panna Davis potulnie dreptały za nią.

– Odra, doprawdy! Nie próbujcie mnie okłamywać! Clara przechodziła odrę, gdy miała dziewięć lat. Pamiętam to doskonale, bo zachorowała niebawem po wyszczerbieniu…

Zobaczyła Radforda i urwała w pół słowa. Ujęła okulary przymocowane łańcuszkiem do gorsetu, zadarła podbródek i zademonstrowała mistrzowskie spojrzenie z góry na kogoś wyższego o półtorej głowy.

Obejrzawszy go od stóp do głów, zwróciła się do Clary:

– Zakładam, iż to twój lekarz. Nie znajduję innego uzasadnienia dla obecności mężczyzny w twej sypialni, dziecko.

– To nie jest lekarz, mamo – sprostowała Clara. – To pan Radford.

– Radford – powtórzyła z naciskiem lady Warford.

– Zgadza się, moja droga – wtrąciła słabym głosem lady Exton. – Kuzyn księcia Malverna.

Lady Warford przymknęła oczy. Kruk wiedział, że wertuje w wyobraźni „Wielką Księgę Szlacheckich Rodzin", usiłując go w niej odnaleźć. Nie zamierzał wzbudzać w niej płonnych nadziei.

– Prawna gałąź rodu Radfordów – podsunął uprzejmie. – Adwokaci, milady.

Omiotła go bezbarwnym spojrzeniem i odwróciła się plecami.

– Czyżby ktoś cię pozwał, Claro? – zapytała lodowatym tonem.

– Nie, mamo – odparła Clara. – Pan Radford należy do grona moich zalotników. Poprosił mnie o rękę, ja zaś postanowiłam skrócić jego miłosne udręki.

Kolejne spojrzenie lady Warford kryło w sobie mieszankę zdumienia i gwałtownie tłumionej sympatii.

– Ależ oczywiście, Claro. Wszak nie igrałabyś z uczuciami dżentelmena.

– Przeciwnie, w jego przypadku chętnie bym igrała, ale już się zgodziłam i nie cofnę słowa.

– Twe słowa przeczą rozsądkowi, moje dziecko – odparła lady Warford. – Widzę, że choroba osłabiła cię i najwyraźniej jeszcze nie w pełni odzyskałaś zmysły, gdyż wówczas musiałabyś wziąć pod uwagę fakt, iż nie wolno ci niczego obiecywać bez zgody twego ojca. – Milady obróciła się profilem i rzuciła przez ramię: – Lord Warford przyjechał wraz ze mną do Londynu. Może pan się do niego zwrócić w tej sprawie w tradycyjny sposób.

Wprost o tym marzę – pomyślał Kruk.

Podziękował grzecznie, obiecał, że tak właśnie uczyni, i pożegnał się z paniami tak uniżenie, że każdy, kto go znał, zastanawiałby się, czy dobrze się czuje.

* * *

Radford postąpił wedle uświęconych form. Napisał do markiza Warforda z prośbą o spotkanie. Jego Wysokość odpowiedział pompatycznym zaproszeniem, gdyż, jak można się było domyślić, rodzice Clary chcieli bez zwłoki pozbyć się wstydliwego konkurenta i zapomnieć o całym zajściu. Radford punktualnie pojawił się w domu Warfordów, został punktualnie wezwany do gabinetu markiza i równie punktualnie odrzucony, bez zbędnych wyjaśnień. Tak jak przewidywał.

Dzień był zimny, deszczowy i wietrzny. Jakby próbował dopasować się do jego nastroju. Kruk wracał powoli przez park St. James, wzdłuż Pall Mall i przez Charing Cross, gdzie spotkał ją pewnego dnia, całe wieki temu. Nie ociągając się, ruszył w stronę Strand, tak jak wtedy. Minął St. Clements, kierując się ku własnemu światu: Temple, gdzie gromadzili się prawnicy.

Idąc przez Temple Bar, ujrzał chłopca sprzedającego gazety. Dwie myśli pojawiły się jednocześnie w jego umyśle i połączyły w plan.

Ruszył prędzej i po chwili już biegł, skręcając w Inner Temple Lane. Wpadł do kamienicy Woodleya i jak burza wbiegł po schodach do swojego mieszkania. Niedługą chwilę później Westcott gapił się na niego z oszołomieniem wyrażającym powątpiewanie w zdrowy rozsądek Radforda.

– Zrób to – polecił Kruk.

* * *

Środa, 21 października

– Postradał pan rozum? – krzyczał lord Warford, machając gwałtownie dokumentem. – Chce pan pozwać moją córkę za złamanie słowa?

Jego Wysokość otrzymał pismo Westcotta w czwartek. W piątek odpowiedział na nie radca rodziny, pan Alcox. Tego samego dnia Westcott odpisał uprzejmie, że pan Radford nie ma w tej chwili czasu na spotkania, gdyż prowadzi niezwykle absorbujące dochodzenie w sprawie zniesławienia, którego czasu trwania nie jest w stanie przewidzieć. Pan Westcott ze swej strony nie śmiałby prosić lorda Warforda o oczekiwanie.

Lord Warford nie miał w zwyczaju czekać. Ani przyjmować odmowy. Ponadto nigdy nie zajmował się osobiście tego rodzaju sprawami.

Westcott rozpoznał kancelistę Alcoxa – jednego z wielu – kiedy tylko wszedł na salę sądową. Młodzieniec tkwił cierpliwie w ławce przez całą rozprawę, więc nikt nie był zaskoczony, że dostarczył im notkę dwie minuty po wyjściu sędziego. Lord Warford pojawi się w biurze Westcotta. Za godzinę.

Radford swobodnie zdążyłby się przebrać, ale nie zrobił tego. Stał więc w todze, łańcuchu i peruce.

Był prawnikiem i doskonale wiedział, jakie wrażenie można zrobić na sędziach i przysięgłych poważnym, dostojnym wyglądem. Wiedział, że po pierwsze, jego strój przypomni lordowi o powadze urzędu reprezentowanego przez Radforda i o mocy Prawa, a po drugie, wywoła wrażenie, że biegł prosto z sali sądowej, nie chcąc, by markiz na niego czekał.

– Panie Westcott, wie pan równie dobrze jak ja, że to nonsens – oznajmił pan Alcox. – Pozwanie damy o złamanie obietnicy małżeństwa jest niezwykle rzadkie i nie bez przyczyny. Nawet jeśli dojdzie do rozprawy, pana klient nie może liczyć na nic więcej niż finansowe zadośćuczynienie.

– Nie zgodzę się na zadośćuczynienie w żadnej formie – wtrącił Radford. – Chcę poślubić lady Clarę, jak obiecała.

– Żaden sąd nie uzna tej obietnicy za wiążącą – ciągnął pan Alcox, zwracając się nadal do Westcotta. – Panna Fairfax nie miała prawa składać takiej obietnicy. Nie ma pan żadnych podstaw do wniesienia tej sprawy. Jeśli pana klient czy też kolega, czy kimkolwiek w istocie jest, będzie nalegał na rozprawę, sam narazi się na śmieszność.

– Nie marnujmy czasu na nieistotne dywagacje – zagrzmiał lord Warford. – Wiemy doskonale, że pan Radford zdaje sobie sprawę z faktu, iż tego rodzaju proces jedynie nadszarpnąłby jego reputację. Co więcej, jeśli w istocie zależy mu na mojej córce, w głębi serca nie życzy sobie ciągania jej po sądach. Na pewno nie chciałby oglądać barwnych karykatur naszej rodziny w wieczornych dodatkach do gazet czy w witrynach sklepów. Nasuwa mi się pytanie, czego naprawdę chce pan Radford. Mówiąc innymi słowy: jaka jest jego cena.

Westcott obszedł biurko, przerzucił kilka papierów i wybrał jakąś kartkę.

– Cena mojego klienta… – Zamyślił się. – Niech sprawdzę. – Przejrzał dokument, odłożył go i wziął następny. – Ach, już widzę. Pan Radford oczekuje uczciwego procesu.

Lord Warford machnął dłonią.

– Proszę nie obrażać mojej inteligencji. Wszak wszyscy wiemy, że nie pójdziemy z tym do sądu.

– Proces, o którym mowa, odbędzie się w tej oto kancelarii – odparł Westcott. – Skład sędziowski stanowić będą szanowni rodzice pozwanej, to jest lord i lady Warford. Pan Radford wystąpi w roli własnego adwokata. Jako adwokat oczekuje zachowania standardów uczciwego procesu, a zatem: chce poznać zarzuty, jakie są wobec niego wysuwane, chce móc wezwać świadków, odpowiedzieć na wszelkie pytania i zarzuty stawiane mu przez przeciwników i wygłosić mowę końcową.

Lord Warford przez chwilę przyglądał się Krukowi nieprzeniknionym wzrokiem.

– Tego pan żąda? – zapytał.

– Uczciwego procesu – potwierdził Radford. – Nie proszę o więcej, niż nasze prawo gwarantuje mordercom, zdrajcom, a nawet szpiegom. Złożę moją przyszłość w ręce pana i lady Warford.

– A jeśli werdykt pana nie usatysfakcjonuje? Czy uzna go pan z godnością i zapomni o sprawie?

– Mój klient zobowiązuje się dostosować do litery wyroku – oznajmił z mocą Westcott.

– Bez apelacji – potwierdził Radford. – Bez odwołań. Bez wyciągania sprawy na pastwę opinii publicznej. Nikomu ani słowa. Innymi słowy: po męsku. – Jeśli nie będzie w stanie przekonać do siebie rodziców Clary, z pewnością nie podoła kolejnym przeszkodom wiążącym się z tym małżeństwem. Jeśli nie uda mu się zdobyć ich serc, nie jest jej wart.

Lord Warford podszedł do okna i spoglądał w zadumie na dziedziniec Temple. Po chwili, która zdawała się wiecznością, powiedział:

– Skrupulatnie przyjrzałem się panu, panie Radford. Zbadałem pana charakter i sprawy, które pan prowadził. Wydaje mi się, że jest pan niezwykle bystrym dżentelmenem. Pana praca jest zawsze szeroko i z podziwem komentowana przez arystokrację. Pana charakter… cóż, krążą o nim różne opinie. Clara twierdzi… Ach, ale jej zdanie zignorujemy. Kobiety skupiają się na uczuciach, nie na rozsądku. – Odwrócił się od okna.

– Zgadzam się na proces, panie Westcott. Zawsze uważałem się za otwartego i światłego człowieka, opierającego się raczej na faktach niż na zabobonach. Nie mogę jednak zaświadczać o reszcie składu sędziowskiego wyznaczonego przez pana klienta.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odrzekł Westcott.

– Tak czy siak, będzie to zapewne bardzo ciekawy występ. – Lord Warford uśmiechnął się i spojrzał Radfordowi w oczy. – Niech się pan koniecznie w to ubierze. Sądowy strój robi właśnie takie wrażenie, jakiego pan oczekuje.

Jego Wysokość pożegnał się krótko, zostawiając Alcoxa, aby dopracował szczegóły.

Rozdział 12

Wieleż także przecierpiał niedoli w Oceanu
rzucony fale.
Homer *Odyseja*

Warford House
tego samego dnia

– Jak śmiał?! – wybuchnęła lady Warford. – Warford, jak mogłeś się na to zgodzić?!

– To pewnie przez tę perukę – odparł jej mąż i, jak na ogół, gdy wpadała w histerię, oświadczył, że ma ważne spotkanie, i wyszedł.

Na szczęście wieść o procesie zbiegła się z cotygodniową wizytą ciotki Dory. Nawet mama nie była w stanie robić wielkich tragedii, gdy starsza dama ostentacyjnie pękała ze śmiechu.

– Proszę bardzo, Claro – burknęła mama, gdy ciotka ocierała chusteczką łzy rozbawienia. – Będziemy pośmiewiskiem. Nie zejdziemy z pierwszych stron gazet przez dwa miesiące.

– Niewykluczone, jeśli w istocie poważycie się na ten proces – wyjąkała ciotka Dora, trzymając się za boki. – Ja bym się w to nie pakowała na waszym miejscu. Ja bym go brała. Nie znajdziecie drugiego takiego zięcia na całym świecie.

– Mam nadzieję – nadęła się lady Warford. – Prawnik! A jego ojciec? Stary ekscentryk, który ożenił się z rozwódką! Nic dziwnego, że nigdy nie doczekał tytułu. Clara nie mogłaby trafić gorzej, nawet gdyby planowała to od dnia swoich narodzin.

– Bredzisz o tytule, podczas gdy ten chłopiec uratował życie Clary – prychnęła ciotka Dora. – Jakiegoż jeszcze dowodu jego charakteru mogłabyś żądać?

– Tu nie chodzi o charakter – wtrąciła Clara. – Chodzi tylko o to, co ludzie powiedzą.

Lady Warford zrobiła klasyczną minę, głoszącą: „Wykarmiłam węża na własnej piersi”. Clara westchnęła. Musiała przyznać, że matka ma trochę racji. Mając najpiękniejszą, najmodniejszą córkę w Londynie, stała się siłą rzeczy obiektem zazdrości, niechęci, a wręcz nienawiści. Szacowne matrony śmietanki towarzyskiej z przyjemnością ujrzałyby jej upokorzenie. Rzecz jasna skandal nie trwałby wiecznie, byłby jednak niewiarygodnie bolesny i nie przycichłby zapewne zbyt szybko.

Lady Exton miała inne zdanie.

– Mam nadzieję, że nie obchodzi cię zdanie jakiejś lady Bartham – parsknęła. – Pamiętaj z łaski swojej, że jesteś markizą Warford! Nie powinnaś się w ogóle przejmować cudzym zdaniem, a zwłaszcza zdaniem tępych niewiast, które zajmują się wyłącznie plotkami, bo do niczego innego się nie nadają.

To było zgrabne podsumowanie sił rządzących życiem Clary: ten potok niekończących się plotek, obłudnie nazywany rozmową.

– Cieszę się, iż znajdujesz radość w przeciwstawianiu się towarzystwu, ciociu – odparła z godnością lady Warford. – Reszta z nas, niestety, żyje w nim na co dzień. A niektórzy z nas nie życzą sobie stać się obiektem kpin i nieudolnie ukrywanej pogardy.

Ciotka Dora podniosła się z fotela.

– Ogromnie mnie rozczarowujesz, Frances. Masz na wyciągnięcie ręki silnego, zdrowego, bystrego i ambitnego dżentelmena, gotowego na wiele poświęceń dla twojej córki, a ty się martwisz tym, co powiedzą twoje obłudne przyjaciółki. Nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy płakać. Claro, odprowadź mnie do drzwi.

– Nie zabierzesz jej znów do siebie, ciociu – wykrzyknęła lady Warford. – Już dość szkód narobiłaś.

– Ja?! Ach! – Lady Exton uniosła ręce ku niebu. – Mam nadzieję, że pan Radford wygra ten proces i utrze ci nosa!

Wypadła na korytarz, ciągnąc za sobą Clarę.

– Mogłabym się z nią dalej kłócić, ale kiedy okazało się, że chodzi jedynie o to, co ludzie powiedzą, uznałam, że szkoda słów – tłumaczyła lady Exton. – Kobiety jej pokroju nie znają większej trwogi niż stanie się

obiektem nieuzasadnionych plotek. Twoja matka wolałaby raczej wypić truciznę.

Clara uznała, że nie jest to wielka przesada.

– Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, ciociu – pocieszyła ją Clara. – Musimy wierzyć w pana Radforda. Mierzył się z trudniejszymi sprawami.

Lecz nie zawsze wygrywał.

Zapewne nie ukrywała swych obaw tak dobrze, jak jej się zdawało, gdyż ciotka ścisnęła jej dłoń.

– Nie zamartwiaj się, dziecko. Skoro utrzymał cię przy życiu, da sobie radę z twoimi rodzicami.

– To może być znacznie trudniejsze – westchnęła Clara. – A jeśli mu się nie uda?

– Wtedy zrobicie coś szaleńczo desperackiego, moja droga.

* * *

Kancelaria Westcotta,
piątek, 23 października

Pan Radford założył perukę, togę i resztę dekoracji. Choć to jego dotyczył proces, występował w nim także jako adwokat.

Owszem, Clara widziała go już wcześniej w sądowym stroju, lecz nie przyzwyczaiła się jeszcze do wrażenia, jakie stwarzał. Był elegancki. Onieśmielający. I w zdumiewający sposób ta peruka i toga, i koronki czyniły go jeszcze bardziej męskim.

Patrzyła na niego przez chwilę i zdawało jej się, że promień światła przebił się przez gęstą chmurę, która chciała ją pożreć. Niestety, promień prędko zgasł.

Strój sądowy nie znajdzie uznania u mamy, bo krzyczał z daleka: „Prawnik!”. Jego zawód był największym problemem dla lady Warford. Zagrażał ich prestiżowi, a tym samym ich całemu życiu.

Clara czuła jednak, że to ojciec będzie prawdziwym wyzwaniem. Nie biegał po domu z krzykiem, przeciwnie, stawał się coraz bardziej milczący. To był niedobry znak.

Jako że rodzice nie zamierzali przyprowadzać nikogo na tę „farsę”, jak mówiła mama, pan Alcox przeczytał zarzuty. Było ich więcej, niż

sformułował tata. On oskarżył Radforda jedynie o to, że jest nieodpowiedni rangą i fortuną. Zdaniem mamy było to żałośnie za mało. Lista, którą spisała, była dwa razy dłuższa i trzy razy bardziej dramatyczna niż to, co ostatecznie skomponował pan Alcox.

Skrócone i znacznie okrojone przez pana Alcoksa zarzuty wobec pana Radforda brzmiały:

1. Stara się o rękę panny, której nie jest w stanie zapewnić życia i utrzymania, do jakich przywykła od urodzenia.

2. Nie utrzymuje stosunków towarzyskich ze sferą, do której panna przynależy, co sprawi, że stanie się ona wyrzutkiem.

3. Pochodzi z rodziny skażonej skandalem rozwodu, który rzuci cień także na życie jego przyszłej żony.

4. Nie posiada znajomości mogących zapewnić mu wejście do wyższej sfery, czy to na gruncie zawodowym, czy towarzyskim.

5. Nie ma widocznych szans na zdobycie takowych znajomości, reprezentując w sądzie osoby z nizin społecznych, włączając w to przestępców, i utrzymując z nimi kontakty.

6. Notorycznie robi sobie wrogów wśród wzmiankowanych przestępców, co może narazić lady Clarę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

7. Punkt szósty wskazuje również na ryzyko ponoszone na co dzień przez pana Radforda, co z kolei każe przypuszczać, że niebawem lady Clara zostanie wdową, bez opieki rodziny i przyjaciół, których oskarżony nie posiada, co zostało poruszone w punktach drugim i trzecim.

8. Choć wyświadczył rodzinie wielką przysługę, ratując pannie życie, należy zaznaczyć, iż nie potrzebowałaby ratunku, gdyby nie wciągnął jej w awanturę, po której się rozchorowała.

9. W odniesieniu do punktu ósmego: wykorzystał sytuację choroby, by zyskać uczucia niewinnej dziewczyny.

10. Nie zachował się honorowo i nie powstrzymał panny przed niewłaściwym zachowaniem. Lady Clara stoi na stanowisku, iż nalegała na udział w eskapadzie. Zadaniem rozsądnego dżentelmena w takiej sytuacji jest uchronienie panny przed niebezpieczeństwem i skandalem. Dżentelmen, który nie jest w stanie zapanować nad upartą panną, nie uniesie odpowiedzialności, która wiąże się ze stanem małżeńskim.

Choć ponad połowa argumentów wydała się Clarze czystym nonsensem i z trudem powściągnęła pokusę potrząśnięcia matką za ramiona, pan

Radford wysłuchał zarzutów z wielką powagą, tak jakby rzeczywiście był oskarżany o haniebne czyny.

Pan Alcox odchrząknął i zapytał:

– Jaka jest pana odpowiedź na stawiane zarzuty, panie Radford?

Clara uchwyciła jego ukradkowe spojrzenie.

– Jestem niewinny – oświadczył.

– To jakiś absurd! – wykrzyknęła mama i spojrzała na ojca: – Jak możesz…?

– Zupełnie swobodnie, moja droga – przerwał lord Warford. – Jako że jest to nieformalna sala sądowa, darujmy sobie część oficjalną. Proszę kontynuować, panie Radford.

* * *

Radford oparł dłoń na biurku Westcotta, schludnie uporządkowanym na tę okazję, i opuścił głowę, jak zawsze czynił, przygotowując się do przemowy. Przed chwilą po raz pierwszy usłyszał listę zarzutów. Najwyraźniej lady Warford do ostatniej chwili dodawała i zmieniała kolejne punkty.

Nie miało to zresztą znaczenia. Wiedział, czego się spodziewać. Wiedział, że ryzykuje całe swoje życie. Życie Clary. Nie widział jednak innego rozwiązania.

Podniósł głowę i spojrzał na chwilę w błękitne oczy Clary, po czym zwrócił się do składu sędziowskiego. Nie mógł patrzeć na nią zbyt długo, gdyż na jej widok serce Kruka wypełniało się czułością, a w tej chwili potrzebował skupienia i koncentracji.

Clara założyła żółtą suknię spacerową. Wyjątkowo płytki dekolt był jedynym skromnym elementem tego stroju. Kreacja przypominała krojem surdut zapięty na piersiach na duże guziki i przewiązany w pasie plecionym sznurem, z którego krańców zwisały jedwabne szyszki. Haftowane muszle zdobiły gorset sukni i krótką pelerynkę okrywającą monstrualne rękawy. Kapelusz miała niezwykle skromny, kipiący zaledwie dwoma tuzinami kokard i tylko kilkoma źdźbłami strzelającymi na pół metra ponad głowę. Pod rondem jej twarz okalały kilometry falbanek usianych maleńkimi kwiatuszkami.

Utrzymanie jej strojów na poziomie, do którego przywykła, byłoby wyzwaniem, lecz ubieranie jej musi być takie podniecające…

O ile Państwo Kamienna Twarz pozwolą mu ją zatrzymać.

– Dziesięć zarzutów to pokaźny materiał do odparcia, w rzeczy samej – powiedział. – Odsyłałem już mężczyzn, kobiety i dzieci do wieczności zaledwie za jeden udowodniony zarzut. Jednakże bierzmy pod uwagę niezbity fakt, iż małżeństwa pomiędzy członkami wyższej sfery są znacznie poważniejszymi sprawami niż morderstwa wśród biedoty.

– Sprzeciw – odezwał się lord Warford. – Proces nie dotyczy nierówności społecznych i nie zmierza do udowodnienia wykroczeń arystokracji wobec biedoty.

– Jednakowoż część zarzutów wobec mnie dotyczy właśnie owej nierówności – odparł Radford. – Zacznijmy jednak od początku. Zarzut pierwszy: moje zbyt niskie przychody. Wnoszę o oddalenie tego zarzutu. Posiłkując się ogólnie dostępnymi informacjami, wyliczyłem, iż co najmniej trzech starających się o rękę lady Clary, licząc także dżentelmena, z którym była przelotnie zaręczona, miało znacznie mniejsze możliwości niż ja, aby zapewnić jej wszelkie wygody. Przykładowo, ostatni starający się jest skandalicznie zadłużony.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – uznał lord Warford.

– Z pewnością warto bliżej przyjrzeć się tym porównaniom, zanim wyda się ostateczny wyrok – podsunął Radford. – Dodatkowo wspomniany dżentelmen został przyjęty mimo skompromitowania lady Clary w sytuacji publicznej, na oczach całego towarzystwa. Był to wielki skandal, trzeba przyznać. Sądzę, że to snadnie zbija zarzut numer trzy. Rozwód mej matki miał miejsce przed trzydziestu laty. Skandal z udziałem lady Clary – zaledwie kilka miesięcy temu. Uważam, że możemy uznać, że na tym polu jesteśmy kwita.

– Zgłaszam sprzeciw, lordzie Warford – pisnęła słabo matka Clary. – Dlaczego nie pokażesz temu chłystkowi, gdzie jego miejsce? Żeby jakiś nędzny łowca posagów…

– Wszakże ma rację w tym punkcie – uciął lord Warford. – Zresztą nie tylko w tym. Może nam się nie podobać to, co wytyka, jednak obiecaliśmy dżentelmenowi uczciwy proces. Postępując zatem uczciwie, musimy odrzucić zarzuty numer jeden i trzy. Niektórzy zalotnicy Clary byli istotnie zadłużeni.

– Odmówiła im!

– To nie ma znaczenia w naszej sprawie. Oskarżamy pana Radforda wyłącznie o staranie się o rękę naszej córki. Prawo ma swoje jasne i klarowne zasady, moja droga.

– Ach, przecież skandal z tamtym młodzieńcem nie trwał nawet jednego dnia, gdyż się jej oświadczył.

– A rozwód, który tak cię martwi, zdarzył się wiele lat temu, jeszcze za króla Jerzego III.

– Lordzie Warford, chyba nie bierzesz argumentów tego człowieka na poważnie.

– Ależ jak najbardziej – oświadczył markiz. – Zresztą nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by przewidzieć odpowiedź pana Radforda na punkt dotyczący rozwodu. Proszę, pozwól dżentelmenowi kontynuować. Nie chcemy przecież przedłużać tej sprawy. Ponadto nie chciałbym stać się kontrargumentem na oskarżenie zawarte w punkcie dziesiątym.

Przemowy lorda Warforda budziły nadzieje, lecz Radford wiedział, że markiz jest wytrawnym politykiem. Zgodził się na rozprawę jedynie, by udobruchać córkę. Ponadto biedak musiał żyć na co dzień ze swą żoną. Lecz przede wszystkim był troskliwym ojcem i żywił uzasadnione obawy co do przyszłości Clary.

Radford uporał się z najłatwiejszymi oskarżeniami. Kolejne były podstępne i nie pójdzie z nimi tak łatwo. Kruk odruchowo skulił się w sobie, lecz po chwili odetchnął, upewnił się, że odseparował zbędne emocje i będzie w stanie zachować zimną krew.

– Punkt drugi – powiedział.

* * *

Clara zmobilizowała wszystkie lata dobrego wychowania i całą siłę woli, by utrzymać dłonie łagodnie złożone na kolanach i zamknięte usta.

Czuła, że z każdą wymianą zdań rodzice coraz bardziej zwracają się przeciwko Radfordowi. Mama nienawidziła się komukolwiek tłumaczyć, a zwłaszcza tłumaczyć się Nikomu. Biły od niej pogarda i wściekłość, choć minę miała niewzruszoną jak lodowiec. Nastrojom taty nie należało ufać. Używał poczucia humoru i żartów, by jeszcze bardziej pognębić swych wrogów.

– Pozwolę sobie odnieść się do oskarżeń numer dwa, cztery i pięć – powiedział Radford. – Dotyczą one pochodzenia, kręgów towarzyskich i pozycji społecznej. Zaczynając od pochodzenia: jestem prawnukiem trzeciego księcia Malverna. Mój ojciec jest dziedzicem obecnego księcia. Dżentelmeni o znacznie gorszym pochodzeniu i widokach na tytuł są przyjmowani w towarzystwie, a nawet na dworze.

Tylko Clara wiedziała, ile dumy kosztowało go powołanie się na tytuł Bestialskiego Bernarda i serce wezbrało w niej miłością.

– Pana zaś przyjmują jedynie na sali sądowej – wytknęła lady Warford. – Jego Miłość nie wie o pana istnieniu.

– Przeciwnie, Wasza Wysokość, Jego Miłość dobrze mnie zna – sprostował Radford. – Nieraz prowadziłem sprawy w imieniu Korony bądź wnosiłem o warunkowe ułaskawienie. Doradzałem sześciu czy siedmiu członkom arystokracji i każdy z nich oferował mi wsparcie na ścieżce kariery i na salonach. Krótko mówiąc, posiadam wiele znajomości, które podważają wzmiankowane oskarżenia. Nie korzystałem z nich dotąd, żywiąc pragnienie, być może niesłuszne, wypracowania pozycji samodzielnie. Jednakże, jeśli poślubię lady Clarę, nie zawaham się wykorzystać wszelkich środków i sposobów, by zapewnić jej…

– Nie możesz się tak dla mnie poświęcać! – wykrzyknęła Clara. – Ze wszystkich na świecie ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że twierdzenie, iż towarzystwo się mnie wyprze, jest niedorzeczne. Doprawdy, mamo, wstydzę się za ciebie. Żadna szanująca się pani domu nie wyprze się mnie tylko dlatego, że byłam na tyle śmiała, by wyjść za pana Radforda. Przeciwnie, świat zaleje nas zaproszeniami!

– Claro, żyjesz w świecie ułudy – odparła niewzruszenie jej matka.

– Żyję w naszym świecie, mamo. Rozumiem równie dobrze jak ty, jak działają i myślą nasi znajomi. Owszem, wszyscy będą plotkować. Ale przede wszystkim będą ciekawi, co takiego tkwi w panu Radfordzie. Będą umierać z ciekawości, dlaczego spośród wszystkich, którzy za mną biegali, wybrałam mężczyznę, który tego nie robił. A przede wszystkim będą chcieli wiedzieć, jakimi sposobami usidliłam nieuchwytnego, tajemniczego Kruka.

Tylko Clara dostrzegła uśmiech drżący przez chwilę w kącikach ust Radforda.

– Kruka!!! – syknęła lady Warford. – Sama myśl o przestępcach mierzi mnie dostatecznie, a to wulgarne przezwisko…

– Dość! – uciął markiz. – Przywołuję skład sędziowski do porządku. Claro, zaburzasz tok postępowania.

– Ja?! A mama?

– Ona musi od czasu do czasu dać upust swoim emocjom, w przeciwnym razie dozna nieodwracalnej psychicznej szkody.

– Lordzie Warford!

– Na ogół jednak udaje się ją uspokoić, nieprawdaż, moja droga? Nikt nie może mi zarzucić, że nie panuję nad własną żoną.

– Stoisz po jego stronie, lordzie Warford!

– Stoję po stronie Clary – sprostował markiz. – W tej sprawie dbam jedynie o jej szczęście.

– Proszę mnie wezwać na świadka, panie Radford – nie wytrzymała Clara. – Dlaczego ma pan odpierać te śmieszne zarzuty, skoro wszyscy utrzymują, że chodzi im jedynie o moje szczęście?

– Jestem gotów samodzielnie odeprzeć stawiane mi zarzuty – stwierdził z godnością Radford.

– Dlaczegóż miałby się pan do tego zniżać? To ja pana w to wszystko wciągnęłam.

– Ależ bynajmniej.

– Dręczyłam pana ustawicznie! Nachodziłam pana tygodniami!

– Jestem prawnikiem – podkreślił Radford. – Ludzie bezustannie nachodzą mnie i dręczą swymi problemami. Moim zadaniem jest ich rozwiązywanie.

– Ale ja dręczyłam pana bez zapłaty.

– Nie zawsze. Czasem pani obecność okazywała się użyteczna i pomocna, a za każdym razem intrygująca. Wystarczająco, by popchnąć mnie w pani stronę w chwili, gdy powinienem był pozwolić pani odejść. W tej materii zresztą planowałem wezwać świadka. – Zwrócił się do Westcotta. – Proszę wezwać pierwszego świadka.

Westcott podszedł do drzwi i mruknął coś do kancelisty. Chwilę później Tilsley wciągnął do kancelarii opierającego się Fenwicka w złotoliliowej poświacie.

Radford powinien był przewidzieć, że nie wszystko potoczy się tak, jak planował.

Fenwick stanął na dywaniku przy biurku Westcotta i przyznał szczerze, że przyjął szokująco wysoki napiwek – dwa szylingi! – za dostarczenie

liściku Radforda do lady Clary.

Wtedy jednak lady Clara zadała świadkowi pytanie, czy to prawda, że tydzień wcześniej zatrudniła go – za dwa szylingi! – by zaprowadził ją do kancelarii pana Radforda, jedynego w Londynie człowieka, który potrafił odnaleźć igłę w stogu siana.

Chłopiec potwierdził i wyszedł, popychany przez Tilsleya.

Wtedy markiz zapytał przerażająco cichym głosem, co konkretnie Clara miała na myśli. Ignorując rozpaczliwe znaki Radforda, lady Clara stanęła na dywaniku i przyznała się do wszystkich popełnionych win, włączając w to całą historię prowadzącą do zachorowania na tyfus. Pominęła jedynie intymne szczegóły.

Zanim dotarła do szczęśliwego zakończenia, państwo Warford niemal osiwieli ze zgrozy, a podświadomość Radforda tłukła głową w ścianę z bezsilnej złości.

– Czy nikt pani nie mówił, że na przesłuchaniu nie należy wypowiadać ani jednego słowa ponad to, o co panią pytają? – szepnął słabo.

– Czy nikt panu nie powiedział, że przyjmowanie na siebie całej winy jest złą strategią?

– Złą strategią!

– Owszem. Robi pan z siebie szalonego uwodziciela, co nie działa na pana korzyść. Doskonale pan wie, że ja to wszystko zaczęłam. Że roztoczyłam przed panem wszystkie swoje wdzięki i użyłam każdej kobiecej…

– Oczywiście – uciął Radford, z wysiłkiem powstrzymując wybuch śmiechu. Choć i tak gorzej już być nie mogło. – Proszę Wysoki Sąd o zanotowanie uwagi, iż jako prawnik, dzięki praktyce i doświadczeniu, jestem odporny na wszelkie kobiece wdzięki.

– Owszem, i jest to ogromnie irytujące – prychnęła Clara. – Ale ja jestem uparta i…

– Powiedzmy, że zdeterminowana.

– Niech pan nagle nie będzie taki miły.

– Staram się zrobić dobre wrażenie na pani rodzicach.

– Co jest sprzeczne z pana charakterem i przez co robi się pan zielony na twarzy – westchnęła z troską. – Zaprawdę, niech pan przestanie.

Radford zagryzł wargę, żeby nie powiedzieć: *Kocham cię. Kocham cię do szaleństwa.*

– Poza tym nie poznaję pana, gdy jest pan taki miły – dodała z uśmiechem. – Czyż nie mam racji?

– Być może. Odrobinę. Dziękuję, milady. Może pani usiąść.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Moim zdaniem powiedziała pani już dość. Przejdziemy teraz do punktu…. – Przez nią zupełnie zapomniał, o czym miał mówić.

– Szóstego – podsunął lord Warford. – Śmiertelni wrogowie. Przestępcy. – Zerknął ku drzwiom. – Ten chłopiec byłby, jak sądzę, wyśmienitym przykładem.

– To posługacz i chłopiec na posyłki oficjalnie zatrudniony w pełnym wymiarze w Maison Noirot – odparł sucho Radford.

– To wyjaśnia strój.

– Lordzie Warford, czy doprawdy musimy ciągnąć tę maskaradę? – jęknęła markiza.

– Obiecałem uczciwy proces.

– Uczciwy? Wszak doskonale widzisz, co się tu dzieje! Pan prawnik uważa to wszystko za jakiś żart i budzi w Clarze najgorsze instynkty!

Żart. Jego przyszłość, jego życie, przyszłość Clary. Budzi w niej najgorsze instynkty!

Czerwona mgła przesłoniła Radfordowi wzrok. Zacisnął dłoń na krawędzi biurka.

– Z pewnością coś w niej budzi – przyznał lord Warford.

– Jej niezależność – wycedził Radford odruchowo. – Intelekt. Odwagę. Lady Clara ma już dwadzieścia dwa lata. Ktoś musi ją zachęcić do bycia sobą.

Usłyszał zbiorowe westchnienie – również własne. Ujrzał, jak rodzice Clary kamienieją, a Westcott przejeżdża palcem po szyi. Pod stopami Radforda otworzyła się przepaść.

Można rozzłościć sędziego, można zaatakować kolegów, ale nigdy, przenigdy nie należy drażnić przysięgłych!

Chciał się cofnąć.

Chciał odwołać wszystko, co powiedział.

Prawie mu się udało.

Rozdział 13

Jeśli dama poślubia dżentelmena o silnym charakterze
i bystrym umyśle, odpowiadającego jej we wszystkim
z wyjątkiem wartości jego ziem, ja nie nazwę tego
mezaliansem.
John Witherspoon, *Listy o małżeństwie*

Było już za późno, by się wycofać. Za późno na obranie innej strategii.

Radford oczami wyobraźni ujrzał Clarę w Vauxhall, wspierającą się na ramieniu Bernarda. Przypomniał sobie jej pełną pasji przemowę wygłoszoną w pewien deszczowy dzień.

Odważna, dzielna panna dusiła się w swoim ciasnym życiu. Bez wsparcia Radforda utknie do końca swoich dni w ekskluzywnej i drogocennej klatce.

– Gdyby lady Clara dbała o sprawy, o które dba świat arystokracji, w ogóle nie przyszłaby do mnie – powiedział. – Gdyby najbardziej zależało jej na bezpieczeństwie i spokoju, nie przyszłaby do mnie. Gdyby uważała, że dzieci z nizin nie są jej problemem, nie przyszłaby do mnie i nie dręczyłaby mnie, abym jej pomógł. A przyszła do mnie, bo wiedziała, że tylko ja pozwolę jej im pomóc. Nie chciała nikogo zbawić. Nie chciała zbawić całej rzeszy biednych obszarpańców. Skupiła się na dziewczynie i jej zaginionym bracie, to wszystko. Nie mogła pójść do państwa, gdyż powiedzielibyście jej, że jedynym polem, na jakim może się wykazać, jest organizowanie proszonych herbatek. Na pewno nie jest powołana do brudzenia rękawiczek i ratowania chorego chłopca z gniazda złodziei. – Zamilkł na chwilę. – Z pewnością nie powinna była ryzykować życia, ratując go. Ale pragnęła tego tak bardzo, że podjęła to ryzyko.

Spojrzał na lorda Warforda. Twarz mu pociemniała i mięsień przy szczęce drgał rytmicznie. Gdyby Radforda można było zastraszyć, w tym momencie wycofałby się i grzecznie przeprosił. Jednak od dziecka opierał się zastraszaniu i spędził całe życie na ignorowaniu przeciwności.

– Proszę ją zapytać, lordzie Warford – podsunął. – Czy mógłby pan łaskawie zapytać swą córkę, czy żałuje choć jednej szalonej decyzji?

Markiz zaczął się podnosić z krzesła i Radford pomyślał, że jeśli lord Warford teraz wyjdzie, wszyscy będą zgubieni.

Jednak markiz spojrzał na Clarę, której twarz była zupełnie biała. Zawahał się, po czym usiadł. Odetchnął głęboko i zapytał:

– Claro, czy żałujesz?

Łzy zalśniły w jej oczach, ale zdołała je powstrzymać. Wargi jej odrobinę zadrżały, lecz pokręciła głową i odpowiedziała spokojnie:

– Gdybym miała zrobić to wszystko jeszcze raz, nie zawahałabym się ani chwili. To było pierwsze naprawdę satysfakcjonujące działanie od wielu lat, choć pomoc kuzynce Gladys też była zabawna. – Zmarszczyła brwi. – Muszę przyznać, że zrobienie sceny Clevedonowi też mi się podobało.

– Och, Claro – żachnęła się markiza.

– Wyjdź za mnie, Claro – wtrącił Radford – i będziesz mogła robić tyle scen, ile będziesz chciała. Z radością cię w tym poprę, wszak robienie scen to także moja pasja i mój zawód. Wyjdź za mnie, Claro, i obiecuję, że nie będzie łatwo. W tej chwili jeszcze nie stać mnie na suknie, na jakie zasługujesz, ale…

– Mogę sobie poradzić bez sukien – odparła. – Żyłam bez nich przez dwadzieścia jeden lat, dopóki siostry Noirot nie wzięły mnie w obroty.

– Ależ oczywiście – parsknęła jej matka. – Och tak, teraz to rozumiem. Widzę to nawet oczyma wyobraźni. Mieszkasz w jego mieszkanku, obsługiwana przez jedną pokojówkę, o ile budżet pana Radforda na to pozwoli. Dajesz radę wyżyć rocznie za taką kwotę, jaką wydajesz w ciągu godziny, gdy masz gest.

– Pieniądze nie są problemem – uznał lord Warford. – Martwi mnie tendencja Clary do pakowania się w awanturki, zwłaszcza gdy kierują nią dobre intencje.

– Awanturki?! – wykrzyknęła Clara. – Mówisz o mnie, jakbym była dzieckiem, tato!

– Jesteś moją małą dziewczynką i na zawsze nią pozostaniesz. Proszę, byś nie naskakiwała na mnie za każde słowo, dziecko. Pozwól, że zadam panu Radfordowi kluczowe pytanie.

Zwrócił na Radforda stalowobłękitny wzrok.

– Co się wydarzy, gdy minie już to oczarowanie? I proszę mi nie wmawiać, że to nie jest oczarowanie, gdyż nikt nie umie tego ocenić, nie patrząc z dystansu. Co się stanie z moją córką za rok, za dwa, gdy będzie już tylko żoną prawnika, spędzającą puste dni z dala od swej rodziny i przyjaciół, w towarzystwie, do którego dotąd nie miała dostępu i o którym nic nie wie? Z kim się będzie spotykała? Co będzie robiła całymi dniami? Jakie życie jej pan zgotuje?

Clara otworzyła usta, ale matka nie dała jej szansy:

– A mnie niech pan powie, jaką nagrodę naszykował pan dla młodej damy, która porzuci świat arystokracji, by zniżyć się do pana świata, w którym prowadzi pan wieczne utarczki z przestępcami i ulicznikami?

– Jaką nagrodę – powtórzył cicho Radford. Zajrzał w głąb siebie, odbył krótką naradę z podświadomością i uśmiechnął się. – Ja będę jej nagrodą, gdyż wierzę, że lady Clara jest zdolna do wszystkiego. I że także w moim świecie będzie królową. Że także tu będzie potrafiła żyć odważnie i z klasą.

Twarz Clary rozjaśniła się w uśmiechu. Kancelaria napełniła się blaskiem, jakby słońce przedarło się przez ciemne zasłony chmur i niezbyt czyste okna.

Tak. To jest to. Czy to oczarowanie, czy nie, nie dbał o to. Chciał już tylko oglądać ten uśmiech, wywoływać go na jej twarzy. Nie sądził, by kiedykolwiek się do niego przyzwyczaił.

Lord Warford spojrzał na Clarę, a potem na własną żonę.

– Usłyszałem już dość. Argument numer sześć możemy uznać za zaocznie oddalony.

– Tato!

– Pan Radford jest nieodpowiednim kandydatem na wielu polach – oznajmił markiz.

– Tato!!!

– Z wyjątkiem tego jednego, zarazem najważniejszego – ciągnął markiz. – Pasuje do ciebie, a ty zdajesz się pasować do niego.

– Warford!

Lord spojrzał na małżonkę.

– Moja droga, jestem daleki od entuzjazmu. W rozumieniu towarzyskim ten dżentelmen jest nikim i co więcej, wydaje się, że jest z tego zadowolony. Jednak rozumie Clarę i to z pewnością lepiej niż my.

– Zrozumienie nie opłaci służby – odparła markiza we łzach. – Kto się nią zajmie? Jak będzie żyła? Moja śliczna córka… w jakiejś norze!

Markiz wziął ją za rękę.

– Clara i pan Radford sami rozwiążą tę zajmującą kwestię. Niech nas pocieszy to, jak doskonale pasują do siebie pod względem umysłowym i emocjonalnym. Ich związek będzie, jak sądzę, bardzo szczęśliwy. Musiałbym być ślepy i głuchy, by nie widzieć tego na pierwszy rzut oka. Choć sam nie wybrałbym pana Radforda, nie zamierzam złamać serca ukochanej córce.

– Mnie także na tym nie zależy! – Markiza się rozpłakała. – Lecz ona nie zna swego serca!

– Ma dwadzieścia dwa lata – odparł z naciskiem lord Warford. – Jest bystrą dziewczyną. Cieszmy się tym i wesprzyjmy ją. – Spojrzał na Radforda. – Napiszę do pana ojca i, jak przypuszczam, poszczujemy się nawzajem radcami. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

* * *

Buduar księżnej Clevedon
sobota, 24 października

Siostry Noirot – Marcelline, księżna Clevedon, Sophy, hrabina Longmore, i Leonie, markiza Lisburne – wpatrywały się w Clarę z kamiennymi twarzami.

Opowiedziała im z nieco większą liczbą szczegółów o wydarzeniach, które doprowadziły ją do zaręczyn z Krukiem Radfordem.

– Chciałam, żebyście dowiedziały się jak najprędzej – wyznała. – Moje siostry jeszcze nie wiedzą. Mama im opowie, wśród łez i wybuchów rozpaczy, jak mniemam.

Siostry Noirot spojrzały po sobie. Przypominały trzy sfinksy.

Zapewne liczyły na to, że Clara wyjdzie za mąż co najmniej za arabskiego szejka i swą pozycją podniesie prestiż również ich butiku, a przede wszystkim będzie w dalszym ciągu zamawiała mnóstwo kosztownych kreacji.

Po chwili nabrzmiałej emocjami ciszy odezwała się Marcelline:

– Ależ to romantyczne, kochanie!

– Wszak nie mogłabyś wyjść za dżentelmena mniej bystrego od siebie – dodała Sophy. – Zanudziłabyś się na śmierć. Popadłabyś w otępienie i nie dałoby się już z tobą rozmawiać.

– Radford jest bystry i ambitny. Wie, jak osiągać to, czego chce – podkreśliła Leonie. – Jestem pewna, że pokonacie wszelkie przeciwności.

– Ale przede wszystkim… – Marcelline zawiesiła głos i spojrzała na siostrę lśniącymi oczami.

– Suknia! – szepnęły chórem.

Roztoczyły euforyczne wizje, każda w swojej dziedzinie. Marcelline mówiła o nowatorskim kroju, który wymyśli. Sophy – o stroiku i welonie, nawet praktyczna Leonie zaczęła wspominać o ślubnym gorsecie i ozdobach.

Choć wszystkie porzuciły pracę, gdy wyszły za mąż za szlachciców, z okazji ślubu Clary zrobią przecież wyjątek. Była ich najcenniejszą klientką i przyjaciółką. Czekały na tę chwilę od miesięcy.

– Nic ekstrawaganckiego – zwróciła im uwagę Clara. – Pamiętajcie, że wychodzę za prawnika na początku kariery zawodowej. – Clara wątpiła, by Radforda było stać na jakąkolwiek suknię z butiku Noirot, a zwłaszcza wieczorową.

– Tym bardziej powinnaś wyglądać olśniewająco – sprzeciwiła się Sophy. – Twój ociekający bogactwem strój podniesie status twego męża w oczach reszty arystokracji. Poza tym mężowie lubią, gdy żony ładnie się ubierają.

– Zresztą za kreację zapłaci lord Warford – zauważyła Leonie. – Wszak nie chcesz, by już w dniu ślubu nabrał niechęci do swego zięcia. Zgadzam się, że musisz wyglądać wyjątkowo.

– Już żywi do niego niechęć – powiedziała Clara. – Przecież mówiłam.

Sophy machnęła dłonią.

– Nie chodzi o to, co naprawdę czuje. Chodzi o to, co się wydaje. Nieważne, co myślą twoi rodzice. Będą chcieli, by wszyscy inni sądzili, iż są bezgranicznie szczęśliwi i wzruszeni. Napiszę materiał do „Porannego Zwierciadła”. Wszyscy rodzice wydający córki w tym sezonie pozielenieją z zazdrości. Matki będą krzyczeć na córki: „Dlaczego ty nie zrobiłaś takiej partii?”.

Jeśli ktokolwiek był w stanie obrócić niezręczność na czyjąś korzyść, była to Sophy.

Zaczęły więc fantazjować o nowej garderobie pani Radford. O sukniach spacerowych, porannych, wieczorowych, wyjściowych i o wszystkim, co nosi się na sukni i pod nią. Clara starała się je powściągać, lecz niebawem się poddała, zwłaszcza że miała pewność, że mają rację. Jak zawsze.

Siostry Noirot osiągnęły spektakularny sukces, bo czuły najnowsze trendy, zanim pojawiły się one na witrynach. Owszem, ojciec słono za to zapłaci, lecz on nigdy nie robił awantur o rachunki od stylistek. Co więcej, komplet eleganckich strojów, jak powiedziały, podniesie status Radforda w oczach arystokracji i uciszy złośliwe plotki.

Dalsze losy ich małżeństwa zależą wyłącznie od nich.

* * *

Kamienica Woodleya
poniedziałek, 26 października

– Przypuszczam, że zastanawiałeś się, gdzie będziecie mieszkać? – zagaił Westcott.

Radford nie miał czasu pomyśleć o czymkolwiek praktycznym. Ledwie był w stanie sprostać swym obowiązkom sądowym. Myślał wyłącznie o swej walce o rękę lady Clary.

Natychmiast po zdumiewającym procesie pojechał do Richmond, aby opowiedzieć o wszystkim rodzicom. Wcześniej nie pisnął ani słowem o swym pomyśle, bojąc się, że ojciec wybije mu go z głowy. Jego syn miałby się bronić przed parą rozpuszczonych arystokratów?! Teraz jednak, gdy było już po wszystkim, opowiedział im całą historię – ze zwykłym poczuciem humoru. Matka powiedziała mu, że jest szczęśliwa, lecz wyglądała na zakłopotaną.

Upojony triumfem, Radford wmawiał sobie, że rodzice obu stron spotkają się niebawem i na pewno przypadną sobie do gustu. Dlaczegóżby nie? Ojciec jest przecież dżentelmenem, matka – urodzoną damą. Nikt nie mógłby nic zarzucić ich manierom. Choć… Ojciec bywał czasami szorstki i niemiły, ale przecież zdarzali się i tacy wśród arystokratów, zwłaszcza starszej generacji.

Biorąc zaś pod uwagę jego wiek i stan zdrowia, nikt nie może się dziwić, że ślub powinien odbyć się w Richmond. A także miesiąc miodowy. Podróż

o tej porze roku nie byłaby rozsądna. Ze względu zaś na jego pracę byłaby wręcz niemożliwa.

Państwo młodzi obejmą w posiadanie pierwsze piętro Willi Itaka. Rodzice Radforda i tak nie wchodzili już na górę, odkąd ojcu trudność zaczęło sprawiać zapuszczanie się dalej niż do biblioteki. Sporadycznie wychodził do ogrodu.

Wszystko tak pięknie się składało.

Teraz zaś, niecałe trzy doby po otrzymaniu zgody od lorda Radforda, zderzył się z rzeczywistością, pełną dziur i pęknięć, jak stare londyńskie chodniki.

Westcott siedział przy ogniu. Radford, z kolejnym listem od Bernarda w dłoni, patrzył przez okno na kościelny dziedziniec. Strzępy mgły wirowały pomiędzy nagrobkami.

– Wiem, że rodzice Clary będą życzyli sobie, by mieszkała w stosownie modnym i kosztownym otoczeniu – westchnął Radford. Pomyślał, że będzie to najbardziej idiotyczny sposób roztrwonienia jej ogromnego posagu.

– Nikt nie mieszka w książęcym domu, o ile się nie mylę – zauważył Westcott. – I nie zamierza w najbliższej przyszłości.

Radford osobiście wynajął Malvern House ponad rok wcześniej, lecz dzierżawa nie została odnowiona. Bernard, rzecz jasna, nie kazał nikomu znaleźć nowego wynajmującego.

– Nowa żona Bernarda może mieć coś do powiedzenia na ten temat.

List, który Radford trzymał w dłoni, oprócz zwykłych wyzwisk i szyderstw zawierał długi na trzy strony opis młodej damy, którą Bernard poznał na przyjęciu w pobliskim Ashperton. Najwyraźniej nie uciekła na jego widok ani nie dostała mdłości na skutek jego niezdarnych zalotów, gdyż Bernard postanowił starać się o jej rękę.

Ma dobre biodra – pisał – *i jest jedyną dziewczyną w domu pełnym mężczyzn. Będę z niej miał tuzin zdrowych synów, więc nici z tytułu dla ciebie, mały Kruku, cha, cha.*

Radford nie żałował dziewczyny. Bernard nie umiał udawać kogoś lepszego. Był, jaki był, a był zbyt głupi, by ukrywać swój charakter. Odrażającej powierzchowności ukryć nie byłby w stanie. Jeśli dziewczynie

udało się znieść jego widok przy stole, siorbiącego jak prosiak, a także po posiłku: pijanego i jeszcze bardziej ordynarnego niż na trzeźwo, to musi być nadzwyczaj łaskawa bądź nadzwyczaj zdeterminowana, by zostać księżną.

Najważniejsze, że następną księżną Bernarda nie zostanie Clara.

– Myślisz, że ożeni się z tą dziewczyną? – zapytał Westcott.

– Ma ją pod ręką, młodą i ładną, pochodzącą z wielodzietnej rodziny. Gdyby jej rodzina bądź ona sama zniechęcali go, napisałby o tym, znieważając cały ród do siedmiu pokoleń wstecz. Owszem, ożeni się z nią. Przewiduję, że do końca roku.

– Ale i tak nie będzie chciał mieszkać w Londynie. A skoro chce tuzina synów, będzie ją trzymał przy sobie.

– Chyba że będzie przekonująca. Tak czy siak, nie będę go prosił o przysługi, nawet dla lady Clary.

Zostanie lady Clarą, także po ślubie. Przyjmie jego nazwisko, lecz zatrzyma tytuł i wszelkie przywileje. Zostanie, kim jest. Damą, wychowaną dla arystokraty z najwyższych sfer.

Jak, u diabła, miał dopasować dwa życia, tak odmienne od siebie i tak się rozmijające?!

* * *

Sophy spełniła obietnicę. Z uniesieniem i w porywającym stylu opisała zaręczyny w anonimowym artykule, który ukazał się w „Porannym Zwierciadle”. Jak wszystkie arystokratki, także i lady Warford była oddaną czytelniczką gazety. W odróżnieniu od reszty towarzystwa wiedziała, że autorką artykułu jest jej synowa. Choć nie słynęła z bystrego umysłu ani z przebiegłości, lady Warford doskonale rozumiała, jak działa londyńska opinia publiczna. Od razu dostrzegła, jak mistrzowsko Sophy ujęła niezręczny w istocie temat, przedstawiając ten mezalians jako niekwestionowany sukces, wręcz triumf panny Fairfax. Dzięki delikatnie zawoalowanym sugestiom wszystkie niezamężne panny będą zazdrościły Clarze, a ich matki będą się zastanawiały, co lady Warford wie o narzeczonym, czego nie wie reszta towarzystwa.

Lady Warford nie tylko doszła do wniosku, że kocha synową bardziej, niż sądziła, lecz z pokorą przyjęła tę nauczkę i zaczęła opowiadać

wszystkim o zaręczynach z taką dumą, jakby sama je zaaranżowała.

Posunęła się nawet do rozpaczliwego kroku i wspomniała o swym sukcesie na herbatce u Jego Miłości Króla. Jakże była zdumiona – w duchu, oczywiście – gdy dowiedziała się, że król i królowa darzą pana Radforda głębokim szacunkiem, choć Jego Miłość, niegdyś admirał floty wojennej, wyraził chęć powieszenia prawnika na rei.

– Błyskotliwy młodzieniec, niewiarygodnie bystry – powiedział. – Ale potrafi rozzłościć człowieka do nieprzytomności.

– Wydaje mi się, że dotyczy to w równym stopniu lady Clary – dodała królowa z uśmiechem.

– W istocie. Pasują do siebie jak ulał. Szczęściarz z niego, muszę przyznać. U boku takiej żony na pewno daleko zajdzie.

Nie dodał: „O ile nikt go nie zamorduje”, gdyż rozumiało się to samo przez się.

Obłaskawiona królewskimi pochwałami, promieniejąca i dumna z siebie, lady Warford poczuła się wspaniale przygotowana na utarczkę z lady Bartham. Wylewnie przeprosiła przyjaciółkę za to, że nie mogła jej zaprosić na ceremonię.

– Zaręczyny były skromne, w najwęższym gronie, jako że zdrowie starszego pana Radforda mogłoby ucierpieć. Zaprosiliśmy jedynie najbliższą rodzinę, kilku ministrów ze względu na lorda Warforda, ach, i oczywiście Jego Miłość przysłał kilkunastu członków rodziny królewskiej, a Jej Miłość – wybrane damy dworu, gdyż ich kalendarz nie umożliwił osobistej obecności na ceremonii.

* * *

W ciągu trzech dni wiadomość dotarła do każdej dzielnicy Londynu. Czwartego dnia Radford musiał się przepychać przez tłumy dziennikarzy w drodze do Temple i z powrotem. Tilsley co chwilę wdawał się w bójki z natarczywymi sprzedawcami tego czy owego, absolutnie niezbędnego nowożeńcom, a Westcott oszczędzał węgiel, paląc w kominku stosami wizytówek i broszur reklamujących biura nieruchomości, sklepy z meblami w rozsądnych cenach i tym podobne.

Wśród najbardziej odrażających znajomych Kruka Radforda zawrzało. Zakładali się i dyskutowali, czy jego wyniesienie w kręgi arystokracji

będzie miało znaczenie dla ciemnych interesów. Niektórzy uważali, że porzuci on zawód i zostanie szanowanym dżentelmenem, żyjącym wystawnie z posagu żony. Inni głosili, że perukę będą musieli zedrzeć dopiero z jego martwej głowy, gdyż nie odpuści nikomu i do ostatniego tchu będzie prześladował biedaków, którzy wszak usiłują jedynie przeżyć.

Jacob Freame nie zakładał się ani nie wyrażał opinii.

Gorączka powaliła go niedługo po obławie, co w jego przypadku było ze wszech miar przerażające. Zarówno organy ścigania, jak i wrogowie, a także ambitni przyjaciele, wszyscy jak jeden mąż najchętniej widzieliby go w grobie, a nie był w stanie się obronić.

Szczęśliwie dwóch chłopaków stało u jego boku, strzegąc go we dnie i w nocy – Zdławiacz i Wiewiór, który otrzymał przezwisko od Szczypiora. Miał wielkie przednie zęby, pucołowate policzki i gwałtowne, nerwowe ruchy. Wywieźli swego szefa z Londynu łodzią, najgorszym chyba środkiem transportu dla chorego na tyfus, bezpieczniejszym jednak niż ucieczka ulicami, gdzie stanowiliby nazbyt łatwy łup dla konkurencji.

Ukryli się w barakach nad rzeką, co zaskoczyłoby każdego, kto znał Freame’a. Wszyscy wiedzieli, że herszt uwielbia wystawne życie. Miał własny powóz i konia, dowodził wieloma bandami i pławił się w luksusie w wystawnym apartamencie jednego z najlepszych londyńskich burdeli.

We własnym świecie był celebrytą.

Nad rzeką był nikim i nawet najgorsze męty nie zawracałyby sobie nim głowy. Kto chciałby się zbliżać do jakiegoś nieszczęśnika konającego na tyfus? Poza tym chłopcy stali bez przerwy na czatach na wypadek, gdyby ktoś wykazał się zbyt dużą ciekawością i podszedł za blisko.

Freame miał się coraz gorzej i gorzej, aż pewnego dnia stanął u wrót śmierci. Śmierć jednak zmieniła zdanie i herszt powoli wrócił z zaświatów, odarty z wszelkiej chwały i pieniędzy, a także pozbawiony pozycji wśród rzezimieszków. Ocknął się w rzeczywistości, w której nie miał dokąd pójść. Jego chłopcy się rozproszyli lub przyłączyli do innych gangów. Zakładając, że umarł, rywale zajęli jego terytoria.

A w dodatku…

– Co takiego? – zaskrzeczał, gdy Wiewiór postawił przed nim wyszczerbioną miskę cienkiej polewki.

– Kruk se bierze żonę – powtórzył chłopak. – Słyszałem u Jacka.

– Ja też – potwierdził Zdławiacz.

Jack prowadził podrzędny bar w Covent Garden.

– Wszystko można tam usłyszeć – burknął Freame. – A najwięcej cholernych bzdur.

– Ale zakładali się o to – żachnął się Wiewiór. – I mówili, że to ta Długa Tyczka, która stłukła Szczypiora i była z obławą, kiedy spadł z dachu. Jest damulką. Mówią, że ma diamentów wielkich jak gęsie jaja. I że będą se mieszkać w zamku, i że Kruk rzuci sądy i zostanie dżentelmenem.

– A skąd – prychnął Freame. – Nie widzę go wałęsającego się z arystokratami i wymieniającego bezsensowne żarciki z królem jegomością. Nie, on nie jest taki. Poza tym nie pozwolę na to. Nie po tym, co mi zrobił.

– I co zrobił Szczypiorowi – dodał Zdławiacz. – Gdyby nie ten Kruk…

– Szczypior sam do tego doprowadził, bo był idiotą – warknął Jacob. – Kto do nas przywlókł tego jęczącego syna wszetecznicy? Tego… jak mu było?

– Toby – podsunął Wiewiór. – Toby Coppy.

– Właśnie. Dlaczego jestem chory? Dlaczego jestem skończony? Czyż to nie za sprawą pana Coppy’ego i jego szurniętej siostry Betty czy Biddy, czy…

– Bridget – szepnął Wiewiór.

– Właśnie. Jęczała, mędziła, płakała, a na koniec ściągnęła na nas połowę arystokracji! Ale i tak to wszystko wina Kruka. A teraz miałby zbić fortunę, chodzić w adamaszkach i koronie i kłaniać się książętom i księżniczkom? Ha!

Freame się uśmiechnął. Ten uśmiech wprawiał chłopców w drżenie, a wrogowie, widząc go, chwytali za broń albo czmychali w popłochu.

– Och, zrobię mu ja koronę – wycedził złowieszczo. – Osobiście go ukoronuję.

Wiewiór i Zdławiacz zanieśli się upiornym chichotem.

Rozdział 14

Zaznaczyć przy tym należy, iż ci, którzy piszą
o małżeństwie, zwykle używają porównań i opisów
tak egzaltowanych i przesłodzonych, jakich nie sposób
doświadczyć w rzeczywistym świecie. Nie mogą
zatem stanowić motywacji ani dowodu
dla rozsądnego mężczyzny.
John Witherspoon, *Listy o małżeństwie* (1834)

Willa Itaka, Richmond
20 listopada 1835 roku

W bawialni Willi Itaka kłębił się tłum. Dwie księżniczki, dwóch następców tronu z małżonkami, czterech ministrów z małżonkami, trzy stylistki świergoczące z francuskim akcentem – także z małżonkami: księciem, markizem i hrabią, drużba pana młodego Westcott i kilka tysięcy Fairfaxów.

Choć Radford znał imiona wszystkich obecnych i mógłby wyrecytować drzewa genealogiczne każdej osoby, w tej chwili stanowili jedynie ocean rozmazanych twarzy w feerii barw.

Nie mógł zrzucić winy na wieczór kawalerski, który spędził w towarzystwie wymienionych wcześniej księcia, markiza i hrabiego. Już idąc wieczorem do biblioteki, czuł się znużony tygodniami ciężkiej pracy i tysiącami natarczywych listów od Bernarda. Książę, markiz i hrabia mieli ściśle sprecyzowaną wizję wieczoru kawalerskiego, w związku z czym Radford zaznał zaledwie dwóch godzin snu. Rano stwierdził, jak wiele ofiar przed nim, że usiłowali go zabić, a przynajmniej sprawić, aby nie dotarł na swój własny ślub.

To wszystko nie miało jednak wpływu na jego zaburzoną w tej chwili percepcję świata.

Wszystkiemu winna była ona.

Clara.

Jego narzeczona. Jego panna młoda! Wpłynęła do bawialni, wsparta na ramieniu ojca.

Była tak piękna, że z trudem stłumił szloch wzruszenia. Zdołał powstrzymać łzy cisnące się do oczu, lecz świat stał się nieco rozmazany. Zamrugał gwałtownie, ale od tej chwili widział już tylko ją. Promieniście piękną, boginię słońca zalewającą złotym blaskiem nędzny świat.

Jego umysł nie był w stanie sformułować jasnej myśli, a dusza śpiewała poetyckimi frazami. Trudno. Już za chwilę i zgodnie z prawem Clara będzie należała do niego.

Także ciałem.

Nie może o tym teraz myśleć. Musi się skoncentrować.

Skupił wzrok na ślubnej sukni, jakby oglądał dowód w ważnej sprawie.

Stylistki stworzyły utkane z fantazji szaleństwo belgijskich koronek i jedwabnych haftów ozdobionych perłami. Wyrafinowany pęk koronek wplotły w koronę jej złotych włosów wraz ze sznurami pereł, które zdobiły czoło Clary. Koronkowy welon spływał po jej ramionach aż do ziemi. Haftowane róże zbierały bufiaste rękawki tuż nad łokciem, a kolejne metry koronki zdobiły brzegi wysokich rękawiczek i spływały w dół. Haftowany, koronkowy pas podkreślał jej talię. Kolejna róża spoczywała zalotnie pomiędzy aksamitnymi półkulami piersi, wyglądającymi z bardzo głęboko wyciętego dekoltu wykończonego satynową wstążką. Na szyi Clara miała sznur pereł.

Żałował teraz, że nie spał dłużej. Będzie potrzebował wiele sił i cierpliwości, żeby zdjąć z niej to wszystko, biorąc pod uwagę, ile jeszcze warstw kryje się pod spodem.

Pragnął polizać każdy fragment tej perłowej skóry.

Nie mógł teraz o tym myśleć. Od nocy poślubnej dzieliło go wiele godzin, niech piekło pochłonie te plemienne rytuały!

Wiedział jednak, że zwłaszcza on powinien znieść to z godnością. Cały świat spodziewał się, że Radford zrobi coś niedopuszczalnego. Podejrzewano także, że gdy pastor zapyta o przeszkody do zawarcia małżeństwa, ktoś się zgłosi i Radford znów będzie musiał się bronić.

Zdawało mu się, że minęły wieki, lecz już po chwili Clara stała u jego boku. Uśmiechnął się szeroko. Nie mógł się powstrzymać. Po wszystkich

rozpaczach, dramatach, walkach i tygodniach lęku wreszcie stała u jego boku.

Spojrzała na niego przelotnie i pokazała w uśmiechu wyszczerbiony ząb. Jednak po chwili zdała sobie sprawę, gdzie są i w jakim celu, gdyż spoważniała.

Radford także spoważniał. Nagle uderzyła go zarówno nieuchronność, jak i nieodwracalność tego aktu. Cóż ta dziewczyna wyprawia? Na co się skazuje?

Zwiąże z nim swoje życie.

Na zawsze.

– Jeszcze zdążysz uciec – mruknął do niej.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– W tej sukni?

Pastor odchrząknął.

Spojrzeli na niego oboje. Radford czuł, jak łomocze mu serce.

– Najdrożsi – zaczął pastor.

* * *

Wieczorem

Clara chciała zabić swojego męża.

Oczywiście jej suknia nie była czymś, w co się wskakuje i zrzuca w ciągu chwili. Jej niezliczone ozdoby, guziki, wstążki i haftki mogłyby doprowadzić mężczyznę na skraj obłędu.

To był cud stylizacji, a nie suknia. Nawet pełna uniesienia narracja Sophy w „Porannym Zwierciadle” nie mogła jej oddać sprawiedliwości. Kiedy Radford ją zobaczył, oczy zaszły mu łzami.

A może to były łzy tłumionego rozbawienia?

Tak czy siak, niełatwo było się z niej wydostać i Clara musiała udać się do garderoby z panną Davis. W innym wypadku rozbieranie mogło zająć ponad godzinę i Clara musiałaby stać w bezruchu, walcząc z lękiem, niepokojem i podekscytowaniem.

Zeszłej nocy niezastąpiona mama podsyciła jedynie te obawy, wśród gwałtownych wybuchów płaczu i rumieńców wstydu, opowiadając jakieś urywane historie o nocach poślubnych.

Clara, wreszcie rozbrojona z sukni i lekko drżąca, weszła bezszelestnie do mrocznej sypialni, rozświetlonej jedynie blaskiem świec. Znalazła w niej pana młodego, rozciągniętego na łóżku i pogrążonego w głębokim śnie. Wciąż miał na sobie prawie cały ślubny strój.

Nawet jej brat Harry, który nie dbał o to, jak wygląda, miał lokaja, który się o niego troszczył…

Radford nie miał nikogo. Wiadomo, męskie stroje nie są tak skomplikowane jak damskie, choć najlepsze marynarki, skrojone idealnie na miarę, trudno było zdjąć bez czyjejś pomocy.

Pan młody dał radę zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i rozpiąć dwa guziki koszuli. Marynarkę rzucił na krzesło, na niej leżał fular. Diamentowa szpilka lśniła na tacce na nocnym stoliku. Buty rozrzucił malowniczo obok krzesła. Jeden leżał na boku, a drugi do góry nogami.

Rozpięcie kamizelki było najwyraźniej ostatnią rzeczą, jakiej dokonał, zanim zasnął. Leżał na boku. Czarne włosy rozkładały się jak wachlarz na poduszce. Jedną rękę wcisnął pod głowę, a drugą zasłonił twarz. Objęła wzrokiem długie linie jego ciała. Smukłe ramiona, potężny tors i szczupłe nogi. Na widok jego stóp w skarpetkach jej serce ścisnęło się ze wzruszenia. Podeszła bliżej.

We śnie jego twarz była chłopięco niewinna. Pewnie dlatego, że miał zamknięte oczy i nie przeszywał jej wszystkowiedzącym wzrokiem. W miękkim świetle świec wyglądał tak… krucho.

Może jednak go nie zabije.

Biedak, był zupełnie wyczerpany. W ciągu ostatniego miesiąca dosłownie wykradali chwile ze sobą, lecz zawsze w towarzystwie kogoś z rodziny Clary, tak jakby Warfordowie bali się, że dziki Kruk Radford zhańbi ją i porzuci.

Nie miał dla niej zbyt wiele czasu, choć okazało się, że wcale nie musiał mediować między rodzicami – sami dali sobie radę. Piękna, pełna życia i czarująca Anne Radford błyskawicznie podbiła serce lady Warford. Skandal z zamierzchłych czasów zbladł w oślepiającym blasku doskonałego pochodzenia pani Radford, jej wspaniałych sukien i eleganckiej willi w modnej okolicy.

Po zaprzęgnięciu swych radców do walki na śmierć i życie, pan George Radford i lord Warford spędzili razem wiele przyjemnych chwil, radośnie

kłócąc się o niebywale ważkie kwestie ideologiczne. Prawnik i polityk – obydwaj byli szczęśliwi, że znaleźli godnego siebie rozmówcę.

Oczywiście życie towarzyskie ogromnie męczyło starszego pana Radforda i Clara wiedziała, że przyszły teść mocno nadużywa swych sił dla jej ojca. Poza tym wciąż miał klientów oczekujących jego wsparcia, a Bestia Bernard bez ustanku domagał się uwagi.

Potem przyszedł wieczór kawalerski, o przebiegu którego, zgodnie z zaleceniem mamy, nie miała zielonego pojęcia. A śniadanie przed ślubem ciągnęło się w nieskończoność.

– Och, śpij sobie – mruknęła. – Szkoda tylko, że zmarnowałam tyle czasu, żeby wyglądać ponętnie.

Nie miała na sobie zwykłej skromnej koszuli, lecz kuszące dzieło sztuki, które stworzyły siostry Noirot, dając upust swej francuskiej naturze. W odróżnieniu od prostych panieńskich koszul Clary, ta była uszyta z doskonałego, cieniutkiego lnu, tak jak koszula Radforda. Rękawy i rąbek obszyto wstążkami, a wokół szokująco głębokiego dekoltu lśniły zalotnie jedwabne hafty.

W ogóle nie chciało jej się spać, postanowiła więc poszukać czegoś do czytania.

Rodzice Radforda od lat nie używali już tej sypialni. Była elegancko umeblowana, a na regale przy biurku Clara znalazła jakieś książki. Musiały należeć do Radforda, gdyż nie było wśród nich ani jednej powieści, ani jednego tomu poezji. Z westchnieniem wybrała wytarty i mocno zużyty egzemplarz „Rozprawy” sir Johna Wade’a, ten sam, który Radford kazał jej przeczytać, gdy poprosiła go o pomoc w odnalezieniu Toby’ego.

Jeśli cokolwiek mogłoby ją teraz uśpić, ta książka na pewno da radę. Sam tytuł był nudny do nieprzytomności: *Rozprawa o policji i zbrodniach w Londynie, a w szczególności o młodocianych przestępcach, prostytucji, fałszerstwach, hazardzie, wymuszeniach, napaściach, kradzieżach i włamaniach, odzyskiwaniu skradzionych dóbr, rabowaniu grobów, oszustwach, stręczycielstwie i żebractwie oraz tym podobnych*, a to była dopiero połowa.

Clara położyła książkę na stoliku i wdrapała się na łóżko, po czym sięgnęła po „Rozprawę”. Jej ruch zaniepokoił Radforda. Przewrócił się na plecy i wyciągnął ręce do góry. Poły kamizelki opadły na boki, odsłaniając szerokie ramiona i klatkę piersiową. Przez niemal przezroczysty materiał

koszuli dostrzegła ciemne włosy na torsie i brzuchu Kruka, zbiegające się w wąską ścieżkę, ginącą pod paskiem spodni.

Oblała się gorącym rumieńcem.

Odłożyła książkę na stolik i spojrzała na jego ramię. Mięśnie rysowały się pod cienkim lnem koszuli. Poły rozchylały się, obnażając obojczyki i zagłębienie pod gardłem. Clara przypomniała sobie, jak Radford dotykał jej obojczyków. Palcami, wargami, językiem…

To był tylko przedsmak. Dotykał jej w innych miejscach. Muskał palcami jej udo, niemal do… Ale zatrzymał się.

Teraz się nie zatrzyma. I będzie tego znacznie więcej, częściej. Mama nazywała to małżeńską bliskością.

Trwożliwa część duszy Clary chciała uciec jak najdalej, ale druga, silniejsza, coraz bardziej lgnęła do niego. Do męża.

Do męża! Już na zawsze!

Niepokój nagle urósł i zaczął przypominać panikę.

Co też najlepszego zrobiła? Co zrobiła?

Zamknęła oczy, powstrzymując uderzające w nią fale lęku, i próbowała przypomnieć sobie ceremonię, ale nie była w stanie wydobyć żadnych szczegółów z oparu… szczęścia. To było jak sen, jak marzenie.

Czuła się szczęśliwa, to była zasługa Radforda. Był wyjątkowym mężczyzną i traktował ją wyjątkowo. I… lubiła go. Lubiła, jak się poruszał i jak wyglądał. Podobał jej się. A dźwięk jego głosu przyspieszał bicie jej serca już od pierwszej chwili, od spotkania na Charing Cross. Gdy z nim rozmawiała, siedziała przy nim czy choćby na niego patrzyła, świat stawał się lepszym miejscem.

I mogła swobodnie oddychać.

To dlatego rzuciła się w to małżeństwo jak w przepaść.

Otworzyła oczy.

W blasku świec jego włosy lśniły jak czarny jedwab. Uklękła i musnęła opuszkami palców błyszczące loki. Przesunęła palcami po jego barkach i na chwilę zatrzymała się na potężnych, promieniujących ciepłem ramionach. Tak delikatnie i lekko, jakby był figurką z bezcennej porcelany, a nie młodym, silnym mężczyzną, pogłaskała cieniutki len koszuli na torsie i niżej…

Zarumieniła się i nagle zawstydziła.

Wróciła do jego twarzy o ostrych, przystojnych rysach, jakby wyciosanych w marmurze. Przypomniała sobie, jak niedawno obsypywał pocałunkami jej czoło i policzki i jak wspaniale się wtedy czuła. Pochyliwszy się nad nim, zaczęła muskać wargami jego twarz, od skroni do brwi, nos i policzek, aż do brody. Jego usta znalazły się tak blisko, że musiała je pocałować.

Chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie, całując z zapamiętaniem, aż cały świat pochłonął ogień.

* * *

Wyczuwając jej bliskość, Radford wynurzył się ze snu i już miał otworzyć oczy, gdy poczuł lekki jak piórko dotyk jej palców na włosach. Nie wiedząc, co Clara zamierza, starał się nie poruszać i uspokoić choć trochę łomoczące serce. Był przekonany, że słychać je aż w piwnicy. Clara nie odsunęła się i nie przestawała go dotykać, poznając jego ciało. Radford leżał i trzymał ręce przy sobie, choć chwilami zdawało mu się, że od tego umrze.

Potem zaczęła go całować. Niewinnie, delikatnie i dziewiczo, muskając jego twarz i nos gładkimi wargami. Gdy pocałowała go w usta, emocje wzięły górę. Bliskość i zapach jej ciała, jej wstrzymywany oddech i szelest koszuli, gdy się poruszała… Choć bardzo chciał wiedzieć, jak daleko by się posunęła, nie mógł dłużej udawać śpiącego.

Chwycił ją w ramiona i pocałował. Namiętnie, głęboko, żarłocznie. Od pierwszego spotkania Clara wytrącała go z wypracowanej równowagi i obojętności, zaczepiając na wszelkie sposoby, czarując urodą i intelektem. Miałby trwać w odłączeniu od emocji, gdy była przy nim? Żart.

Całował ją z żarliwością, z jaką tłumił w sobie wszystko od czasu, kiedy ją poznał: przyjemność przebywania w jej towarzystwie, pożądanie, którego nie umiał ukryć, żal, że Clara jest daleko poza jego zasięgiem towarzyskim, lęk, gdy drżał o jej życie, rozpacz, kiedy jej ojciec go odrzucił.

Wlał cały ten zamęt w pocałunek i złagodził go miłością tak wielką, o jakiej nigdy nawet nie marzył.

Smakowała jak promień słońca. Słońce drżało w jej śmiechu i lśniło w oczach.

Smakowała jak niewinność na krawędzi rozpoznania. Jej wargi i język splotły się z jego wargami i językiem, jakby to był taniec, w którym mieli wirować razem do końca życia. Przyciągnął ją bliżej i nie odrywając od niej warg, przetoczył Clarę na plecy.

Wreszcie należała do niego – zgodnie z prawem – teraz chciał posiąść także jej ciało.

Clara nie była jednak doświadczona na tym polu i jeśli nie da jej czasu i nie zrobi wszystkiego, co w jego mocy, aby pierwszy raz był tak przyjemny, jak to możliwe, młoda żona nabierze złego przekonania o nim i o małżeńskiej bliskości.

Dlatego właśnie, choć był już rozpalony do granic, choć zdawało mu się, że czekał na nią całą wieczność, oderwał od niej wargi i powiedział:

– Zobaczmy zatem, cóż takiego mi się trafiło.

Ukląkł na łóżku i spojrzał na nią.

Smukłą, z niewiarygodnie długimi nogami, o pełnych, kuszących kształtach i jedwabistej skórze. Idealnej twarzy z oczami barwy akwamaryny.

O pełnych kształtach… Nie znał słów, którymi mógłby wychwalać jej ciało. Jakże, na litość losu, spośród wszystkich londyńskich fircyków to właśnie jemu trafiła się ta bogini?!

A to, co miała na sobie? Cóż, przynajmniej raz nie było tego zbyt wiele, zaledwie parę metrów cienkiego lnu ozdobionego haftami w miejscach, które i tak z natury przyciągały męski wzrok.

– Powinieneś był się przyjrzeć znacznie wcześniej – powiedziała Clara, rumieniąc się. – Chociażby wtedy, gdy pastor pytał o sprzeciw.

– Ależ przyjrzałem się. Jednak niewiele mogłem zobaczyć pod całą tą bezą. To dlatego wnoszę o dodatkowe dowody.

– Bezą? – Clara uniosła brwi. – Naskarżę na ciebie Sophy i jej siostrom.

Radford pocałował lekko każdą brew Clary.

– Ach, nie martw się tym, moja pani. Uznaję, że się nadasz. Nadasz się na żonę prawnika.

Podniósł się i próbował nieco ochłonąć.

– Ależ z ciebie flirciarz – roześmiała się Clara i wyciągnęła ręce. – Chodź do mnie.

– Nie – odparł stanowczo. – Jeśli ci ulegnę, zanim zdążysz mrugnąć, będzie już po wszystkim i będziesz jedynie chciała mnie zabić.

– Spodziewam się, że czasem będę chciała cię zabić. Chodź.

Radford delikatnie ułożył jej ręce na łóżku.

– Żadnego całowania – stwierdził stanowczo.

– Panie Radford…

– Możesz mówić do mnie „Oliver”. Albo „Kruku”. Albo na zmianę. Jesteśmy już po słowie.

– Ty możesz mówić do mnie „lady Claro” – prychnęła. – Albo „milady”, albo „moja pani”. Albo „heptaplasiesoptron”.

– Dziękuję, milady – odparł. – Proszę, by lady Clara była tak uprzejma i poleżała spokojnie, nie biorąc udziału w działaniach, dopóki nie zaproponuję…

– Mam leżeć jak kłoda? – Radford widział, że kilka razy zacisnęła palce na prześcieradle. Była zdenerwowana, lecz ukrywała to pod klasyczną maską dobrze wychowanej damy.

– Jeśli tak życzysz to sobie nazywać – odrzekł ostrożnie.

– Jest jakiś kodeks?

– Kodeks?

– Z zasadami i wskazówkami, jak powinno się to robić. Z tym, co po pierwsze, po drugie i po trzecie.

– Jest ich wiele, lecz dziś pragnąłbym polegać na własnym doświadczeniu. A nigdy nie robiłem tego z nietkniętą dziewicą.

– Kto powiedział, że nią jestem?

Radford wyprostował się raptownie.

– Jesteś czy nie? Jeśli nie jesteś, możemy sobie darować te…

– Jestem, jestem… – westchnęła ze zniecierpliwieniem. – To mój pierwszy raz, a biorąc pod uwagę, jak się do tego zabierasz, drugiego mogę nie dożyć.

– Zdaj się na mnie – powiedział.

Roześmiała się i promienie słońca zamigotały w ciemnej sypialni.

Serce Radforda wypełniło się szczęściem tak obezwładniającym, że nie był pewny, czy słowo „szczęście” wciąż ma tu zastosowanie.

– Zacznijmy od spraw już nam znanych – powiedział i usiadł okrakiem na jej nogach. Pochylił się, całując delikatnie jej czoło, oczy i policzki. – Jak to. To, to i to – szeptał, okrywając jej twarz pocałunkami.

Pocałował jej ucho, liżąc przez chwilę płatek, aż westchnęła. Pocałował wrażliwe miejsce za uchem i zaczął sunąć w dół po szyi.

Zapach jej ciała uderzył mu do głowy. Nigdy nie będzie w stanie się nim nasycić. Musnął jej policzek swoim policzkiem, ciesząc się miękkością i gładkością jej skóry. Nigdy nie będzie w stanie się nią nasycić. Pocałował jej gardło i obojczyk, tonąc w ciepłej fali zapachu płynącego spod koszuli. Musnął policzkiem gładki dekolt, wdychając zapach Clary. Zebrał wargami zapach z jej skóry, odpychając od siebie niecierpliwą żądzę zerwania z niej wszystkiego i wzięcia w posiadanie.

Poruszyła się pod jego dotykiem i westchnęła cicho, a jej oddech przyspieszył.

Radford przesunął dłońmi w ślad za wargami, dotykając jej twarzy, szyi, ramion, i dotarł do półkuli piersi. Jedwabne hafty przykrywały – nie dość skutecznie – różowe brodawki, które wyprężyły się pod jego dotykiem.

– Och… – westchnęła. – To bardzo niestosowne… I niezbyt przykre.

Rozwiązał wstążki, odsłaniając idealne piersi. Otworzyła szeroko oczy, oblewając się rumieńcem.

Radford zaznaczył perfekcyjny kształt jej piersi pocałunkami, napawając się jej zapachem, jej westchnieniami, pełnym wdzięku sposobem, w jaki przyjmowała jego pieszczoty. Objął wargami różową brodawkę. Clara jęknęła, wsunęła palce w jego włosy i przytrzymała go.

– Ooch… Och, jejku.

Jej głos był miękki, nabrzmiały zaskoczeniem i rozkoszą.

Była zbyt idealna. Zbyt rozkoszna, zbyt podniecająca dla zwykłego śmiertelnika.

Nie wiedział, czy da radę w to brnąć i nie dostać ataku serca.

– Nie przestawaj – szepnęła.

Tak wielu już chciało go zabić, ale jej się wreszcie uda.

Kruk Radford nie przeżyje nocy poślubnej.

* * *

Clara czuła już wcześniej i przyjemność, i podekscytowanie, była całowana i dotykana.

To było jednak coś nowego. Wtedy dotarła zaledwie do drzwi nowego świata, teraz Radford otworzył je przed nią. Zrozumiała, że do tej pory nie

była w pełni sobą. Ciało miało przed nią sekrety.

Radford dotykał je i całował, a ono wibrowało rozkoszą. Lizał ją i czuła fale żaru. Jego wargi i dłonie błądziły leniwie, elektryzując jej skórę. Nie mogła uleżeć spokojnie. Nie mogła powstrzymać westchnień i jęków, bardzo nie w stylu dobrze wychowanej damy.

Nie przypuszczała, że istnieją takie uczucia. Skąd miałaby wiedzieć? Dotyk jego policzka, zapach jego skóry… Świat skurczył się do sypialni, istnieli tylko oni, we dwoje, budujący zupełnie nowy, nieznany świat.

Radford ściągnął jej koszulę aż do talii, lecz Clara nie czuła już wstydu. Zakłopotanie spalało się na popiół przy wszystkich emocjach, które nią targały. Wstyd znikał jak dym pod dotykiem jego dłoni i warg.

Zacisnęła dłonie na prześcieradle, usiłując posłusznie leżeć. Przecież Radford wiedział lepiej, jak powinna się zachować. Lecz całował teraz jej brzuch i nie mogła zachować spokoju. Musiała go dotknąć.

Wsunęła palce w jego gęste, jedwabiste włosy. Zadrżał pod jej dotykiem i zatrzymał się na jedno uderzenie serca. Potem okrążył pocałunkami jej brzuch, ściągając powoli koszulę i idąc za nią w ślad, mijając biodra, całując, całując bez ustanku, rozsuwając delikatnie jej nogi, całując, całując tam…

Otworzyła szeroko oczy. Zobaczyła granatowy baldachim haftowany złotą nicią, lśniącą w blasku świec. I zobaczyła gwiazdy pod powiekami, jakby leciała w niebo, lecz nie… Jej niebo zdawało się wodą, a gwiazdy odbijały się w niej, sypiąc iskrami. Nie leciała, lecz płynęła w emocjach, szczęśliwa i jeszcze nienasycona, pragnąca dopłynąć do miejsca, którego jeszcze nie znała.

Jej ręce opadły na prześcieradło. Zamknęła oczy.

Całował ją tam i dotykał językiem. Żar i podniecenie wzięły w posiadanie jej ciało i umysł. Starała się leżeć spokojnie, lecz dygotała coraz mocniej. Poczuła tam jego palce. Zacisnęła dłonie na prześcieradle, szarpiąc je konwulsyjnie, gdy kolejne fale rozkoszy wstrząsały jej ciałem. Jęczała coraz głośniej, nogi jej dygotały. Chwyciła go za ramiona i pociągnęła do góry. Potrzebowała go. Chciała go mieć przy sobie. Zrozumiał to i podniósł się, nie przestając jej tam dotykać. Pocałował ją w usta i oddała mu pocałunek, wlewając w to całą namiętność, miłość i pragnienie.

Błądziła dłońmi po jego ramionach i plecach. Chwyciła koszulę i wyszarpnęła ją ze spodni Radforda. Chciała dotykać jego skóry. Chciała go dotykać, tak jak on dotykał jej.

– Claro – wychrypiał.

– Nie wiem, jak to zrobić – jęknęła. – Ściągaj to!

Roześmiał się i podniósł na łóżku. Zerwał z siebie kamizelkę i rzucił ją na podłogę. Wyciągnął koszulę ze spodni. Clara niezręcznie usiłowała mu pomóc. Kruk zdjął koszulę przez głowę i Clara położyła dłonie na jego torsie. Jego skóra lśniła w świetle świec. Ciało miał twarde i ciepłe, jak ożywiony posąg z marmuru. Czuła pod palcami jego siłę. Czuła, jak jego mięśnie napinają się pod jej dotykiem. Przesunęła dłońmi po jego ciele, jakby była odkrywcą, a on zupełnie nowym, nieznanym światem.

I owszem, jego ciało było dla niej nieznanym światem.

Widywała ciała chłopców w dzieciństwie, a potem posągi w różnych pozach i stadiach nagości, na przykład Achillesa w Hyde Parku. Nigdy wcześniej nie widziała ciała dorosłego mężczyzny. To było prawdziwe odkrycie, choć w tej chwili nie zdawała sobie jeszcze sprawy, co odkryła. Była zbyt rozpalona i drżąca, a Radford znów zaczął jej dotykać.

Całował ją całą, a Clara naśladowała go we wszystkim, całując jego szyję i ramiona, i każdą część ciała, której mogła dosięgnąć. Słyszała jego chrapliwy oddech, jej skóra zdawała się płonąć. Żar przedostawał się także do jej wnętrza.

Radford głaskał jej brzuch i zsuwał dłoń powoli pomiędzy jej nogi. Bezwstydnie rozłożyła je dla niego, pragnąc tego dotyku, otwierając się na rozkosz. Odkrywszy coś tak wspaniałego, pragnęła więcej i więcej. Całe jej ciało dygotało z pragnienia.

Radford podniósł się i na chwilę zdjął z niej dłonie. Prawie krzyknęła z zawodu.

– Już więcej nie zniosę, milady – powiedział poważnie.

Usłyszała szelest tkanin, ale nie rozumiała, co się dzieje. Chciała tylko, by natychmiast wrócił do niej i znów jej dotknął.

– Proszę, nie przestawaj – jęknęła.

Mruknął coś o noszeniu spodni i wtedy dotarło do niej, że Radford się rozbiera. Chciała na niego patrzeć, mgliście domyślając się, co się zaraz wydarzy, ale nieśmiałość zwyciężyła i Clara nie mogła na niego spojrzeć. Wpatrywała się za to w jego ukochaną, surową twarz.

– Mamy za sobą po pierwsze i po drugie – szepnął chrapliwie. – To jest po trzecie.

Położył się przy niej i głaskał ją znów, układając jej ciało na poduszkach. Czuła, że rozchyla jej nogi, a potem płatki kobiecości, ale mogła jedynie cichutko jęczeć. Jej ciało samo podporządkowało się tej nieznanej sile, odwiecznej potędze, niemającej najwyraźniej bezpośredniego połączenia z rozsądkiem.

Wszedł w nią płynnym ruchem.

– Och! – wykrzyknęła stłumionym głosem. „Czy to powinno tak boleć?” – zastanowiła się przelotnie. Co mówiła jej matka? Nie mogła sobie przypomnieć.

Radford znów zaczął ją namiętnie całować i pieścić. Rozkosz wróciła do niej z nową falą żaru. Pragnienie… nieskończone pragnienie wypełniło jej ciało. Czuła go w sobie i ból powoli odpływał, lecz wciąż była zaniepokojona. Mimo to jej ciało intuicyjnie starało się dopasować, zmuszając ją do poruszania się w narzuconym przez męża rytmie. Usłyszała jego jęk.

– Moja… Moja dziewczynko. Nie wiem, jak długo jeszcze…

– Cicho. Chyba zaczynam łapać, o co w tym chodzi.

Radford jęknął i roześmiał się jednocześnie.

Kręciło jej się w głowie, a jej ciałem rządziła teraz obca siła, lecz Clara zastanowiła się, co w takiej sytuacji zrobiłaby prawdziwa dama.

Dama zapewniłaby gościowi wytchnienie.

– Czuję się całkiem znośnie – stwierdziła, starając się zachować resztki godności i wypowiedzieć dwa zdania bez jęku. – Może pan kontynuować, panie Radford.

Roześmiał się i pocałował ją. Znowu i znowu. A potem poruszał się w niej, budząc odczucia nowe i tak silne, że dygotała w jego objęciach. Czuła, jak krew tętni jej w żyłach, a serce bije tak mocno, że dobrze jej znane ciało zaczęło doświadczać radości zupełnie niecielesnej, boskiej, nieziemskiej.

Błądziła dłońmi po jego ciele, po ramionach, torsie i poniżej talii, a nawet po twardych pośladkach. Pragnienie spełnienia rozwiało jej wstyd i nieśmiałość, chciała się nauczyć ciała mężczyzny, który został jej mężem. Na zawsze. Poruszała się z nim tak, jak wcześniej go całowała. Ucząc się, naśladując go i wprawiając się bez chwili zwłoki.

Odczucie żaru, pragnienia i rozkoszy było coraz silniejsze, zdawało jej się, że eksploduje. Fale szczęścia niosły ją coraz dalej i dalej, jakby była statkiem unoszącym się na nieznanych wodach.

Wreszcie wynurzyła się, wstrząsana dreszczem, z odmętu szaleństwa i w silnych ramionach ukochanego mężczyzny dopłynęła spokojnie do brzegu.

Rozdział 15

Richmond – niewielka wieś w Surrey, dziewięć mil
od Londynu. Najpiękniejsze, najbardziej luksusowe
i malownicze miejsce w całym Imperium.
Samuel Leigh, *Nowe spojrzenie na Londyn* (1834)

Po chwili Radford uspokoił się i ucichł. Niemal zasypiał, gdy jakiś dźwięk wyrwał go ze snu.

Deszcz.

Pogoda w dniu ich ślubu nie mogła się zdecydować, na zmianę wieszając na błękitnym niebie nabrzmiałe deszczem chmury i rozwiewając je, chwiejna jak jego emocje, odkąd poznał Clarę.

Teraz deszcz zaczął łomotać w okna.

Przypomniał sobie inny deszczowy dzień, gdy wsiadł do powozu i zapach Clary oszołomił go bez reszty. Jej zapach stał się dla niego wszystkim, a teraz otaczał go ze wszystkich stron, wymieszany z jego zapachem i aromatem miłości. Trzymał ją w ramionach, ciepłą, gładką, idealną.

Jego żonę. Jego żonę!

Wciąż nie mógł tego zrozumieć. Był zbyt przerażony, by się nad tym zastanawiać.

Delikatnie wysunął się z niej i wyplątał z jej objęć. Sądząc, że Clara śpi, chciał ją przygarnąć do siebie, lecz ujrzał nagle, że kobieta ma szeroko otwarte oczy. Wpatrywała się w baldachim.

Zawahał się, po raz pierwszy w życiu nie mając pojęcia, co się stało i co zrobić. Wzrok Clary spoczął na jego twarzy.

– Nie dziwię się teraz, że mama była taka powściągliwa – oznajmiła zwięźle. – Jak w ogóle można opowiedzieć komuś o czymś takim? Jak wyjaśnić? To zbyt intymne.

Radford zdławił jęk.

Chciał być dobrym mężem. W zasadzie, będąc sobą, chciał być najlepszy. Niemal przewracał się ze zmęczenia, a jednak czekał całą wieczność, aż Clara się rozbierze. Chętnie rozebrałby ją własnoręcznie, jednak wiedział, że rozsądniej jest zostawić tę sprawę pokojówce. Był tak wyczerpany, że usiłując wyłuskać ją ze ślubnego stroju, na pewno zacząłby narzekać. Narzekanie nie wchodziło w grę. Tej nocy musiał być idealnym mężem i kochankiem, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jakie życie porzuciła, by zostać jego żoną.

Postanowił, że jej pierwszy raz będzie tak podniecający, rozkoszny i bezbolesny, jak to możliwe. Nie zdawał sobie sprawy, że wyznacza sobie zadanie wręcz heroiczne. Jak miał zachować pełną kontrolę w obliczu jej niewinności, namiętności i czułości, w połączeniu z urodą, która odbierała mu dech…

Co tam Herkules! Wszyscy olimpijscy bogowie w komplecie nie potrafiliby się opanować w takich okolicznościach. Wykorzystał resztkę sił na upewnienie się, że jest gotowa. Na szczęście wszystko poszło dobrze i choć Radford obawiał się, że umrze na zawał, zdawało się, że Clara nie cierpiała nadmiernie, nawet w najbardziej bolesnym momencie. Teraz jednak nawet oddychanie było nieznośnym wysiłkiem, a ona miała ochotę porozmawiać…

– Claro – westchnął.

– Panie Radford – odparła z uśmiechem.

Ach, ten uśmiech. Mógł obrócić wniwecz wszystkie rozważne decyzje mężczyzny, wraz z jego rozsądkiem.

– Jeśli pozwolisz mi się zdrzemnąć, choćby pół godziny, z radością z tobą porozmawiam albo przyłączę się do innych wybranych przez ciebie aktywności. Teraz jednak…

– Wiem – odrzekła kojąco. – Masz na pewno serdecznie dość.

– Ale nie ciebie. Przysięgam.

– Mam nadzieję. Gdybyś, po wszystkim, co przeszliśmy, już dziś miał mnie dość, musiałabym cię jednak zabić.

– I żaden sąd na świecie by cię nie potępił, nawet gdybyś nie wlepiała w niego tych błękitnych oczu – mruknął, z trudem utrzymując otwarte oczy. – Zabójstwo w obronie własnej, tak by powiedzieli i wypuściliby cię, żebyś poszła zabić kolejnego biedaka.

– Zapewne również by sobie zasłużył. Poza tym miałam jedynie na myśli, że po ostatnim miesiącu dziwiłam się, że dałeś radę ustać na nogach w czasie zaślubin. Wiem, że powinnam była trzymać ręce przy sobie i dać ci spać, ale… cóż, najwyraźniej jestem zbyt niecierpliwa. Teraz jednak, owszem, powinniśmy już zasnąć. Choć jedno mnie niepokoi… Powinniśmy spać przytuleni czy…

– Przytuleni, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Dziękuję, panie Radford. Nie wnoszę sprzeciwu. I w tym podążę za pańskim przykładem. Nigdy jeszcze nie spałam z mężczyzną.

– Zacznijmy zatem od tego – powiedział, podnosząc kołdrę. Ułożył się na boku i przyciągnął ją do siebie. – Na łyżeczki.

– Och, doskonale.

Przytulił ją mocniej, napierając na pośladki Clary nabrzmiałą męskością, która najwyraźniej nie dbała o to, czy jest zmęczony.

– Och! – westchnęła Clara.

– Nie zwracaj na niego uwagi – mruknął Radford. – Ma on swój własny rozumek i najwyraźniej przy jego udziale próbuje mnie zabić. Jestem młodym, zdrowym mężczyzną i mam piękną, pociągającą żonę, lecz mózg w mojej głowie jest znacznie większy, zatem zdaję sobie sprawę z tego, że…

– Po pierwsze – wtrąciła z uśmiechem.

– Po pierwsze, dobry mąż daje swej świeżo poślubionej żonie czas na odpoczynek, a po drugie, w stanie takiego wyczerpania nie sprawiłbym się zbyt dobrze.

Clara przez chwilę milczała.

– Nie mam o niczym pojęcia – westchnęła cichutko.

– Na szczęście wyszłaś za mnie. Nauczysz się wszystkiego.

– Wszystkiego – powtórzyła.

– Wszystkiego, co powinnaś wiedzieć – uzupełnił Radford. – I prawdopodobnie kilku rzeczy zupełnie ci niepotrzebnych.

Nie mógł się doczekać tych lekcji. Czekał na nie bardziej, niż się spodziewał.

Zamknął oczy, odetchnął jej ciepłym zapachem i natychmiast zasnął.

* * *

Gdy Radford zaczął się wynurzać z nieświadomości, pierwszym, co poczuł, było ciepłe ciało kobiety wtulone w jego ramiona. W ułamku chwili otrząsnął się ze snu, zanim umysł zdążył stwierdzić, czy jest jeszcze noc, czy nastał już ranek.

Ten nie dał jednak na siebie długo czekać. Musiał wiele przemyśleć. Podjąć wiele decyzji.

Ojciec zniósł z godnością zamieszanie związane z weselem, ale teraz potrzebował ciszy i spokoju, żeby dojść do siebie. Radford ożenił się jednak z arystokratką i spodziewał się, że niebawem jak sępy zlecą się do Richmond dalecy i jeszcze dalsi krewni, prosząc o rozmaite wstawiennictwa i polecenia. Z pewnością zwrócą się z tym także do seniora rodu. Kruk nie słynął z uprzejmości.

Radford chciał być blisko rodziców, a to wymagało podjęcia kolejnej decyzji: gdzie należy zamieszkać. Rodzina i przyjaciele Clary oferowali domy, którymi nowożeńcy mogliby się zaopiekować. Zarówno książę Clevedon, jak i inni mieli wolne posiadłości, których nawet nie odwiedzali.

Choć Radford wzdragał się przed poproszeniem Bernarda o możliwość korzystania z Malvern House, nie mógł sobie pozwolić na unoszenie się dumą. To rozwiązanie byłoby chyba najlepsze dla Clary – i najlepsze dla domu, przynajmniej nie stałby pusty.

Jednak mieszkanie w nim byłoby bardzo kosztowne.

Jego dochody były znacznie wyższe, niż obawiała się lady Warford – markiz był mniej zaskoczony, ponieważ regularnie płacił własnym prawnikom – mimo to nie byłoby go stać na utrzymanie pałacu w Londynie.

Potrzebował dobrego planu i to szybko. Ich pobyt u rodziców nie może się przedłużać. Muszą jednak być wystarczająco blisko, by odganiać hordy chciwych Radfordów. Musi być coś dostępnego pomiędzy Londynem i Richmond. Może Kensington albo inne przedmieścia stolicy?

A podróż poślubna? Nie może jej odkładać w nieskończoność. Wiedział doskonale, że Clara marzy o podróży na kontynent. Choć nigdy nie powiedziała mu tego wprost, dostrzegał jej wzrok pełen uwielbienia i tęsknoty, gdy ktoś opowiadał przy niej o Paryżu, Wenecji czy Florencji. Może nikt inny by tego nie zauważył, jednak dla Radforda było to równie wyraźne jak złote litery na szyldzie Maison Noirot, gdzie jego narzeczona

zwykła wydawać tysiące funtów. Jej ojciec zapewne uznawał te kwoty za drobne kieszonkowe.

Kiedy pogoda się poprawi, to może…

Clara wtuliła się mocniej w jego ramiona i Radford stracił wątek.

Pocałował ją w kark, pogłaskał smukłe ramię i sięgnął do jej piersi. Zamruczała przez sen. Przesunął dłonią wzdłuż wciętej talii, po sprężystym brzuchu i niżej. Westchnęła.

– Obudziliśmy się już? – zapytała.

– Możesz dalej spać – odparł z uśmiechem. – Poradzę sobie. Nie musisz się nawet ruszać. Nawet drgnąć.

Przesunął dłoń pomiędzy jej uda. Była tak gładka i miękka, jak jedwab, jak aksamit. Fala gorąca oblała ciało Radforda, dłoń mu zadrżała.

– Przypuszczam, że potrwa to nieco krócej niż za pierwszym razem – wyznał z pokorą.

– Och… – Clara wyprężyła się pod jego dotykiem, dławiąc jęk.

Podciągnął ją trochę wyżej, wsuwając nogi pomiędzy kolana Clary.

– Znacznie krócej…

Doskonale krągłe pośladki Clary spoczęły na udach Radforda. Pożądanie zamroczyło go na chwilę, jakby głowę spowiła mu burzowa chmura. Mimo to starał się nie śpieszyć. Całował jej kark i ramiona. Głaskał uda, sunąc dłonią w górę po brzuchu, do piersi i z powrotem w dół, rozkoszując się gładkością jej skóry. Clara przyjmowała jego pieszczoty, mrucząc i prężąc się, nie zdając sobie z tego sprawy, ponaglała go do działania.

Nie mógł się nacieszyć jej obecnością i czuł, że musi, musi ją mieć. Natychmiast. W burzowej chmurze błyskały wspomnienia pierwszego razu. Jej niewinność, jej namiętność, czułość i pożądanie. Zaczęła odkrywać siebie jako kobietę, on zaś odkrywał ją jako swoją kobietę. Swoją żonę.

Żonę.

Wsunął dłoń miedzy nogi Clary, by ją przygotować, i odkrył, że jest już gotowa, wilgotna i gorąca. Pogłaskał ją tam, wsłuchując się w urywany oddech. Jęknęła. Wszedł w nią gwałtownie. Była tak wąska, lecz przyjmowała go chętnie, jak woda. Otaczała go, wciągała, poruszała się razem z nim. Radfordowi zdawało się, że oszaleje z rozkoszy.

– Zdaje mi się, że zaczynasz łapać, o co w tym chodzi – szepnął jej do ucha.

– Mój kochany Kruku – mruknęła. – Zdaje mi się, że ty również.

Roześmiał się i zaczął się poruszać. Najpierw powoli, drocząc się z nią, by po chwili odnaleźć pierwotny rytm i pociągnąć ją za sobą, żeby – jak za każdym razem – dotrzymywali sobie kroku, uczyli się od siebie nawzajem, pełni miłości i troski.

Radford kochał ją bardziej, niż byłby w stanie wyrazić to słowami.

Jakże mógłby jej nie kochać? Byli dla siebie stworzeni, choć nie miało to rozsądnego uzasadnienia. Rozsądek jednak nie miał zastosowania w tej kwestii. Rozsądek dotyczył zgoła innych obszarów. Teraz byli jedynie mężem i młodą żoną. Tu miały znaczenie uczucia, pożądanie, czułość.

Intymny taniec nabierał tempa, świat skurczył się do skotłowanego łóżka i ich spoconych ciał. W miłosnym uniesieniu Radford wyobraził sobie, że galopują razem, uciekając przed burzą. Szybciej i jeszcze szybciej, aż burza dopadła ich wreszcie i porwała ze sobą. Chwycił ramiona Clary, gdy poczuł, że dygocze, wstrząsana orgazmem. Sam także zadrżał, jakby dosięgła go błyskawica.

Lecz to była tylko miłość. Prawdziwa miłość i nic poza tym się już nie liczyło. Burza ucichła, Radford utulił żonę w ramionach i oboje znowu zasnęli.

* * *

– Słyszę, jak myślisz – powiedziała Clara.

Nie była pewna, co ją obudziło. Może stłumione odgłosy krzątaniny w kuchni lub niezbyt ciche kroki pokojówki, która przyszła rozpalić ogień w kominku. Albo to, że w pewnym momencie ktoś rozsunął zasłony wokół łóżka. Cokolwiek ją obudziło, nie spała już i czuła, że nie jest w tym osamotniona.

– Nie możesz słyszeć, jak myślę – odparł. – To fizjologicznie niemożliwe.

– Być może. Ale wiem, że myślisz, gdyż od dłuższej chwili z roztargnieniem ugniatasz moją pierś.

– Twoje piersi są bardzo pociągające.

Odwróciła się w jego ramionach.

– Teraz są jeszcze bardziej pociągające, gdy mam je obie na widoku. – Pogłaskał najpierw jedną, potem drugą. Clara poczuła błyskawicznie rozpalające się pożądanie. – Są bardzo piękne.

– Świetnie się składa, bo się z nimi ożeniłeś. – Choć mówiła tak śmiało, czuła, że oblewa ją rumieniec. Jeszcze nie przyzwyczaiła się do bycia mężatką.

– Owszem. Ożeniłem się z nimi. I z nim – dodał, głaszcząc brzuch Clary. – I z nią… – szepnął, wsuwając dłoń pomiędzy jej uda. Wstrzymała oddech.

Radford zabrał dłoń.

– Lepiej nie będę niczego zaczynał – stwierdził. – Powinienem był dać ci dłużej odpocząć tej nocy. Dziewicze ciało…

– Nie jestem już dziewicą – wtrąciła. – Jestem mężatką.

– Świeżo poślubioną – sprostował. – Potrzebujesz czasu. W innym wypadku zaczniesz się irytować, a tego byśmy nie chcieli. Opiekowałem się tobą w chorobie, gdy byłaś słaba i bezradna. I mimo to przyłożyłaś mi solidnie. Jeśli będę na ciebie ciągle nastawał, możesz wpaść w szał. Albo będziesz miesiącami unikała mojego dotyku. Albo już na zawsze.

– Miałabym się zirytować? – zdziwiła się Clara. – Nikt mi o tym nie wspominał. – Nie żeby mama powiedziała cokolwiek sensownego…

– I nikt nie będzie musiał o tym wspominać, jeśli damy radę się nieco powściągnąć, choćby przez… dajmy na to, do popołudnia. Choć lepiej byłoby do wieczora. Co byś powiedziała na kolację przy kominku? Potem ukląkłbym u twoich stóp i zaczął lizać te małe paluszki, a potem kostki i coraz wyżej, i wyżej.

Dreszcz przebiegł Clarze po plecach.

– O tym rozmyślałeś?

– Musiałem zająć czymś myśli, więc planowałem. Naszą przyszłość.

– Początek tego planu jest interesujący – odparła z uśmiechem.

– Miałem też inne pomysły w tej materii, ale postanowiłem wprowadzić je w życie z zaskoczenia.

Zacisnął na chwilę wargi.

– Myślałem też o bardziej przyziemnych sprawach.

– Moim zdaniem o wiele za dużo myślisz. Przypuszczam, że nie możesz nic na to poradzić, skoro masz tak przerośnięty mózg. Zapewne utrzymanie go na wodzy kosztuje cię wiele energii. Założę się także, że nudzisz się znacznie szybciej niż inni.

Podniósł się na łokciach i spojrzał na nią z góry.

– Owszem. Będziesz musiała się bardzo starać, bym cały czas był podekscytowany.

– Nie przypominam sobie tej części przysięgi małżeńskiej. Pamiętam, że mam być posłuszna, to było na pierwszym miejscu, choć w duchu dodałam do tego punktu obszerny przypis.

– Jakoś mnie to nie zaskakuje. Potem był też punkt o służeniu mi.

– Ten także wymagał przypisu. Potem, że mam cię kochać, szanować, dbać o ciebie i trwać przy tobie i przy nikim innym. Pamiętam je wszystkie. Nie przypominam sobie jednakże, żeby pastor kazał mi podtrzymywać w tobie podekscytowanie.

– To było małym druczkiem.

– Nie słyszałam żadnych małych druczków.

– Ponieważ nie słuchałaś uważnie. Poza tym ze dwa razy nawet zamknęłaś oczy.

– Usiłowałam powstrzymać łzy.

– Całe szczęście. W tamtej chwili było już za późno na daremne żale.

– Nie bądź gburem – żachnęła się Clara. – To były łzy wzruszenia. Miałam też ochotę głośno się roześmiać, lecz prawdziwa dama nie ulega prostackim emocjom, zwłaszcza na własnym ślubie, zwłaszcza na oczach wszystkich gości, a przede wszystkim, gdy gości rodzinę królewską. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Mama musiała ich przyjąć dla zachowania pozorów.

– Oczywiście – zgodził się Radford. – Udając przed wszystkimi, że jest zachwycona twoim wyborem. Claro, musisz przyznać, że twoja matka ma odrobinę racji.

Usiadła raptownie. Podejrzewała, że wie, co go gryzie. Uporają się z tym wszystkim, wcześniej czy później. Lecz tego dnia świeciło słońce i był to pierwszy dzień ich małżeństwa, a jej wspaniały mąż w noc poślubną ekstatycznie się z nią kochał. Dwa razy.

Kłótnie musiały zaczekać.

Machnęła dłonią.

– Nie mam nastroju na rozmowy o mojej matce. Jestem głodna, a wszyscy wokół powiedzą ci, że jeśli się mnie nie karmi, mam straszne fochy. – Uniosła brew, jak zwykła to czynić jej babka. – Tuszę, że w pańskich planach mieści się również pyszne śniadanie dla żony, panie Radford?

* * *

Kłótnie zaczekały tylko do popołudnia, gdy udali się na przejażdżkę po Richmond Park. Przejażdżka, a także dyskusja miały zapełnić im dwie czy trzy ciągnące się godziny, po których mogliby w spokoju usiąść i zjeść obiad. Następnie będą musieli wymyślić coś, co zajmie ich do czasu umówionej i wyczekiwanej kolacji.

Jako że kłótnia z Radfordem wymagała mobilizacji wszystkich władz umysłowych Clary, była doskonałym remedium na uporczywe roztrząsanie, jakie wieczorne niespodzianki szykuje dla niej mąż.

Radford prowadził kabriolet, który Clara wniosła w posagu razem z panną Davis, koniem i stangretem.

Naturalnie powoził wybornie, mimo że pojazd został skonstruowany dla niej i przed ławeczką nie było wystarczająco dużo miejsca na jego długie nogi. W ogóle mu to nie przeszkadzało.

Prowadził doskonale, gdyż – rzecz oczywista – przyłożył się do opanowania tej sztuki jak do każdej innej: odczytywania wyrazów twarzy rozmówców, oznaczania precyzyjnych odległości i czasu potrzebnego do ich pokonania, rozpoznawania prób srebra i tak dalej, i tak dalej. Kruk Radford był chodzącą encyklopedią.

Clara była beznadziejnie zakochana w jego intelekcie. Oczywiście kochała też jego ciało i podziwiała je na długo przed tym, zanim zrozumiała, jak bardzo pasuje do jej ciała. Jednak ciało Radforda zaczynała dopiero poznawać, a jego umysł znała już od dawna. To właśnie intelekt Kruka przyciągnął jej uwagę, być może już pierwszego dnia, gdy spotkała go w Vauxhall. Stymulował ją, rzucał wyzwanie, wymagał pełnej koncentracji.

Clara świetnie się bawiła, kłócąc się z mężem. Wymieniając z nim myśli. Argumentując.

– Malvern House? – powtórzyła spokojnie, z trudem powstrzymując pisk grozy: *Czyżbyś stracił rozum?! Rozum, który tak kochałam?!* Zacisnęła dłonie i w duchu podziękowała matce za lata tresury.

– Stoi pusty – odrzekł Kruk.

– Nie dziwi mnie to – rzuciła lekkim tonem, usiłując przejrzeć jego zagmatwane myśli. – Ostatnio mieszkała tam jakaś niemiecka księżniczka, jedna z niewielu królewskich kuzynek, których dochodów nie trzeba

wspierać ze skarbu Korony. Bo trzeba mieć doprawdy książęce zasoby, żeby prowadzić ten dom. Niestety, wszyscy londyńscy książęta mają już swe posiadłości.

– Bernard nienawidzi Londynu. Nie dba też o nic i nikogo prócz siebie. A dom jest przestronny i wydaje się dość ładny.

– Tak przestronny, że będzie wymagał co najmniej trzydziestu stałych służących. Choć nie wiem, czy nie jestem zbyt optymistyczna.

– Znasz Malvern House?

– Oczywiście. Rezydencje książęce były jednym z absolutnie obowiązkowych przedmiotów na mojej liście. Rzecz jasna, obok nauki zarządzania takim domem.

– Moim zdaniem pasowałby do ciebie.

Spojrzała na niego z politowaniem. Nawet będąc tak bystrym, potrafił być czasami równie tępy jak inni mężczyźni.

– Mój najdroższy panie Radford. – Zaśmiała się. – O, słońce moich oczu.

Spojrzał na nią surowo, lecz w kącikach ust dostrzegła cień uśmiechu.

– Słucham cię, najdroższa moja.

– Czyżbyś zasnął na chwilę, gdy onego dnia wpadłam w histerię w gabinecie pana Westcotta? Czyżbyś zapomniał tę doskonałą imitację mej matki w jej najlepszych momentach? Czyżby natchniona tyrada o mym dotychczasowym życiu wpadła ci jednym uchem i wypadła drugim?

– Przeciwnie, pamiętam ją z najdrobniejszymi szczegółami.

– Tak sądziłam. Jestem więc zaskoczona. Skoro pamiętasz ten wybuch rozpaczy, cóż zwiodło twój na ogół porażająco logiczny umysł na manowce Malvern House?

– Nie możesz żyć ze mną w mieszkaniu – burknął.

– Nie znajduję przyczyny, dla której miałabym być do tego niezdolna. – W istocie Clara doskonale wiedziała, o co chodzi, chciała jednak poznać jego myśli i zrozumieć, co pchnęło go na tę ścieżkę.

– Przyczyny sama zdradziłaś, miotając się w histerii. Nie umiesz założyć sobie pończoch. Nie wiesz, jak rozwiązać czepek.

– Od tego mam pannę Davis.

Uśmiechnął się szerzej.

– Cóż cię tak bawi? – spytała.

– Mój… hm, skarbie jedyny – zawahał się Radford. – Dostałem cię w komplecie z modnym kabrioletem, koniem i lokajczykiem, który ma dbać

o ten oszałamiający zestaw.

Kabriolet był dla niej symbolem wolności. I siły.

– Jeśli wolałeś nie brać ich sobie na głowę, wystarczyło powiedzieć.

– Ależ nie mam nic przeciwko kabrioletowi! Przejażdżki zapewnią ci aktywność na świeżym powietrzu, wymagają umiejętności, które stymulują umysł do pracy. Ponadto potrzebujesz niezależności. Nigdy nie żądałbym od ciebie porzucenia tego pojazdu, a tym bardziej ukochanej, wiernej pokojówki. Lecz to tylko jeden z wielu aspektów luksusowego życia, do którego przywykłaś.

– Nie lubiłam mojego życia – odrzekła stanowczo. – Dusiłam się w nim.

– O, klejnocie w koronie mego szczęścia – zaczął Radford – tę część doskonale zrozumiałem. Nie zmienia to faktu, że żyłaś owinięta szczelnie gęstym kokonem najprzedniejszej bawełny, jak sama zauważyłaś. Nie wiesz nawet, jak to jest: nie mieć armii służących, czekających na twe rozkazy. Czy spodziewasz się, że panna Davis będzie prała twoją bieliznę? Czy chociażby nosiła ją do praczki? Kto przygotuje ci posiłki? Kto po nich posprząta?

– Na pewno nie panna Davis – uznała Clara. Pokojowa pani domu nie zniżała się do takich czynności. – Ale masz przecież gosposię, która przychodzi sprzątać.

– Raz w miesiącu. A co z gotowaniem?

– Dama absolutnie nie może gotować – wycedziła Clara. – Nie wolno nam nawet zbliżać się do kuchni. Wśród innych niedopuszczalnych przewinień to jest największe i służba obraża się na wiele dni. Jednakże możemy planować menu, zlecać nieprzewidziane posiłki gospodyni, posyłać liściki kucharzowi i tym podobne.

– Komuż zatem będziesz posyłać liściki? Kto będzie przyrządzał ci pyszne śniadania? – naciskał Radford. – Mój ojciec, wyłącznie dzięki uporowi matki, ma francuską kucharkę, która z biegiem lat zdołała go jakoś ucywilizować. Ale Westcott i ja chadzamy do najbliższej garkuchni albo posyłamy do niej po posiłki, w zależności od tego, jak bardzo jesteśmy zajęci lub jak strasznie nam się nie chce wychodzić na deszcz.

– To byłaby bardzo przyjemna odmiana – uznała Clara. – Wspólne jedzenie posiłków wydaje mi się takie intymne i przytulne. Bynajmniej nie mam ochoty mieć tuzina służących, wałęsających się cały czas dookoła,

podsłuchujących i zaglądających przez ramię. Wcale nie są tak niewidoczni, jak się niektórym wydaje.

– Powinnaś była wspomnieć wcześniej o zamiarze przebywania w intymnych, przytulnych warunkach z Westcottem – parsknął Kruk. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Wiesz doskonale, że istnieją większe mieszkania dla żonatych dżentelmenów.

– Mimo to będzie nam ciasno. Westcott na pewno nie zaprzestanie wpadać bez zapowiedzi, gdy zdesperowani klienci przegonią go z biura. Nie zapominaj też o pannie Davis i lokajczyku. Oni także będą potrzebowali pokoi. Myślę, że już teraz, jeśli Colson nas podsłuchuje…

– Colson nie posiada twoich nadprzyrodzonych zdolności – ucięła Clara. – Po pierwsze, mamy postawioną budkę. Po drugie, koń stuka kopytami i parska, koła skrzypią, a park też nie jest cichy.

– Ale dowie się wystarczająco prędko. A gdy tylko usłyszy o przeprowadzce do sutereny w Temple, natychmiast zacznie szukać innej pracy. Przyjmuję, że ty możesz chcieć obniżyć swój życiowy standard o kilkanaście stopni, ale zapewniam cię, że panicz Colson nie porzuci zbyt chętnie swego wygodnego gniazdka w Warford House.

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Masz absolutną rację, o, słońce moich oczu. Oboje wiemy, że twoje mieszkanie w Temple nie przystoi zepsutemu dziecku, jakim jest twoja żona. Z kolei Malvern House jest poza naszym zasięgiem. Dlaczego miotamy się pomiędzy tymi skrajnościami?

– Byłem przekonany, że pomysł zamieszkania w Malvern House przypadnie ci do gustu. Byłoby tak, jakbyś jednak wyszła za mojego kuzyna, nie wymieniając się z nim obrączkami. Miałabyś pod opieką dom odpowiadający twoim umiejętnościom zarządzania, talentom organizacyjnym i towarzyskim.

– Wszystkie te zasoby wykorzystam na wychowanie ciebie na znośnego człowieka – wyznała Clara. – Cieszę się, że twój ród nie opiera się zmianom, choć, jak wspomniałeś, jest to powolny proces. Założę się, że będzie on wymagał nie tylko cierpliwości, ale i przebiegłości.

– Będzie wymagał kobiety o niebywale silnej woli – przyznał Radford. – Wierzę, że takową posiadasz.

– Oczywiście. Inaczej nie wyszłabym za ciebie. Mój drogi uczony przyjacielu, czy nie moglibyśmy rozsądnie i logicznie porozmawiać o naszej przyszłości?

– Gdy jesteś przy mnie, moja logika wpada w obłęd – westchnął. – Zwłaszcza gdy co chwilę wyobrażam sobie, co z tobą zrobię w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Wijące się pasma żaru oplotły ciało Clary jak egzotyczne pnącza. By się uspokoić, rozejrzała się po wspaniałym wypielęgnowanym parku, wciąż zielonym, nawet o tej porze roku. Choć większość drzew straciła już liście, niewielkie iglaste krzaki rozświetlały krajobraz.

– Wiem, o co ci chodzi – stwierdziła po chwili. – To zagrywka, która ma mnie wytrącić z równowagi.

– Działa?

– Aż za dobrze.

– Zaszyjmy się zatem w tamtej kępie krzaków i oddajmy ukradkiem rozkoszy. Choć… hmmm…

– Choć? – dopytała nieco rozczarowana.

– Możesz przez chwilę wpatrywać się we mnie z uwielbieniem albo, jeśli wolisz, we własne piękne rękawiczki. Nie rozglądaj się jednak po okolicy. Wydaje mi się, że w tych krzakach ktoś już oddaje się jakimś ukradkowym czynnościom.

Spojrzała w górę i przez chwilę z miłością wpatrywała się w czarny pukiel, który wysunął się spod ronda kapelusza.

– Inna para? – zapytała z drżeniem.

– Jedna osoba – powiedział. – W dodatku bardzo nie na swoim miejscu.

* * *

Radford dostrzegł ruch kątem oka i bezwiednie spojrzał w jego stronę. W pierwszej chwili zdawało mu się, że to jelonek, pies albo wiewiórka, teraz widział już, że w krzakach ukrył się człowiek o bardzo drobnej posturze. Prawdopodobnie chłopiec.

Gdy powóz toczył się leniwie ścieżką, chłopiec skrył się za pniem drzewa. Był niezwykle szybki. Gdyby Radford nie był tak spostrzegawczy, raczej by go nie zauważył.

– Nie na swoim miejscu? – Clara wpatrywała się w niego z uniesieniem tak groteskowym, że niemal wybuchnął śmiechem

Och, światło moich oczu! Doprawdy, była zabawna.

– Jest szybki i zwinny. I ewidentnie nas śledzi. Może to po prostu chłopiec, który lubi podglądać pary albo bawi się w jakąś tajemniczą grę. A może knuje coś niedobrego. Widziałem go tylko przez chwilę, jednak…

Radford się skupił. Było coś charakterystycznego w sposobie poruszania się młodzieńca.

– W pierwszej chwili zdawało mi się, że już go widziałem, jednak widuję na co dzień bardzo wielu chłopców. Ale jego ubranie… Nie wyglądał jak dzieciak z okolicy. Poza tym dzieci z wyższych sfer nie mogą samotnie wałęsać się po parkach. Miałby przy sobie guwernantkę, nauczyciela, kogoś z rodziny, a już w najgorszym wypadku grupkę przyjaciół. Zresztą nie mam pewności, że to był chłopiec. To mógł być bardzo niski, wiotki mężczyzna.

– Za chwilę skręcimy w aleję wiodącą w głąb parku – zauważyła Clara. – Jeśli pójdzie za nami, będzie musiał przeciąć tę polankę i wtedy będziesz miał lepszą okazję, by mu się przyjrzeć. Widzę spore odległości pomiędzy drzewami, będziesz więc mógł go obserwować kątem oka.

Radford już go obserwował, choć musiał przyznać, że uroda żony znacznie rozpraszała jego uwagę.

Ciemnozielona peleryna, jak go poinformowała, była uszyta w stylu *merveilleux*. Narzutkę sukni, jakże modny ostatnio dodatek, obszyto aksamitem. Gigantyczne rękawy przeświturywały przez szerokie wycięcia, przez które można było wyjąć dłonie, nie burząc eleganckiego wyglądu stroju.

Wyjątkowo niewielka kępka róż i akacji kołysała się nad jej różowym kapeluszem. Ten bukiecik, plisowany szal i parę wstążek stanowiły całą ozdobę. Strój wydał mu się zarazem skromny i wytworny w porównaniu z jej zwykłymi kreacjami przypominającymi weselny tort, jednocześnie wyglądała zwiewnie i kobieco. Jak zawsze.

Nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł z niej to wszystko zdjąć, choć prawdopodobnie będzie najpierw musiał ogłuszyć pannę Davis, by nie czuła się zbyt urażona tym wtargnięciem w swoje kompetencje.

Ale to wszystko później.

Chwilowo musiał się zająć mniej wytwornym kompletem odzieży. Strój i nerwowe ruchy chłopaka były jak sygnał ostrzegawczy, krzyczący

z daleka: „Londyn!”.

Dlaczego? Radford nie potrafił tego wyjaśnić. Czasem nabierał jakiegoś przekonania, zanim był w stanie stwierdzić, skąd się wzięło. Nie umiał tego racjonalnie wytłumaczyć. Nie przypisywał sobie żadnych szczególnych zdolności. Po prostu widział coś i od razu wiedział.

Skorzystał z rady Clary i skręcił w aleję wiodącą do Old Lodge.

– Znasz ten park – zauważył.

– Babcia Warford powoziła własnym kabrioletem i często zabierała mnie ze sobą. Najbardziej lubiła jeździć do Richmond Park i do Hampton Court. W obu tych miejscach miała bliskie przyjaciółki, które uwielbiałam. Były tak śmiałe, tak szczere i… – Wysunęła dłoń z rozcięcia w pelerynie i wykonała niecierpliwy gest, którym chciała wyrazić, że brakuje jej słów. – Nie wiem, jak to opisać. One nie bały się być bystre. Były dumne z tego, że ich umysły i słowa są ostre jak brzytwy. Głośno wypowiadały własne zdanie i nie wahały się go bronić. Może jest to przywilej wieku, lecz wiem także, że pokolenie babci Warford nie było tak sztywne i skostniałe jak nasze.

– W tamtych czasach damy były prostolinijne i szczere, jak twierdzi mój ojciec. Nie należał może do pokolenia twojej babci, ale wydaje mi się, że jego opis do niej pasuje.

– Tak, twój ojciec przypomina mi babcię Warford. Czy nie moglibyśmy zamieszkać gdzieś w pobliżu, niedaleko twoich rodziców? Mógłbyś zresztą zachować mieszkanie w mieście na wypadek, gdybyś musiał zostać dłużej w pracy.

Ojciec uwielbiał Clarę. Matka też, choć nie była zachwycona wizją tego małżeństwa. A jednak…

– Jeżdżenie z Londynu do Richmond nie jest wcale uciążliwe – zaryzykował Radford.

– Ależ to nonsens! Dlaczego nie mielibyśmy mieszkać bliżej? Twój ojciec jest taki osłabiony, być może nie zostało mu już wiele czasu.

Kruk spojrzał na nią z zachwytem. Trudno mu było uwierzyć, że pod tą frywolną sukienką mogły się kryć takie pokłady silnej woli, współczucia, łagodności, nie wspominając o bystrym umyśle. Odwrócił wzrok. Musiał mieć oko na śledzącego ich chłopaka.

– Ojciec nie doceniłby mojej nadmiernej troski – stwierdził. – Uraziłbym jego dumę, a także jego logiczny i praktyczny zmysł.

– Znajdźmy zatem logiczny i praktyczny złoty środek. Może coś bliżej Richmond, ale nie całkiem poza Londynem.

– Najdłużej zawsze się ciągnie sam wyjazd z Londynu – przyznał Radford. – Kiedy minie się już Hyde Park, jest zdecydowanie szybciej. Jeśli nie wybierasz się w podróż o tej samej porze co karetki pocztowe, za parkiem drogi są prawie puste i jedzie się błyskawicznie. Czasami zdaje mi się, że najdłużej trwa przedostanie się przez Fleet Street. Wszyscy ci przeklęci prawnicy włażący pod koła i wąskie uliczki…

– Obejrzyjmy zatem wille w okolicy Marchmont House – podsunęła.

Wielka jakobińska posiadłość księcia Marchmonta stała na zachodnim krańcu Kensington.

– Skoro jesteś pewna, że nie chcesz się bawić w księżnę Malvern i trzymać hordy służących na swe wezwanie… O, widzę go. To jednak chłopiec, nie niski jegomość. – Nie miał pewności co do stroju. Musiałby się lepiej przyjrzeć, lecz z daleka ubrania zdawały się całkiem dobrej jakości. Kradzione? – Jest w nim coś znajomego, ale mogłem go widzieć wszędzie.

Może to jeden z uliczników wylewających się wartkim strumieniem z nory Freame’a? Albo jakiś gazeciarz z centrum? Nawet z bliska Radford mógł go nie rozpoznać. Chłopcy ciągle się zmieniali. Starsi znikali, na ich miejsce pojawiali się młodsi. Mieszali się, przystępowali do innych gangów i grup, zmieniali imiona. Umierali. Niektórzy nawet znajdowali sobie uczciwą pracę.

Wzruszył ramionami.

– Może być nieszkodliwy. Może spodobała mu się twoja peleryna i chciał się lepiej przyjrzeć, zanim opowie o niej kolegom.

– Mógł też kryć się w krzakach od jakiegoś czasu – stwierdziła Clara. – Wiem, że niektóre gazety wynajmują dzieci, by śledziły arystokrację i donosiły o wszelkich skandalicznych szczegółach. Od miesięcy wałęsają się za mną takie dzieciaki.

To także było rozsądne wyjaśnienie, jednak wrażenie niepokoju nie zniknęło.

– Cholera – syknął Radford. – Lepiej w takim razie nie gzić się po krzakach.

– Przecież powiedziałeś, że musimy odpocząć do wieczora.

– Zapomniałem. Ta przejażdżka okazała się bardziej ekscytująca, niż podejrzewałem. Zagrożenie uchodzi za jeden z afrodyzjaków.

– Nie wiedziałam.

– Powinniśmy wracać do domu. Mogę potrzebować zimnej kąpieli.

– A nasz prześladowca?

– Może się utopić w stawie.

Rozdział 16

Po jednej stronie stał tajemniczy las, gęsty
i wspaniały, najpiękniejszy, jaki może stworzyć
Natura, po drugiej zaś Tamiza, wsparta wysokimi
brzegami, otoczona czarującymi trawnikami pnącymi się
w górę jak w amfiteatrze. Gdzieniegdzie białe
i wzruszająco proste domy wznosiły się na tle ciemnej
kurtyny drzew. Domy owe, niczym gwiazdy, zbierały
się w konstelacje rozświetlające tę piękną dolinę.
Ach, rozkoszne Richmond!
Kitson Cromwell Thomas, *Wycieczki po Surrey* (1821)

Radford nie pojechał do domu. Nie mógł.

Natknęli się na tajemnicę. Odjechanie bez rozwiązania zagadki czy choćby bez zebrania wskazówek było nie do pomyślenia.

Nawet gdy skręcił w boczną alejkę i jechał dookoła parku, chłopiec śledził ich bez ustanku i skradał się wśród drzew. Inny dżentelmen być może zatrzymałby się i dogonił chłopaka albo znalazł inny sposób, by zagnać go w pułapkę. Radford był jedyny w swoim rodzaju.

– Zgubiłeś się, mój jedyny? – zapytała Clara.

Zgromił ją spojrzeniem.

– No tak – westchnęła. – Nie umiałbyś się zgubić, nawet gdybyś musiał.

– Mógłbym spróbować tego dokonać w nieznanym miejscu i w ciemnościach. Tym razem jednak, choć słońce zaczyna już zachodzić, wciąż jest jasno i znam ten park zupełnie dobrze. Gdybym zaś nie znał, zapytałbym cię o drogę. Chodzi o chłopca.

– Spodziewałam się, że nie zostawisz go w spokoju.

– Nie. Czasem myślę, że to przekleństwo. Oto ja: świeżo poślubiony, gotowy zedrzeć suknię z pięknej żony, lecz nie… Muszę się bawić w kotka i myszkę z jakimś londyńskim szczeniakiem. Albo szczeniakiem skądinąd.

Jest jednak tak szybki i zwinny, że wersja londyńska najbardziej mnie przekonuje.

– Jestem pewna, że masz bardzo uzasadniony powód, dla którego nie zatrzymujesz powozu i nie rzucasz się za nim w pogoń.

– Dwa – odrzekł.

– Po pierwsze… – podsunęła.

Spojrzał na nią. Podniosła ku niemu twarz najzupełniej poważną, lecz w jej oczach migotał śmiech.

– Jeśli rzeczywiście jest takim typem, jak podejrzewam, prawdopodobnie biega szybciej ode mnie i nie uda mi się go dogonić. Tacy chłopcy uczą się uciekać od najmłodszych lat. Jest też niższy ode mnie. Młodość, wzrost i grawitacja działają na jego korzyść.

– Po drugie…

– Dziękuje, mój skarbie, za wydatną pomoc w liczeniu do dwóch.

Roześmiała się. Ach, jakże kochał jej śmiech. Tak lekki, swobodny i niewymuszony. Jak promień słońca przebijający się znienacka przez zasłonę chmur. A do tego wyszczerbiony ząb, jej bitewne trofeum.

– Po drugie, jedynym zyskiem z gonitwy za nim będzie prawdopodobnie zadyszka. Mógłbym go bić, wywiesić za okno, grozić mu więzieniem, przekupywać, a nawet oddać w ręce Świętej Inkwizycji. W odpowiedzi otrzymałbym jedynie obelgi, milczenie lub londyńskie żarciki.

– Tak właśnie odpowiadali mi chłopcy, gdy pytałam ich o Toby’ego – przyznała Clara i zaczęła ich naśladować z tak zadziwiającą precyzją, że Radford zdał sobie sprawę, jak mało wie o swojej żonie.

– Zamierzam zatem sprawdzić jego wytrzymałość i upór. Istnieje szansa, że będę mógł mu się jeszcze raz przyjrzeć, a może to zaprzęgnie moją pamięć do pracy.

* * *

Radford wiódł szpiega powoli coraz dalej i dalej. Zmrok już zapadał, kiedy wjeżdżali do Richmond.

– Wstąpmy do Gospody pod Niebieską Gęsią – powiedział Kruk. – Zamówimy lekki obiad i zobaczymy, czy szpieg będzie na nas czekał, kiedy wyjdziemy.

– Jakże pasjonujący okazał się ten dzień. – Clara się uśmiechnęła. – Pod wieloma względami.

– Planowałem zabrać cię na obiad gdzieś dalej, gdzie mieszkańcy nie będą rozpoznawali z daleka Kruka Radforda i jego pięknej, szlachetnie urodzonej żony. Wiem jednak, że jesteś oswojona z tym, że ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, gapią się na ciebie. Możemy zresztą zjeść w alkowie. Tam będą wchodzić jedynie kelnerzy, wybałuszając na nas oczy, podsłuchując i zapamiętując każdy szczegół twej sukni, by móc potem olśnić swe żony i siostry.

Clara pomyślała, że to wspaniały sposób na spędzenie godzin dzielących ich od kolacji i kolejnych kroków wtajemniczenia w małżeńską bliskość, które jej obiecał. Obiad w alkowie, zastawianie pułapki na szpiega, dedukowanie przesłanek – nie mogła powiedzieć, że tego się spodziewała po pierwszym dniu małżeństwa. Oczywiście mogą jeszcze napotkać rozmaite trudności, a nawet kryzysy, sądziła jednak, że nuda czy rutyna nigdy nie zagoszczą w ich progach.

* * *

Wiewiór nie miał wcześniej do czynienia z Krukiem Radfordem, lecz nienawidził go równie mocno jak inni. Szczypior uratował go, gdy pobito go niemal na śmierć, wciągnął do gangu i dał mu pierwszy ciepły posiłek w życiu.

Teraz Szczypior nie żyje, a wiadomo, że obławą dowodził Kruk.

Wiewiór nienawidził także tego miejsca. Wszędzie drzewa, wzgórza i ogromne parki! Jednak musiał tu tkwić. Zdławiacz ukradł dla niego ubranie i zorganizował pieniądze na dorożkę. Jacob potrzebował szpiega, a tylko Wiewióra Radford jeszcze nie znał.

„Trzymaj się blisko nich i dowiedz się wszystkiego – powiedział mu Jacob. – Kiedy poznamy jego ścieżki, będziemy wiedzieli, jak go zdjąć tak, żeby nikt się nie dowiedział. Zadźgamy go i po cichu wrzucimy do rzeki”. I śmiał się. Długo i głośno.

Owszem, Jacob lubił się śmiać, ale to nie on ganiał za powozem po parku, od drzewa do drzewa, w kółko i w kółko. Wiewiór nigdy wcześniej nie opuścił Londynu. Miał wrażenie, jakby trafił na inny kontynent. Wszystko źle pachniało, nawet w wiosce.

A teraz Kruk i jego Tyczka siedzą sobie w gospodzie i mogą tam siedzieć godzinami, jedząc i pijąc w ciepełku, a on musi szczękać zębami i umierać z głodu, uważając, żeby nikt go nie zauważył.

Wieczór był zimny i wietrzny, jednak Wiewiór nie mógł wejść do gospody. Musiał się trzymać z dala od świateł. Stał więc przy stajniach. Chłopcy stajenni byli zbyt zajęci, by zwracać na niego uwagę. Jakaś zgrana grupka szeptała w kącie. Z daleka rozpoznał, kim są. Kieszonkowcy i kilka dziewcząt wiadomej profesji. Wiewiór nie wiedział, komu może ufać, więc trzymał się od wszystkich z daleka. Nauczył się tego dawno temu. Chował się w cieniu, bo wiedział, że to najpewniejszy sposób uniknięcia przykrych konsekwencji. Jak podbite oczy albo połamane kości.

Nagle z gospody wyszedł Kruk i Wiewiór musiał szybko schować się za jakimś powozem. Prawnik rozmawiał chwilę z chłopcem stajennym. Wiewiór nawet nie drgnął, starał się nie oddychać. Było zupełnie ciemno, ale powiedzieli mu, że Kruk ma niezwykle czuły słuch. I bystry umysł.

Ale Jacob i Zdławiacz załatwią go już niedługo.

* * *

Czająca się w mroku przy stajni owinięta szalem kobieta zbliżyła się do kabrioletu i szepnęła coś do Radforda w języku nieprzypominającym już angielskiego. Clara nie zrozumiała ani słowa. Radford wsunął monetę w jej dłoń i wskoczył do powozu.

– Muszę przyznać, że nasz szpieg jest doskonale wytresowany – powiedział, wyjeżdżając z dziedzińca gospody. – Ma wspaniały refleks i umie się ukrywać. Ale nie przed nią.

– Nie wiedziałam, że masz informatorów także w Richmond.

– Millie uprawiała niegdyś swój zawód w Londynie – wyjaśnił Radford. – Wiele razy mi pomogła. Kiedy po raz piąty trafiła na komisariat, zdołałem ją uratować przed wywiezieniem do kolonii karnej. Sędzia postawił jasny warunek, że nigdy więcej nie chce jej widzieć w Old Bailey. Nikt nie oczekiwałby od niej, że zmieni swoje życie na starych śmieciach, więc pomogłem jej przenieść się tutaj.

– I zmieniła życie?

– Wyszła za jednego ze stajennych. Zajmuje się praniem i szyciem. Pomaga w gospodzie. To ciężkie życie, ale i tak łatwiejsze niż to, do

którego przywykła za młodu. Bezpieczniejsze i dające jej lepsze warunki. Ma regularne posiłki, dach nad głową i męża, który ją dobrze traktuje. Ona zaś jest mu pomocą w pracy. Wykorzystuje także instynkt, który wypracowała w dzieciństwie, by przeżyć na ulicach. Z daleka rozpoznaje podejrzanych osobników. Chciała właśnie zgłosić chłopaka na policję, ale zobaczyła, że przyjechałem i rozmawiałem z jej mężem.

– Nie zrozumiałam ani słowa z tego, co mówiła – wyznała Clara. – Brzmiało to jak propozycja i dziwiłam się, że jest tak bezczelna. Przecież siedziałam tuż obok w powozie.

– Użyła tej zawodowej intonacji, by nie wzbudzić podejrzeń w naszym szpiegu. – Radford się roześmiał. – To nie był romantyczny wieczór, przyznaję, ale przynajmniej mogliśmy się rozerwać zabawą w kotka i myszkę.

– Mnie wydał się bardzo romantyczny.

– Z tą połową Richmond, która zleciała się do gospody, żeby obejrzeć żonę Radforda? Ze służącymi, wdzierającymi się do alkowy pod byle pozorem, choć sam właściciel uparł się, by nam usługiwać?

– Był romantyczny, bo bawiliśmy się w kotka i myszkę – sprostowała Clara. – I ponieważ uznałeś, że mnie także spodoba się ta gra.

I dlatego, że w czasie obiadu opowiedział jej, co o tym sądzi i jakie wysnuł wnioski na temat chłopca. Dlatego, że słuchał jej zdania i przemyśleń, bez wytykania jej ciasnego umysłu więcej niż dwa razy. I dlatego, że zabawiał ją rozmową pełną błyskotliwego humoru.

– Wiedziałem, że ukrywanie przed tobą czegokolwiek nie ma sensu – parsknął Radford.

– Co zatem powiedziała?

– Zwróciła na niego uwagę, bo zachowywał się podejrzanie. Konsekwentnie trzymał się cienia, jednak w pewnym momencie latarnia przejeżdżającego przez podwórze powozu oświetliła jego twarz. Jest niski i szczupły, jak większość uliczników. Powiedziała też, że ma niewielką wadę zgryzu.

– Niewielką wadę zgryzu? Millie tak się wyraziła?

– Przetłumaczyłem dla ciebie jej słowa. Pomagając sobie gestami wyjaśniła, że ma twarz chudą i pociągłą jak szczur, a zęby – duże i wystające. W dodatku policzki ma pucołowate, jakby trzymał w nich orzechy na później. Choć jest znacznie lepiej ubrany niż chłopcy

z londyńskich rynsztoków, oceniła, że to na pewno jeden z nich. Kiedy zobaczyła, że na mój widok wskoczył w panice za wóz, uznała, że to na nas czatuje.

– Kimkolwiek jest, tkwi tu na zimnie od wielu godzin. A z tego wniosek, że nie robi tego dla zabawy – stwierdziła Clara. – Ktoś mu za to zapłacił albo go zmusił.

– Wolałbym sam go zobaczyć – westchnął Radford. – Ten opis nie przypomina mi żadnego z chłopców, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wiem, że są ich tysiące, a jednak ten wydaje mi się dziwnie znajomy. Z oddali.

– Może widziałeś go już kiedyś, ale nie miałeś powodu, by zwrócić na niego uwagę.

Radford wzruszył ramionami.

– Być może. Jeśli będzie biegł za nami aż do domu, schwytam go. Będzie już zmarznięty, zmęczony i głodny. To może go spowolnić.

Jednak parę minut po opuszczeniu gospody Radford stwierdził:

– Nie śledzi nas.

Clara była zbyt mądra, by zapytać, czy jest pewny. W zamian odparła:

– Nie mogłam się doczekać rozmowy z nim. Na pewno dokładnie byś go przebadał. Chciałam pomóc.

– Nie rozpaczaj, królowo mego życia. Prawdopodobnie zjawi się znów jutro rano. Dziś za to przebadam dokładnie ciebie.

* * *

Wieczorem

Kazała mu czekać.

Zażyczyła sobie długiej, gorącej kąpieli i zaproponowała, żeby w tym czasie poczytał.

Najwyraźniej jego żona nie potrzebowała porad w zakresie rozgrzewania małżeńskiej atmosfery. Niezdyscyplinowana istota żyjąca w mrocznych zakamarkach jego umysłu drżała z niecierpliwości.

Tłamsząc jej szalone pomysły, również wziął gorącą kąpiel. Nie miał wszak żadnych powodów, by się śpieszyć. Mieli przed sobą całą noc.

Miał czas na zaplanowanie jej w najdrobniejszych szczegółach. Może to oderwie go od myślenia o przeklętym chłopaku! Do rana i tak nic się nie poradzi w jego sprawie i roztrząsanie tego jest zwykłym marnowaniem energii. Wepchnął pucołowate znalezisko Millie do odległej szuflady umysłu, zatrzasnął ją i zamknął na klucz. Jego żona zasługuje na każdą jego myśl.

Po kąpieli założył koszulę nocną i nic poza tym. Clara może się owijać niezliczonymi elementami garderoby, jeśli chce. Tym zabawniej będzie ją rozbierać.

Poszedł do bawialni, rozmyślając o zdejmowaniu z Clary kolejnych warstw i o tym, jak to urozmaicić.

Wreszcie służba wniosła kolację. Był to prosty zestaw lekkich dań, o które prosiła Clara, jak zimne mięsa, paszteciki, owoce i sery. Lokaj z kamienną twarzą ustawił wszystko na małym stoliku przy ogniu, poprzesuwał jeszcze talerzyki to tu, to tam i bezszelestnie zniknął.

Radford wstał i odstawił krzesło, a na jego miejsce przyciągnął fotel. Obok rzucił kilka poduszek. Zdecydowanie wolał to zrobić sam. Zresztą, wszystko wolał robić sam.

To będzie się musiało trochę zmienić.

W małżeńskim życiu przyda mu się więcej służących. Nie miał nic przeciwko takim wydatkom. Po pierwsze, to dla dobra Clary. Po drugie, będzie w stanie ich utrzymać. Może nie pół armii, jak Bernard, ale z tuzin na pewno. Nie lubił jednak mieszkać z obcymi.

Z drugiej strony, skoro ojciec się jakoś przyzwyczaił, to i on zdoła. Dla Clary może się nawet trochę ucywilizować. Trochę.

Clara weszła znienacka do bawialni i Radford wstrzymał oddech.

Miała na sobie spiętrzoną falę kremowej koronki, nawet nieprzypominającej podomki. Domyślał się, że koszula nocna kryjąca się pod spodem była jeszcze bardziej w guście francuskich stylistek. Choć podomka okrywała całą Clarę, wstawki z prześwitujących koronek, przejrzysty jedwab i dopasowany krój tylko uwydatniały zmysłowe kształty jego żony.

– Naprawdę uważasz, że to uczciwe? – zapytał, wskazując na jej strój.

– Nie podoba ci się?

– Sam nie wiem. Obróć się, proszę. Powoli.

Clara obróciła się kusząco rozkołysanym ruchem. Radford stłumił jęk.

Gdy znów stanęła przodem, zamrugała na wpół sennie i spytała:

– I co o tym sądzisz?

– Śliczne. Zdejmijmy to.

* * *

Clara z trudem zapakowała się w jedwabną kombinację. Czy też raczej została w nią zapakowana przez spoconą pannę Davis, całą wieczność szarpiącą za haftki, zatrzaski i wstążki i mrucząca pod nosem obelżywe słowa pod adresem pań Noirot.

Radford błyskawicznie ją rozebrał, choć wydawało się, że wcale się nie śpieszy. Jednak jego sprytne dłonie odnajdowały i rozpinały wszystko w mgnieniu oka. Po chwili była już całkiem naga. Radford padł przed nią na kolana. Poczuła na ciele jego dłonie, jego wargi i język, drażniące i rozpalające jak lawa. Kolana zaczęły jej drżeć.

– Może milady raczyłaby usiąść? – zapytał Kruk spomiędzy jej ud.

Wolałaby się położyć, lecz fotel stał bliżej. Opadła na niego z jękiem.

Radford wrócił do pieszczot i wkrótce Clara nie była w stanie usiedzieć. Zaczęła się zsuwać z fotela na poduszki, które jej mąż wyczarował nie wiadomo skąd.

– Nie wiem, czy uda mi się to przeżyć – szepnęła, tłumiąc jęk.

– Obiecałem czcić cię swoim ciałem – mruknął. – Przy wielu świadkach.

Jego dłonie. Jego język. Clara nie chciała już czuć nic innego.

Drżała na całym ciele, dygotała i jęczała. Radford całował ją i pieścił, nie przestając nawet na chwilę. Lizał i ssał, aż chciała krzyczeć z rozkoszy, zapominając o dobrym wychowaniu, o jego rodzicach i służbie i pogrążając się w szaleństwie na dobre.

A na koniec, kiedy zdawało jej się, że umrze z pragnienia, Radford oddał jej siebie. Jego ciało połączyło się z jej ciałem, zapraszając ją do odwiecznego tańca, który już znała. Który teraz zdał jej się naturalny i konieczny. Była to jedność ciał i dusz, na którą od zawsze czekała. „Będę cię czcił swoim ciałem” – powiedział wczoraj Radford. Zaledwie wczoraj.

I zostanie z nią już na zawsze. Clara straciła kontakt z myślami, dotarła do szczytu rozkoszy i opadła z niego w aksamitną ciemność, unoszona w ramionach męża w wieczność i w sen.

* * *

Rano pokojówka przyniosła im kawę i zabrała ze stolika nietkniętą kolację. Radford planował zejść na śniadanie, jak zwykle, jednak po chwili lokaj wmaszerował do sypialni z talerzami i tacą. Ustawił wszystko na stoliku, rozniecił ogień i poszedł.

Clara wyszła z garderoby w nieco skromniejszej koszuli niż ta, którą założyła wieczorem.

– Och, jak to miło ze strony twojej matki! – wykrzyknęła i się spłoniła. – Zapewne chciała, żebyśmy mieli trochę prywatności.

– To niezbyt rozsądne – stwierdził Radford. – Im więcej mamy prywatności, tym bardziej jest prawdopodobne, że będę cię deprawował na wszelkie sposoby.

Clara uśmiechnęła się i rozwiązała wstążkę przy dekolcie koszuli.

Zapomnieli o śniadaniu.

* * *

– Jeśli się nie opamiętamy, nie zdążę się dziś w ogóle ubrać i nie wyjdziemy na dwór, by pobawić się w pogoń za naszym cieniem – mruknęła Clara w południe. – Dla niego nie będzie to wcale zabawne, jak sądzę.

Ukłucie, które Radford poczuł w sercu, musiało odmalować się na jego twarzy, gdyż Clara roześmiała się wesoło.

– Mój drogi, mamy jeszcze mnóstwo czasu na miłość. Nie możemy pozwolić, by nasz cień się poddał i odszedł, zanim nie odkryjemy jego tajemnicy, nieprawdaż?

Zjedli więc późne śniadanie i Clara zaangażowała się w trwający wieczność proces nakładania wyjściowej sukni. Z kolei Radford, ubrawszy się w kilka minut bez pomocy lokaja – przyjemność, z której niebawem będzie musiał zrezygnować – zaczął rozmyślać o ich przyszłości oraz kosztach utrzymania domu na stosownym poziomie. I dzieci. Logika nakazywała się ich spodziewać, a więc także należało włączyć je do obliczeń.

Życie Radforda zrobiło się nagle znacznie bardziej skomplikowane.

* * *

Zanim zeszli na dół, było już wczesne popołudnie.

U stóp schodów czekał na nich lokaj z informacją, że pan Westcott czeka na nich w bibliotece.

– Kto go zapraszał, do diaska?! – żachnął się Radford, czując ucisk w sercu. Wiedział, że Westcott nie wróciłby tak prędko do Richmond, gdyby nie wydarzyłoby się coś poważnego. Kruk nie był jeszcze gotowy na pracę. Ale musiał być. Miał teraz żonę na utrzymaniu. I to przyzwyczajoną do życia na bardzo wysokiej stopie.

– Niech go licho porwie – mruknął, kierując się do biblioteki. – Czyż nie powiedziałem ci, że będzie nas wiecznie nachodził z jakimiś sprawami albo dokumentami?

– Jestem pewna, że nie zawracałby ci głowy, gdyby to nie było coś ważnego – powiedziała Clara.

– W tym problem – zgodził się Radford. – To będzie coś ważnego i będę musiał się tym zająć. No cóż. Sama chciałaś wyjść za prawnika. Najwyraźniej musimy odłożyć na później nasze polowanie.

* * *

Ojciec, jak co dzień, na wpół leżał na sofie przy kominku. Matka siedziała przy nim na swoim zwykłym miejscu. Westcott, przycupnięty na krześle po drugiej stronie kominka, wstał na widok Clary.

Wszyscy wyglądali na wściekłych.

To było dziwne i bardzo nietypowe dla tego domu.

Ojciec podniósł ze stolika ciężki pergamin ze znajomą pieczęcią.

– Westcott to przywiózł – wyjaśnił. – Ekspres z zamku Glynnor.

Bernard, niech go piekło pochłonie! Co tym razem?

– Przekazałem radcy Bernarda, by wszelką korespondencję wysyłał do mnie – zirytował się Radford. Nie miało sensu zakłócać spokoju ojca sprawami, z którymi on sam czy Westcott mogli sobie poradzić. Tylko Bernard pisał do ojca osobiście, zresztą niezbyt często. Długie, pełne obelżywości i jadu listy wysyłał do swego „drogiego małego Kruka”.

– List dotarł do Westcotta, ale był adresowany do mnie, bo tak musiało się stać – westchnął ojciec. – Twój kuzyn, niech go szlag… – urwał,

wpatrując się w pergamin płomiennym wzrokiem.

– Co tym razem zrobił?

– To zrobił! – prychnął ojciec, rzucając dokument na stolik.

Radford zerknął na list i poczuł nieznośny ciężar w piersi.

List pisany przez urzędnika, pieczęć, podpisy…

– Umarł! – syknął ojciec. – Nie żyje.

Rozdział 17

Książę – łac. dux; oryginalnie wódz armii, generał, komandor w czasie wojny, dowódca wojsk w czasie pokoju. Obecnie najwyższy tytuł szlachecki.
Słownik szlachecki (1831)

Przez szum dudniący mu w głowie Radford ledwie słyszał Westcotta, mówiącego do Clary:

– Tak mi przykro, że jestem posłańcem złych wieści. Proszę, niech milady usiądzie.

– Usiądź, dziecko – zgodziła się pani Radford. – Jesteś blada jak ściana.

Radford oderwał wzrok od listu i spojrzał na żonę. Choć jej twarz była równie posągowa jak zawsze, barwą przypominała alabaster. Po chwili dostrzegł kolejne oznaki zdenerwowania – delikatne drżenie kącików ust i dłoni.

– To… zaskakujące – wyjąkała. – Obiecuję nie mdleć.

– Ja nie obiecuję – wyznał Kruk. – Usiądź, Claro. Westcott zostawił swój ulubiony fotel przy kominku specjalnie dla ciebie. Będzie się lepiej czuł po zrujnowaniu naszego miesiąca miodowego, jeśli przynajmniej wyrugujesz go z miejsca.

Clara rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i usiadła, prostując się i składając dłonie na kolanach.

– Wybaczcie, ale wciąż to do mnie nie dociera – westchnęła. – Czy autor listu wyjaśnia, jak to się stało?

Radford czuł, że i do niego wiadomość nie dotarła w pełni. Był tak wzburzony, że nie potrafił się na niczym skupić. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w list, widząc jedynie rozmazane smugi atramentu. Potrząsnął głową i przejrzał stronice.

– Strasznie to rozwlekłe jak na informację o zgonie – burknął.

– Bo pisał go prawnik – prychnął ojciec. – Przetłumacz go swej żonie, synu. Ja nie jestem w stanie opowiadać tego po raz drugi. To zbyt irytujące.

– Nie unoś się, ukochany – wtrąciła matka.

Kruk widział, że ojciec jest wstrząśnięty, choć więcej było w nim gniewu niż zaskoczenia. Tak czy owak, silne wzruszenia mogły mu zaszkodzić. Sam zresztą miał wrażenie, jakby ktoś zdzielił go kijem bilardowym.

Oczywiście, rozsądek wiele razy podpowiadał mu, że Bernard może młodo umrzeć. Myśl ta towarzyszyła Radfordowi od lat, zwłaszcza w ostatnim czasie, gdy wszyscy mężczyźni w tej linii przenieśli się w zaświaty. Jednak Kruk starał się tego nie roztrząsać.

Bernard był żarłokiem i pijakiem. Radford sam ostrzegał go przed fatalnymi skutkami takiego trybu życia, lecz nigdy nie zdołał dotrzeć do kuzyna. Anglia pękała w szwach od podobnych mu utracjuszy, w sile wieku i bardzo starych. Poprzedni król, hulaka, który pił alkohol i laudanum na beczki, dożył sześćdziesiątych urodzin.

Bernard miał trzydzieści lat.

To nie miało sensu. A jednak musiało się wydarzyć, skoro zostało zapisane na oficjalnym akcie zgonu z pieczęcią.

Radford przeczytał w skupieniu stronice zapisane gęstym maczkiem i streścił je Clarze:

– Był na polowaniu z licznym towarzystwem oraz swą wybranką. Najwyraźniej wyjechał z lasu i znalazł się na stromym brzegu strumienia. Poprzedniego dnia padał deszcz, strumień więc był wezbrany. Och, oczywiście jechał na koniu, którego dopiero co nabył, bez wątpienia po to, by zaimponować swej pani. Nowy koń, śliskie urwisko, poza tym był pewnie pijany, choć autor listu o tym nie wspomina.

Kruk odwrócił stronę i zmarszczył brwi.

– Jako że oddzielił się od grupy, nie mamy naocznego świadka wypadku. Nie wiadomo, czy chciał przesadzić strumień, a ogier się spłoszył, czy koń dałby radę, lecz waga Bernarda okazała się zbyt dużym wyzwaniem. Sądząc jednak po obrażeniach, jakie odniosło zwierzę, najwyraźniej zsunęli się z urwiska i wpadli do strumienia. Znajomi znaleźli Bernarda w wodzie, z wielkim guzem na głowie. Albo uderzył się w głowę i to go zabiło, albo po uderzeniu stracił przytomność i utopił się, zanim ktoś go odnalazł. Doktor twierdzi, że zginął od uderzenia.

– Bez wątpienia tak twierdzi – wtrącił ojciec. – Wszak Bernard był księciem. Każdy doktor wybrałby rozwiązanie oczyszczające resztę towarzystwa z potencjalnej winy. Innymi słowy, nikt nie mógł go uratować, nawet gdyby znaleźli go szybciej i wyciągnęli z wody.

– Lepiej sam zbadam ciało – uznał Radford. – I przesłucham doktora.

– Lepiej tak zrób – zgodził się ojciec. – I to bez zwłoki.

Żony były zbyt mądre, by pytać, jaka to różnica, czy zginął od upadku, czy się utopił. Obie wiedziały, że w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Bernard nie żyje i cały ich świat uległ gwałtownej zmianie.

Mężowie zaś nie byliby w stanie spocząć, nie dowiedziawszy się wszystkiego. Ponadto rozwiązanie tej zagadki miało szansę ukoić nieco ich niepokój.

– Łatwiej bym mu wybaczył, gdyby to był zwykły wypadek – westchnął ojciec. – Jednak to mi wygląda na głupotę i arogancję. W ogóle nie powinien był wsiadać na konia pod wpływem alkoholu. Zresztą nawet na trzeźwo nie umiał myśleć. Na pewno przeceniał swoje umiejętności, a nie doceniał wagi. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że nie zginął nikt postronny.

– Jakkolwiek do tego doszło, bardzo mi przykro – odezwała się chłodnym głosem Clara. – Miałam nadzieję, że się ożeni, będzie szczęśliwy i że żona zrobi z niego człowieka.

Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem. Radford ze zdumieniem odkrył, że zaciska pięści i mruży oczy z zazdrości. Clara żałuje Bernarda?!

Nie, to niemożliwe. To tylko dobre wychowanie. A nawet jeśli czuje żal, to rozpacza jedynie po utracie życia, na jakie się zgodzili, jakie planowali wieść. Radford będzie musiał się pożegnać ze swoją karierą. Clara doskonale to rozumiała! Może to samolubne, rozważać stratę pracy i pozycji, gdy mógł w zamian zyskać tak wiele, jednak Kruk był tylko człowiekiem i żal mu było planów, które tak nagle się rozwiały.

Przede wszystkim jednak żal mu było ojca, którego wolałby uchronić przed obowiązkami i obciążeniami związanymi z tytułem.

A jednocześnie – w głębi serca czuł ulgę. Jednak będzie w stanie zapewnić swej żonie wszystko, na co zasługuje.

– To, co o nim opowiadałeś, pozwoliło mi sądzić, że miał potencjał, by stać się kimś lepszym – powiedziała Clara. – Poza tym przysłał nam wspaniałe prezenty.

Szamocząc się wśród sprzecznych emocji, Radford z trudem odnajdywał sens w jej słowach.

– Wiem, że to drobiazg, ale najwyraźniej miał dobry gust lub zatrudnił kogoś o dobrym guście, by wybrał dla nas prezenty ślubne – ciągnęła

niezrażona Clara. – Bardzo hojne i piękne. Serwis do kawy i herbaty ze scenami z *Odysei*. Wspominałeś, że to zapewne delikatny przytyk do cytatów, którymi go zadręczałeś w młodości.

Radford przypomniał sobie chwilę rozpakowywania prezentów. Pamiętał, że zastanawiał się nawet przelotnie nad ekstrawaganckimi naczyniami i przeszła mu przez myśl idea, że być może Bernard nieco złagodniał. Może się nawet zakochał albo przynajmniej był w doskonałym humorze.

– I ten piękny zestaw obiadowy z greckimi bogami! – dodała Clara.

Radford musiał przyznać, że nie przywiązywał wagi do kwestii prezentów ślubnych, nie licząc prędko stłumionej wątpliwości, gdzie będą to wszystko trzymać. Teraz zastanowił się nad wspaniałymi darami kuzyna, który przez całe życie jedynie go dręczył.

Kruk ma jakąś kochanicę, kto by się spodziewał?

Ze wszystkich ludzi na świecie pomyślał o tym tylko wiecznie pijany Bernard. Wszak wypożyczył mu najszybszy kabriolet i rączego ogiera, by mógł jak najprędzej wrócić do Londynu. Czy była to niezręczna próba powiedzenia „przepraszam” i „dziękuję”? Czy myśl o zakochanym małym Kruku wydała się Bernardowi tak zabawna, że postanowił wziąć udział w tym żarcie?

Nigdy się już tego nie dowie.

Radford roześmiał się, choć wolałby załkać z bezsilności.

– Bernard musiał być pod wrażeniem, gdy dowiedział się, że podbiłem serce pięknej arystokratki. Pewnie uważał, że wydarłem z ciebie przysięgę jakąś prawniczą sztuczką. Nie zdziwiłbym się, gdyby te prezenty miały być dla ciebie pociechą w tej głębokiej opresji.

– Przede wszystkim uważam, że są bardzo hojne – odparła z naciskiem Clara – biorąc pod uwagę, że mógł mieć mnie całą, gdyby nie twoje prawne sztuczki.

Radford opowiedział rodzicom, jak Clara zagroziła mu, że wyjdzie za Bernarda.

– Naprawdę to zrobiłaś? – zdumiał się ojciec.

– Doskonale, moja droga – pochwaliła ją matka. – Choć nasi panowie uchodzą za bystrych prawników, są tak samo tępi jak reszta mężczyzn.

– Możemy się zgodzić, że Bernard postąpił hojnie – westchnął ojciec. – Powiedzmy choć to jedno dobre słowo o zmarłym.

– Powiedzmy nawet i więcej – dodał Kruk z uśmiechem. – Powiedzmy, że wybrał prezenty z wyczuciem gustu i, jak by to ująć, humoru? A może nawet sympatii?

Radford spojrzał ukradkiem na ojca i spostrzegł, że jest spokojniejszy. Półleżąc na sofie, wpatrywał się w Clarę z takim samym wyrazem twarzy, z jakim patrzył na młodego Olivera, gdy ten w dzieciństwie zdradzał oznaki błyskotliwości.

Świeżo obdarowany tytułem książę zażądał wina i wzniósł toast za duszę Bernarda. Będąc znakomitym prawnikiem, ułożył na poczekaniu zgrabną przemowę, perfekcyjnie balansującą pomiędzy złością na Bernarda za przedwczesny zgon, zrozumieniem jego charakteru wynikającego wszak z okropnego wychowania i gorszących przykładów, z jakich musiał czerpać, oraz uznaniem dla jego poczucia humoru. Był on może grubiański i niezbyt wyszukany, jak stwierdził szczerze ojciec, lecz przynajmniej w ogóle występował. Nie można było tego powiedzieć o każdym.

Ojciec upił wina i zwrócił się do Clary:

– Droga córko – rzekł, zaskakując wszystkich z wyjątkiem samej Clary. – Okazałaś się znacznie mądrzejsza, niż sądzili twoi rodzice. Zostałem jednak przeklętym księciem Malvern, a ty wyszłaś za mego dziedzica, markiza Bredona. Proszę, utrzymaj Jego Wysokość przy życiu do czasu, gdy odziedziczy ten obmierzły tytuł, dobrze?

* * *

Clara, rzecz jasna, zawsze wiedziała, co należy zrobić. Wątpiła, by w całej Anglii znalazła się dziewczyna lepiej od niej przygotowana na wszelkie ewentualności.

Jej nowa rodzina była wstrząśnięta do głębi, co bynajmniej nie było dziwne w obliczu tej nieprzewidzianej katastrofy. Prawdziwa dama nigdy nie poddaje się wstrząsom i stara się ukoić humory wszystkich wokół.

Najważniejszym zadaniem prawdziwej damy jest zachowanie spokoju.

Śmiało więc podjęła temat charakteru Bernarda, a rodzina zareagowała nad podziw dobrze na jej słowa. Teść odzyskał humor i zwykłą łagodność, co w oczywisty sposób uspokoiło jego żonę. Już w czasie pierwszego spotkania z nimi Clara dostrzegła, jak głęboka więź łączy Annę Radford

z mężem. Jej córki z poprzedniego małżeństwa wręcz go ubóstwiały, kochały go także ich dzieci.

Choć nie spędziły razem zbyt wiele czasu, Clara nie potrzebowała go więcej, by ocenić – i docenić – charakter teściowej.

Gdy zostawiły mężczyzn w bibliotece i udały się do buduaru pani domu, Anna Radford tylko potwierdziła przypuszczenia Clary.

– Naturalnie spełnię wszystkie obowiązki, jakie teraz na mnie spadną – powiedziała z westchnieniem. – Zapewne domyślasz się, moja droga, że całkiem oddzieliłam się od towarzystwa. Z wyboru zresztą. Nie lubię arystokracji. Po rozwodzie wszyscy się ode mnie odwrócili, choć byłam całkowicie niewinna. Barbarzyńca, który był moim mężem, nie chciał nawet spotykać się z naszymi córkami! Sądziłam, że jego zachowanie wobec nas będzie jasnym przykładem jego charakteru i pokaże arystokratom, jaki jest naprawdę, lecz byłam w błędzie. – Potrząsnęła głową. – Wybacz mi, dziecko. Nie chciałam wyciągać tej zamierzchłej historii. Nie wiem, po co o tym mówię.

– Nasz świat zatrząsł się w posadach – odparła kojąco Clara. – Wszyscy jesteśmy wytrąceni z równowagi. Nawet mój drogi mąż stracił nad sobą panowanie.

– Zauważyłaś? – Jej Wysokość przechyliła głowę i z czułością spojrzała na synową. – I znalazłaś sposób na to, by go ukoić, nie rzucając irytujących uwag w stylu: „Uspokój się, mój drogi. To przeznaczenie” czy tym podobnych banałów.

– Prawię banały jedynie wówczas, gdy jestem na niego bardzo, bardzo zła.

– Wybornie. – Lady Anna się uśmiechnęła. – Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd opuściłam towarzystwo. A teraz zostałam księżną, moi dawni nieprzyjaciele wciąż żyją i odnajdą do mnie drogę. No, trudno. Nie chcę już wracać do tego świata. Jestem tu taka szczęśliwa! – Powiodła spojrzeniem po zacisznym buduarze. – Radford i ja wiedliśmy ciche, spokojne życie na długo przed tym, zanim przeszedł na emeryturę. On się spełniał na sali sądowej, a ja uznawałam siedzenie na widowni za najlepszą rozrywkę. Gdy nie mogłam uczestniczyć w rozprawach, opowiadał mi o nich w domu. Chcę zostać tutaj. Nie chcę być uwięzioną na pustkowiu księżną Malvern. Jednak tutaj świat tak łatwo nas odnajdzie. A ja go nie chcę. Chcę tylko

spędzać czas z moim ukochanym mężem. Nie widzę w tym nic nierozsądnego czy nudnego. On i tak niedługo…

Głos jej zadrżał i umilkła.

Clara uśmiechnęła się łagodnie.

– Na twoim miejscu chciałabym tego samego, matko. Czyż ojciec nie powiedział, że wykazałam się mądrością, wychodząc za Radforda? Sądzę jednak również, że on wykazał się mądrością, żeniąc się ze mną. Wiesz wszak, że wychowano mnie na żonę księcia. – Clara wiedziała to od dzieciństwa. Matka powtarzała jej to codziennie. – Z radością przejmę twoje obowiązki, byś mogła prowadzić takie życie, jakiego pragniesz.

Jej Wysokość spojrzała na nią z wdzięcznością i jej oczy zaszły mgłą wzruszenia. Zamrugała gwałtownie i ku zdumieniu Clary pochyliła się i wzięła ją za rękę.

– Przyznaję, że miałam wątpliwości – stwierdziła. – Obawiałam się, że ty i Oliver nie będziecie w stanie odnaleźć do siebie drogi. Przepaść pomiędzy waszymi pozycjami społecznymi była tak ogromna. Teraz jednak wiem już, że naprawdę cię kocha, a ty kochasz jego i jesteś dobrą, szczerą dziewczyną. – Puściła dłoń Clary i wyprostowała się z uśmiechem. – Dziękuję ci za propozycję i obiecuję bez wahania wykorzystywać niecnie twą dobroć, młodość i uprzejmość. Obawiam się, że planuję być nieodpowiedzialna, leniwa, samolubna i zrzucić wszystko na twoje ramiona, moja droga.

Clara musiała się tylko upewnić, że Radford także zachował się jak na mężczyznę przystało.

* * *

Dyskusje trwały całe popołudnie, aż do wieczora, także przy kolacji i długo po niej. Gdy wreszcie uciekli do sypialni, Radford miał już serdecznie dość rozmawiania. Zamknął pokój, chwycił Clarę w ramiona i oparł się o drzwi, jakby obawiał się, że ktoś jeszcze za nimi przyjdzie. Pocałował ją żarliwie i z niecierpliwością.

Nie martwił się tytułem i ogromem pracy, jaki razem z nim odziedziczyli. Da sobie z tym radę. Nie mógł jednak ścierpieć, że stracili tak wiele czasu na jałowe dyskusje. Czasu, który mógł spędzić z nią.

Gdy po długiej chwili oderwał od niej wargi, rzekł z powagą:

– Zamierzam być w tej kwestii nieugięty i nie zniosę żadnych dyskusji. Okazuje się, że to nasza ostatnia noc przed długą rozłąką, a inaczej wszystko zaplanowałem. Jestem ogromnie rozczarowany i niezadowolony z faktu, iż plany me, tak drobiazgowo ułożone, legły w gruzach. – Zgromił Clarę surowym spojrzeniem. Zachichotała. – A zatem ja, markiz Bredon, rozkazuję ci, żono, odesłać pokojówkę na spoczynek i oddać swe ciało na pastwę mych żądz.

– Tylko me ciało, płytki człowieku? – żachnęła się Clara, oblewając się rumieńcem.

– Wasza Wysokość! – poprawił ją Kruk. – Nie ubzdurałaś sobie chyba w swym ptasim móżdżku, że wziąłem cię za żonę dla innych przymiotów?

– Sądziłam, że uwiodła cię bystrość mego umysłu – nadęła się Clara.

– Twój umysł jest nieistotnym drobiazgiem, moja droga. Poślubiłem cię z pożądania.

– Gdzie jest ten zestaw srebrnych półmisków, które przysłał nam Bernard? – spytała nagle. – Chcę rzucić w ciebie każdą częścią tej pięknej zastawy.

– Oooch, to brzmi bardzo podniecająco – mruknął Radford, rozpinając guziki na plecach sukni Clary. – Poślubiłem cię także po to, aby uchronić cię przed tobą samą. W innym bowiem wypadku kto wie, dokąd by cię zawiodła ta agresja. Uciekłabyś z domu i mieszkała w namiocie? Wyszłabyś za Bernarda? Rzekłem sobie tedy: „Ktoś musi ocalić tę dziewczynę. A jako że ma całkiem udatny biust, niezgorsze inne damskie zakamarki i wydaje się, że dam radę nauczyć ją kilku prostych sztuczek, tym kimś równie dobrze mogę być ja”.

– Srebrne półmiski i porcelana – powiedziała Clara. – Wszystkie pięć tysięcy elementów.

* * *

By się spokojnie pożegnać, Clara i Radford schronili się w małym saloniku przy gabinecie Kruka. Wiedzieli, że za kilka minut będzie musiał wyjechać.

– Nie będzie mnie najwyżej dwa tygodnie – obiecał. – Przed wyjazdem stamtąd wiele już uporządkowałem. Sanborne jest znakomity. Księgowy Dursley pracował już dla rodziny i będzie się świetnie spisywał, jeśli nikt

nie będzie mu się wtrącał do ksiąg. Mam do załatwienia tylko pogrzeb, uporządkowanie testamentów i umocnienie praw. Na pewno zaraz się zlecą rozmaite sępy, żądając tego czy tamtego. Jednak będą zmuszeni przedstawiać swe żale Westcottowi. On wie, jak odpowiednio dobrać ton do każdego żądającego. Ogromnie żałuję, że nie pojedziesz ze mną i nie oszołomisz reszty Radfordów swą wyniosłą, przerażającą osobowością. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

– Nie jestem ani trochę przerażająca – odezwała się Clara z wyrzutem.

– Tak ci się wydaje? Kiedy zostaniesz wreszcie księżną, nawet ja będę drżał przed tobą.

– Drżysz czasem, to prawda, ale nie w takich okolicznościach – odparła i spłonęła rumieńcem.

Wiedziała, że jej arystokratyczne maniery i fochy podniecają Radforda.

Musiała zresztą przyznać, że na ogół nie miała większych problemów z podnieceniem go.

Chwycił ją w ramiona i uścisnął z całej siły ze świadomością, że zaraz będą musieli ruszyć na dół, gdzie czekali rodzice i Westcott. Trzymał ją długo, kryjąc twarz w jej szyi i gniotąc pachnący słodko szal z jedwabiu.

Gdy wreszcie ją puścił, sam poprawił narzutkę na jej ramionach.

– Nie jestem głupcem, więc nie będę ci mówił, co masz robić, kiedy mnie nie będzie. Ze wszystkich kobiet świata ty najlepiej wiesz, co należy robić i jak tego dokonać. Powiem ci jednak, czego masz nie robić.

Spojrzała na niego, trzepocząc niewinnie rzęsami, lecz Radford nie dał się zwieść.

– Nie będziesz drążyła sprawy pucołowatego szpiega – oznajmił stanowczo.

– Jak, na litość, miałabym to robić?! – żachnęła się Clara. – I kiedy? Muszę wyposażyć nasz dom w Londynie i zatrudnić całą służbę na odległość. Będę odpierała ataki najeźdźców usiłujących wyważyć nasze drzwi tutaj, w Richmond. Muszę w jakiś sposób uchronić moją matkę przed ostatecznym obłędem. Albo znaleźć jej jakieś zajęcie. Mnóstwo zajęć. Muszę się porozumieć z rodziną królewską…

– Mogę jedynie żywić nieuzasadnioną nadzieję, że to wszystko rzeczywiście nie pozwoli ci na odpoczynek. Niech służba zajmie się intruzami. Jeśli będziesz zamierzała gdzieś wychodzić, zawsze bierz ze sobą pannę Davis i jakiegoś krzepkiego służącego.

– Ukochany mój, od dziecka tak podróżuję – odparła z naciskiem. – Prawdziwa dama nigdy i nigdzie nie wychodzi sama. Zrobiłam w życiu wyjątek jedynie dla ciebie, bo… och, zapomniałam już dlaczego. Ten niesforny lok na twoim czole wytrącił mnie z równowagi.

Lokaj zastukał do drzwi, oznajmiając, że powóz czeka.

– Lepiej się pośpiesz – poradziła Clara.

– Zdumiewająco prędko chcesz się mnie pozbyć – nastroszył się Kruk.

– Na twoim miejscu wolałabym być w drodze, gdy przyjadą moi rodzice – wyjaśniła.

Radford wiedział, że już poprzedniego dnia napisała do nich z wieściami i prośbą, by powstrzymali się z wizytą do momentu, gdy nerwy starszego pana Radforda nieco się ukoją. Nie była jednak pewna, czy jej matka w stanie euforii nie zignoruje wszelkich konwenansów i zasad zwykłej grzeczności.

– Przypuszczam, że nie spodobałyby ci się nagły afekt i czułości, jakimi zasypałaby cię moja matka – westchnęła Clara. – Ale przede wszystkim: im prędzej tam dotrzesz, tym prędzej wrócisz.

– Owszem.

Wpił się w jej usta z desperacją i rozpaczą, a ona oddała mu pocałunek z taką samą namiętnością.

W nocy kochali się najpierw z szaleńczym zapamiętaniem, a potem drugi raz, z czułością i delikatnie. I rozmawiali, rozmawiali. Wciąż nie mógł się nią nasycić.

Tak niewiele spędzili ze sobą czasu jako mąż i żona, a dwa tygodnie zdawały się wyrokiem bez końca. Pożegnanie z Clarą okazało się największym wyzwaniem w życiu Radforda.

Z ociąganiem oderwał od niej wargi.

– Pamiętaj – wychrypiał. – Żadnych pościgów, żadnych śledztw.

– Czyż nie obiecałam ci posłuszeństwa? Przy świadkach?

– Z uwagami drobnym druczkiem.

– Kiedy wrócisz, opowiem ci o nich ze szczegółami.

Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go z czułością. Niechętnie wypuścił ją z ramion.

Ponownie poprawił jej szal.

Jakże marzył o tym, by… lecz marzenia należały do sfery magicznej, z którą na ogół nie pragnął być kojarzony.

– Czy dobrze wyglądam, Wasza Wysokość? – zapytała. W jej błękitnych oczach lśniły iskierki humoru i… miłości, która chwytała go za gardło i serce.

– Od biedy – burknął.

– Chodźmy zatem, lordzie Bredon. Czas się pożegnać z księciem i księżną Malvern.

* * *

Dwie godziny później Westcott wpatrywał się w Clarę ze zdumieniem.

– Rodzeństwo Coppych? – powtórzył. – Teraz?

Schroniwszy się w małym salonie, Clara i Westcott usiłowali wstępnie uporządkować konieczne zarządzenia w sprawie Malvern House. I nagle Clara zapytała, co słychać u Bridget i Toby’ego.

– Jak najprędzej – potwierdziła. – Mam nadzieję, że nie stracił ich pan z oczu. Pan Radford, to znaczy lord Bredon, zapewnił mnie, że znajdzie pan zajęcie i mieszkanie dla chłopca, z dala od ich matki.

– Oczywiście, nie straciłem ich z oczu, Wasza Wysokość. Chłopiec tymczasowo pracuje w Szpitalu Świętego Bartłomieja, gdzie był leczony. Znalezienie dla niego praktyki nie jest jednak łatwe. Wszyscy chcą się dowiedzieć, czym się zajmował przed pracą w szpitalu, i nagle się wycofują. A przynajmniej ci, którzy budzą zaufanie. Wątpliwi rzemieślnicy przyjmują każdego, jak leci, lecz praca u nich nie jest z kolei w interesie Toby’ego.

– Czy naprawdę pracuje? – dopytała Clara.

Westcott wyjaśnił, że gdy tylko Toby wyzdrowiał, uparł się, by pomagać w szpitalu.

– Nie jest bystrym chłopakiem, ale rzetelnie wypełnia polecenia. Myje podłogi albo łóżka pacjentów.

– Mam nadzieję, że nie używa do tego jednej ścierki.

– To szpital – zauważył Westcott. – Niczego nie mogę pani obiecać. Mogę jedynie przekazać to, co o nim słyszałem: pracuje ciężko, cieszy się, gdy dostaje w zamian ciepły posiłek, i ma gdzie spać. Nie chce odejść.

– Nie mogę go za to winić. Wszyscy chłopcy, którzy uciekli obławie, doskonale wiedzieli, że przyjechaliśmy po niego. Będą go obwiniać o nasz najazd, o śmierć Szczypiora. A uciekł także Jacob Freame.

– To prawda, Wasza Wysokość. Sądzę, że lord Bredon wolałby, byśmy o tym nie rozmawiali. Zresztą Freame nie żyje. Podobno powalił go tyfus.

– Kto panu o tym powiedział?

– Sceptycyzm opromieniający mego szanownego przyjaciela olśnił także panią, jak widzę. – Westcott się uśmiechnął.

Clara spoglądała na niego ze spokojną cierpliwością.

– Tak mówią na ulicy – pośpieszył z odpowiedzią radca. – Tak donoszą nasi informatorzy.

– Mam szczerą nadzieję, że to prawda – rzekła Clara, przypominając sobie pucołowatego szpiega. – Lecz niezależenie od tego, jak jest w istocie, będzie pan musiał przenieść Toby'ego ze szpitala. Chcę go tu mieć, przy sobie. Bridget także.

– Wolałbym, by zaczekała pani na powrót lorda Bredona z takimi…

– Lord Bredon zlecił mi obsadzenie służby – powiedziała chłodno Clara. – Słyszałam wyraźnie, jak to panu mówił. Czyż nie dodał: „Służ mojej pani wszelką pomocą"?

– Tak powiedział. Jednakże jako radca rodziny mogę służyć także radą. To w zasadzie mój obowiązek. I radzę pani, Wasza Wysokość, zaczekać na powrót lorda Bredona.

– Nie znalazł pan jak dotąd miejsca dla chłopca, więc zatrudnię go tutaj – wycedziła Clara. – Ponadto, gdyby nie te dzieci, nigdy nie poznałabym mego męża. Mam okazję im się odwdzięczyć i zamierzam to uczynić.

* * *

Lady Bredon kazała Westcottowi przewieźć Bridget do Richmond. Nie było to trudne, była wszak jedną z patronek Stowarzyszenia, zaś jej bratowa Sophy – jego współzałożycielką. Clara wciąż pamiętała ostrzeżenie Radforda, że faworyzowanie Bridget przyniesie dziewczynie jedynie przykrości, lecz to było coś innego. Panna Coppy zdobędzie to, czego najbardziej pragnęła – bezpieczne miejsce zamieszkania i zatrudnienia.

Clara nie była pewna, w jaki sposób zatrudni dziewczynę, była jednak przekonana, że rozwiązanie samo się znajdzie. Postanowiła już zaopiekować się rodzeństwem, a została wychowana do pokonywania wszelkich przeszkód, jakie staną na jej drodze, i wszystkich domowych kryzysów.

Niebawem po wyjściu Westcotta napisała do Sophy z prośbą o pomoc w przeniesieniu Bridget.

Potem udała się na parter, by poinformować o wszystkim teściów.

* * *

– Sentymenty – prychnął teść, machnąwszy ręką. – Nie byłabyś dobrym prawnikiem, madame. Należy chłodnym okiem spoglądać na fakty. Odsuwać od siebie emocje. Jedyne emocje na sali mogą należeć do ławy przysięgłych.

– Sentymenty nie mają z tym nic wspólnego – powiedziała Clara. Teść potrafił budzić grozę większą niż jej mąż, co było oczywiste, biorąc pod uwagę jego wieloletnią karierę. Nie mogła jednak dać mu się zastraszyć, tak jak nie dała się zastraszyć Radfordowi. – Zawsze opłaca się informatorów. Robią to także policjanci. Te dzieci zaprowadziły mnie prosto do mego męża.

– Nie tak prosto.

– I nie tak po prostu ja naraziłam je na niebezpieczeństwo. Zdaję sobie sprawę z tego, że dzieci biedaków żyją w warunkach tak dramatycznych, że jeden taki gest niewiele znaczy. Jednak natknęłam się na rodzeństwo Coppych i w rezultacie mogą na tym jeszcze bardziej ucierpieć. Wiesz wszak, drogi ojcze, jak bezwzględne potrafią być te gangi. Chłopiec jest przerażony, a Bridget bez wątpienia drży o jego bezpieczeństwo. Nie mogę zostawić ich na pastwę losu. Obiecuję, że dzieci w żaden sposób nie zakłócą spokoju tego domu. Jeśli się mylę, natychmiast przeniosę je gdzie indziej. Ale muszę je gdzieś ukryć, sir. Bezpośrednio czy nie, tych dwoje zmieniło moje życie i nie odwrócę się do nich plecami.

– Nie uwiodłabyś przysięgłych tymi banałami – prychnął teść.

– Wręcz przeciwnie, George – żachnęła się jego żona.

– Tylko dlatego, że jest znacznie ładniejsza niż większość prawników. – Roześmiał się krótko, zupełnie jak jego syn. – Dobrze, Claro, rób, jak uważasz. Twoim zadaniem jest chronić nas przed wszelkim złem tego świata, możemy ci więc wybaczyć tę odrobinę szaleństwa.

– George!

– Owszem, to szaleństwo i doskonale o tym wiesz, księżno.

Clara wiedziała, że książę Malvern złości się jedynie dla zabawy. Uśmiechnęła się więc i zostawiła ich samych.

* * *

Londyn
środa, 25 listopada

Jacob Freame się nie uśmiechał. Szarpał za wąsy, które zapuścił, by wrogowie nie mogli go rozpoznać. Zrobiły się już długie i gęste, lecz dla Wiewióra wciąż wyglądał jak Freame, tylko bardziej zarośnięty.

I bardziej wściekły niż kiedykolwiek. Wiewiór starał się trzymać z daleka od wielkich zaciśniętych pięści.

Zdławiacz nie wyglądał na zaniepokojonego. Nigdy nie zdradzał żadnych uczuć. Stał spokojnie przy drzwiach z założonymi rękami i słuchał.

– Kruk jest lordem? – ryczał Freame. – Lordem?!

– Jeśli cały Londyn jeszcze o tym nie trąbi, to niebawem będzie – powiedział Wiewiór. – Choć spodziewam się, że u Jacka już o tym gadali.

Plotki zawsze trafiały najpierw do baru Jacka. Większość chyba się tam rodziła.

– Mogliśmy pojechać tam wszyscy – warknął Freame. – Być może już byśmy go dopadli.

Raczej nie, pomyślał Wiewiór. W Londynie Kruk chodził samotnie ulicami we dnie i w nocy, a w tłumie łatwo można było zniknąć. Można by się było na niego zaczaić na przykład na Fleet Street, nieopodal Temple Gate.

W Richmond trudno go było w ogóle zobaczyć. A teraz urósł nagle tak bardzo, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek zdołają go dopaść.

– Teraz nic z tego nie będzie – odważył się stwierdzić. – Pojechał do jakiegoś zamku sto mil stąd. Albo i dwieście. Chyba czas zrobić, jak zawsze mówiłeś: zostawić arystokratów w spokoju.

– Nie sądzę. Co mówią na mieście?

Na mieście mówili zawsze dużo i głośno. Wiewiór wiedział, że musi to streścić.

– Wynajął karetkę pocztową i pojechał. Wszyscy się dziwili, że tak nagle porzucił żonę. Ale potem gruchnęła wieść o śmierci Malverna i wiadomo

było, że Kruk pojechał tylko na pogrzeb. A teraz zatrudniają służbę.

Więcej służących oznaczało więcej uważnych oczu w oknach i przy bramach i więcej czujnych uszu nasłuchujących cichych kroków. Jednak Jacob nie wyglądał na zmartwionego. Chodził z kąta w kąt, mierzwiąc wąsy. Myślał.

– Skoro nie zabrał ze sobą Długiej Tyczki, niebawem wróci – uznał i spojrzał na Zdławiacza. – Widziałeś ją. Zostawiłbyś ją choćby na minutę?

Zdławiacz wyszczerzył w uśmiechu niepełny zestaw poczerniałych i krzywych zębów.

– Nie wiem, kiedy wróci – wtrącił Wiewiór. – Dlatego przyjechałem. Kazałeś mi go pilnować, ale jak miałbym biec za karetką pocztową?

– Nie bądź idiotą – uciął Jacob. – Co mnie obchodzi, co Kruk wyczynia dwieście mil stąd?

Nie powinno cię obchodzić, co wyczynia w Londynie czy gdziekolwiek – pomyślał Wiewiór. Zdawało mu się, że mordowanie świeżo utytułowanego arystokraty, gdy wszyscy o nim piszą i mówią, nie jest szczęśliwym pomysłem. Pachniało to stryczkiem. Nawet z pomocą Zdławiacza mogło się nie udać. Powieszą ich wtedy ku uciesze gawiedzi, a potem kat sprzeda ich ubrania, a lekarze potną ich ciała na kawałki.

Jacob zatrzymał się raptownie.

– Wracamy.

Zdławiacz pokiwał głową, wciąż szczerząc popsute zęby.

Wiewiór tłumaczył sobie, że ze względu na pamięć Szczypiora muszą wykończyć Kruka, lecz głos mu drżał, gdy zapytał:

– Teraz? Przecież on nie wróci przez…

– Nie teraz! Zacznijże myśleć! Musimy się najpierw przygotować. – Jacob się uśmiechnął. – Upewnimy się, że wszystko pójdzie po naszej myśli. Wszystko pójdzie wręcz doskonale. Tylko nie dla niego. Ani dla jego jasnej pani. Cha, cha!

Zdławiacz także wybuchnął śmiechem.

Rozdział 18

Prawnik – któż zgłębić może kręte ścieżki, mroczne zaułki i pełne trwogi zakamarki umysłu? Są to bezdroża, po których błądzić można nawet i czterdzieści lat i na których niejeden przepadł bez wieści.
„Jurysta”, tom 3 (1832)

Piątek, 27 listopada

Westcott dostarczył rodzeństwo Coppych wczesnym popołudniem.

Musiał poświęcić podróż na straszenie ich i grożenie potwornymi konsekwencjami, gdyż stanęli przed księciem i księżną sztywni jak kołki, bladzi i milczący.

Przeżywszy straszliwy moment prezentacji, udali się do służbówki, by – Clara miała nadzieję – wywrzeć na służbie pozytywne wrażenie. Jeśli im się nie powiedzie, będą mieli w Richmond ciężkie życie.

Tymczasem musiała zdać własny test.

Książę obserwował ją z jedną brwią wzniesioną ku górze. W identyczny sposób wpatrywał się w nią czasami jego syn, jakby zastanawiał się, czy Clara posiada w ogóle jakikolwiek zalążek mózgu. Mina księcia była tak samo irytująca. Radfordowie najwyraźniej nie byli jednak w stanie się powstrzymać, a nie mogła oczekiwać, że książę zmieni się w osiemdziesiątym roku życia.

Oczywiście napisała mężowi o Coppych. Była pewna, że w odpowiedzi będzie kwestionował jej inteligencję i oskarżał ją o babskie poddawanie się emocjom. Wiedziała jednak, że ma rację i że jeśli na początku małżeństwa nie wytrzyma starcia z jego charakterem, niebawem Radford zmiażdży ją swoją silną osobowością. Czyż babcia Warford nie powtarzała jej wiele razy, że mężów można – i trzeba – sobie wychować?

Widziała także, jak księżna Malvern postępowała ze swoim mężem, i zamierzała brać z niej przykład. Teściowa spędziła wiele lat, ucząc się, jak żyć z nazbyt inteligentnym mężczyzną.

– Ten chłopak… – odezwał się książę. – Niezbyt rozgarnięty, nieprawdaż? Kolejny nawrócony młodociany przestępca, jak ten, którego przygarnęły stylistki?

Syn musiał mu opowiadać o Fenwicku.

– Wierzę, że krótki kontakt z gangiem Jacoba Freame'a mocno go utemperował – stwierdziła Clara. W istocie była zdumiona zmianą, jaka zaszła w Tobym. Zuchwałość i buta bezpowrotnie zniknęły.

– To się rzadko zdarza – powątpiewał książę. – Kontakty z kryminalistami zwykle zmieniają chłopców na gorsze. Przestępstwa ich rozzuchwalają, a pobyty w więzieniach napełniają gniewem i chęcią zemsty.

– Nie zdążył zaznać życia kryminalisty, bo prędko się rozchorował – sprostowała Clara. – A kiedy leżał tam samotnie na stercie starych szmat, przekonał się dobitnie, jak to jest, gdy Bridget nie troszczy się o niego, a wokół ma jedynie bandę rozwydrzonych chłopaków, których nie obchodzi, co się z nim stanie. Był przekonany, że umrze. I niewiele brakowało. Myślę, że odrobił tę lekcję.

– Być może. – Książę wzruszył ramionami. – To tylko przypuszczenie. W dodatku zbudowane na pragnieniach i emocjach, nie zaś na faktach.

– Być może – zgodziła się Clara. – A może praca i stosowny wygląd zmieniły jego spojrzenie na świat? Westcott zabrał go do łaźni i dał mu przyzwoite ubranie. Może docenił to, że nikt nie odsuwał się od niego na ulicy? Zamówię dla niego liberię. Zobaczymy, czy wzniesie się do tej poprzeczki.

– Czy tym sposobem stylistki potraktowały swojego łotrzyka?

– To zdumiewające, jak wysoki kapelusz, marynarka obramowana złotem i błyszczące guziki wpływają na zachowanie chłopca – powiedziała Clara.

Książę zaśmiał się skrzekliwie.

Księżna uśmiechnęła się ciepło.

Clara opowiedziała im o szpitalu.

– Toby nauczył się, jak dbać o pacjentów, obserwując pielęgniarki. Nigdy nie będzie molem książkowym, ale wydaje się zdolny do nauki. Wątpię, by

się przydał tobie, mój książę, jednak księżna potrzebuje pazia, który będzie jej towarzyszył.

– Bynajmniej – żachnęła się Jej Wysokość. – Skąd ten pomysł?

– Obawiam się, że jednak potrzebujesz, droga mamo – odparła współczująco Clara. – W nadchodzących miesiącach reszta służby będzie miała urwanie głowy. Planowałam zatrudnić ich więcej, jednak wiem, że nie chcecie trzymać tu takiej hordy.

Księżna spojrzała na nią ze zgrozą. Biedna, nawet nie zdawała sobie sprawy. Skąd mogła wiedzieć?

Mimo usilnych starań, Clara nie była w stanie zwrócić teściom ich poprzedniego życia. Choć Willa Itaka była spora, nie mogła się nawet równać z prawdziwą siedzibą rodu, czyli Malvern House. Zawsze wystarczała tu niewielka liczba służących, jednak teraz wszystko się zmieni. Książę może się spodziewać wielu gości, więcej korespondencji, więcej suplikantów, więcej wszystkiego. I raczej nie będzie chciał zajmować się tym osobiście.

Najważniejsza była ich więź z domem królewskim. Jego Miłość przebywał właśnie w Brighton wraz z małżonką, lecz niebawem przyślą tu swych posłańców, jak uczynili to w dniu ślubu Clary. Takim gościom nie sposób odmówić. Ponadto z czasem zapewne król i królowa pojawią się w Richmond osobiście, choćby ze względu na wątłe zdrowie księcia. Na dniach należało się spodziewać księżnej Kent z księżniczką Victorią.

Clara nie mogła ich nie przyjąć, zresztą nawet nie zamierzała nikogo odstraszać ze względu na dobre imię swego męża i jego rodziców. Oliver nie mógł dłużej grać roli rządcy dóbr swego ojca, nie mógł pracować jako prawnik w sądzie. Mógł jednak wykorzystać swe talenty i doświadczenie w parlamencie. Niestety, mimo wielu reform Izba Lordów pozostawała hermetycznym kręgiem i by się do niej dostać, Radford musiał wypracować pozycję w towarzystwie.

Tymczasem Clara musiała na odległość zarządzić odświeżenie i wyposażenie Malvern House. Starała się także chronić teściów przed zmianami, lecz wszystkiemu zapobiec nie mogła.

– Pomyślałam, że Toby przyda się do noszenia liścików, biegania na posyłki i wszelkiego dźwigania. To silny chłopiec, skoro nie poddał się chorobie. Będzie także mógł pomóc porządkować poduszki księcia oraz przeprowadzać go z łóżka na fotel.

Clara wiedziała, że księżna nie daje czasem rady udźwignąć męża, który coraz bardziej niecierpliwi się własną słabością. A choć nie był tak potężny jak syn, zdecydowanie nie należał do drobnych mężczyzn. Chłopiec, który pracował w szpitalu, mógł pomóc księżnej także przy wielu innych czynnościach związanych z księciem, jednak Clara postanowiła nie mówić o tym w jego obecności. Nie chciała go urazić.

– Chcesz powiedzieć, moja droga, że powinnam wzywać tego chłopca zamiast lokaja? – zapytała księżna z powątpiewaniem.

– Dzięki temu lokaj czy pokojówka będą mogli zająć się zadaniami wymagającymi więcej siły, bystrości lub obydwu tych zalet jednocześnie. A co za tym idzie, kolejni lokaje nie będą potrzebni.

Księżna rozważała to przez chwilę, najwyraźniej rozdarta. Książę nic nie mówił, wpatrując się w Clarę uważnie.

Clara cierpliwie czekała.

Wreszcie księżna westchnęła i potarła skronie palcami.

– Jeśli to w istocie wybór pomiędzy hordą lokajów a jednym chłopcem, wybieram chłopca.

Książę puścił oko do Clary.

– Doskonała rozprawa, córko. Wspaniale się spisałaś, doprawdy.

– Wskazałam jedynie oczywiste fakty – odparła skromnie Clara.

– Jak najbardziej. A co z tą nad wyraz śliczną dziewczyną? Jak zamierzasz nią rozporządzić? Na pewno zawróci w głowie wszystkim lokajom.

To samo powiedziała panna Davis.

– Bridget nie będzie miała czasu na uwodzenie lokajów – stwierdziła Clara. – Mam huk pracy dla krawcowej. Jeszcze na chwilę wypożyczę ją wam, by pomogła przy pierwszym najeździe gości, lecz niebawem będę ją musiała w pełni zawłaszczyć. Domyślam się, że Malvern House wymaga odświeżenia.

– Obawiam się, że jest w opłakanym stanie – zgodziła się księżna. – Najcięższe meble wciąż tkwią pod narzutami, ale to, co dało się ruszyć, zniknęło w tajemniczych okolicznościach. Bielizna stołowa i pościelowa pewnie już zetlała albo rozkradziono ją lata temu. Nikt z Malvernów nie mieszkał w tym domu od ponad stu lat i jedyne inwestycje poczyniono w zamku Glynnor.

– Poproszę mamę, żeby zrobiła inspekcję w Malvern House – uznała Clara. – To będzie dla niej znakomita rozrywka.

Jeśli będzie miała się czym zająć, być może zrezygnuje z tak częstych i długich wizyt w Richmond. Będzie zatruwać życie swej najlepszej przyjaciółce, lady Bartham, opowieściami o tym, jak urabia sobie ręce po łokcie dla ukochanej córki, markizy Bredon. Clara mogła to sobie wyobrazić:

Ach, cóż innego mogłaby uczynić kochająca matka? Biedna Clara ma teraz tyle na głowie. Musi dotrzymać towarzystwa księciu Malvernowi, odciążyć księżnę w jej rozlicznych obowiązkach, zarządzać tak wielką fortuną. Poza tym ufa bezgranicznie memu gustowi i osądowi.

– Spodziewam się niebawem dostawy nowej bielizny do Malvern House – rzekła Clara z uśmiechem. – Bridget nie nadąży z haftowaniem monogramów. Jestem pewna, matko, że docenisz jej talent. Cieszę się, że tchniemy nowe życie w ten piękny dom.

Księżna roześmiała się dźwięcznie.

– Ja się cieszę, że ty to zrobisz i ja nie będę musiała się tym zajmować. Wolę inne rozrywki niż wybieranie tapet, zasłon i mebli. Zdecydowanie przedkładam nad to uczone dysputy z mym mężem o absurdalnych wyrokach sędziowskich, nieudolnych opiniach koronerów, nieuzasadnionych wskazaniach przysięgłych czy o rozmaitych paragrafach kodeksów prawnych.

– Nic nie wiesz o kodeksach prawnych – burknął jej mąż.

– Rozumiesz, Claro? Nieustanne użeranie się z tym uroczym dżentelmenem wyczerpuje me siły. – Machnęła dłonią. – Postępuj we wszystkim, jak uważasz. Kiedy już zrobisz chłopca na bóstwo, przyślij go do mnie, a ja zobaczę, do czego się nadaje.

* * *

Richmond
piątek, 4 grudnia

Wiewiór wciąż nie mógł uwierzyć, jak wąsy i ubranie zmieniają człowieka. Dwa dni wcześniej wyjechali z Londynu w biały dzień otwartą

dorożką i nikt nie zwrócił na nich uwagi. Wiewiór wiedział, że nikt ich nie śledzi, bo uważnie się rozglądał.

Jacob miał rację, nie trzeba było wiele. Zmień pojazd, zmień fryzurę. Ubierz się jak ktoś inny, a ludzie uznają cię za kogoś innego.

Zanim Szczypior wziął go do swojej bandy, Wiewiór ubierał się zawsze w stylu ulicznym: w jakiekolwiek łachy, które zdołał zdobyć i utrzymać na grzbiecie. Jacob był wprawdzie strasznym łotrem, w przeciwieństwie jednak do innych hersztów w Londynie, karmił swoich chłopców, zapewniał im ubranie i dach nad głową.

Gdy zameldowali się w wynajętych pokojach gospody Pod Niebieską Gęsią, Wiewiór miał na sobie prawie nowy komplet ubrań. Nie brakowało mu żadnych guzików, nie miał dziur ani przetartych brzegów. Na łokciach nie było łat, na kolanach też nie. Miał także porządny kapelusz, fular, a nawet spinkę ze sztucznym klejnotem. Domyślał się, że Zdławiacz pobił kogoś – może nawet na śmierć – by zdobyć to ubranie. Nawet trochę go ta myśl uwierała, jednak starał się nie skupiać na przemyśleniach. Po prostu robił, co mu kazano.

Grał rolę służącego, Samuela. Zdławiacz miał jeszcze lepsze ubranie i udawał syna Jacoba, Humphreya. Freame zmusił go nawet do umycia zębów.

Jacob wyglądał oczywiście najokazalej. Przedstawiał się jako pan Joseph Green, kupiec z City, przebywający w Richmond z zalecenia lekarza. Zachowywał się również po pańsku, co nie było dla niego wielką nowością. Na ogół żył na wyższej stopie niż inni przestępcy, chodził nawet do szkoły, choć kiedy to było, nikt nie wiedział.

Zdławiacz wałęsał się po miasteczku, a Freame jeździł po wielkim parku, chłonąc widoki, jak twierdził. Czasem siadał w kawiarni lub tawernie i słuchał plotek. Z łatwością można się było tam dowiedzieć wszystkiego o Kruku i jego rodzinnym domu nad rzeką.

Mieszkańcy Richmond byli przyzwyczajeni do turystów, choć przede wszystkim latem. Teraz jednak pojawili się znowu, krążyli wokół ogrodzenia księcia Malverna i zaglądali przez deski, usiłując dojrzeć kogoś w ogrodzie. Jacob, Zdławiacz i Wiewiór mogli wmieszać się w tłum i gapić razem ze wszystkimi. Wiewiór spoglądał na ogrodzenie i liczył na to, że Jacob nie każe mu się na nie wspinać i przekradać przez ogród do domu.

Płot nie był wprawdzie trudny do sforsowania, ale Wiewiór bał się spotkania ze służbą. Lokaje i pokojówki kręcili się tu i tam, wychodzili z domu, pałętali się po dziedzińcu i nie znikali nawet na chwilę.

Miasteczko także niepokoiło Wiewióra. Było małe, wszyscy się znali i wiedzieli o sobie wszystko. Był przekonany, że widział również psy, choć Jacob zapewniał, że londyńska policja nie zapuszcza się tak daleko. Uznawał to zresztą za ostateczny dowód na to, że powinni dopaść Radforda w Richmond, gdzie na stałe zasiadał jedynie konstabl i kilku strażników.

Tego dnia Zdławiacz obserwował dom i słuchał plotek, a Jacob i Wiewiór jeździli gigiem po parku. Wiewiór siedział sztywno na ławeczce, rozglądając się wokół, jak zwykle.

Jacob szturchnął go znienacka.

– Przestań natychmiast! – Nie krzyknął. Powiedział to nawet dość łagodnie, lecz kuksaniec wcale nie był delikatny. – Nie możesz się tak ciągle rozglądać dookoła.

– Jestem ostrożny, jak kazałeś.

– Ale nie możesz tak kręcić łbem! Widać od razu, że coś knujesz. Nie chcesz chyba, żeby strażnicy zwrócili na ciebie uwagę. Jeździmy sobie, cieszymy się świeżym powietrzem, może natkniemy się na jakichś nowo upieczonych arystokratów. Żaden inny służący nie rozgląda się wokoło co minutę.

Nie chcąc znów oberwać, Wiewiór przestał się rozglądać i zwracać uwagę na każdy cień i gwałtowny ruch w tle. Starał się patrzeć przed siebie ze znudzoną miną, jaką podpatrzył u innych służących. Starał się także udawać, że cieszy się świeżym powietrzem, które go mierziło. Było go stanowczo za dużo. I za dużo drzew.

Dlatego właśnie, gdy wyjechali już z parku i ruszyli do gospody, nie zauważył Toby’ego, który wynurzył się z apteki i stanął na chodniku jak wmurowany, otwierając i zamykając pobladłe usta, jakby kołnierzyk nowej liberii próbował go udusić.

Toby stał tak przez parę minut, lecz Wiewiór nie przyjrzał mu się, kątem oka widząc jedynie czyjegoś wymuskanego służącego. Nie zauważył, że Toby wpatruje się w gig jak urzeczony, i przegapił malujący się na jego twarzy wytężony proces myślowy.

* * *

Bridget i Toby Coppy stali przed Clarą w jej gabinecie.

– Wiewiór – powtórzyła lady Bredon.

– Tak go nazywali w bandzie – potwierdziła Bridget. Dziewczyna opowiedziała Clarze o wszystkim, bo Toby nie radził sobie z dłuższymi przemowami. Ponadto wrócił z apteki tak roztrzęsiony, że w ogóle nie można było się z nim dogadać.

– Dlatego że ma duże zęby i pękate policzki, jakby trzymał w nich zapasy – wyjaśniła dziewczyna. – I dlatego, że jest zwinny jak wiewiórka i bardzo szybki nie tylko w pościgu i ucieczce, ale potrafi się też błyskawicznie wspinać i schodzić taką samą drogą. Wie pani. W czasie włamania.

– Zapewne w taki sposób uciekł z kryjówki, gdy przyjechała policja – powiedziała Clara, zwracając się do Toby'ego.

Pokiwał głową. Bridget wymierzyła mu kuksańca łokciem.

– Tak, Wasza Wysokość – wymamrotał Toby.

Wtedy zapewne widział go Radford. Dostrzegł go, uciekającego z kryjówki, i zapamiętał, jak błyskawicznie potrafi się poruszać. To dlatego wydał mu się znajomy w parku. Jakże mu zazdrościła takiego umysłu!

– Jechał powozem z jakimś mężczyzną – dodała Bridget.

To otworzyło Toby'emu usta:

– Myślałem, że to Jacob – wybuchnął. – Dlaczego? Bo tylko on jeden umiał powozić. Ale to był ktoś inny. Miał wąsy i nowiutkie ubranie. A powóz był nic takiego specjalnego. I wszyscy mówią, że Jacob nie żyje. Ale Wiewiór był na pewno Wiewiórem. Też był paradnie przebrany, ale go poznałem. – Wydął policzki i wytrzeszczył oczy.

– Toby zastanawiał się, co Wiewiór tu robi – podsunęła Bridget. – Był przerażony i chciał uciekać prosto do domu, bo wiedział, że chłopaki go nienawidzą. Ale przecież bardziej nienawidzą Kruka, to jest lorda Radforda. Więc Toby stwierdził, że warto się dowiedzieć.

– Śledziłem ich – wyznał. – Ale nie podeszłem blisko.

– Pojechali do gospody Pod Błękitną Gęsią i powóz wjechał na dziedziniec. Toby nie szedł dalej. Powiedziałam mu, że dobrze zrobił, bo przecież mogli go zobaczyć.

Clara zastanowiła się, jak to możliwe, że go nie dostrzegli. Choć jego liberia nie była tak fantazyjna jak strój Fenwicka, uszyto ją

z jaskrawozielonego adamaszku i obramowano złotą wstążką. Miał też lśniące epolety i guziki jak pół pięści.

Czy jednak – nawet gdyby go zauważyli – rozpoznaliby w nim dawnego Toby'ego? Pewnie nie. Gdyby Wiewiór nie miał tak charakterystycznej twarzy, być może Toby także by go nie rozpoznał w nowym stroju. Choć urodą przypominał nieco siostrę, Toby zdecydowanie nie miał rysów, które przyciągnęłyby uwagę większą niż jego nowy strój.

Jeśli chodzi o mężczyznę z powozu…

Clara miała pewne podejrzenia.

Podziękowała rodzeństwu i powiedziała chłopcu, że świetnie się spisał i że jest z niego dumna. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, naprawdę wykazał się odwagą.

Zaczynał dorastać do swej liberii.

Kiedy wyszli, Clara zastanowiła się, co robić. Miała tyle spraw do załatwienia. Ponadto Radford niebawem wróci i wpadnie w szał, jeśli się dowie, że zajęła się sprawą Wiewióra i jego wąsatego woźnicy.

Nie będziesz drążyła sprawy pucołowatego szpiega.

Musiała przyznać, że zakaz ten nie jest pozbawiony logicznych podstaw.

Nie miała doświadczenia w kontaktach z mordercami. Nie wiedziała, jak zorganizować obławę, i nie miała do tego prawa. Ryzyko wpakowania się w kłopoty było bardzo wysokie.

Jej mąż miał własne kłopoty i z pewnością nie potrzebował ratować nieposłusznej żony z kolejnej opresji.

No cóż… nie będzie zatem mieszała się do tej sprawy… bezpośrednio.

Następnego dnia ruszyła do miasteczka z panną Davis i Colsonem.

* * *

Wtorek, 8 grudnia

Radford dotarł do Willi Itaka późną nocą, w stanie skrajnego wyczerpania.

Resztką sił dowlókł się do biblioteki, by donieść Jego Wysokości, że uważne oględziny wykazały, iż Bernard zmarł na skutek uderzenia głową o kamień.

Uspokoiwszy myśli ojca, udał się na piętro do Clary. W łazience zastał wannę pełną parującej wody. Oczywiście. Clara pomyślała o tym z wyprzedzeniem i kazała ją dla niego naszykować. Została wychowana na perfekcyjną żonę.

Choć długa kąpiel dobrze by mu zrobiła, uporał się z nią w mgnieniu oka. Chciał już się położyć. Z nią. Tęsknił za nią nie do wytrzymania. Gdyby była z nim w zamku Glynnor, mogliby się kłócić i śmiać z jego krewnych. Mógłby porozmawiać z kimś, kto ma mózg. Kto go kocha. Pisała do niego, a on do niej, lecz to nie było to samo co rozmowa i patrzenie na jej twarz i ruchy jej pięknego ciała. List nie ujawniał jej emocji i myśli, ukrytych dla ogółu pod maską prawdziwej damy. Poprzez listy nie można też było zacieśniać małżeńskiej bliskości.

Wszedłszy do sypialni, Kruk zastał żonę w łóżku, czytającą z uwagą… *Rozprawę o Policji* Wade'a?

Był pewny, że studiowała to opasłe tomiszcze, by pokonać go w jakiejś nadchodzącej dyskusji.

Usiadł obok niej. Clara odłożyła książkę.

– Było bardzo źle? – zapytała.

– Ogólnie czy w szczegółach?

– I w ogóle, i w szczególe – wyjaśniła. – Ale, co też ja opowiadam! Obiecałeś w ostatnim liście, że dziś wrócisz, i dotrzymałeś obietnicy, zapewne kosztem snu i posiłków. Musisz być wyczerpany. Opowiesz mi jutro.

Radford nie starał się zaprzeczać. Był wycieńczony. Padł bezwładnie na poduszki i westchnął. Clara zdmuchnęła świecę i wtuliła się w niego, mrucząc. Przyciągnął ją do siebie, muskając wargami nocny czepek. To mu nie wystarczyło. Zdjął go i dotknął ustami jej włosów. W dotyku przypominały jedwab, a pachniały kwiatowym mydłem. I nią.

– Ta podróż w żadnej mierze nie dorównywała spędzaniu czasu z tobą – mruknął. – Jesteś o wiele zabawniejsza. I ładniejsza.

– Zabawniejsza? Jak królewski trefniś?

– Nie. Jak zagmatwane i pełne pułapek śledztwo w sprawie o morderstwo.

Roześmiała się cicho.

– Schlebiasz mi, ukochany.

– To szczera prawda. Nudziarze są wszędzie. Zawsze wiem, co powiedzą i zrobią. Na przykład przeklęci Radfordowie. Byli tak natarczywi i kłótliwi, jak się spodziewałem. Jedynym zaskoczeniem okazał się zmarły.

Westchnął, porządkując myśli. Rozsądek był łatwiejszy do opanowania niż emocje.

– Pogrzeb był dla mnie znacznie bardziej przykry, niż się spodziewałem.

– Musiałeś żywić w głębi ducha jakieś nadzieje na poprawę Bernarda, skoro nieustannie usiłowałeś mu pomóc i przekonać go do zmiany stylu życia.

– Robiłem to dla honoru rodziny, dla tytułu i dla ludzi, za których Bernard był odpowiedzialny. Nie dla niego.

– A jednak ucieszyłeś się na wieść, że stara się o damę – zauważyła Clara.

– Byłbym idiotą, gdybym się nie cieszył. Nie chciałem, by ojciec dziedziczył tytuł. Ja także nie planowałem zostać księciem. Lubiłem swoje życie.

– Niestety, to się już stało.

– Tak.

A rzeczywistość okazała się o wiele bardziej skomplikowana, niż sądził. Tak wiele musiał przemyśleć i uporządkować. Dosłownie nie wiedział, od czego zacząć.

– Miałam nadzieję, że Bernard się poprawi – wyznała Clara. – Nie znałam go, mimo to poczułam się okropnie rozczarowana. I zła na niego. Za to, że zmarnował swoją szansę.

Uczucia dotyczące Bernarda, wraz z innymi emocjami, tłoczyły się w najciemniejszym kącie umysłu Radforda. Były tak dobrze schowane, że nie wiedział nawet, co czuje. Nie był też pewny, czy chce się dowiedzieć.

– Tęskniłem za nim – stwierdził z zaskoczeniem. – To absolutnie nieracjonalne.

Położyła mu dłoń na policzku. Odwrócił głowę i pocałował jej palce.

– Uczucia – szepnęła. – To nie jest twoja mocna strona.

– Gardzę nimi. Niech to będzie twoja działka.

– Nie widzę uzasadnienia ni pożytku z tego, że zadręczasz swój wspaniały umysł emocjami. Zostaw je mnie, wraz ze sprawami domowymi. Będziesz mógł się skupić na… – Machnęła dłonią, furkocząc falbankami. –

Na tym, w czym jesteś dobry. Na logice, interesach i takich tam. Od tej chwili uważaj wielkie, straszne emocje za moje obowiązki.

Nie mógł się nie roześmiać. Złapał ją za nadgarstek.

– Chodź tu.

– Jestem tu – odparła.

– Bliżej.

– Nie wiem, jak mogłabym przysunąć się jeszcze bliżej.

– Pomyśl jeszcze raz.

* * *

Środa, 9 grudnia
Gabinet markizy Bredon

– Do licha, Claro, obiecałaś!

– Dosłownie niczego nie obiecywałam.

– Nie łap mnie za słówka! Powiedziałem ci wyraźnie, żebyś zostawiła to w spokoju. I powinnaś mieć dość rozumu, by wiedzieć, dlaczego cię o to proszę.

Zmrużyła ostrzegawczo oczy, lecz Radford był zbyt poirytowany.

– I poszłaś! Wystawiłaś się na pokaz groźnym przestępcom!

– Co za nonsens, zdumiewa mnie, że akurat ty pleciesz takie bzdury – nie wytrzymała Clara. – Przestępcy są wszędzie. Wszyscy wystawiamy się im na pokaz każdego dnia. I co niby mieli pomyśleć, widząc mnie? Ach, oto przechodzi nowa markiza Bredon ze swym lokajem i pokojówką?

Z ogromnym trudem powstrzymywał wybuch gniewu i było to niemożliwie frustrujące. Nigdy nie dawał emocjom przystępu do siebie, nie zdradzał ich innym. Chyba że na pokaz, na sali sądowej.

Lecz serce łomotało mu z lęku – o nią – a w umyśle zapanował chaos. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W ogrodzie Toby popychał alejką wózek z księciem Malvernem. Jak na grudzień dzień był wyjątkowo pogodny. Ojciec był dobrze owinięty szalem i kocem. Matka szła obok, opowiadając o czymś.

Zaczęli korzystać z posług durnowatego chłopaka nadzwyczaj prędko.

To był pomysł Clary. Zaiste nie próżnowała, gdy wyjechał.

Ale tamto…

– Dlaczego mieliby mnie o cokolwiek podejrzewać? – zapytała. – Jestem tylko kobietą. Bezsilną, głupią i niezaradną. Wszyscy to wiedzą, nawet kryminaliści. Kobiety się nie liczą.

Radford zamknął oczy i próbował się uspokoić. Podświadomość nie dawała za wygraną, szalejąc ze strachu, wściekłości i zamętu wywołanego wspomnieniami nocy i poranka, gorącej miłości i… och, Bóg wie czego jeszcze. Emocji.

Emocje to działka Clary.

To sprawa dla prawnika – powiedział sobie w myślach. *Wyobraź sobie, że jesteś na sali sądowej. Rozważ wyłącznie fakty*.

To ma być małżeństwo? – ciskała się podświadomość. *Czy Wasza Wysokość oczekuje, iż zapomnę o mej żonie i własnych obowiązkach?*.

Radford pamiętał każde słowo przysięgi.

A świętą instytucję małżeńską powołano z następujących powodów… Powód trzeci: aby małżonkowie byli dla siebie wzajemnym towarzystwem, wsparciem i pomocą zarówno w dobrych, jak i trudnych chwilach.

Wzajemną… pomocą i wsparciem.

Cierpliwie czekał, aż zamęt w głowie się uspokoi.

Odwrócił się do żony. Stała przy kominku, gdzie na półeczce zgromadzono urocze drobiazgi idealnie nadające się do ciskania. W tej chwili nie wyglądała jeszcze na gotową do aktów przemocy, jednak w błękitnych oczach lśniły złowrogie błyski, a dłoń miała mocno zaciśniętą na pasku.

– Claro, sądzę, że to Freame.

– Tak i ja założyłam. – Kiwnęła głową. – Dlatego właśnie…

– Przecież żaden z londyńskich prawników, kupców czy za kogóż tam się podaje, nie przygarnąłby takiego łachudry. Wiewiór to ulicznik o twardym karku. Gdy byłem jeszcze na zamku Glynnor, napisałem do inspektora Stokesa o pucołowatym chłopaku i otrzymałem od niego obszerny raport. Choć nowy w gangu Freame’a, Wiewiór zdążył już zapracować na pokaźną kartotekę i opinię bezlitosnego zabijaki.

Clara zachowała kamienną twarz.

– Jest wyjątkowo umiejętnym włamywaczem – ciągnął Radford. – I podopiecznym Szczypiora.

– Dzięki Bogu zatem, że Toby go spotkał – odezwała się wreszcie. – Co by to było, gdyby wpadła na niego Bridget!

– Bridget byłaby na tyle bystra, by uciec w inną stronę, a nie, jak ty, jechać prosto do ich gniazda.

– Nawet się do nich nie zbliżyłam! Żadne z nas nie spotkało Freame’a ani Wiewióra. Nie bądź głuptasem.

– Ja?!

– Pozwól, że opowiem ci to jeszcze raz, gdyż poprzednim razem na pewno nie słuchałeś.

– Słyszałem każde…

– Colson wstąpił do stajni na plotki – ucięła Clara. – Jak to zwykle robią lokaje. Nie musiał nawet zadawać pytań. Stajenni sami opowiedzieli mu wszystko o wszystkich, w tym także o panu Josephie Greenie, przebywającym w Richmond z zaleceń lekarza. Przyjechał z synem Humphreyem i młodym służącym Samuelem. Ja byłam bezpieczna i pod opieką panny Davis, kilka ulic dalej, w sklepie. Nie ma powodu do histerii.

– Histerii!

Syn Humphrey i służący. Kim był ten syn? Kilka tuzinów chłopaków umknęło z obławy, w tym także Zdławiacz.

Radford poczuł ucisk w gardle.

– Przypominasz mi mamę, doprawdy – prychnęła Clara.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał. Dzwoniło mu w uszach.

Nie dając mu czasu na odpowiedź, ciągnęła:

– Takie sceny świetnie sprawdzają się na sali sądowej, ale nie stosuj ich w małżeńskim pożyciu, proszę. Chyba że zamierzasz doprowadzić do rozwodu.

Radford przez chwilę rozważał, czy nie zapadł ponownie na tyfus. Nie mógł przecież słyszeć tego, co zdawało mu się, że właśnie usłyszał. Przez chwilę bezwiednie otwierał i zamykał usta.

– Czy straciłaś rozum? Rozwód?

– Masz rację, to trochę za wcześnie. Separacja.

– Przestań gadać bzdury.

– Sam zacząłeś. Wpadłeś w szał, bo wysłałam szpiega, by uzyskał informacje niezbędne dla zachowania bezpieczeństwa tej rodziny.

Wcale nie wpadł w szał. Nigdy nie wpadał w szał. Był najspokojniejszym i najbardziej rozsądnym mężczyzną, jakiego nosił świat. Odparł niebywale spokojnie:

– Bezpieczeństwo rodziny nie jest obszarem, za który ponosisz odpowiedzialność.

– Ależ jak najbardziej. Zwłaszcza kiedy cię nie ma. Co zaś do szpiegów, sam chętnie korzystałeś z pomocy Millie, o ile dobrze pamiętam. Ja jednak nie mogłam się do niej udać, nie wywołując plotek, które w mgnieniu oka obiegłyby całe miasteczko. Wszyscy tu wszystko o wszystkich wiedzą. Czasem nawet, zanim się cokolwiek wydarzy. Doprawdy, mój mężu, zachowujesz się nieracjonalnie. Rozumiem, że przechodzisz teraz trudny okres, lecz…

– Nie odnajduję w nim nic trudnego. Z łatwością udźwignę tytuł, dziękuję za troskę. I zapewne zrobię to lepiej niż poprzednicy.

– Nie jesteś jednak w stanie udźwignąć mnie, jak widzę – stwierdziła. – Podejrzewam, że to z powodu atakujących cię emocji. Niestety, jestem zbyt rozdrażniona, by ci je teraz tłumaczyć. Proponuję, byś znalazł sobie coś pożytecznego do zrobienia. Albo kogoś innego, na kim wyładujesz swój gniew. Mam mnóstwo listów do napisania i setki próbek tkanin do obejrzenia. Obie te czynności wymagają ode mnie skupienia i spokoju.

Otworzył usta, żeby odwarknąć coś obelżywego, lecz zmienił zdanie.

Wypadł z jej gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Usłyszał, jak coś rozbija się o nie z hukiem.

Rozdział 19

Zachwycająca w ostatnich dniach pogoda zachęciła
Jej Miłość do przechadzek. Królowa odbyła także kilka
przejażdżek z królem bądź krewnymi.
„Życie Dworu”, sobota, 5 grudnia 1835 roku

Clara opadła ciężko na krzesło przy biurku.

Nie. Nie pozwoli sobie popaść w paranoję.

Radford jest nie do wytrzymania!

Chwyciła pióro i zaczęła pisać kolejny list, lecz jej dłoń tak drżała ze złości, że rozdarła kartkę, zaplamiła ją atramentem i złamała pióro. Wzięła nożyk i próbowała je naprawić, ale tylko pogorszyła sprawę. Poderwała się z krzesła i wpadła jak burza do gabinetu męża. Kiedy wyjechał, uporządkowała jego biurko. Dotykanie należących do niego przedmiotów bardzo ją uspokajało. Wiedziała też, że Radford nie cierpi, kiedy ktoś rusza jego rzeczy, i będzie mogła mu potem dokuczać.

Coś ścisnęło ją w gardle.

Ukradła pióro z szuflady, ale to nie ukoiło jej wzburzenia. Wciąż była wściekła. I zraniona.

Zdawało jej się, że Radford ją rozumie.

Sam powiedział jej rodzicom, że ktoś musi dodawać jej odwagi do bycia sobą.

Otworzyła szuflady biurka i zaczęła przekładać rzeczy, burząc porządek, którego Radford obsesyjnie pilnował. Włożyła linijkę do małego pudełka, w którym trzymał ołówki. Wyjęła papier listowy z górnej szuflady i szerzej otworzyła dolną, by go tam umieścić. Sięgnęła na dno, żeby wyjąć to, co Radford tam schował, i zamarła.

Spodziewała się notesów albo kopert, a dotknęła jakiejś bezkształtnej paczuszki luźno owiniętej bibułką. Odłożyła papier na stół i wyjęła

pakunek. Bibułka rozchyliła się, ukazując fragment miękkiej cielęcej skórki.

Clara opadła na krzesło męża, położyła paczkę na biurku i rozchyliła bibułkę. Rękawiczki. Damskie rękawiczki. Bardzo brudne, ale świetnej jakości. Wciąż pachniały lawendą… którą panna Davis zawsze wkładała między jej ubrania.

Jej rękawiczki! Najprostsza i najskromniejsza para, którą włożyła, gdy pojechali ratować Toby'ego.

„Niech pani spojrzy na swoje rękawiczki!" – wykrzyknął wtedy Radford, wściekły do nieprzytomności z powodu takiego drobiazgu. Pamięta, że zdjęła je w powozie, ale co potem? Kiedy wróciła do domu, panna Davis zapytała: „Czy moja pani zgubiła kolejne rękawiczki?".

Clara założyła, że upadły jej na chodnik, kiedy wyskakiwała z powozu, udając obojętność i uprzejmą pogodę ducha, których w ogóle nie odczuwała. Albo że spadły na podłogę, gdy Radford ją całował. Pewnie woźnica wziąłby je sobie.

Najwyraźniej jej założenie było błędne. Radford je znalazł. I zatrzymał.

Coś ścisnęło ją w gardle.

Usłyszała kroki na schodach.

Owinęła rękawiczki bibułką i schowała je w miejscu, w którym je znalazła. Błyskawicznie wrzuciła resztę rzeczy do górnej szuflady, zatrzasnęła ją i pobiegła do siebie, zabierając pióro. Zdążyła usiąść za biurkiem i ułożyć przed sobą jakąś kartkę, gdy Radford wpadł przez drzwi.

Serce jej łomotało. Zacisnęła palce na piórze, aż pobielały jej opuszki. Miała szczerą ochotę rzucić pióro, ukryć twarz w dłoniach i się rozpłakać. Przypomniała sobie surową twarz babki i przełknęła łzy. Zacisnęła wargi, żeby nie zadrżały.

Radford zamknął drzwi i podszedł do biurka.

– Do licha, Claro, czy zraniłem twoje uczucia?!

– Ależ bynajmniej – odparła. – Nie znajduję uzasadnienia dla twego nieracjonalnego miotania się.

Oparł dłonie na biurku, pochylił się i spojrzał jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie, dumnie unosząc podbródek.

– Zraniłem cię – oznajmił.

– Obiecałeś!

– Obiecałem?

– W czasie obrony przed moimi rodzicami. Powiedziałeś im, że muszę być sobą. Że będziesz mnie zachęcał i wspierał. Ty…

– Pamiętam.

Ku jej zdumieniu nagły rumieniec oblał policzki Kruka.

– Mówiłeś im o moim rozumie, o niezwykłym intelekcie. Ale przed chwilą zachowywałeś się, jakbym go jednak nie miała. Ty…

– Tak, już wiem – przerwał niecierpliwie. – Mogłem trochę przesadzić.

– Trochę? Obraziłeś moją inteligencję. Bez najmniejszego powodu!

– Jednakowoż jakieś bym…

– Żadnych – ucięła. – Ani jednego. Wcale. Nihil. Gdyby twój wspaniały mózg nie był zablokowany, zobaczyłbyś, że przeprowadziłam śledztwo równie sprytnie i dyskretnie, jak ty byś to zrobił.

– Ja zrobiłbym to zupełnie inaczej.

– Oczywiście. Jesteś mężczyzną i możesz działać swobodniej. Ja jestem ściśnięta gorsetem zasad i zakazów.

– Za wyjątkiem tych, które w swym szaleństwie sam próbuję wdrażać.

Nie była gotowa na dyskusję o własnych błędach.

– Nie podjęłam żadnego ryzyka – zaznaczyła. – Nie mogłam być bardziej ostrożna. Nie śledziłam tych przestępców, nie zbliżałam się do nich. Jedynie zbierałam informacje, które przedstawiłam ci, gdy tylko odpocząłeś po podróży. Gdybym miała możliwość zrobić to jeszcze raz, na pewno postąpiłabym tak samo, bo na ten moment nie chcę jednak, żeby ktoś cię zamordował!

– Na ten moment?!

– Nie jestem w nastroju na żałobę – odparła. – Już i tak noszę żałobę po twoim kuzynie, za którego zdecydowanie mogłam wyjść, i okazuje się, że czerń nie pasuje do mojej cery. Wolałabym nie przedłużać niepotrzebnie tego czasu. Jak również nie przedłużać dochodzenia w sprawie szwendających się dookoła szpiegów, zwłaszcza że to ciebie chcą dopaść, a nie mnie.

Radford przyjrzał się sukni żony.

– W czerni jesteś nieco bledsza niż zwykle, choć w ataku furii ładnie podkreśla twoje rumieńce. Nie uznałbym, że do ciebie nie pasuje.

– Nie podlizuj się – prychnęła Clara, czując, że serce w niej topnieje. Była bezsilna. Żałowała, że znalazła rękawiczki.

– Claro…

– Nie Claruj mi tu. Dla ciebie jestem „szanowną żoną”.

– Szanowna żono, za bardzo dramatyzujesz. Zaiste, wyjdź za Bernarda.

– Przy mnie mógłby wyjść na ludzi! A z ciebie nic się już nie da zrobić. Twój upór i bezmyślność przekraczają wszelkie granice.

– Wiedziałaś, że jestem uparty, zanim za mnie wyszłaś. Wszyscy to wiedzą. Mój portret jest w słowniku obok tego pojęcia.

– Nawet się nie starasz.

– Nie muszę się starać być upartym – westchnął Radford. – To wychodzi jakoś tak naturalnie.

Clara miała ochotę rzucić mu się w ramiona. Nie chciała się z nim kłócić. Kochała go tak bardzo, pomimo wszelkich wad. Kochała wszystkie jego wady.

Napomniała się w duchu, że musi walczyć o małżeństwo, jakiego naprawdę pragnie. Mogą być partnerami i przyjaciółmi, jak jego rodzice. Mogą zostać małżeństwem, jakie Clara zawsze uważała za fantazję. Ale to się nie stanie samo. Musi o to zawalczyć.

– Nie starasz się być mężem, którego można jakoś wytrzymać.

– Wytrzymać! Dziewczyno kochana, żądasz niemożliwego.

– Zdaję sobie sprawę, że przechodzimy właśnie przez katastrofę odziedziczenia tytułu – ciągnęła butnie, bo po „dziewczyno kochana” niemal rzuciła mu się na szyję. – Lecz nie bierzesz pod uwagę, że ten wstrząs dotknął także mnie. Owszem, wychowano mnie na księżnę, ale zamieszkałam teraz w domu, który nie ma nic wspólnego z moją dotychczasową sferą, nie ma żadnych więzów towarzyskich, nie bywa na dworze, a co więcej, w ogóle nie jest na to przygotowany. I nie chce, żeby to uległo zmianie. – Odetchnęła i dodała prędko: – Nie myśl, że mam żal do twoich rodziców. W pełni rozumiem to, że pragną spokoju i tylko własnego towarzystwa. Dawałam sobie ze wszystkim radę zupełnie sama, a ty przyjeżdżasz i masz jedynie uwagi i pretensje!

Radford odchylił się, jakby go uderzyła.

Wyprostował się i Clara przez chwilę obawiała się, że znów wybiegnie, lecz Kruk tylko odetchnął.

– Masz rację – powiedział.

– Rację? – zatchnęła się. – Mam absolutną słuszność! Mogłabym rozpisać to w punktach na cztery strony. Ale muszę wybrać zasłony do Malvern House. Mama nie znalazła połowy mebli widniejących w ostatnim

spisie inwentarza, ale może to nie ma znaczenia, bo to, co zostało, i tak do niczego się nie nadaje.

– Zdaję sobie sprawę, że…

– Nie zdajesz. Nie masz najmniejszego pojęcia. Służba w Malvern House jest nie tylko nieliczna, ale przede wszystkim niekompetentna. Wszystkich musimy wymienić. Nie wiesz nawet, jak czasochłonne i trudne to zadanie.

– Z pewnością aż tak wielu…

– Ten dom ma czterdzieści albo pięćdziesiąt pokoi! Nie wiemy, ile konkretnie, bo nie ma żadnych aktualnych planów. Ma pięć pięter i nawet upór mojej matki tu nie wystarczy.

Radford skulił się i podszedł do kominka. Założył dłonie za plecami i stał tam przez chwilę, wpatrując się w ogień. Cisza się przeciągała. Clara słyszała syczenie płomieni i głośne bicie własnego serca.

Objęła spojrzeniem jego wysoką, smukłą sylwetkę i szerokie ramiona. Przypomniała sobie chudego wyrostka sprzed lat, który bronił jej honoru w walce ze zwalistym osiłkiem. W tamtej chwili wydawało jej się, że Bernard ma rozmiary słonia.

Pomyślała o rękawiczkach.

Przypomniała sobie noc i poranek, ich splecione ciała. Jakże tęskniła za spaniem z nim! Choć byli małżeństwem od niedawna, bardzo prędko uzależniła się od ciepła jego muskularnego ciała i wrażenia, że wreszcie odnalazła swoje miejsce na ziemi.

Należała do niego. Chciała tylko jego i nikogo więcej. I choć zależało jej na partnerstwie, uważała, że powinno być uczciwe, sprawiedliwe i odpowiednie dla obu stron. Musiała też wziąć pod uwagę ciężar, jaki spadł na jego ramiona.

To nie było życie, do którego dorastał i jakie planował.

Nie takiego życia pragnął.

Lubiłem moje życie – powiedział.

– Możliwe, że ja również nie zachowuję się racjonalnie – powiedziała cicho.

– To prawda – odrzekł. – Racjonalnym zachowaniem w twojej sytuacji jest zapewne szlochanie, tupanie i rwanie sobie włosów z głowy. Moi rodzice z radością zrzucili na ciebie wszystkie obowiązki, nasz nowy dom wymaga zatrudnienia armii, by doprowadzić go do porządku, a twój mąż jest ślepy na wszystko poza swą samczą i średniowieczną potrzebą

bronienia swej własności. Co w jego prymitywnym przekonaniu obejmuje także jego żonę.

Odwrócił się i napotkał jej zdezorientowane spojrzenie.

– Widzisz, co się dzieje, gdy emocje biorą nade mną górę – westchnął. – Niczego nie mogę zrozumieć, nie myślę jasno. Reaguję nieracjonalnie. Powinienem był pogratulować ci i pochwalić za sprytne dochodzenie. Gdybyś miała możliwość i poprosiła mnie o radę, zakładając, że byłbym w stanie jasności umysłu, a tego nie mogę ostatnio zaręczyć, poradziłbym ci właśnie to, co sama zrobiłaś.

Ucisk w gardle Clary trochę zelżał.

– Dobrze powiedziane, mój uczony przyjacielu.

– Czy to oznacza, że odłożysz plany rozwodowe przynajmniej na najbliższy miesiąc?

– Wolałabym – zgodziła się. – Rozwód jest czasochłonny, a ja teraz nie mam czasu.

Rozwód, rzecz jasna, był w ogóle niemożliwy, jeśli nie wniósł o niego mąż. To jednak kolejny powód, dla którego warto przepracować wszelkie niejasności już na początku.

– Czy mogłabyś uprzejmie odłożyć na chwilę kwestie związane z przeklętym Malvern House? – zapytał z wyszukaną grzecznością. – Musimy jak najszybciej i ostatecznie uporać się ze sprawą szpiegów.

– My – powtórzyła, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Freame bez wahania i żalu poświęci chłopaków, żeby ratować własną skórę – dodał. – Nie ma krzty honoru. Nie wiem, doprawdy, dlaczego Wiewiór wciąż się go trzyma, zamiast znaleźć inną bandę, jak reszta uciekinierów, ale jego pobudki z pewnością nie są szlachetne. Co zaś do trzeciego członka tego gangu, domyślam się, kto to, i mogę zaręczyć, że również nie jest świętoszkiem. Wysłali Wiewióra przodem, żeby się zorientował w terenie, a teraz są tu wszyscy. Nie podoba mi się to. Wygląda jednak na to, że okazałbym się nikczemnikiem i głupcem, gdybym usiłował trzymać cię od tego z daleka.

– Och, Kruku… – Clara wstała z krzesła, gotowa rzucić mu się w ramiona.

– Jednak najpierw, lady Bredon, wyznasz mi wszystkie swe grzechy. Co jeszcze uczyniłaś?

* * *

Otworzyła szeroko oczy i rozchyliła wargi, pokazując wyszczerbiony ząb, który na zawsze został dla niego dowodem jej szaleńczej odwagi i potrzeby bronienia go przed każdym zagrożeniem.

Była gotowa o niego walczyć. Sama ta gotowość była heroiczna.

„Uparty” było uroczym niedopowiedzeniem.

Jego zimna logika zazwyczaj doprowadzała kolegów do łez rozpaczy, widownia zaś płakała ze śmiechu. Gdyby próbował doprowadzić do łez Clarę, byłyby to łzy wściekłości. I mógłby czymś oberwać.

Clara prędko odzyskała pewność siebie. Spojrzała na niego chłodno.

– Jeszcze nie miałam okazji – oznajmiła. – Zmusiłeś mnie do obrony i bezcelowych kłótni. Proponuję, byśmy wyszli na krótki spacer po ogrodzie. Dzień jest tak ciepły, świeże powietrze rozjaśni nam w głowach.

– Moja głowa jest zupełnie jasna.

– Bez wątpienia tak sądzisz. Poślę po nasze płaszcze i szale.

Radford niemal podskakiwał ze zniecierpliwienia, czekając, aż służba przyniesie im okrycia. Wreszcie wyszli do uroczego ogrodu urządzonego przez jego matkę. Nawet zimą cieszył oczy. Clara uwiesiła się na ramieniu męża i napięcie wyraźnie zelżało.

Nosiła żałobę po durnym Bernardzie. On – codzienną czerń.

– Wyglądamy zaiste jak państwo Krukowie – stwierdził.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Ty zawsze wyglądasz świetnie w czerni. Przystojnie i niebezpiecznie.

– Ty także wyglądasz doskonale. Dramatycznie. Wyobrażam sobie twoje stylistki, mdlejące z ekstazy, gdy dowiedziały się, że potrzebujesz żałobnej wyprawy. I to nie byle jakiej! Nie zwykłych poczernionych pakuł, tylko oszałamiająco kosztownej, ociekającej klejnotami żałoby pasującej do markizy.

– Wiedzą, że nie wyglądam zbyt dobrze w czerni – prychnęła Clara. – Musiały się trochę wysilić.

Radford uważał, że jego żona nie wymaga specjalnych wysiłków, by oszałamiać urodą, ale nie powiedział tego na głos.

– Jakże nieodpowiedzialnie zachował się Bernard, umierając tak znienacka – westchnął. – Z drugiej strony, nie zdążył do reszty przepuścić dziedzictwa. Kiedy przyjdą rachunki z eleganckim emblematem Maison

Noirot, przejrzę je spokojnie, nie próbując poderżnąć sobie gardła nożykiem do listów.

– Gdybyśmy nie odziedziczyli tytułu, byłabym bardziej oszczędna – ucięła Clara. – Teraz jednak muszę się ubierać stosownie do twojej pozycji.

– Moja wspaniała żono, pasujesz mi w każdej pozycji. I jestem przekonany, że to, co zamierzasz mi powiedzieć, także wzbudzi mój entuzjazm. Bez wątpienia doznam ataku serca albo udaru, tocząc z ust pianę i bełkocząc, ale wszystko wskazuje na to, że po prostu muszę się nauczyć z tym żyć.

Przycisnęła się mocniej do jego ramienia. Był pewien, że muska go pełną piersią, ale wyłącznie dlatego, że wiedział, gdzie znajduje się jej pierś. Miała na sobie zbyt wiele warstw, by mógł poczuć jej dotyk.

– Rozejrzyj się – powiedziała.

Radford ogarnął wzrokiem ogród. Szli żwirową ścieżką, którą w sezonie otaczały kwietne dywany, zmieniające kolor wraz ze zmianą pór roku. Posiadłość rodziców była niewielka, wciśnięta zgrabnie pomiędzy rozległe ziemie hrabiego Cadogana, markiza Lansdowne’a i księżnej Devonshire. Szczęśliwie w Richmond znajdowały się również skromniejsze domy i Willa Itaka pasowała wyśmienicie do poważanego prawnika.

Zimą ogród zdobiły jedynie wiecznie zielone krzaki i widać było z daleka domy sąsiadów. Co oznaczało także, że podróżni idący drogą do Richmond Green albo w stronę rzeki mieli również lepszy widok na dom i ogród Radfordów.

– Widać nas jak na dłoni – zauważył Kruk.

Nie było to nic odkrywczego. W sezonie przez Richmond przelewały się tłumy. Przy nabrzeżu roiło się od łodzi, park prawie pękał w szwach. Do tej pory jednak Kruk nie miał ani powodu, ani czasu, by się zastanawiać nad tym, czy rodzice mieszkają w bezpiecznej okolicy.

– Niemal wszyscy żyją jak na dłoni – odparła Clara. – Zwłaszcza ci, którzy mieszkają wzdłuż rzeki i chcąc mieć ładny widok, stawiają jedynie niskie płotki. Gdy Bridget powiedziała mi o Wiewiórze, żałowałam, że nie mamy wysokiego muru. Ale nie da się go zbudować w jeden dzień, poza tym jest niepraktyczny i brzydki.

Wysoki mur zrobiłby z tak małej posiadłości ciasne więzienie.

– Zatrudniłam więc dodatkowych służących do patrolowania ogrodu według nieprzewidywalnego scenariusza i o nieokreślonych godzinach. Aby

nie wzbudzić podejrzeń w naszych prześladowcach, rozpuściłam plotkę, że martwię się wiecznymi najazdami londyńskich pismaków, węszących nam pod oknami.

Radford spojrzał na nią ze zdumieniem. Policzki miała zaróżowione z dumy, ale to nie powinno go zaskakiwać.

– To było sprytne – pochwalił. – I jakże prawdziwe. Jestem pewny, że dziennikarze także się tu wałęsają, wchodząc w drogę Jacobowi.

– Sprytne – powtórzyła Clara. – Nie wiem, czy nie zemdleję z wrażenia.

– Nie mdlej. Widzę, że pękasz z dumy, więc na pewno masz mi coś jeszcze do powiedzenia.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Jak się zapewne domyślasz, wieści rozchodzą się po Richmond w mgnieniu oka. Jeszcze tego samego dnia pojawił się u nas konstabl i obiecał, że będzie pilnie obserwował nasze ziemie. Przy okazji wyjaśnił mi, że zarządzenia Policji Metropolitalnej nie dotyczą już tej części Surrey.

– Owszem. Nie wliczają nas do przedmieść stolicy – potwierdził Radford.

– Dlatego też nie miało sensu zaprzątanie głowy lokalnym stróżom prawa młodocianymi przestępcami z Londynu podróżującymi w towarzystwie wąsacza.

Wciąż jej nie doceniał, co było tak głupie, że aż do niego niepodobne. Owszem, jest piękna, ale nie ożenił się z nią wyłącznie dla urody, choć nikt by go za to nie potępił. Clara była istotą złożoną, jak śliczna, lecz precyzyjna układanka. Nie sposób było się z nią nudzić, zaskakiwała go każdego dnia, a to dlatego – przypomniał sobie znowu – że była nieprzeciętnie bystra.

– Wydaje mi się, lady Bredon, że z czasem i pod czujnym okiem odpowiedniego mistrza mogłabyś wypracować coś w rodzaju… mózgu – powiedział poważnym tonem.

Przyłożyła dłoń do czoła.

– Gdzie moje sole trzeźwiące?

– Nie czas na omdlenia. Wróciłem i Freame niebawem zaatakuje. Potrzebujemy planu. I to prędko.

* * *

Piątek, 11 grudnia

Śniadanie w gospodzie Pod Błękitną Gęsią stało się ulubioną chwilą w nudnym rozkładzie dnia Wiewióra. Czuł się wtedy trochę jak w Londynie. Było tłoczno, głośno i duszno. Wśród gwaru rozmów i terkotu kół na dziedzińcu ludzie wbiegali i wybiegali do swoich spraw i nikt nie zwracał uwagi na Jacoba i Zdławiacza. Siedzieli za swym ulubionym stołem przy oknie, przez które obserwowali przechodniów. Wiewiór stał przy nich jak wierny sługa, czekając na polecenia.

Wszyscy trzej słuchali chciwie każdej rozmowy, każdej plotki. Kruk wrócił, tak jak przewidział Jacob. Niestety, zlecieli się też dziennikarze i przez tych darmozjadów nie dało się nawet podejść do domu Kruka, bo zaraz jakiś strażnik albo służący wyrastał jak spod ziemi z groźną miną i złym słowem.

Jak mówił Jacob, nie mieli tu policji jak w Londynie. Za to każdy pałac i każda willa miała prywatną straż, patrolującą ogrody i parki wokół posiadłości, te zaś otaczały się nawzajem i chroniły jedna drugą przed wzrokiem obcych.

Jacob aż się gotował, by dorwać Kruka, nie był jednak na tyle zdesperowany, by posłać Wiewióra przez płot. Ryzyko było zbyt duże.

Uchwalili, że jeśli którykolwiek z nich wpadnie, reszta zwiewa. To było konieczne. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że ta trójka przyjechała razem.

Jacob naburmuszył się i zmarszczył brwi, dziobiąc śniadanie tak zaciekle, jakby dźgał zwłoki Kruka. – Oczywiście, musimy teraz zaczekać na naradę architektów – grzmiał ktoś przy dużym stole. – Malvern House jest jednym z najpiękniejszych pałaców w stolicy, lecz doprowadzili go do opłakanego stanu. Lady Bredon chce, by wszystko w nim odnowić zgodnie z planem. Od piwnic po dach. Mnie to tylko cieszy.

Przemawiał stary grzyb wyglądający na kupca. Nie byle jakiego, bogacza z wielkim pierścieniem na palcu, w okularach i w peruce, jak na starego grzyba przystało.

Jacob przestał dźgać talerz i nadstawił uszu.

Ktoś przy dużym stole powiedział coś, lecz Wiewiór nie dosłyszał.

– Jeszcze nie – odparł kupiec. – Lecz Jego Wysokość powiedział mi, że wygrzebali z wozowni stary faeton księcia Malverna.

– Bardziej mu teraz przystoi, odkąd awansował – stwierdził jakiś służący. – I będzie wygodny podczas podróży do miasta z Jej Wysokością.

Niezbyt to wygodne dla nas, pomyślał Wiewiór. Z tyłu faetonu, oprócz wielkiego pudła do mocowania paczek i walizek, znajdowała się ławeczka dla dwóch służących.

Wcześniej Kruk zawsze podróżował samotnie, konno czy powozem.

Nasza szansa przepadła, zmartwił się chłopak.

– Jego Wysokość mówił, że faeton był w doskonałym stanie – dodał kupiec. – Nie trzeba było wiele zachodu, by nadać mu blasku.

Kupiec był poprzedniego dnia w domu Malverna i rozmawiał z Krukiem i jego Tyczką o zasłonach, meblach i tym podobnych. Dlatego ludzie obsiedli go od rana i wypytywali o najświeższe wiadomości. Nawet posługaczki kręciły się bezmyślnie dookoła, podsłuchując.

Jacob wślizgnął się w sam środek dyskusji, jak tylko on to potrafił. Zaczął wypytywać kupca o faeton, a stary prawie pękł z dumy, mogąc pochwalić się zażyłością z rodziną księcia. Po chwili zerwał się jednak i ruszył ku drzwiom. Jaśnie Pani na niego czeka! Freame dogonił go w korytarzu i zamienił z nim kilka słów.

Grzyb, jak się okazało, nazywał się John Cotton. Jacob umówił się z nim na kolację, więc Wiewiór i Zdławiacz mogli się zająć własnymi sprawami.

* * *

Richmond Park
wtorek, 15 grudnia

A więc to stanie się tutaj, czy się to komu podoba, czy nie.

Wiewiór nie znosił tego parku.

Było tu za dużo wszystkiego: stawów, łąk, drzew i pagórków. Na szczęście zrobiło się zimno, więc Kruk nie obwoził swej pani godzinami dookoła jak za pierwszym razem. Wyjechali na jedno okrążenie, bez służących. Tylko we dwoje.

Każdego dnia zjeżdżali z Richmond Hill, okrążali park i wracali do domu. Cotton wypaplał Jacobowi, że państwo obiecali sobie codzienne przejażdżki. Wiewiór wyśledził ich trasę.

Freame uznał, że to musi być tu. W Richmond wszyscy wszystko wiedzieli, wszystko widzieli, ale o tej porze roku nikt się nie zapuszczał do parku.

Jacob obmyślił plan i objaśnił im go krok po kroku. Wcześniej przyszli obejrzeć miejsce, które wybrał, i przećwiczyć napad. Potem zostawili Wiewióra, by pilnował rzeczy. Ukryli go wraz z wynajętą karetką pocztową za rzędem zimozielonych krzaków tuż przed bramą do parku.

Zdławiacz powiedział, że to będzie przednia zabawa.

Wiewiór chciał to już mieć za sobą.

Czekał i czekał, i wlokło się to bez końca.

Wreszcie usłyszał nadjeżdżający pojazd. Cztery koła, dwa konie. Faeton.

* * *

Radford dostrzegł ruch kątem oka, lecz nie zdążył zareagować, bo po ułamku chwili znajoma postać wynurzyła się z krzewów, machając połami płaszcza i wrzeszcząc: „Pomocy! Pomocy!”.

Chmara ptaków poderwała się z drzewa, szeleszcząc zeschłymi liśćmi, i skrzekiem ostrzegła przyjaciół o zagrożeniu. Konie spłoszyły się i poderwały, gdy Freame – to był na pewno on, z wąsami i tak dalej – wrzeszczał i machał połami płaszcza, trzymając się jednak z dala od kopyt.

Zdawał się krzyczeć: „Chodź i złap mnie!” i Radford miał ochotę rzucić się bez namysłu w pogoń, lecz konie miotały się dziko. Musiał je najpierw okiełznać.

– Oddaj mi wodze! – krzyknęła Clara.

Nagle z krzaków wystrzeliła kolejna, znacznie potężniejsza postać, rzuciła się na Radforda i ściągnęła go z ławeczki na drogę.

* * *

Tylko spokojnie – nakazała sobie Clara.

Skupiła się i odetchnęła głęboko, ściskając wodze. Radford zniknął. Clara zacisnęła zęby i usiłowała opanować konie. Nie wiedziała, co się dzieje za powozem i ilu złoczyńców wyskoczyło z krzaków na jej męża, ale nie mogła tracić czasu na bezmyślne gapienie się za siebie. Jeśli wypadnie z powozu, złamie nogę albo skręci kark, to na nic się już nie przyda. Nie

może też dopuścić do tego, by konie stratowały jej męża. Musi się skupić na tym, co robi. Uspokoić spanikowane zwierzęta stanowczym tonem i silną dłonią. Da sobie radę. Nie ma wyjścia.

* * *

Zdławiacz był młody, ale rosły i mocarny jak kowal. Zaparł się solidnie, chwycił Radforda za poły płaszcza i cisnął nim o ziemię jak kukiełką. Krukowi zadzwoniło w uszach. Poczuł falę paniki. Od uderzenia zamroczyło go na chwilę i w mgle przesłaniającej wzrok ujrzał drwiącą twarz Bestialskiego Bernarda.

Przecież on już nie żyje. Łajdak.

Świat rozbłysł nagle kolorowymi światłami. Radford miał wrażenie, że o czymś zapomniał. Chyba dokądś jechał, ale dokąd? Daleko? Na zawsze? Czuł w ustach smak krwi i twardą ziemię pod plecami. Mrok wciąż przesłaniał mu oczy.

Nie, chodziło o coś innego.

Miał przecież coś do zrobienia. Zapomniał coś powiedzieć.

Claro, kocham cię.

Nie! Nie czas teraz na to! Musi wstawać! Walczyć! Zrobić coś!

Niezgrabnie przetoczył się na brzuch i dźwignął na kolana. Wszak w szkole Bernard nokautował go raz po raz, więc doskonale wiedział, co musi zrobić. Czy jeszcze pamiętał?

Oparł ręce na ziemi i na oślep wymacał okrągły kamień. Zacisnął na nim dłoń. Otworzył oczy. Zobaczył wzniesioną nad sobą wielką pięść i twarz Zdławiacza upiornie wykrzywioną w szczerbatym uśmiechu.

Zachodzące słońce rozbłysło na ostrzu. Radford przetoczył się prędko, a opadający nóż wbił się w miejsce, gdzie jeszcze sekundę wcześniej znajdowała się pierś Kruka. Zdławiacz zaryczał z wściekłości i rzucił się na niego całym ciałem. Był wielki i ciężki, jakby matka natura wymurowała go z cegieł. Radford z trudem złapał oddech, lecz nie wypuścił kamienia z ręki. Zdławiacz dźgał z wściekłością nożem, a Kruk odbijał ciosy kamieniem. Wreszcie osiłek warknął i złapał swego przeciwnika za rękę, ściskając ją jak w imadle.

Roześmiał się triumfalnie.

– To za Szczypiora! – ryknął.

* * *

Freame z ulgą stwierdził, że Tyczka ma pełne ręce roboty. Walczyła z zaprzęgiem i jego zdaniem przegrywała tę walkę. To dobrze.

Byłoby jeszcze lepiej, gdyby powóz się wywrócił, a przeklęty Kruk skręcił kark. Ale nie! Drań rwał się do bitki!

Na szczęście zajmie się nim Zdławiacz. I jego nóż.

Jednak zanim Freame wychynął z krzaków, jakiś cień zeskoczył z pudła faetonu i rzucił się na Zdławiacza, obalając go na ziemię.

Cholerne pudło! Dlaczego Wiewiór nie wlazł na drzewo, żeby zobaczyć, co jest na górze? Freame nie czekał na wyjaśnienia. Zwiał.

* * *

Radford zebrał w sobie resztkę sił i szarpnął dłonią z kamieniem w stronę twarzy Zdławiacza, celując w nos. Rozległ się paskudny trzask. Osiłek ryknął i puścił Kruka, chwytając się za twarz. Spomiędzy palców buchnęła mu krew.

Coś zadudniło i po chwili Stokes wpadł na Zdławiacza, obalając go na ziemię. Radford wstał z trudem. Kręciło mu się w głowie. Cały park wirował wśród ciemnych i kolorowych smug. Kruk przytrzymał głowę, aby odzyskać ostrość widzenia.

Dojrzał ostatnie rozbłyski zachodzącego słońca prześwietlające gałęzie. Usłyszał znajomy dźwięk pędzącego powozu. Odwrócił się w tym kierunku i zobaczył faeton podskakujący na kamienistej ścieżce.

Clara.

Clara w rozpędzonym powozie.

* * *

Clara uspokoiła konie na tyle, że przestały się miotać i podskakiwać, wciąż jednak pędziły jak oszalałe alejką. Wiedziała, że zbliża się do zjazdu z pagórka i niebezpiecznego zakrętu na samym dole. Trzymała mocno wodze, usiłując nie wpaść w panikę i przypomnieć sobie, co Longmore mówił jej o uspokajaniu koni. Że sama musi być spokojna. Dobrze. I co dalej?

Nagle zobaczyła Freame’a. Gnał, jakby gonił go sam diabeł.
– O, nie! – krzyknęła. – Kruku!!! On ucieka!!!

Rozdział 20

Pod kruczymi skrzydłami – określenie pogody, gdy niebo ciemnieje i zwiesza się nad horyzontem, nadciąga burza lub sztorm właśnie ucichł, lecz chmury jak nieruchome skały sięgają prawie ziemi, a kruki siedzą wielkimi gromadami i obserwują kataklizm bystrym, uważnym spojrzeniem.
Charles F. Partington, *Brytyjska Encyklopedia*

Freame słyszał przejmujący krzyk Długiej Tyczki i puścił się w szaleńczym tempie przez park. Nie oglądał się za siebie, ale słyszał wszystko. Tętent kopyt, zbliżający się zdecydowanie za szybko. Dzwonienie uprzęży, łomot kół. Jacob nie odważył się biec przez pole. Droga była nieco wyboista, ale poza nią wszędzie piętrzyły się kamienie, rosły krzaki i drzewa. Wiedział, że w okolicy roi się od stawów, strumyków i jeziorek. Nie zamierzał złamać nogi ani utopić się w bagnie.

Nieważne. Już niedaleko.

Wiewiór czeka w powozie dosłownie kawałeczek dalej. Freame czuł, że da radę, choć być może będzie musiał na chwilę uskoczyć z drogi przed rozwścieczonymi końmi Tyczki. Ale to ona rozbije się niebawem na zakręcie. Trudno.

Jeszcze jeden wysiłek, jeden zakręt i już widać bramę parku. Wiewiór czeka z lejcami w dłoniach, popędzą od razu drogą do Putney, a potem przez most do Londynu.

Zaczął biec jeszcze szybciej.

* * *

Niech czują, że dziki pęd to twój pomysł – mówił Longmore. – Kieruj pewną ręką. Udawaj, że to wyścig. Udawaj, że świetnie się bawisz.

Konie pędziły. Nie mogły się zatrzymać. Reszta była w rękach Clary.

Musiała jedynie zachować spokój, mocno trzymać wodze, uważać na wyboje, mieć nadzieję, że żaden dodatkowy impuls nie spłoszy koni, i pozwolić im dopędzić Jacoba Freame’a. Drzewa zmieniły się w migające smugi. Spod kół powozu pryskały kamienie. Droga przed nią zdawała się szaleńczo stroma, a konie nabierały coraz większego pędu, niemal lecąc w kierunku ostrego zakrętu i gęstej grupy drzew i skał.

Lecz Freame zagwizdał, potem krzyknął coś i zaczął machać rękami. Clara dostrzegła ruch w krzewach za bramą. Czaiła się tam jakaś postać. Chłopiec. A za nim coś ukrytego w gęstwinie. Konie. I powóz! Freame gnał ku nim drogą.

Clara nie mogła pozwolić mu wsiąść do powozu. Nie mógł zostać na wolności i dalej knuć przeciwko jej mężowi! Strzeliła konie po zadach.

Freame obejrzał się przez ramię. Jego twarz charta zbielała ze strachu. Spojrzał przed siebie i wrzasnął coś do chłopca, lecz mały szpieg stał jak wryty, wpatrując się w Clarę nadciągającą ku nim jak sztorm, wśród rżenia koni, łomotu kopyt i turkotu kół powozu. Ptaki całymi chmarami zrywały się z drzew i krzyczały przenikliwie nad jej głową.

Freame ryknął gniewnie, uskoczył z drogi i zniknął.

– Nie! – krzyknęła Clara.

* * *

Krzyk Clary przeniknął serce Radforda jak nóż. Patrzył z oddali, jak faeton przechyla się na zakręcie. Oczyma wyobraźni zobaczył powóz przewracający się na bok, a potem do góry nogami i toczący się wprost na drzewa i skały, ciągnący ze sobą bezwładne ciało Clary.

Głowa Bernarda… uderzająca w kamień. Śmierć na miejscu.

Kruk zamrugał, odganiając straszliwą wizję, i zdusił atak paniki.

Usłyszał jej krzyk, a po chwili do jego uszu dobiegł męski głos. Faeton zakołysał się na jednym boku, potem opadł na cztery koła i potoczył się dalej już prosto. Stopniowo konie zwolniły i wreszcie zatrzymały się.

Radford nabrał tyle powietrza, ile zdołał, i puścił się pędem do Clary.

Wyglądała z powozu, patrząc w dół obok drogi, lecz usłyszała jego kroki. Spojrzała na niego z uśmiechem. Nieco przerażonym, trzeba było przyznać.

Przerażony czy nie, był to uśmiech Clary i Radford znów miał wrażenie, że słońce zaświeciło mu prosto w twarz, przedzierając się przez gęstniejący

mrok.

Była żywa. Nic jej się nie stało. Musiała być jednak roztrzęsiona. Sam Kruk nie czuł się najlepiej – nogi mu drżały, serce kołatało w piersi.

Ruszył ku niej, wyciągając ręce.

– Och, przestań – powiedziała Clara. Wskazała głową coś, co wyglądało jak sterta łachmanów przy drodze. – Nie chciałam go przejechać, chodziło mi tylko o to, żeby nie pozwolić mu umknąć, jednak droga jest tu tak wąska… Nagle uskoczył na bok, ale chyba się potknął. Krzyknął jeszcze, kiedy upadał, i już się nie podniósł. Nie wiem, czy żyje, czy zginął. Ale czy ktoś się zmartwi, jeśli nie przeżył?

Ledwie to powiedziała, z krzaków nieopodal wypadł chłopiec i pognał jak wicher ku Sheen Gate.

Radford mógł jedynie patrzeć na pędzącego Wiewióra. Nawet wypoczęty raczej by go nie dogonił. W obecnym stanie nie miał żadnych szans. Jednak nie musiał próbować. Zanim chłopak dobiegnie do mostu, porządnie się zmęczy, a przy rzece wpadnie w ręce strażników, czekających tam na uciekinierów.

Za mostem stało jeszcze kilku policjantów. Choć policyjny dekret nie obejmował Richmond, działał w Putney, dokąd ewidentnie podążał chłopak. Koledzy Stokesa nie pozwolą Wiewiórowi po raz kolejny wymknąć się z ich rąk.

Radford podszedł do swego prześladowcy.

* * *

Ustalili, że spotkają się z policjantami przy Sheen Gate.

Kruk zapakował więc jeńców do faetonu pod czułą opieką inspektora Stokesa, znanego niektórym jako John Cotton, kupiec. Brutalnego młodego osiłka w kajdanach Stokes nazywał Zdławiaczem. Strzaskaną nogę Jacoba Freame’a włożyli w prowizoryczne łubki, gdy był jeszcze nieprzytomny. Wszyscy byli brudni i poobijani z wyjątkiem Clary, która z całej tej przygody wyszła jedynie lekko zakurzona.

Płaszcz Radforda zwisał z niego w brudnych strzępach. Reszta odzienia nie wyglądała lepiej. W półmroku nie potrafiła rozróżnić plam. Ziemia, liście, woda. Krew. Widziała siniaki i zadrapania na twarzy męża. Na pewno miał też guza na głowie.

Była przyzwyczajona do śladów bójek. To było jednak coś innego. Clara czuła zimny węzeł w okolicach serca. Mogli ją zabić. Mogli zabić jej męża.

Zdławiacz okazał się zwalistym i umięśnionym brutalem o dłoniach jak bochny chleba. Mógłby gołymi rękami podnieść wołu i ugniatać metal jak wosk.

Turkot kół zagłuszał wszelkie dźwięki ze środka faetonu, lecz Clara wyłapywała co jakiś czas bolesne jęki i wściekłe pomruki Jacoba Freame'a. Czuła zapach fajki Stokesa.

– Nie wszystko poszło zgodnie z planem – odezwała się.

– Nigdy nie idzie – zgodził się Radford. – Stokes nas ostrzegał.

Głos miał bardziej szorstki niż zwykle. Clara miała chęć wyrwać mu z rąk lejce i zatłuc nimi Zdławiacza na śmierć. Co on zrobił jej mężowi?!

Zaplanowali wszystko tak starannie. Wszyscy w Richmond śledzili ich listy, więc Radford napisał do Scotland Yardu za pośrednictwem Westcotta. Opisał każdy szczegół. Zatrudnił inspektora Stokesa. Wymyślił wszystko tak, by zaangażować policję londyńską, nie obrażając jednocześnie lokalnych stróżów prawa, i dzięki temu utrzymać wszystko w najściślejszej tajemnicy.

Stokes przyjechał najszybciej, jak mógł. Wspólnie ułożyli kilka planów, by wziąć pod uwagę wszelkie okoliczności.

W przebraniu Johna Cottona inspektor dostarczał Freame'owi fałszywe informacje. Dzięki temu mieli pewność, gdzie i kiedy spotkają złoczyńców. Przez kilka dni Stokes jeździł na dachu faetonu ukryty pod derką, by przyzwyczaić się do niewygody.

Mimo wszystko nie byli w stanie przewidzieć, jak potoczy się sytuacja. Freame wypadł z krzaków tak gwałtownie, że zaskoczył konie i wszyscy stracili na chwilę rezon. To dało napastnikom przewagę.

– Wiedziałaś, że policja czeka przy bramie – powiedział Radford surowo. – Ustaliliśmy, że nie będziesz włączała się do walki, chyba że zobaczysz szansę obrony mojego życia i tylko jeśli nie narazi to cię na niebezpieczeństwo.

– Nie ustalaliśmy jednak, że wyciągną cię z powozu i że konie wpadną w szał.

Na co dzień zaprzęg nie budził zastrzeżeń, jednak to nie były londyńskie konie, przyzwyczajone do tłumu, hałasu, pojawiających się znikąd przechodniów czy setek innych pojazdów. Freame postąpił bardzo sprytnie.

Wdarł się w spokojną scenę, robiąc mnóstwo szumu i hałasu, machając płaszczem i wrzeszcząc.

– Myślę, że mogło pójść gorzej – uznał Radford. – Przynajmniej nie wyskoczyłaś z pędzącego powozu, żeby gołymi rękami zabić Zdławiacza czy Freame'a. Choć mogę się założyć, że w sądzie Jacob zezna, że chciałaś go przejechać.

– Jakże to? Zostałam sama w powozie, a konie poniosły. Robiłam, co w mojej mocy, by je opanować, ale cóż może zrobić w tak okropnej sytuacji bezbronna kobieta? Freame miał po prostu pecha. Wszak mógł zejść mi z drogi, a nie rzucać się pod koła.

– Bezbronna kobieta – mruknął Radford. – Słyszę, jak Longmore wybucha rżącym śmiechem. Reszta twoich braci też. Lepiej trzymajmy ich z dala od sali sądowej.

– Przypuszczam, że mogłam wcześniej zatrzymać powóz albo przynajmniej zwolnić – wyznała Clara. – Ale nie miałam zamiaru. Choć nie byłam w stanie rozważać zupełnie logicznie i na chłodno każdej ewentualności, rozmowy i ćwiczenia ze Stokesem przyniosły jednak efekty.

– Miałaś wiele pytań, to prawda.

Clara była przekonana, że pamiętał każde. Była mu wdzięczna, że ani razu nie przerwał, ani razu nie wyśmiał jej wątpliwości. Zarówno Radford, jak i Stokes traktowali ją bardzo poważnie. Rozmawiali z nią, jakby była mężczyzną. Nie sądziła, by jakikolwiek dżentelmen docenił, jakie to ważne. I niezwykłe. Mężczyźni uważali, że szacunek i posłuch po prostu im się należą. Oczywiście oni także podlegali pewnej hierarchii, jednak co do zasady liczyli się mężczyźni i ich zdanie na każdy temat. Kobiety nie miały znaczenia. Były tylko ozdobą.

Nie powiedziałaby o tym głośno, ale zachowała te chwile w sercu. Może kiedyś znajdzie odpowiednie słowa, by podziękować mężowi.

– Przede wszystkim starałam się powściągnąć konie. Poza tym także myślałam. Wiedziałam, że policja czeka przy Sheen Gate i Putney Gate. Jednak to nie musiało oznaczać, że go złapią. Na jego miejscu gnałabym jak szalona prosto na nich, tak jak pędził po Trafalgar Square. Policjanci instynktownie odskoczyliby na boki. Być może tylko na chwilę, ale przecież nie potrzebowałby więcej. Poza tym mógł gdzieś skręcić i przejechać rzekę innym mostem, gdzie nikt na niego nie czekał.

– Masz rację – przyznał. – Wiesz, muszę przyznać, że byłem sprytniejszy, niż sądziłem, gdy postanowiłem się z tobą ożenić.

– Ty postanowiłeś!

– Owszem. Ja postanowiłem, gdy nie pozostawiłaś mi wyboru. – Westchnął i powiedział:

– Mam nadzieję, że ta przygoda ci wystarczy. Nie sądzę, bym mógł aranżować dla ciebie w przyszłości równie ekscytujące eskapady.

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Wcale mnie to nie martwi. Jakkolwiek będziesz się starał, jestem przekonana, że zdołasz rozwścieczyć i urazić jeszcze wiele osób i możemy liczyć na to, że zawsze ktoś będzie chciał cię zabić.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał. – Lecz nie miałem dotąd czasu na rozważanie przyszłości. Jak nie jedno, to drugie. Bernard spada z konia i ginie. Muszę zaprowadzić porządek w Glynnor. Przetrząsam krzaki w poszukiwaniu złoczyńców. Koresponduję ze Scotland Yardem. Planuję zasadzki. Ścigam przestępców. Teraz musimy ich dostarczyć do Londynu i dopilnować, żeby w ciągu miesiąca odbył się proces, w którym nie będę mógł być oskarżycielem.

Mówił spokojnie i chłodno, lecz Clara wiedziała, że prawie się zadławił tymi słowami. Na szczęście był przyzwyczajony do przyglądania się światu przez okulary logiki i rozsądku. Emocje były jej działką i Clara cierpiała za niego. Wiedziała, że wolałby stanąć przed sędzią w peruce i todze, zadawać pytania, rzucać ciętymi ripostami i przekonywać ławników.

– To musi być… irytujące – zaryzykowała.

– Hm… – Radford zmarszczył brwi.

– Jednak na pewno udzielisz Westcottowi wszelkich instrukcji i wskażesz mu prawnika, który ma cię reprezentować…

– Nie – przerwał jej Kruk z dzikim błyskiem w szarych oczach. – Nie potrzebuję prawnika. Chyba doznałem wstrząśnienia mózgu, bo…

– Wstrząśnienia mózgu?!

– Odrobinę. Jedynie to wyjaśnia, dlaczego zapomniałem o fundamentalnej zasadzie. Ofiara przestępstwa ma prawo występować w sądzie we własnym imieniu. Przez całe wieki tak się działo.

– Wstrząśnienia mózgu?!

– Upadłem na głowę. Ale w przeciwieństwie do Bernarda nie skonałem na miejscu. Będziesz mogła się mną później czule zaopiekować. Już się nie

mogę doczekać. Ach, jakiż to będzie zabawny proces! Będę już lordem Bredonem, przed którym wszyscy będą bili pokłony, włącznie z sędzią! – Roześmiał się głośno i skrzywił.

Clara nie zdążyła zapytać go o inne urazy, bo dojeżdżali właśnie do Sheen Gate.

* * *

Dowiedzieli się, że Wiewiór umknął. Nie przechodził przez bramę ani przez most. Choć policjanci zarzekali się, że go nie widzieli, Radford sądził, że chłopak zdołał się jakoś przecisnąć. Był tak zwinny i szybki. Mógł także schować się w parku albo w zaroślach przy drodze i czekać, aż awantura ucichnie. Wykazał się już cierpliwością, gdy śledził ich za pierwszym razem.

Niestety, nawet gdyby go złapali, nie mogliby mu wiele udowodnić, a najgroźniejsi zbrodniarze zostali schwytani. Radford szepnął słowo Stokesowi. Inspektor wysłał dwóch ludzi po powóz Freame’a. To przynajmniej mógł być jakiś dowód w sprawie.

Zostawiając policjantów, by mogli w spokoju dokończyć czynności służbowe – w tym, na usilną prośbę Radforda, zawieźć Freame’a do chirurga – państwo Bredon pojechali do domu. Choć mrok zgęstniał, Kruk pojechał okrężną drogą przez park. Mógł jechać tędy nawet z zawiązanymi oczami, a wolał ominąć wszystkich znajomych, których mogli napotkać w Richmond. Zdawał sobie sprawę z tego, że wygląda jak obwieś. Na ogół wcale o to nie dbał, jednak w tej chwili nie miał ochoty, by ludzie wytykali go palcami.

Poza tym musiał się uspokoić – albo w zasadzie odłączyć od minionych przeżyć, którym towarzyszyło stanowczo za dużo emocji. W drodze do domu powinien odzyskać zwykłą obojętność i logiczne spojrzenie na świat. Wtedy mogą się gapić do woli.

Jego umysł płynnie przekierował się na rozsądne tory, gdzie mógł się oddać rozmyślaniom na temat procesu przeciwko Jacobowi Freame’owi i jego bandziorom.

– Wielka szkoda, że rozprawa nie odbędzie się przez co najmniej kilka tygodni – odezwał się. – Zdążę wydobrzeć i sędzia uzna, że oto nadąsany, delikatny arystokrata dostał klapsa i płacze. I że prawdopodobnie nie

zagrażało mu nic poza własnymi histerycznymi wyobrażeniami. Zdławiacz i Freame będą się zaklinali, że próbowałem ich przejechać, a kiedy w panice odskoczyli z drogi, konie się spłoszyły, wyrzuciły mnie z powozu, a moja żona rzuciła się w pogoń za biednym przechodniem.

– Brak dowodów – westchnęła Clara. – Tak trudno jest udowodnić komuś złe intencje. Zupełnie jak w sprawie Grumleya.

– Chyba że ktoś sypnie. Lecz jeśli informator jest z tej samej bandy, sędzia może go uznać za niegodnego zaufania. Muszę cię uprzedzić, że nie należy liczyć na galery. Nie skażą ich za napaść z bronią w ręku. Parę lat robót jest bardziej prawdopodobne.

– Wolałabym kolonie karne – stwierdziła Clara. – Żeby obaj wynieśli się z Anglii.

– Nie jest to niemożliwe. Jednak musimy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Freame miał fundusze na powóz i konie, porządne ubrania i tygodnie w gospodzie. Niewykluczone, że będzie go stać na dobrego prawnika. Jednak nie ma sensu zamartwiać się wyrokiem. Teraz musimy złożyć zeznania i pomóc policji zgromadzić dowody rozległej przestępczej działalności Freame’a. Może zdołamy skazać go na deportację. Wyznaję, że skrycie liczę na zdumiewające efekty działania twoich błękitnych oczu i lśniących w nich łez. Będziesz doprawdy poruszająca, opowiadając o tych koszmarnych chwilach.

– Ja? Naprawdę pozwolisz mi zeznawać? – Śmiało opowiedziała mu o tym, co powiedziałaby przysięgłym, lecz wiedziała równie dobrze jak on, że damy nie stawiają się na salach sądowych.

– Ależ bezwzględnie musisz zeznawać! W innym wypadku możemy przegrać.

– Och, Kruku…

– Twoi rodzice jakoś sobie z tym poradzą – dodał. – Zresztą, gdybyś dbała o pozory, nie wyszłabyś za mnie.

– Och, mój Kruku. Mogłabym zacałować cię na śmierć.

– Czyżby? Jestem brudny, zakrwawiony, a połowa mojej twarzy staje się nierównomiernie okrągła.

– Jest ciemno.

Rozejrzał się.

– Istotnie. Przypominam sobie, że miałem kiedyś pomysł, by zaciągnąć cię w jakieś gęste zarośla i wyjątkowo niecnie cię w nich uwieść.

– Nie do końca rozumiem, co masz na myśli. Mógłbyś mi to pokazać?

* * *

Dojeżdżali niemal do bramy parku, lecz noc już zapadła, a nawet gdyby był środek dnia, Radford wcale by o to nie dbał. Wjechał powozem pomiędzy gęsto rosnące drzewa i wziął Clarę na kolana, mocno przyciągając ją do siebie. Wtulił twarz w jej szyję, wdychając znajomy zapach wzbogacony o głębsze, aksamitne aromaty podekscytowania i lęku. To była jego Clara. Cała i zdrowa. On także był cały, choć poobijany, i pragnął jej.

Uniósł głowę, złapał ją za kark i pocałował żarłocznie.

Tak bardzo się bałem, że cię stracę – myślał.

Clara odpowiedziała żarliwym pocałunkiem, przyciskając mocno wargi do jego ust, i niemal natychmiast rozchylając je, kusząc i uwodząc. To było jak powrót do domu. Jak koniec świata i zarazem początek. *Nonsens* – skomentowałby jego umysł, lecz tym razem wiedział, przez co przeszli. Rozpoznawał strach, wściekłość i zagrożenie. Potrafił także rozeznać radość z przeżycia i triumf.

Wygrali.

Otarli się o katastrofę.

I wszystko to Radford odnalazł w jej pocałunku: przerażenie, ulgę i triumf. Uczucia.

Nie odrywając od niej warg, rozwiązał wstążki kapelusza i strącił go z jej głowy. Smak jej ust krążył mu w żyłach, jakby napił się starej whisky. Palił i podniecał, odganiał lęki, złość i obawy z taką samą łatwością, z jaką rozwiewał ból stłuczeń i siniaków.

Przesunęła dłońmi w rękawiczkach po jego włosach, policzkach i szyi. Jej dotyk był lekki jak piórko, ale rozpalał go w mgnieniu oka. Wąska, drobna dłoń damy w eleganckiej rękawiczce. Nie wiedział, dlaczego tak go podnieca. Chwycił jej dłoń, zerwał rękawiczkę z nadgarstka i pocałował drobne kostki. Zadrżała.

– Och, mój Kruku… Twoje usta…

Zdjął rękawiczkę z dłoni, całując i liżąc delikatną skórę Clary. Jęknęła. Powoli ściągnął rękawiczkę do końca i całował każdy palec, każdy opuszek. W podobny sposób zdjął jej drugą rękawiczkę, ale znacznie

prędzej, bo poruszała się rytmicznie na jego kolanach i nie był już w stanie myśleć.

Wsunął ręce pod pelerynę Clary, obejmując na chwilę wąską talię i przesuwając dłońmi po piersiach ciasno opiętych suknią. Stłumił jęk.

Sięgnął w dół i podciągnął pelerynę i suknię powyżej jej ud. Całe kilometry jedwabiu i aksamitu, których szum i szelest w pustym parku brzmiał jak wybuchy sztucznych ogni. Słyszał w oddali pomruk wiatru i szelest liści nad głową, lecz zdawały się one odległe jak we śnie. Pod spiętrzonymi tkaninami znalazł nareszcie jej nogi. Długie, wspaniałe nogi obleczone w jedwab szepczący cicho pod jego dłońmi.

Clara zadygotała pod tym dotykiem. Ujęła jego twarz w dłonie i szepnęła:

– Och, tak.

Polizała usta Radforda, pieszcząc go czule, gdy przesuwał dłonie coraz wyżej po jej udach, do podwiązki i po nagiej skórze, jak tamtego dnia, gdy tak głupio poprosił ją o rękę.

„Tak” – powiedziała wtedy.

„Tak” – powtórzyła dzisiaj.

Wsunął dłoń głębiej i odnalazł jej kobiecość, gorącą, miękką i wilgotną z pożądania. Pożądała go. Wsunął w nią palec. Otworzyła się na niego z jękiem rozkoszy.

– Proszę, wejdź we mnie – szepnęła. – Nie mogę już czekać. Chyba oszalałam.

– Owszem – mruknął.

Rozpiął spodnie, wyciągnął z nich koszulę i nabrzmiałą męskość. Poczuł na sobie jej dłoń, obejmującą go delikatnie, lecz pewnie. Zamknął oczy i złapał kurczowo brzeg ławki, jakby miał stracić przytomność. Jej dłoń! Jej miękka, gładka, słodka dłoń, którą przed chwilą całował z uwielbieniem! Po raz pierwszy dotknęła go bez wstydu.

Umysł Radforda wyłączył się jak za dotknięciem różdżki. Zostały jedynie miłość, żądza i fale ognia przetaczające się po jego ciele. Zacisnęła palce. Radford jęknął. Zabrał jej dłoń i wszedł w nią gwałtownie. Krzyknęła przeciągle, powolutku osuwając się na niego, zamykając go w sobie. Przez chwilę był przekonany, że umrze, czując, jak zaciska się na nim, podnosi delikatnie i znowu opada, porusza biodrami, jakby jechała konno. Z gracją, rytmicznie, zabijając go z każdym ruchem.

– Moja droga… – zdołał wykrztusić. – Chyba już złapałaś, o co w tym chodzi.

Roześmiała się chrapliwie. Radfordowi zakręciło się w głowie od emocji, których nie umiał już nazwać. Świat pogrążył się w mroku i wypełnił jedynie zapachem i smakiem jego pięknej, odurzającej żony. Najpiękniejszej dziewczyny na świecie, która należała do niego.

Wpił się w jej usta i poddał rytmowi, coraz szybszemu i unoszącemu ich w przestworza. Osiągnęli szczyt, dygocząc i jęcząc, zapominając zupełnie, że ciągle są w parku. Wtulili się w siebie kurczowo, uspokajając oddech.

Gdy ucichli i Radford zaczął porządkować ubranie Clary, powiedział:

– Kocham cię, lady Bredon. Wiesz o tym, prawda?

Przez chwilę myślał, że Clara zginie i nigdy nie dowie się, że jest kochana przez męża, bo mąż nigdy jej tego nie powiedział, jak ostatni głupiec.

– Domyśliłam się.

* * *

– O, nie! Nie zgadzam się! – ryczał Freame.

– Ma pan zmiażdżoną piszczel – upierał się chirurg. – Muszę uciąć pod kolanem.

– Nie ma mowy. Przestań mnie oszukiwać. To psy! Psy kazały ci to zrobić!

– Żaden szanujący się lekarz nie daje sobą komenderować – napuszył się chirurg. – Żaden też nie weźmie odpowiedzialności za pana nogę. Każdy panu powie, że w innym wypadku wda się gangrena.

– Niech cię szlag, kłamliwy rzeźniku! Stokes! Zabierz mnie stąd! Chcę chirurga z miasta, a nie tego konowała!

Wbrew zaleceniom chirurga z prowincji Stokes zawiózł Freame’a do Londynu. Markiz Bredon chciał go mieć przy życiu przynajmniej do rozprawy, w związku z czym płacił za wszystko. Stokes miał nadzieję, że Freame posłucha lekarza z miasta.

Nie posłuchał.

Stokes napisał prędko:

Chirurg z Londynu potwierdził diagnozę lekarza z Sheen. Freame nie przyjął tego do wiadomości. Zażądał kolejnego chirurga. Ta sama

diagnoza. Freame się nie poddaje. Jeśli chciałby pan znać moje zdanie, lordzie Bredon, powiedziałbym, że bardziej boi się zostać kaleką niż umrzeć. Ostatecznie dwóch doktorów poskładało mu nogę najlepiej, jak się dało, i obaj uznali, że wydał na siebie wyrok. Kazali mi nawet podpisać ich oświadczenie, żebyśmy potem nie mieli do nich pretensji, jeśli trzeba będzie uciąć całą nogę.

Stokes nadsyłał kolejne listy. Jak przewidziano, Freame wkrótce dostał gorączki.

– Nic dziwnego, że nie chce być kaleką – powiedział lord Bredon do swej żony. – Bezbronny nie przeżyje na ulicy, a ma wrogów, którzy postarają się, by umierał długo i w męczarniach. Jednak podejrzewam, że liczy też na efekt, jaki osiągnie w sądzie, stawiając się tam w takim stanie.

– To bardzo ryzykowne – uznała Clara. – Dla mnie wygląda raczej na samobójstwo.

Radford pokręcił głową.

– Freame świetnie się orientuje w działaniu sądów. W przeciwnym razie już dawno udałoby mi się go deportować. Bardzo liczy na swój żałosny stan na styczniowych rozprawach. Wynajął też prawnika i jestem pewny, że pozwie mnie o odszkodowanie. Dopiero wtedy podejmie decyzję o amputacji. Ale lepiej niech się dobrze zastanowi. Nie dopuszczę do tego, by go wezwali w styczniu.

Z kolei Zdławiacz został już wezwany i oskarżony o wiele przestępstw, w tym o „śledzenie, napaść, pobicie i usiłowanie zabójstwa markiza Bredona, napaść na markizę Bredon, napaść z bronią w ręku na oficera policji, pobicie oficera policji na służbie i groźby karalne”. W toku śledztwa pojawiły się nowe dowody i nowi poszkodowani, nowi świadkowie innych przestępstw, w tym kradzieży i napaści.

Zdławiacz został skazany na dożywotnią deportację do kolonii karnych.

* * *

Pod koniec stycznia Freame trafił do Szpitala Świętego Bartłomieja.

Jego sprawa, uprzednio przesunięta na luty, została ponownie odłożona.

Stan jego zdrowia wciąż się pogarszał. Freame twierdził, że zaraził się w więzieniu tyfusem. Lekarze – że to początki gangreny.

Bredon pojechał do Londynu, żeby się z nim zobaczyć.

– Powinieneś odżałować tę nogę – powiedział. – Będę przekładał rozprawę, dopóki nie wydobrzejesz.

– Wydobrzeję? – żachnął się Freame. – To wszystko twoja wina! Zapłacisz mi za to!

– Użyj mózgu, Freame. Bez nogi wzbudzisz w przysięgłych nieco litości. Zdławiacz już pojechał do kolonii. Wiesz, że nie mamy na ciebie tak silnych dowodów, jak byśmy chcieli. Dobry prawnik podważy je bez trudu. Ryzyko, że pójdziesz na galery, jest nieduże.

„Nikłe” byłoby trafniejszym określeniem.

Freame mógł twierdzić, że Zdławiacz chciał napaść także jego i dlatego uciekał drogą do bramy. Mógł powiedzieć, że Bredon usiłował go przejechać. Wzbudzenie wątpliwości w przysięgłych nie byłoby trudne. Wiedział, jak dopasować swój wygląd, minę i wymowę do sytuacji. Nawet jeśli udowodniliby mu winę, wyrok nie byłby surowy, bo Freame nie był do tej pory o nic oskarżony.

Jednak nawet jeśli Jacob o tym wiedział, nie dał nic po sobie poznać.

– Och, te twoje słodkie słówka – prychnął. – Myślisz, że urodziłem się wczoraj? Sądzisz, że nie wiem, jak myślą elity? Szepniesz dwa słowa, sypniesz groszem i skończę na szubienicy.

– Gdyby tak było, moja pani dopilnowałaby, żeby Zdławiacz zadyndał.

– Twoja pani! – Freame prawie się zakrztusił. – Żałuję, że was nie rozjechałem, kiedy miałem okazję.

– Owszem, to był poważny błąd. – Markiz pokiwał głową. – Nie popełnij kolejnego. Trzeba ci uciąć nogę. Lekarze mówią, że może już być za późno.

Markiz Bredon przekazał później swej żonie, że równie dobrze mógłby przemawiać do ściany.

Przełożył więc rozprawę na kolejny miesiąc.

* * *

Minęło kilka tygodni i ból stał się nie do zniesienia. Freame starał się dożyć do kolejnej dawki laudanum i wreszcie zgodził się na amputację, lecz było już za późno. Gangrena rozprzestrzeniła się na całą nogę i zajęła biodro.

Umierał w męczarniach przez kolejne tygodnie, aż wreszcie ucichł czwartego kwietnia.

Westcott przekazał te wieści markizowi i markizie Bredon, mieszkającym w Malvern House.

Choć w pałacu wciąż trwał remont i przemeblowanie, dało się już zamieszkać w kilku pokojach i zaledwie tydzień wcześniej Clara zarządziła przeprowadzkę wraz ze skromną na razie grupą służących.

Niemal cały parter był już skończony, przyjęli więc Westcotta w bibliotece.

Choć wieści nie były zaskakujące, Clara potrzebowała kilku minut, by to przetrawić. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się niepokoiła. Niemal rozpłakała się z ulgi. Chłodny głos jej niezawodnego męża był jak powiew świeżości przedzierający się przez zatęchły dym.

– Co za kretyn. Gdyby na początku zdecydował się na amputację, mógłby wywalczyć kilka miesięcy w więzieniu. No cóż. Przynajmniej policja może go już wykreślić ze wszystkich akt.

– Nie ma go – westchnęła Clara. – Tylko to się liczy. Nikogo już nie skrzywdzi. Sam ściągnął na siebie surowy wyrok.

– Kolejny niedoszły zabójca Jego Wysokości zszedł nam z drogi – wtrącił Westcott. – Jeszcze kilka tuzinów i będzie można odetchnąć.

– Nie docenia pan markiza – odparła Clara. – Spodziewam się całej rzeszy arystokratów planujących morderstwo w najbliższym czasie.

– Ja się nie boję. – Bredon wzruszył ramionami. – Clara mnie strzeże.

– I jak wskazała Jej Wysokość jakiś czas temu – dodał Westcott – zawsze możesz zagadać ich na śmierć.

– W zasadzie planuję to zrobić niezależnie od ich intencji. – Kruk się uśmiechnął. – Clara namawia mnie do pracy w parlamencie. Myślę, że to będzie dobry ubaw.

– Ach, istotnie. Musisz jedynie wygrać w swoim okręgu – parsknął Westcott.

– Muszę jedynie chodzić wszędzie z żoną i liczyć na urok jej błękitnych oczu. Głosują wszak mężczyźni.

– To twoja strategia na wybory? – zapytał Westcott.

– Zgadzam się, że lepiej dla niego, jeśli nie będzie się odzywał. – Clara pokiwała głową.

– Racja – potwierdził Westcott.

– Będę miał mnóstwo okazji do przemawiania, gdy będę już w Izbie Lordów. I możecie być pewni, że je wykorzystam.

– W takiej sytuacji przesunę większość potencjalnych morderstw z rubryki „przypuszczalne” do rubryki „spodziewane”.

– Ależ proszę! – żachnęła się Clara. – Jest jednak różnica pomiędzy arystokracją a londyńskim półświatkiem! Dżentelmeni mogą puszczać wodze fantazji, a nawet opowiadać o nich znajomym czy w najgorszym wypadku wyzwać mego męża na pojedynek. Mogą pragnąć go zabić, lecz nie będą knuć w krzakach i dźgać nas nożami. Ponadto ich żony nie pozwolą go skrzywdzić.

Westcott parsknął.

– Lady Bredon, podziwiam i doceniam pani uczucia dla męża. Biorąc pod uwagę rozmaite wydarzenia z przeszłości, muszę jednak zauważyć, że lord Bredon skłania płeć piękną do aktów przemocy, nawet się o to nie starając.

Uśmiechnęła się.

– To się niebawem skończy. Gdy ja z nim skończę.

– To za wysokie progi dla ciebie, Westcott – dodał jej mąż. – Clara ma plan. Szalony, wspaniały plan. Zrobi ze mnie najnowszy krzyk mody.

– Kpisz ze mnie.

– Bynajmniej – odparł Bredon z poważną miną, choć w kącikach jego ust drgał uśmiech. – Żona wydaje bal na moją cześć. Zostanę debiutantką sezonu.

– Będę to musiał zobaczyć na własne oczy – wyjąkał Westcott.

– Bez wątpienia – przyznała Clara. – Jest pan na pierwszym miejscu na liście gości.

– Tuż nad królem – dodał Kruk i wybuchnął śmiechem.

Rozdział 21

Tak usnęło wszystko w zamczyska podwojach,
a tych dwoje, bliskością ciała nasyciwszy,
długo w noc rozmawiali.
Homer, *Odyseja*

Czwartkowe przyjęcie u króla rozpoczęło się z pełną pompą piątego maja, punktualnie o czternastej. Kilka minut później książę Clevedon przedstawił Jego Miłości markiza Bredona.

– Najwyższy czas – skomentował król. – Musisz wreszcie przestać się wałęsać po sądach. Znajdź sobie jakieś inne pożyteczne zajęcie.

– Jak najbardziej, sir – zgodził się Bredon. – Moja żona ma w związku z tym rozmaite pomysły.

Król się uśmiechnął.

– Nie mogę się doczekać spotkania z lady Bredon.

Król i królowa mieli przyjechać do Malvern House, którego nigdy wcześniej nie odwiedzali – podobnie jak reszta towarzystwa.

Król zapytał także o samopoczucie księcia Malverna i obiecał, że odwiedzi go niebawem w drodze do Windsoru. Potem zajął się kolejnym debiutantem.

Wszyscy, którzy stali na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę, przekazali ją stojącym dalej. Szacowni dżentelmeni powtarzali słowo po słowie, a potem zanieśli je swoim żonom, kochankom, matkom i siostrom, wraz ze szczegółowym opisem stroju lorda Bredona. Oczywiście tak czarnego, jak to tylko możliwe na królewskim dworze.

Tego wieczoru w Almacku wszystkie głowy odwracały się zatem co i rusz ku wejściu, lecz bez skutku.

– Och, to było w ogóle poza dyskusją – tłumaczyła przyjaciółkom lady Warford. – Clara wydaje jutro wielki bal i musi wypocząć. Król i królowa odwiedzą po południu Malvern House, żeby obejrzeć odnowiony pałac.

Zawsze odnosili się do Clary z dużą serdecznością, a Jego Miłość bardzo ceni księcia Malverna.

Choć Ich Miłości nie zaszczycą balu, krewni i dworzanie pojawią się na pewno.

Jeśli lady Bartham zagryzała z zazdrości zęby, robiła to nad wyraz dyskretnie. Nie zdołała nawet wymyślić żadnej zjadliwej riposty, która zresztą i tak umknęłaby w powodzi pochwał i umizgów reszty dam do spłonionej lady Warford.

Nie wszyscy dostali zaproszenie na bal, lecz pominięci liczyli w duchu na zaproszenia na kolejne, pomniejsze przyjęcia. Po markizie Bredon spodziewano się rozmachu godnego jej matki.

Jak zauważył król, prezentacja markiza Bredona nastąpiła dość późno po jego awansie. Spędził jednak wiele czasu, nadzorując remont domu, pracując nad procesem, który w końcu nie nastąpił, i porządkując wszelkie sprawy Malvernów. Nie miał czasu na spotkania towarzyskie.

Choć to spóźnienie było raczej irytujące, sprawiło, iż wybrańcy zaproszeni przez Clarę z wdzięcznością przyjęli zaproszenie. Wszyscy umierali z ciekawości. Jaki naprawdę jest markiz Bredon? Owszem, czytywali o nim w gazetach i słyszeli mrożące krew w żyłach historie. Dla większości arystokratów lord Bredon pozostawał tajemnicą. Zdumiewające było zwłaszcza to, że spośród tak wielu absztyfikantów lady Clara Fairfax wybrała właśnie jego.

Oczywiście, wszyscy chcieli zobaczyć także dom. Wszak nikt go nie odwiedzał od stu lat.

* * *

Malvern House
czwartek, 6 maja

Przygotowano i pięknie ustrojono dwie obszerne bawialnie. Znakomity gust lady Bredon widoczny był w każdym detalu i wszyscy goście zachwycali się domem. Przyjechało trzysta osób. Orkiestra Weipperta czekała w gotowości.

Lord Bredon patrzył tylko na swoją żonę.

Ubrała się w wyjątkowo prostą kreację – kolejną specjalność sióstr Noirot. Suknia, uszyta z organzy o ciepłym odcieniu kości słoniowej, przylegała ciasno do talii, eksponując kremowe piersi w wyciętym dekolcie. Pikowana pelerynka spływała jej z ramion, podkreślając łagodną linię szyi. Różowa wstążka oplatała talię, kilka róż ozdabiało dekolt i rękawy. Dopasowane! Nareszcie. Prostota kroju wyróżniała ją z zalewu falbaniastych sukien i olśniewającej biżuterii zgromadzonych dam. Zresztą to była Clara. Mogłaby nosić habit zakonny i wciąż byłaby piękniejsza niż Afrodyta.

Bredon, co nie zaskoczyło nikogo, był w czerni, lecz znacznie wystawniejszej niż zwykle.

– Damy mdleją na twój widok – mruknęła mu do ucha Clara.

– To dlatego, że się nie odzywam.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie udawaj nikogo innego. Wiesz, że tylko się z tobą droczę.

– Rozpoznaję okruchy prawdy w żarcikach, moja miła. Poza tym jestem dziś debiutantem i powinienem zachowywać się skromnie. Zresztą nie ma znaczenia, co bym mówił, bo wszyscy i tak gapiliby się tylko na nas i zastanawiali, co we mnie widzisz.

– Uwierz, damy myślą zupełnie o czym innym. – Clara się uśmiechnęła. – Ale lepiej, żebyś nie wiedział. – Rozejrzała się dyskretnie. – Już czas – uznała.

– Najwyższy. Wyglądasz tak kusząco, że nie mogę się doczekać, kiedy cię porwę w ramiona. I rozbiorę – dodał szeptem.

Clara spłoniła się i dała znak orkiestrze. Salę wypełniły pierwsze tony walca. Bredon spojrzał na nią z czułością.

– Gotowa, by zrobić z siebie widowisko? – zapytał.

– Zawsze – odparła i uśmiechnęła się promiennie.

Serce prawie mu pękło. Zdołał jednak podać jej ramię i poprowadzić na parkiet.

* * *

Przyjęcie rozpoczęło się o jedenastej i skończyło o czwartej nad ranem. Goście zachwycali się kolacją, a z parkietu trzeba ich było dosłownie

przeganiać. Clara twierdziła, że to z powodu ich pięknego pierwszego tańca.

– Piękna byłaś tylko ty – powiedział Kruk. – Ja z radością przyjąłem rolę tła.

– Musiałeś był niezwykle interesującym tłem, mój drogi. Zauważyłam, że damy wprost biły się potem o ciebie.

– Ty również nie narzekałaś na brak partnerów. Czy twoi zalotnicy nadal planują się za tobą uganiać?

– Sądzę, że chcieli mi pokazać, że nie żywią żadnej urazy.

– Na wypadek, gdybyś odzyskała zdrowy rozsądek i uciekła ode mnie, chcieli dać ci znać, że wciąż możesz na nich liczyć.

– Odzyskałam zdrowy rozsądek, gdy cię poznałam.

Spojrzał na nią poważnie i z uwagą.

– Myślałam, że dusi mnie moje życie – wyjaśniła. – Ale teraz widzę, że to w ogóle nie ma znaczenia. Kim jesteś i gdzie się rodzisz. Różnicę stanowi mężczyzna przy twym boku.

Bredon odchrząknął ze wzruszenia.

– Potrzebowałaś wyjątkowo trudnego, jak widzę.

– Jest to zdecydowanie bardziej zabawne.

Rozwiązała wstążki nocnej koszuli. Kruk zsunął delikatną tkaninę z jej ramion. Pocałował szyję Clary i odłożył koszulę na fotel. Znów spojrzał na nią bardzo poważnie. Odwrócił ją ku sobie i przyglądał się przez chwilę.

– Lady Bredon – powiedział w końcu. – Czy masz mi coś do powiedzenia?

Clara uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze toaletki. Jak dotąd wiedziała o tym tylko panna Davis, lecz pokojówka musi być na bieżąco z takimi sprawami. Clara była przekonana, że jeszcze nic nie widać. To znaczy, że żaden zwykły człowiek niczego nie zauważy.

– Co takiego?

– Twoje piersi – wskazał. – I twój brzuch. Twoja twarz. I nowy blask w twoich oczach. Zdawało mi się, że wyglądasz dziś jeszcze piękniej, lecz mój rozum twierdzi, że to zupełnie niemożliwe.

– Czekałam, aż będę zupełnie pewna.

– Jak bardziej pewna chcesz jeszcze być? – zdumiał się. – Jestem czy nie jestem ojcem, do licha?!

Jej oczy napełniły się łzami. Nie rozumiała dlaczego.

– Mam nadzieję, że tak.

Wargi mu zadrżały.

– Ja. Ojcem. – Roześmiał się. – Kto w to uwierzy?

– Ach, więc… – bąknęła drżącym głosem. – Czy dobrze się pan czuje? Nie zraniłam pana? Nie zamierza pan mdleć? Płakać też nie? Doskonale.

Chwycił ją w ramiona.

– Doskonale! Znakomicie! Och, co za nowina. Będę ojcem! Kocham cię, zdumiewająca dziewczyno!

– Cóż, nie jest to zbytnio zdumiewające, biorąc pod uwagę proste biologiczne fakty.

– Nie czas na logikę.

Pocałował ją żarliwie, długo, gorąco i z radością. Szczęście szumiało mu w uszach.

Oderwała od niego wargi.

– Kocham cię, mój Kruku – powiedziała. – Nigdy tego nie mówiłam, ale…

– Domyśliłem się.

Przycisnął ją do serca.

Epilog

Zawsze gdy skończę opis minionego dnia, przypominam sobie wiele spraw, o których powinienem był wspomnieć. Lecz wtedy jest już za późno. Nie znajduję miejsca ni słów, by dodać myśli, które ominąłem.
Friedrich von Raumer, *Anglia w 1835 roku*

Wieść o śmierci Jacoba Freame'a rychło dotarła do baru Jacka i po jakimś czasie znalazła drogę do nędznego szałasu nad rzeką. Wiewiór chronił się w nim nocą, za dnia usiłując wypracować sobie pozycję wśród biedaków mieszkających nad Tamizą. Niedługo po śmierci Jacoba Wiewiór zaczął pracować przy pogłębianiu koryta rzeki. Przykładał się solidnie i wytrwale wspinał po kolejnych szczeblach nadrzecznej kariery, znajdując wreszcie pracę w jednej z tawern. Parę lat później ożenił się z córką właściciela i żył może nie tak wystawnie jak niegdyś Freame, za to bezpiecznie i szczęśliwie. Znany wówczas jako John Stiles, sporo przytył i nie biegał już tak prędko, a z czasem wyzbył się nawet ciągłego oglądania się przez ramię.

Siódmy książę Malvern umarł, ale nie tak rychło, jak się tego spodziewali krewni i znajomi. Jego syn zawsze powtarzał, że to zasługa Clary. Nastrój starszego pana Radforda bardzo się poprawił, gdy Kruk po raz pierwszy wspomniał mu o Clarze, a jego energia i pogoda ducha rosły z każdym dniem spędzanym w jej towarzystwie. Zdrowy duch uzdrawiał jego ciało. Od dnia ślubu syna ból przestał dręczyć księcia, nie dokuczała mu nawet bezsenność.

Żył wystarczająco długo, by nacieszyć się wnukiem o imieniu George, które to imię malec odziedziczył po obu dziadkach, a także wnuczką Frances Anne (to imię należało z kolei do obu babć). Pewnej nocy, po rozkosznie zawiłej dyskusji prawnej dotyczącej ustawy o osadzonych z 1836 roku, Jego Wysokość odszedł spokojnie we śnie.

Kruk Radford, ku uciesze lub rozpaczy znajomych, został ósmym księciem Malvern. W Izbie Lordów okazał się równie irytujący jak w parlamencie, a wcześniej w sądzie. Jednak za radą i przy wsparciu swej żony nie zerwał przyjaźni z dawnych lat, nielicujących już z godnością książęcą.

Wśród wielu działań dobroczynnych, zarówno przed awansem, jak i po nim, para książęca otaczała szczególną opieką szkółki dla ubogich dzieci. Ich pierwszy bal charytatywny wydano w Vauxhall, a zgromadzone fundusze przeznaczono na urządzenia sanitarne w szkółce na Saffron Hill.

Lady Clara została jednak księżną, a jej matka, być może ze względu na tę okoliczność, a być może ze względu na rosnącą gromadkę idealnych wnucząt, została naprawdę szczęśliwą i pełną wigoru damą.

Przynajmniej do czasu.

Lady Clara Fairfax ma już serdecznie dość zalotników. Z uporem odrzuca oświadczyny dżentelmenów, którzy nie widzą w niej niczego poza urodą, w istocie zapierającą dech. Przekonana, że potrafi być kimś więcej niż jedynie ozdobą salonu, poświęca się pracy charytatywnej. Chcąc pomóc jednemu z podopiecznych, zwraca się o pomoc do ponurego, przystojnego i niezmiernie irytującego prawnika, Olivera Radforda.

W życiu Radforda nie wszystko biegnie według założonego planu. Nieoczekiwanie został następcą do tytułu księcia. Jasnowłosa, modnie ubrana piękność, mimo iż niepozbawiona rozumu, również do tego planu nie należy, jednak bez trudu udaje jej się opętać na wskroś logiczny umysł Olivera. A gdy w oddali zaczną bić weselne dzwony, Radfordowi nie pozostanie nic innego, jak próbować nie stracić resztek zdrowego rozsądku. Czy najmodniejsza, najbardziej pożądana panna i najbystrzejszy, najbardziej znienawidzony londyński prawnik odnajdą drogę do siebie?

www.wydawnictwobis.com.pl